

ÉRIC

# GIACCOMETTI

JACQUES

# RAVENNE



# NOC ZŁA

**TAJEMNICE II WOJNY ŚWIATOWEJ!**



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

ÉRIC  
**GIACOMETTI**  
JACQUES  
**RAVENNE**

**NOC ZŁA**

Z języka francuskiego przełożyła  
Bożena Sęk



*Le Soleil Noir. La nuit du mal*  
© 2019 by Editions Jean-Claude Lattès

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2020 for the Polish translation by Bożena Sęk (under exclusive license to  
Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Bogusława Wójcikowska  
Korekta: Izabela Sieranc, Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-66512-01-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadrage.pl](mailto:info@soniadrage.pl)  
[www.soniadrage.pl](http://www.soniadrage.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E - wydanie 2020

# Spis treści

Saga *Czarne Słońce*

Prolog

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

Część druga

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

### Część trzecia

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

Część czwarta

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

Epilog

Podziękowania

Odróżnić prawdę od fałszu

Przypisy

# Saga Czarne Słońce

Według legendy ten, kto  
zdobędzie cztery swastyki,  
stanie się panem świata.  
Fragment *Thule Borealis Kulten*

## Streszczenie tomu 1 *Triumf ciemności*

**Tybet, rok 1939.** Wysłana do Tybetu na osobisty rozkaz Heinricha Himmlera wyprawa SS odkrywa w jednej z jaskiń świętą swastykę liczącą kilka tysięcy lat. Pierwszy z czterech artefaktów, o których mówi legenda. Swastykę odnaleziono dzięki bezcennej księdze *Thule Borealis* zrabowanej żydowskiemu antykwariuszowi w noc kryształową. Według tego manuskryptu każda z czterech swastyk wyposaża jej posiadacza w znaczną władzę. Zgromadzenie wszystkich daje władzę absolutną.

**Hiszpania, rok 1941.** Tristana Marcasa, Francuza walczącego w Brygadach Międzynarodowych, z frankistowskiego więzienia wyciąga pułkownik SS Karl Weistort, szef Ahnenerbe, nazistowskiej instytucji prowadzącej badania naukowe i ezoteryczne. Razem jadą do zamku Montségur, próbując odnaleźć drugą mityczną swastykę. Pomaga im Erika von Essling, ulubiona archeolożka Himmlera. Tam dochodzi do konfrontacji z młodą francuską arystokratką, niejaką Laure d'Estillac, której rodzina jest właścicielem zamku.

**Londyn, rok 1941.** Komandor Malorley z SOE, brytyjskiego kontrwywiadu, nowej tajnej służby, wie o istnieniu *Thule Borealis* i o ezoterycznych poszukiwaniach prowadzonych przez nazistów. Przekonuje premiera Winstona Churchilla o tajemnej mocy artefaktów i dostaje od niego zielone światło na zorganizowanie operacji, która pozwoli odzyskać swastykę z Montségur.

**Montségur, maj 1941 roku.** Anglikom udaje się zdobyć drugą swastykę dzięki pomocy Tristana, który gra na dwa fronty: z Niemcami i z Brytyjczykami. Francuz z powodzeniem przekazał nazistom podrobiony artefakt. Laure d'Estillac, której ojca zamordowali esesmani, ucieka do Anglii ze zdziesiątkowanym oddziałem. Ciężko ranny pułkownik SS Karl Weistort zapada w śpiączkę.

**Berlin, czerwiec 1941 roku.** Znaleziony w Montségur (fałszywy) artefakt, a także *Thule Borealis* zostają zdeponowane w zamku Wewelsburg, świątyni SS. Tristan pracuje z Eriką, mianowaną tymczasowym szefem Ahnenerbe. Za zasługi dla Rzeszy zostaje odznaczony Krzyżem Żelaznym przez samego Himmlera.

**Front wschodni, 22 czerwca 1941 roku.** Hitler, uwierzywszy, że jest niepokonany, napada na Rosję, niebawem zaczną się pierwsze masowe mordy na cywilach – żydowskich i nie tylko. Korzystając z otwarcia drugiego frontu, Anglia próbuje przejąć inicjatywę na Zachodzie.



# Prolog

*Kreta*

*Jesień 1941*

Od dawna na to czekali. A nawet jeszcze dłużej, bo czekali już ich ojcowie. I ojcowie ich ojców. Jak daleko sięgała pamięć wioski, wiedzieli, że to się stanie.

Nie wiedzieli kiedy, nie wiedzieli kto, lecz po wiekach oczekiwania wiedzieli, że ten dzień nadszedł.

A raczej noc.

Krwawa noc.

Pięciu wieśniaków przemykało bezszelestnie wśród drzew oliwnych. W ciemnościach drzewo oliwne przypomina istotę ludzką. Jest wysokie jak ona, często ma jej sylwetkę i nawet jeśli wiatr je pochyli, przygnie, zawsze może ukryć człowieka. Człowieka, który potrzebuje nasłuchiwać. Nasłuchiwać mroku. I to mroku, który nigdy nie jest cichy. Kto potrafi słuchać, wyłapie zawsze jedno i to samo słowo:

*Xeni!*

*Xeni!*

*Xeni!*

Najeźdźcy.

Wojownicy przybyli z północy, głowy mieli ukryte pod stalowymi hełmami. Przybyli zbrukać ich ziemię, zrabować skarb, który miejscowym powierzył pewien cudzoziemiec. Cudzoziemiec z północnych krain, z otchłani czasu.

Pięciu wieśniaków nie miało cienia wątpliwości: jasnowłosi mężczyźni, którzy butnie kroczą na ich oczach, to barbarzyńcy opisani w starej przepowiedni.

Podniósł się lekki, wonny wietrzyk, zaszeleściły drzewa oliwne. Wzbił się pradawny śpiew zniekształcony obecnością najeźdźców.

Zanim otrzymają miano, te trutnie czynią hałas – hałas podkutych butów tupiących w ziemię, kolb uderzających o biodra, hałas wojny i śmierci maszerującej drogą.

Czasami jednak śmierć skręca gdzieś w bok.

Wśród drzew oliwnych poruszyli się wieśniacy. Teraz muszą zobaczyć. Zobaczyć, ilu jest najeźdźców.

Jeden, dwóch, trzech.

Zobaczyć lufy karabinów, które oparto o mur, zobaczyć płomyk zapalniczki, malutki żarzący się krążek końca papierosa. Zobaczyć, jak ci żołnierze na powrót stają się ludźmi. W samą porę, aby umrzeć.

Pięciu wieśniaków wyszkolono, by zadawali śmierć tym, którzy ośmielą się złamać zakaz. Jak ich ojcowie przed nimi i ojcowie ich ojców.

Są nie tylko rolnikami, ale również filakami. Strażnikami.

W żyłach wszystkich płynie boska krew. Urodzili się na Krecie, wyspie miodem płynącej, na ziemi, którą wybrała matka Zeusa, by wydać na świat ojca bogów.

A każdy filak posługuje się kyro jak żaden inny Kreteńczyk. Kyro, groźnym sztyletem o karbowanym ostrzu naznaczonym czerwienią w kształcie kropli. Ostatniej kropli krwi, która zostanie w ciele wroga.

Ukryci za drzewami filakowie obserwują wojowników z północy i uśmiechają się w ciemności. Pierwszy wróg właśnie odpiął pas, zdjął kurtkę mundurową. Jest bardzo gorąco. Nie przywykł do takiej temperatury. On i jego towarzysze są dziećmi zimnej krainy, równie zimnej jak ich serca.

Skórę mają bladą.

Ale już niedługo.

Jeden z filaków opuszcza kryjówkę wśród drzew. Otwiera swój kyro o rogowym trzonku, sprężyna jest idealnie naoliwiona, klinga nasmarowana węglem, żeby nie było refleksów. Pozostali dołączają do niego. Sfora szczerząca kły.

Najeźdźcy są odwróceny do nich tyłem. Krzątają się przy studni. Nic nie usłyszą. Skupiają się na wiadrze, które stuka o cembrowinę, gdy je wyciągają. Przez cały dzień chciało im się pić. I teraz wsłuchani są tylko w swoje pragnienie.

Zapomnieli, że są najeźdźcami.

Słyszą tylko zapowiedź wody.

Dopada do nich pierwszy filak.

Przywódca sfory.

Nieruchomieje, dobiega go stuknięcie wiadra o brzeg studni, i wtedy uderza.

Kyro jest tak ostry, że bez oporu wchodzi między żebra, a ból tak przenikliwy, że cudzoziemiec nawet nie krzyczy. Wlepia wzrok w gwiazdy, jakby ich nigdy nie oglądał. Później mrok spowija jego oczy. Upada bezgłośnie. Pozostali żołnierze, zanurzwszy dłonie w wiadrze, piją łapczywie. Są głusi na swój los. Ostrza głęboko wrzynają się w ich szyje. Ostatnie, co najeźdźcy poczują, to dziwny smak w ustach – smak własnej krwi, którą zdążą przełknąć.

Teraz obcy to tylko ciała, które filakowie układają gwiazdziście wokół studni.

Czynią znak krzyża, lecz nie dlatego, że proszą o wybaczenie, ale że najgorsze jeszcze przed nimi.

Obracają trupy na wznak.

Każdy kyro zawisa tuż nad torsem wroga, po czym na mostku rozcina skórę, która rozwiera się jak wilgotne usta.

Następnie filakowie zanurzają dłoń w otworze.

Szukają.

Kiedy się prostują, z ziemi wzbija się cierpki, słodkawy zapach.

*Thanatos.*

Wróg jest naprawdę martwy dopiero wtedy, kiedy zabierze się mu coś więcej niż samo życie.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

*Zanim nastał Hitler, byłem ja.*

Aleister Crowley

*Źródłem jego osobistej siły była myśl,  
iż jest uosobieniem niemieckiego mesjasza.*

*The Labyrinth,*  
wspomnienia Waltera Schellenberga,  
szefa kontrwywiadu Rzeszy

# 1

*Południowa Anglia*  
*Southampton*  
*Listopad 1941*

Linia horyzontu zacierała się na niebie ołowianej barwy. Na wysrebrzone morze opadała ściana deszczu. Spełniła się prognoza admiralicji – zła pogoda przychodziła zawsze z południowego wschodu. Z Francji. Była dopiero trzecia po południu, lecz kapitanat portu kazał włączyć latarnie bezpieczeństwa. Wiatr, chwilowo słaby, miał przybrać na sile.

W porcie Southampton, największym na południu po Portsmouth, panował wielki ruch. Chmary jednostek najróżniejszej wyporności wchodziły do trzech głównych basenów portowych i wychodziły z nich. Od wybuchu wojny frachtowce i okręty wojskowe zastąpiły legendarne transatlantyki i luksusowe jachty. Duch Titanica rozwiął się definitywnie. Z Southampton nie wyruszano już na wycieczki morskie – wyruszano na wojnę.

W sterowni Cornwallisa kapitan Killdare obserwował taniec żurawi nad głównym pokładem. Załadunek ostatnich skrzyń ciągnął się i ciągnął, statek powinien był podnieść kotwice już ponad dwie godziny wcześniej. Killdare chciał jak najszybciej opuścić estuarium i minąć wyspę Wight, zanim nadciągną samoloty Luftwaffe. Co prawda pod koniec maja bombardowania zelżały – Anglia wygrała bitwę powietrzną dzięki eskadrom swoich spitfire'ów – Niemcy jednak wciąż przypominali o sobie nalotami na strategiczne cele cywilne i wojskowe. Na Southampton i Portsmouth nadal spadały przeznaczone dla nich racje żelaza i ognia. Unieruchomiony w porcie Cornwallis przedstawiał zbyt łatwy łup dla sępów grubego Göringa.

Zirytowany opóźnieniem Killdare sięgnął po telefon wewnętrzny, by wezwać odpowiedzialnego za załadunek.

– Matthew, do licha, co ci dokerzy wyczyniają? Chcecie, żebyśmy spędzili tu noc?

– Jeszcze jedna skrzynia i koniec, kapitanie. Dźwig żurawia się zablokował przez ten cholerny olej syntetyczny.

– Olej jest w porządku, ale może to niemiecki sabotaż? Swoją drogą coś mi się zdaje, że nawet w czasie wojny dokerzy mają wszystko w głębokim poważaniu.

Kapitan Killdare odwiesił słuchawkę jeszcze bardziej poirytowany. I bez tego od tygodnia chodził zły. Od spotkania w biurze armatora w centrum miasta, gdzie ku jego ogromnemu zaskoczeniu dyrektor operacji morskich w Cunard Line powierzył mu dowództwo Cornwallisa, statku wycieczkowego o niewielkiej wyporności mającego płynąć do Nowego Jorku.

Statek wycieczkowy! Killdare nie cierpiał tych jednostek.

On przed wojną specjalizował się we frachtowcach. Cieszył się na wszystkich morzach świata reputacją starego wygi, który potrafi do właściwego portu dostarczyć każdy towar. Cenny czy nie. Armatorzy bili się o niego, odkąd uratował zagrożony ładunek na morzu w pobliżu Makau, chociaż część załogi uciekła z pokładu.

I oto go zarekwirovano, zmuszono do dowodzenia Cornwallisem. Nawet nie parowcem klasy A, typu Queen Mary. Cornwallis miał przewieźć do Stanów Zjednoczonych ładunek zaawansowanej technologii. Ot, nowa strategia wymyślona przez sztab. Oficer Floty Atlantyckiej obecny przy rozmowie tak objaśnił ten wybór: „U-booty stadami polują na Atlantyku, biorą na cel konwoje wojskowe i duże frachtowce. Ale torpedy są zbyt cenne, żeby je marnować na statki transportu cywilnego”.

Drzwi sterówki otworzyły się z niemiłym zgrzytnięciem, wpuszczając postawnego człowieka w jasnobrązowym prochowcu. W dłoni trzymał miękki pilśniowy kapelusz. Killdare na powitanie obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

– Dzień dobry, kapitanie, jestem John Brown – powiedział intruz spokojnie. – Miło mi pana poznać.

Marynarz nieufnie spoglądał na Browna. Uprzedzono go, że się zjawi. Jakaś gruba ryba zdaniem sekretariatu w Cunard Line. Człowiek miał około pięćdziesiątki, jasną twarz o delikatnych rysach, typową dla londyńskich urzędników, od których rojno było w ministerstwach czy w bankach. Podane nazwisko z daleka załatywało pseudonimem. A to zwiastowało kłopoty. Kapitan burknął „dzień dobry” i uścisnął mu dłoń, twardszą, niż się spodziewał po uśmiechniętym pięćdziesięciolatku.

– Czym mogę służyć? – spytał, starając się, by jego głos zabrzmiał jak najbardziej posępnie.

– Za ile zamierza pan wypłynąć?

– Sądzę, że za jakieś pół godziny.

– Świetnie. Jeden z moich podwładnych zabiera się z panem. Czy może pan zadbać, żeby mu było wygodnie?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Mówi pan o tym nieokrzesanym brodaczu, który cuchnie papierosami, przyspawanym do zaplombowanej walizki i zajmującym kabinę trzydzieści pięć „be”? Będzie traktowany z wszelkimi względami należnymi pasażerowi górnego pokładu. A teraz, jeśli pan pozwoli... Mam na głowie wyjście z portu. Przekażę pańską prośbę pierwszemu oficerowi. Życzę dobrego dnia.

Marynarz się odwrócił, kończąc rozmowę, i zaczął sprawdzać manometry na desce rozdzielczej. Upłynęło kilka chwil, a drzwi sterówki się nie otwierały.

– Kapitanie, chyba nie zrozumieliśmy się dobrze.

Killdare się odwrócił – przed nosem miał legitymację wojskową ozdobioną zdjęciem pana Browna.

„Komandor James Malorley, Wydział Strategiczny Sił Lądowych”.

– Widzi pan, ten nieokrzesany brodacz to mój adiutant. I na zlecenie brytyjskiego rządu wypełnia poufną misję najwyższej wagi. Życzylibyśmy sobie, żeby mu pan zapewnił wszelkie udogodnienia, dopóki będzie na pokładzie. Proszę zauważyć, że trybu warunkowego używam z uprzejmości.

Killdare się wyprostował. Odsłużył cztery lata w Królewskiej Marynarce Wojennej i odruchowo stanął na baczność przed oficerem wyższym stopniem.

– Pan wybaczy, komandorze. Szkoda, że nie zjawił się pan wcześniej. Jestem trochę nerwowy przez te wypadki szkopów. Im szybciej podniosę kotwicę, tym lepiej będę się zachowywał.

– W zeszłym tygodniu w Portsmouth rozpracowano niemiecką siatkę szpiegowską, obawiam się więc niepowołanych uszu. Chcę przekazać panu pakiet. – Komandor Malorley podał mu żółtą plastikową kopertę opatrzoną pieczęcią kancelarii premiera. – To instrukcje dla pana, proszę je otworzyć, kiedy znajdziecie się na pełnym morzu. Zorientuje się pan, że pochodzą od najwyższych czynników. Proszę je uważnie przeczytać. Ten nieokrzesany brodacz, kapitan Andrew, wyjaśni panu, o co chodzi.

– Skoro to misja najwyższej wagi, czy nie jest niebezpieczne mieszanie w to cywilów? Mam na pokładzie około trzydziestu osób. Wiem, że trwa wojna, ale wykorzystywanie niewinnych ludzi jako przykrywki to bardzo... niesportowe zachowanie.

Malorley się uśmiechnął.

– Sądzi pan, że Hitler i jego banda zachowują się sportowo? Ta troska przynosi panu zaszczyt, ale proszę się nie martwić o pasażerów, to sami zawodowcy. Znają ryzyko. Podczas całego rejsu będzie pan zresztą eskortowany przez dwa okręty podwodne. Absolutnie dyskretnie, zapewniam. Czekają na pana poza obrębem portu.

W sterówce dwukrotnie rozległ się dźwięk syreny – pierwszy oficer sygnalizował w ten sposób, że załadunek dobiegł końca.

– No, widzę, że wybiła godzina wyjścia w morze. Powodzenia. – Przez kilka długich sekund komandor wpatrywał się w kapitana. – Gdybym powiedział, że w pana rękach leży przyszłość tej wojny, uwierzyłby pan?

– Sądząc po aparycji pańskiego podwładnego, postawiłbym swoje roczne uposażenie, że nie. Ale w naszych czasach wszystko jest możliwe, na przykład rozmowa z komandorem, który przedstawia się jako mister Brown, albo patrzenie na Europę tańczącą, jak jej zagra facet z wąsikiem Chaplina. Dowiozę ten pański cholerny ładunek do właściwego portu, choćbym miał płynąć przez Morze Sargassowe i zmierzyć się z samym Neptunem.

Komandor poklepał go po ramieniu i wyszedł ze sterówki, ściągając poły prochowca. Temperatura spadła o kilka stopni, wilgoć wnikała wszędzie, czuł ją nawet za kołnierzykiem koszuli.

Kiedy stanął na mokrym nabrzeżu, w porcie rozbrzmiał dźwięk syreny Cornwallisa. Robotnicy portowi w musztardowych kombinezonach odwiązywali cumy i rzucali je marynarzom, którzy się roili na pokładzie.

Komandor James Malorley, alias mister Brown, oficer SOE, obserwował czarny kadłub Cornwallisa, który powoli oddalał się od nabrzeża. O ironio, statek wybrany do przewiezienia świętej swastyki, pierwszego z czterech artefaktów zdobytych przez obóz aliantów, nosił imię dowódcy wojsk angielskich z czasów amerykańskiej wojny o niepodległość. Lorda Cornwallisa, zaprzysięgłego wroga George’a Washingtona.

W powietrzu rozszedł się mocny smród mazutu, statek obracał się wokół własnej osi, aby ustawić się dziobem do kanału. W czeluściach kadłuba maszyny cicho mruczały.

Malorley po raz ostatni spojrzął na statek, wcisnął pilśniowy kapelusz na głowę i zrobił w tył zwrot, kierując się do kapitanatu, gdzie czekał na niego samochód marki Amilcar, a w nim Laure d’Estillac.

Nie chciał przyznać, ale poczuł ulgę, kiedy swastyka wyruszyła w rejs na drugi brzeg Atlantyku, tysiące kilometrów stąd. On i jego koledzy z SOE ryzykowali życie, aby ją wyrwać z łap nazistów. I niektórzy je stracili.

Z głębin jego świadomości wychynęła twarz Jane. Nie mógł się opędzić od jej zdziwionej niemal jak u dziecka miny, kiedy dosięgła ją seria niemieckiego żołnierza. Jej jasne włosy zafalowały w świetle reflektorów wroga. Padła daleko, gdzieś na południu Francji, w pobliżu Pirenejów. Na heretyckiej ziemi, na łące pod Montségur, dokładnie w miejscu, gdzie przed wiekami katarzy spłonęli na stosie. Nie mógł nic



zrobić, aby ją ratować, uciekał jak tchórz, musiał bowiem zabrać artefakt w bezpieczne miejsce.

Malorley ciągle pamiętał, jak go pocałowała, kiedy uciekali z zamku. To był długi pocałunek, jakby dzielna dziewczyna wiedziała, że będzie ostatni.

Grube krople deszczu spadły na nabrzeże. Zadrżał i mocniej owinął szalik wokół szyi. Woda spływająca mu po kapeluszu rozmazała twarz Jane, zostawiając go samemu sobie.

Należał do samotników, którzy zrezygnowali z normalnego życia. Nie miał żony, nie miał dzieci ani nawet psa, żył wyłącznie po to, aby spełniać obowiązek. Nie z wyboru – los tak za niego zdecydował, rzucając go na poszukiwanie artefaktów. Czuł, że znalazł się na szachownicy i bierze udział w tajemnej partii, która go przerasta. W rozgrywce toczącej się od tysiącleci. A on nie miał pojęcia, czy jest zwykłym pionkiem czy figurą, wiedział natomiast, że przed nim, w innych czasach, w innych cywilizacjach, byli już tacy, którym dusza w tej grze się wypaliła.

Przyspieszył kroku. Kapitanat mieścił się po drugiej stronie basenu portowego, a nie chciał dotrzeć do samochodu całkowicie przemoczony.

Nagle w porcie rozległ się przeraźliwy dźwięk syreny. Malorleyowi krew szybciej popłynęła w żyłach, mięśnie nóg automatycznie zaczęły aktywniej pracować. Od początku wojny było to u niego, jak u większości Anglików, instynktowne. Biegł nabrzeżem aż do utraty tchu. Miał przed sobą jeszcze tylko kilka minut życia. Nie była to syrena statku, lecz obrony przeciwlotniczej. Krzyk, który zapowiadał powrót niemieckiego orła. A jego okrutny przelot zwiastował krew, ogień i śmierć.

*Kreta*

*Knossos*

*Listopad 1941*

Karl obudził się z krzykiem i zaraz sięgnął po pistolet leżący przy łóżku. Kiedy poczuł kolbę w dłoni, serce przestało mu tak walić. Ucichło też to nieznośne dudnienie, które słyszał, ilekroć budził się w nocy z suchością w ustach, ciężko dysząc. Strach. Musiał przyjechać na Kretę, aby poznać to ohydne uczucie. Strach przed śmiercią, przed nocą, przed nieznanym... Sam już nawet nie wiedział, czego najbardziej się boi. On, który w życiu posługiwał się jedynie łopatką i pędzelkiem na wykopaliskach, teraz wierzył tylko swojej broni. Poza tym chciało mu się pić. Stale. Mimo pełni jesieni na Krecie wciąż panował nieznośny upał. Zwłaszcza w nocy. A i tak miał szczęście, bo mieszkał w budynku murowanym, gdy tymczasem dla zakwaterowanych w namiotach żołnierzy sen najczęściej był tylko odległym wspomnieniem. I w pracy dawało się to odczuć.

Kilkakrotnie alarmował Berlin, że potrzebuje wsparcia – teren robót ciągle się powiększał – lecz jego szef, pułkownik Weistort, został ciężko ranny podczas wykonywania zadania. Poza tym w Niemczech nikt już tak naprawdę nie interesował się Kretą. Uwaga wszystkich skupiała się na Wschodzie, odkąd miliony niemieckich żołnierzy ruszyły na podbój Rosji. Falą nie do pokonania, która niebawem zaleje Moskwę.

Karl Häsner wstał, kręcąc głową. Polityka go nie interesowała. A wojna jeszcze mniej. Jeśli zaś chodzi o nazistów... cóż, w głębi ducha gardził nimi. On był intelektualistą, nie miał nic wspólnego z tymi szajbusami, którzy wrzeszczeli na stadionach, z esesmanami w czarnych mundurach, którzy strzelali obcasami, a zwłaszcza z tym wąsatym kurduplem, który wydzierał się jak potępieniec. Jak Niemcy mogły wpaść w jego łapy? Karl zanurzył głowę w letniej wodzie w umywalce, jakby chciał zmyć z siebie jakiś brud. W gruncie rzeczy oszukiwał. Kiedy młodzi Niemcy tysiącami umierali na froncie wschodnim, on delikatnie przesuwiał szczoteczką do zębów po amforach. Zamiast zaciągnąć się do wojska, wykorzystał swoje dyplomy, aby go przyjęto do Ahnenerbe, instytutu badawczego prowadzonego

przez Himmlera. Lepiej być oficjalnym archeologiem niż żołnierzem z odroczonego wyroku śmierci.

Karl zadrżał.

Myślał, że uszedł śmierci.

Tymczasem było gorzej.

Przy strachu, który budził go nocą, kojąco działało nań tylko jedno: studiowanie. Na piętrze dawny właściciel urządził bibliotekę o oknach wąziutkich jak otwory strzelnicze w donżonie. Niewątpliwie miały chronić salę przed lodowatym wiatrem zimą i palącym słońcem w lecie. Dla Karla to pomieszczenie stało się świątynią. Kiedy tam wchodził, czuł się bezpieczny. W czterech ścianach zastawionych książkami i wśród kufrów pełnych eksponatów odnosił wrażenie, że jest w świecie pozbawionym przemocy i zagrożeń. Wiedział, że to złudzenie, trzymał się go jednak z całych sił, mimo że zawsze miał przy sobie broń. Na wprost drzwi znajdował się tam długi drewniany stół, na którym Karl składał najcenniejsze znaleziska.

Ekipa archeologów z Ahnenerbe przyjechała w czerwcu na stanowisko w Knossos, chociaż wtedy spadochroniarze jeszcze nie zabezpieczyli całej wyspy. I zaraz przystąpiono do prac. Himmlera fascynowała legenda o Minotaurze i jego labiryncie i koniecznie chciał, żeby odnaleziono jego ślady. Ku zdziwieniu Karla nie przejawiał żadnego zainteresowania innymi skarbami archeologicznymi Grecji. Życzył sobie konkretnych rezultatów, i to szybko. Wystarczyło kilka tygodni, by poczynili niezwykle odkrycia. Najcenniejsze przedmioty wciąż były na miejscu. Powinien był je wysłać do Berlina, lecz nie potrafił się z nimi rozstać. W świecie rozrywającym wojną fragmenty fresku, na którym widać było młodzieńców pływających z delfinami, posągi bogiń o marmurowych piersiach i nadgarstkach związanych węzłami, całe to piękno, nieruchome i niezłamane spokojnie, było dlań niezbędnym do życia jak woda.

Na stole czekał na niego pewien przedmiot. Owального kształtu, z misternie cyzelowanym obrzeżeniem – przywodziłby na myśl lusterko kieszonkowe, gdyby nie to, że był z litego złota. Po raz pierwszy ekipa odkryła znalezisko z drogiego kruszcu. Na przedmiot ten natrafiono w narożniku ceglano-murwego ściana z popiołu. Nie wyglądało na to, że został wyrzucony bądź zgubiony, raczej umyślnie go tam położono. Jak ofiarę. Karl obejrzał go pod światło, złoto zamigotało. Od ilu lat ten przedmiot nie był na powietrzu? Z pewnością od wieków, a mimo to jakby dopiero co wyszedł spod ręki złotnika. Na zewnętrznej części obrzeżenia Karl zauważył delikatnie wykonaną dziurkę. Niewątpliwie na łańcuszek. Czy był to klejnot, który kobieta zdjęła z szyi, aby go ofiarować bogom, czy też przedmiot rytualny, noszony wyłącznie podczas świątecznych ceremonii? Karl odetchnął. Uczucie

duszości, które nie opuszczało go od przebudzenia, zaczynało ustępować. Piękno pokonywało strach. Mimo to coś go niepokoiło – otóż powierzchnia przedmiotu nie była zupełnie gładka. Złotnik wyrzył na niej symbol. Symbol, który mówił wszystko.

Swastykę.

Karl przyglądał się jej zafascynowany. Opierał się pokusie pogłaskania grawerunku palcem, jakby się bał, że zarazi się jego mroczną mocą, która wychynęła z głębi wieków. A co tam! Häsner potrząsnął głową. Był archeologiem, nie medium. Jego praca polegała na analizowaniu i interpretowaniu. Nie na rojeniu sobie nie wiadomo czego. Wciąż chciało mu się pić. Lepiej by było, gdyby zszedł do kuchni, napił się, a potem spróbował na powrót zasnąć. Nie może pracować po nocach, bo w końcu zacznie widzieć rzeczy, których nie powinien oglądać. Stał jednak dalej bez ruchu, zastygł przed symbolem, który nie dawał mu spokoju. Dlaczego jakiś człowiek przed tysiącami lat odczuł potrzebę wygrawerowania tak starannie tego znaku? Jakie było jego znaczenie? Jaka wartość? A przede wszystkim jak to się stało, że krzyż z wygiętymi ramionami z zamierzchłych czasów wyłonił się na nowo w Niemczech i widnieje na środku wszystkich flag? To było prawdziwe pytanie. Karl miał jakieś mroczne przeczucie. Złowróżbne wrażenie, że zapomniany przez tyle wieków symbol nie bez powodu się odrodził. Przez tak długi czas niepamięci czerpał energię, potęgował, a teraz był gotów do działania.

Karl podniósł rękę do czoła. Miał gorączkę. Nie, to dziwaczne przecież. Jak może mieć takie irracjonalne myśli? Nagłym ruchem odwrócił przedmiot, jakby zaklinał los. Jutro wyśle go do Berlina. Himmler będzie uszczęśliwiony. Wpadał w uniesienie przy każdej, choćby najmniejszej swastyce. A on, Karl, raz na zawsze skończy z tymi bezsensownymi rojeniami, irracjonalnymi lękami.

Definitywnie.

Ktoś zaczął walić pięścią w drzwi na dole, łomot doszedł aż na piętro.

– Herr Häsner!

Karl rzucił się do okna i przez wąski otwór wyjrzał na zewnątrz. Zobaczył dwóch żołnierzy oświetlonych pochodnią. Mundury mieli w nieładzie, obaj ściskali broń w rękach. Wróciwszy do stołu, Karl odłożył ostrożnie eksponat do pudełka opatrzonego numerem, po czym wsunął je do szuflady, którą zamknął na klucz. Każdy ruch wykonywał z przesadną dokładnością. Nie chcąc się do tego przyznać przed sobą, opóźniał fatalną chwilę, gdy będzie musiał się odwrócić. A jeżeli nie jest już sam w bibliotece? A jeżeli od schodów oddziela go cień?

– Herr Häsner! Proszę otworzyć! Szybko!

Pięści waliły w drewniane drzwi jak w bęben. Karl już nie miał wyboru. Odwrócił się szybkim ruchem. Pomieszczenie było puste. Przebył je trzema susami, zbiegł po

schodach i rzucił się do wejścia. Przekręcił klucz. Zobaczył dwóch żołnierzy o twarzach wykrzywionych przerażeniem.

– Znów się zaczęło!

Niedaleko wykopalisk leżała wioska. Przy wąskich uliczkach stały niskie domy, górowała nad nimi jedynie niebieska kopuła kościoła. Żołnierze zamontowali reflektor, który omiatał każdy najmniejszy kąt. Spłoszony oślepiającym światłem wałęsający się pies zniknął w jakimś zaułku. Wszyscy mieszkańcy kryli się za okiennicami. Widać było jedynie popa, który modlił się na klęczkach przy pogniecionej plandecie. Karl stanął jak wryty. Oficer dyżurny podszedł do niego i nie salutując, złapał go za rękę i odciągnął na bok.

– Znowu trzej!

– Znaleźliście ich tutaj?

– Nie, przy wyjeździe z wioski. Mieli służbę przy wodzie.

– W środku nocy?

– W okolicy roi się od buntowników. Boimy się, żeby nie zatruli studni publicznych. Dlatego czerpiemy wodę ze studni na uboczu. I za każdym razem zmieniamy sektor.

Häsner przejechał dłonią po czole. Płonęło. Aby nikt się nie domyślił, jak nieswojo się czuje, wskazał plandekę, licząc, że dłoń mu nie zadrży.

– Czemu nie zostawiliście ich na miejscu? Może by się znalazły jakieś ślady, dowody...

– Dowody?... Dowody są tutaj! Ci wszyscy ludzie są współnikami, to oni informują partyzantów. Ale tym razem drogo za to zapłacą. Bardzo drogo!

Karl oczami wyobraźni w jednej chwili ujrzał represje spadające na wioskę. I definitywny koniec swojej misji.

– Jak pan znalazł tych ludzi?

Oficer w randze kapitana cofnął się o krok.

– Dzięki psom. Przymierają głodem w tej dziurze. Musiały wyczuć krew i ujadały jak wściekłe, więc posłałem tam patrol...

– Dość! Pokażcie.

Jeden z wartowników kolbą karabinu odsunął popa. Światło reflektora odbijało się od brudnej jutowej plandeki, którą jeden z żołnierzy podniósł, przezornie odwracając głowę.

W pierwszej chwili Karl nie zrozumiał. Ciała wyglądały, jakby je zdeptano, obtłuczono, po czym porozrywano. Podszedł bliżej. Mięso. Mięso, które już czerniało. I nic poza tym nie widział. Ani kończyn, ani narządów wewnętrznych. Wszystko wydawało się pogryzione, pokruszone, porąbane. Karl się nachylił, chociaż

go odrzucało. Czaszka jednego z tych ludzi była pęknięta w kilku miejscach. Odłamki kości przykleiły się do twarzy. Karl skinął na oficera.

– Co tam się właściwie stało?

Kapitan odchrząknął.

– Herr Häsner, jak doszliśmy tam, psy zupełnie oszalały. Nie mieliśmy jak dostać się do zwłok. No i musieliśmy strzelać, najpierw w powietrze, potem...

Karl po omacku próbował znaleźć coś, o co mógłby się oprzeć, lecz na próżno.

– Te ciała... Przewieźcie je do lazaretu... Niech lekarze przeprowadzą autopsję. Jeśli jeszcze się da.

Wioska przypominała oblężony obóz. Każdą uliczkę wychodzącą z niej blokował pluton żołnierzy. Patrole pilnowały domów od strony gajów oliwnych. Samochody włączonymi światłami celowały w fasady domów, a reflektor zainstalowany na placu obserwował swym inkwizytorskim okiem domostwa miejscowych notabli.

– Wieś jest całkowicie zamknięta, kapitanie.

Oficer kiwnął głową. Widowisko mogło się zacząć. Stojący obok niego Karl okazał niepokój.

– Co chce pan zrobić? Zlikwidować całą wioskę? Do wykopalisk koniecznie potrzebujemy miejscowych. Jak bez nich będzie z zaopatrzeniem? A wie pan, że nasze poszukiwania mają priorytet?

Kapitan wskazał trupa głowę, która zdobiła kołnierzyk jego munduru.

– Należę do SS. Właśnie zabito trzech moich ludzi. Dlatego teraz ja też pokopię. Po kolei w jednym domu po drugim.

– Dobrze pan wie, że jeśli to byli partyzanci, są już daleko. Nie znajdzie ich pan.

– Ich nie, ale ich bliskich tak.

– I co pan zrobi?

– Wezmę zakładników. Kobiety i dziecko z każdej rodziny.

– Nie będzie pan chyba zabijał cywilów? – obruszył się przerażony archeolog.

– Nie będę musiał, bo języki szybko się rozwiążą.

– Tak pan sądzi?

– Oczywiście. Zwłaszcza kiedy każę rozstrzelać popa, burmistrza i całą radę.

Szpital polowy rozłożono w pewnej odległości od wioski. Tworzyły go otoczone drutem kolczastym namioty, w których ekipa lekarzy i pielęgniarek zajmowała się rannymi jeszcze nie przewiezionymi do Niemiec. Wielu żołnierzy zrzuconych z powietrza przypłaciło życiem zdobycie wyspy, tak że cmentarz przylegający do szpitala polowego znaczyły świeżo wykopane groby. Karl na widok mogił niknących w ciemności przyspieszył kroku. Miał się udać do namiotu K. Tam złożono szczątki żołnierzy zabitych w wiosce Knossos.

– Herr Häsner? – Mężczyzna w jasnej bluzie stał oparty o drewniany słupek. Palił papierosa, wolno wydmuchując białe smugi dymu, który się rozpląwał w ciemności.  
– Proszę wejść, ciała są w namiocie.

Oświetlone lampą sztormową trzy trupy leżały na długim stole, w który wgrzyła się krew.

– Już dawno nikt tego nie sprząta – skomentował lekarz, jakby to zaniedbanie stało się normą.

– Jak zginęli? – wykrztusił archeolog świadom, jak śmieszne jest jego pytanie.

Lekarz rzucił niedopałek na ziemię i starannie go przydeptał.

– Nie da się ustalić. Ciała za mocno uszkodzono.

Karl odchrząknął.

– Póki psy nie zaatakowały, ci żołnierze byli...

– Żywi? Nie, już nie żyli, inaczej próbowaliby osłonić twarze. To instynktowny odruch, nawet jeżeli jest się ciężko rannym. A że nie ma żadnych śladów ugryzień na dłoniach i przedramionach...

– Dzięki Bogu – wyrwało się Karlowi.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Skoro już podziękował pan Bogu, że pozwolił, by tych biedaków pożarły psy, może mi pan wytłumaczy, co tu robi? Sprawy bezpieczeństwa należą chyba do wojskowych, nie do archeologów, prawda?

– Tyle że to ja muszę zdać sprawozdanie Reichsführerowi Himmlerowi. I albo był to straszny, ale jednak zwyczajny atak partyzantów i wtedy nie będę mu tym zawracał głowy, albo chodzi o coś innego.

Ponieważ lekarz milczał, Karl dodał:

– Może na przykład znalazł pan ślady uderzeń, które powodują charakterystyczne uszkodzenia...

Lekarz naciągnął rękawiczki i podszedł do ciał.

– Albo rany po pociskach, których kaliber jest inny niż w niemieckim wojsku.

– Żaden z tych ludzi nie zginął od broni palnej, tego jestem pewien. – Skinął na Häsnera, aby podszedł. Każde ciało było jedną wielką krwawą raną. – Proszę spojrzeć. O, tu.

Karl nachylił się nad kłębem rozkładających się tkanek i poszarpanych wnętrzności. Poczł nieznośny smród i zauważył jedynie dziurę większą i głębszą niż inne.

– I to samo mamy w przypadku pozostałych dwóch ciał. Na pana miejscu powiadomiłbym o tym Himmlera.

- I co mu powiem? - zdenerwował się Karl. - Że widziałem dziurę w stercie rozkładającego się ludzkiego mięsa?
- Powie mu pan, że trzem jego żołnierzom wyrwano wątrobę.



*Południe Anglii*  
*Southampton*  
*Listopad 1941*

Laure obejrzała się na betonowy bunkier zwieńczony syreną pomalowaną na jaskrawoczerwony kolor. Jej wycie ustało razem z deszczem, trwało krócej, niż sądziła. Podeszła do żołnierza trzymającego wartę przed wejściem. Zdejmował akurat hełm w kształcie odwróconego talerza.

– Co się dzieje?

– Pani się nie przejmuj. To tylko próba. Zaraz wszystko będzie w porządku.

Koło bunkra ustawiono dział przeciwlotnicze, łatwe do poznania po długich lufach wycelowanych w niebo. Siedzący na wieżyczce żołnierz gwizdnął i powiedział coś, czego Laure nie rozumiała.

Laure d'Estillac westchnęła i zapaliła morlanda, wodząc wzrokiem po nabrzeżu, które prowadziło do basenu D, gdzie stał na kotwicy Cornwallis. Malorley jej obiecał, że nie będzie czekał, aż statek wyjdzie w morze. A przez ten fałszywy alarm wróci pewnie szybciej, niż zapowiadał.

Wolała poczekać na niego w samochodzie pod kapitanatem. Mgliste portowe powietrze zalatujące jodem, zasmrodzone olejami i mazutem, marynarze klnący na chlupiące morze i błoto... to nie było w jej stylu. Ona była dziewczyną z gór, wychowaną w czystym powietrzu i przyzwyczajoną do rozległych przestrzeni.

Oparła się o maskę amilcara i zaciągnęła się niemal skarmelizowanym dymem. Od przyjazdu do Anglii paliła jak smok, nigdy jednak nie czuła się tak silna. Intensywne szkolenie w SOE na nowo uformowało jej ciało i zahartowało ducha. Cztery miesiące cierpienia, dyscypliny i wyrzeczeń były niczym próba inicjacyjna. Nie było już Laure, ostatniej potomkini katarskiej linii d'Estillaców. W młodości spędzonej w katarskiej krainie marzyła o olśniewających pałacach, pięknych rycerzach i dworskiej miłości. Widziała siebie jako księżniczkę, tymczasem ludzkie szaleństwo przemieniło ją w bojowniczkę. W SOE nauczono ją perwersyjnej sztuki niszczenia, zadawania śmierci i cierpienia na wiele sposobów. Dzika młoda arystokratka przeobraziła się w nową kobietę. Twardszą, pewniejszą siebie.

Z kryptonimem wojennym Matilda. Agentka Matilda.

Nie podobało się jej to banalne imię, toteż domagała się elegantszego. Na próżno – w SOE nikt nie tracił czasu na wytworność. Laure, co prawda, zniknęła, Matilda natomiast wciąż czuła, jak w jej żyłach płynie jad zemsty. Jej ojciec spoczywał w miejscu oddalonym o tysiąc kilometrów, w rodowej posiadłości Montségur. Zamordowany przez nazistów. Od tamtego dnia kierowała się dewizą SOE: wrazić żelazo w niemieckie ciało. Dla Matildy teraz liczyło się jedno – powrót do Francji, aby wypełnić przeznaczenie, które jej narzucono.

Na mokrej ziemi rozległ się tupot. Nadbiegał jej przełożony z rozpaloną twarzą.

– Niech pan się tak nie spieszy, komandorze, to były tylko ćwiczenia, jak na szkoleniu – rzuciła z rozbawieniem.

Jak u wielu Anglików skóra Malorleya nadzwyczaj szybko i pięknie się rumieniła. Z ulgą zwolnił kroku i zdjął szalik.

– Czy komandor Malorley wykonał zadanie?

– Załatwione. Jak Bóg da, za tydzień Cornwallis dotrze do Chesapeake Bay. Amerykańska straż przybrzeżna odbierze przesyłkę i gdzieś ją dostarczy. Naprawdę liczę, że ten diabelski artefakt przechyli szalę na naszą stronę.

– Już nie walczymy sami z Hitlerem. Odkąd napadł na Rosję, Stalin jest naszym sprzymierzeńcem.

– Tak, ale to nie wystarczy. Z ostatnich wieści wynika, że pancerfausty opalają mu wąsy. Gdyby tylko Amerykanie wypowiedzieli wojnę i dołączyli do nas!... Wtedy tak, mielibyśmy szansę zmienić losy wojny.

– Czemu Cornwallis nie dostarczy artefaktu prosto do nowojorskiego portu?

– Nasi amerykańscy przyjaciele są ostrożni, wypatrzone niemieckie okręty podwodne na morzu na wysokości Manhattanu. I uważają...

Nie dokończył zdania, znowu bowiem zawyła syrena.

– Zaczyna mnie to denerwować – powiedziała Laure, obserwując dwóch żołnierzy wspinających się szybko na działo przeciwlotnicze.

Z kapitanatu wypadł człowiek w beżowej kurtce, omal nie potrącając Laure.

– Hej!... Mógłbyś uważać! – krzyknęła.

– Niemcy są blisko! Uciekajcie do schronu w koszarach straży pożarnej.

Wilgotne powietrze zawibrowało od głuchego buczenia. Laure i Malorley skierowali wzrok ku wejściu do portu i na niebie dostrzegli chmarę wielkich czarnych ptaków.

– Cholera! – wrzasnął Malorley.

Rozległ się głośny huk. Messerschmitt Bf 109 wleciał nad kanał i gnał prosto na nich. Ledwie zdążyli paść na ziemię, dwie serie z karabinów podziurawiły asfalt kilka metrów od amilcara i smagnęły człowieka, który ich potrącił.

Myśliwiec z rykiem przeleciał im nad głowami, był tak nisko, że Laure zobaczyła biały szalik pilota. Kiedy się podnosili, potężny wybuch zniszczył budynek kapitanatu. Na ziemię poleciał deszcz kamieni, odłamków drewna i szkła. Zewsząd słychać było krzyki. Laure podniosła się przy pomocy Malorleya, ze skroni spływał jej strumyk krwi.

– Laure!

– To nic, tylko odłamek. Gorzej bywało na szkoleniu.

Cały port spowijały gęste czarne dymy, ograniczając widzialność do kilku metrów. W powietrzu unosił się smród spalonego oleju. Laure miała wrażenie, że płuca jej zaraz pękną. W górze narastał grzmiący warkot. Trwała zażarta walka. Dziesięć metrów od nich działo przeciwlotnicze pluło pociskami w niebo.

Z budynku, który kiedyś był remizą, chwiejnym krokiem wybiegł płonący człowiek. Po kilku metrach stanął i padł na ziemię, wijąc się jak robak. Znowu rozległ się wybuch, tym razem gdzieś w głównym basenie portowym. Spieniona woda ochlapała im buty.

Malorley wyjął lornetkę z samochodowego schowka i próbował coś zobaczyć przez ścianę dymu. Pośród antracytowych kłębow zrobił się prześwit i wtedy zmroziło mu krew w żyłach.

– Cornwallis!

Statek przechylał się na prawą burtę, pióropusz gęstego szarego dymu wychodził z grubego komina. Wokół wszystko stało w płomieniach, przed samym wejściem na redę trafione zostały dwa frachtowce, które teraz powoli szły na dno ciemnych portowych wód. Marynarze skakali z pokładów, ratując skórę. W chwili gdy Cornwallis odzyskiwał równowagę, z nieba doszedł dziwny jazgot.

Dwa bombowce Junkers JU 87 „Stuka”1, rozpoznawalne po skrzydłach uniesionych do góry, pikowały na port. Malorley osłupiał. Ostatni raz widział te piekielne maszyny w akcji w Madrycie podczas hiszpańskiej wojny domowej. Ich precyzja nie miała sobie równych.

– Trąby jerychońskie... – mruknął.

– Czemu tak je nazywasz? To sztukasy, widziałam je w kronice filmowej. Ostrzeliwiają uciekającą ludność cywilną – powiedziała Laure.

– Niemcy zainstalowali na podwoziu syreny, które mają wpływać na morale wroga. Hiszpanie nazwali je trąbami jerychońskimi. Cornwallis nie ma żadnych szans wyjść z tego cało.

Kapitan statku pewnie spostrzegł zagrożenie – jednostka weszła między dwa dopalające się frachtowce, z których waliły kłęby czarnego dymu.

– Oszalał! – krzyknęła Laure. – Nie zmieści się!

– Nie, chyba się domyślam, o co mu chodzi. Próbuje się ukryć między wrakami.

Sztukasy, klucząc, przemknęły nisko nad basenem portowym, po czym zrzuciły bomby na zbiorniki z paliwem przy końcu pomostu. Cysterny zamieniły się w gigantyczne kule ognia.

Malorley popatrzył przez lornetkę na basen.

– Nic nie widzę... Jest! Jasny gwint! Przeszedł! Killdare'owi się udało!

Syrena Cornwallisa rozbrzmiała w porcie jak okrzyk zwycięstwa. Jednostka całą parą dopływała do ostatniego pomostu, który oddzielał port od estuarium.

W chwili gdy Malorley opuścił lornetkę, rozległ się za nim krzyk. Komandor poczuł silne pchnięcie z tyłu i padł twarzą do ziemi. Huk i zaraz po nim piekielny zgrzyt wprawiły ziemię w drżenie. Na Malorleyu leżała Laure, która szepnęła mu do ucha:

– Tracisz czujność, komandorze.

Pomogła mu wstać. Otrzeptał się i zobaczył leżący na ziemi ogromny poskręcany dźwig okrętowy – dokładnie w miejscu, gdzie on chwilę wcześniej stał.

– Dzięki, Laure, dobry refleks. Przyłożenie godne najlepszych graczy angielskiej drużyny rugby.

– To dzięki wyszkoleniu. Nauczycie mnie także podkładać bomby, wysadzać tory kolejowe i zabijać bliźnich na pięć różnych sposobów bez żadnej broni.

Podeszli do nich dwaj mężczyźni w niebieskich drelichach. Na głowie mieli stalowe hełmy z wymalowaną białą farbą literą W2.

– Szybko, proszę z nami do podziemnego schronu. Zapowiadają powtórkę.

Malorley i Laure pobiegli ku grupie ludzi zebranych przed wejściem do koszar straży pożarnej. Z północnej części portu znów dobiegł odgłos wybuchu. Ku ciemnemu niebu wystrzeliły pomarańczowe płomienie. Owionął ich gorący podmuch.

– Bomba zapalająca!

Wybuchła panika. Malorleya i Laure poniosła na schody ludzka fala.

– Proszę o spokój! – dobiegł ze środka donośny głos. – Ranni na prawo.

Strażnicy ARP w dole schodów usiłowali kierować napływającą masą ludzi. Na próżno. Wbrew sobie Malorley i Laure znaleźli się w sali z uszkodzonymi.

– Myśli pan, że Cornwallis się wymknie? – spytała, patrząc na ludzi znoszonych do pomieszczenia.

– Jeśli udało mu się opuścić port, to tak. Niemcy nie będą marnowali bomb na stateczek wycieczkowy, zabawią się na północy miasta, gdzie są składy amunicji.

– Zastanawiam się, jak ludzie mogą tutaj jeszcze żyć.

– Od początku wojny Southampton przetrwało ponad trzysta nalotów. Miasto jest w trzech czwartych zburzone, ale się trzyma. Port za każdym razem odbudowują. Ot,

angielski upór.

– Nie bardzo ten angielski upór było widać pod Dunkierką – ironicznie zauważyła Laure.

Dławiący odór spalenizny dotarł do ich nosów. W pobliżu dwaj ludzie postawili nosze z kobietą, której ciało w połowie pokrywał jakby węgiel.

– Pomocy...

Laure podeszła i zobaczyła, że sanitariusze zbierają się do wyjścia.

– Nie możecie tak jej tu zostawić!

– Niewiele jej zostało. Poparzenia trzeciego stopnia i odłamek szkła w piersi. Dostanie środki uspokajające, żeby jej było lżej. O ile będą...

Twarz nieszczęsnej kobiety była jedną czarniawą skorupą, z której patrzyło dwoje prawie nierealnie niebieskich oczu. Ze szpary, która musiała być ustami, ciekła krew.

– Ależ ona cierpi!

– Niech Bóg się nad nią zlituje.

Sanitariusze dosłownie uciekli, zostawiając ich z konającą. Laure ujęła jej nienaruszoną dłoń, skóra była miękka i sprężysta.

– Bła... gam... boli... tak... boli... – wykrztusiła kobieta.

Malorley też do niej podszedł i podał Laure swój służbowy pistolet.

– Trzeba skrócić jej cierpienia.

– Oszalałeś!

– Na szkoleniu nie nauczyli cię zabijać?

– Niemców, nie Anglików. Nie mogę z zimną krwią jej zastrzelić.

– A gdyby to był twój kolega w czasie misji? Gdyby trzeba było go zlikwidować, zanim wpadnie w ręce Niemców i zostanie poddany torturom?

Laure ze łzami w oczach kręciła głową. Malorley przystawił lufę pistoletu do głowy poparzonej, nie odrywając wzroku od Francuzki.

– Możesz patrzeć albo nie. W pierwszym wypadku będzie to część twojej pracy, w drugim zrozumieniem.

– Jak możesz...

– Nie będzie cierpiała.

Laure odwróciła oczy od poparzonej.

Rozległ się strzał. Jęki ustały.

Malorley schował pistolet do kieszeni.

– Przykro mi, Laure. Naprawdę mi przykro. Ale musisz się oswoić ze śmiercią. To dla ciebie jedyna szansa na przeżycie.

– Na przeżycie, tak... i na dalsze życie w piekle – odparła, ocierając łzy. – Kiedy się skończy ta przeklęta wojna?

Usiadł obok niej, patrząc nieobecny wzrokiem.

– Nie mam pojęcia. Może nigdy.

*Kreta*

*Droga do Knossos*

*Listopad 1941*

Wylotówka z Heraklionu była zwykłą drogą gruntową. Szofer zwolnił, omijając koleiny. Tristan to wykorzystał i się obejrzał. Widoczna przez tylną szybę stolica Krety skrzyła się bielą w słońcu. Błaskiem nie mieniło się tylko Morze Śródziemne: głęboki granat ciągnący się w nieskończoność.

– „Morze. Morze ku brzegom wiecznie wracające!”<sup>3</sup> – wyrecytował Tristan z pamięci fragment wiersza Paula Valéry’ego.

Wstrząs sprowadził go na ziemię. Wzdłuż drogi otaczało go inne morze. Morze drzew oliwnych. Pod ich koronami błąkały się osły, grzebiąc kopytami w pylistej ziemi w daremnym poszukiwaniu choćby źdźbła trawy. Spalone słońcem pole było splekane, jakby miało się otworzyć na rozpalone ciemne czeluście. Sądzić by można, że piekło jest tuż-tuż. Szofer nagle gwałtownie skręcił, aby ominąć przewrócone drzewo oliwne, którego czarne korzenie sterczały ku niebu. Tristan zauważył, że kierowca wyjął spod bluzy emaliowany krzyżyk i przycisnął go do ust. Był żołnierzem, który ledwie co dorósł, a inwazja na Kretę była z pewnością jego pierwszym zadaniem.

– Przesądny?

– Na Krecie wszyscy są przesądni. A jeśli ktoś nie jest, szybko taki się stanie. Zauważył pan zwalone drzewo na drodze?

– Tak, pewnie wiatr mocniej dmuchnął.

– Ludzie tu mówią, że w każdym drzewie kryje się dusza. Dusza człowieka potępionego.

Tristan nie podjął wątku, jakby ta rozmowa go nie interesowała. Najlepszy sposób, aby żołnierz powiedział coś więcej.

– No i kiedy drzewo się przewraca, dusza ucieka przez korzenie. Świat podziemny zaczyna dręczyć świat naziemny.

Tristan zerknął do tyłu. Zwinięta na siedzeniu Erika spała. Rozluźniona teraz, miała łagodniejsze rysy, wyglądała niemal jak dziewczyna. Włosy zaplecione w warkocz, który opadał na ramię, jeszcze bardziej ją odmładzały. Marcjas się

uśmiechnął. Na twarz zakochanej kobiety ani wojna, ani śmierć nie mają wpływu. A jednak...

– Przyjechali państwo z Berlina? – zapytał szofer.

Tristan kiwnął głową. Zamówiony przez samego Himmlera samolot wysadził ich właśnie na nowym lotnisku wojskowym, które wykorzystywano do aprowizacji oddziałów niemieckich. Decyzja o ich wyjeździe zapadła w ciągu kilku godzin. Specjalny rozkaz Reichsführera.

– W stolicy pewnie świętują – podjął szofer. – Nasze wojska okrywają się chwałą w Rosji. Ludzie mówią, że Moskwa padnie przed końcem roku.

– Walczą równie dzielnie jak wy tutaj, na Krecie. Walki były ostre, prawda?

– Gorzej nawet. Na tej wyspie mieszkają same dzikusy. Proszę mi wierzyć, nie wolno ufać ani wspaniałości krajobrazów, ani pięknu morza, to wszystko zasadzki...

Samochód gwałtownie zahamował. Za zakrętem pojawiła się zaporą. Czarne postacie za prowizoryczną barierką blokowały drogę.

– To nasi – oznajmił szofer z ulgą. – Poznają po mundurach.

Marcas widział w życiu wiele zapór, zwłaszcza podczas wojny hiszpańskiej. I nauczył się ich wystrzegać, natychmiast wykrywając wyraźne oznaki nerwowości: dłonie zaciśnięte na kolbach karabinów, niepokój w głosie – wszystko to, co mogło doprowadzić do dramatu, jeśli niewłaściwie się oceniło sytuację.

– Zgaście silnik – rozkazał.

– Dłaczego?

– Róbcie, co mówię.

Żołnierze za barierką ani drgnęli, stojąc z bronią wycelowaną w samochód. Nie padł żaden rozkaz, nikt się nie poruszył. „Są przerażeni – pomyślał Tristan. – Przy każdym gwałtowniejszym ruchu zaczną strzelać”. Obejrzał się, by sprawdzić, czy Erika się nie obudziła, lecz spała nadal, zmęczona podróżą powietrzną. Zaintrygowany szofer zaczynał się niepokoić.

– Nie rozumiem, powinni nas wylegitymować, prawda? Znam przecież hasło.

– Rozpoznajecie, z jakiej są jednostki?

Szofer nachylił się do przedniej szyby.

– Za daleko, nie widać naszywek.

W pobliżu punktu kontrolnego Tristan zauważył krótki błysk. Znał to migotanie: odbicie słońca w soczewce.

– Ktoś obserwuje nas przez lornetkę. Pewnie dowódca posterunku.

– Ale czemu? Jesteśmy niecałe trzydzieści metrów od nich.

– Chcą zobaczyć nasze twarze. Boją się. A my nie wiemy czego i w tym właśnie problem. Jak wam na imię?



– Otto.

Tristan przyjrzał się chłopakowi. Włosy prawie pomarańczowe, skóra upstrzona piegami. Na pewno był obowiązkowo gnębiony na wszystkich podwórkach. Wyjazd na front musiał być dla niego błogosławieństwem.

– Zaciągnęliście się na ochotnika, tak?

– Zgadza się. Jak pan zgadł?

– Nieważne, liczy się to, że odważny z was facet. Posłuchajcie uważnie. Trzeba...

Marcasowi przerwał rozkaz wzmocniony przez megafon:

– Strefa Knossos została objęta nadzorem wojskowym. Nikt nie może do niej wjechać. Wycofać się powoli i zawrócić na najbliższym rozwidleniu. Jeżeli będziecie dalej stali albo ruszycie do przodu, zostanieie uznani za wroga i ostrzelani bez ostrzeżenia.

– Co się dzieje?

Tristan się wzdrygnął, usłyszawszy zaspany głos Eriki. Przy każdym słowie czuł jej gorący oddech na karku. Już miał odpowiedzieć, gdy znowu zagadnęła:

– Dojechaliśmy?

– Natknęliśmy się na punkt kontrolny, żołnierze są bardzo nerwowi. Nie wykonujemy żadnych gwałtownych ruchów.

Erika podniosła jasny warkocz ze zlanego potem karku. Piersi ją paliły pod bluzką. Było jej potwornie gorąco.

– Ktoś z nimi rozmawiał?

– Oni się odezwali i każą nam stąd zjeżdżać.

– Grożą, że otworzą ogień, jak nie odjedziemy – dodał Otto. – Nie mamy wyboru. Trzeba wrócić do Heraklionu, żeby stamtąd zadzwonili do dowódcy Knossos. Punkt kontrolny dostanie rozkazy i...

– Nie ma mowy, żebym została choćby jeszcze minutę w tym piekarniku.

Erika odblokowała zamek drzwi i wysunęła na zewnątrz długie nogi. Dotykając ziemi, jej oficerki wzbily obłok pyłu.

„Cel doskonały – pomyślał Tristan. – Zdejmą ją jak na strzelnicy”.

– Nie podchodzić! – dobiegło od zapory.

– Jestem Erika von Essling, specjalna wysłanniczka Reichsführera Heinricha Himmlera. Pan mi grozi, postawię pana przed sądem wojennym. Niech tylko ktoś położy palec na spuście, a każę wszystkich rozstrzelać.

– Prawdę mówi? – zdumiał się szofer.

– A jak myślicie? – odpowiedział Marcas pytaniem.

– Chcę mówić z oficerem odpowiedzialnym za ten punkt kontrolny – zażądała Erika. – Niech się pokaże i wyjdzie do mnie. Szybko, spiesz się.

Jedna postać wystąpiła z szeregu żołnierzy blokujących drogę.

– Porucznik Friedrich Horst. Mam wyraźne rozkazy. Nikt nie ma wstępu do Knossos objętego nadzorem wojskowym. Trwają działania policji.

– I pan sądzi, że ci, których szukacie, ustawią się w kolejce przed tą waszą śmieszną zaporą?

– Wykonuję rozkazy przełożonych.

– Ja też. Tylko że moim przełożonym jest Reichsführer. I już się cieszę na myśl o wykonaniu jego rozkazu, którym wyśle pana i pańskich ludzi prosto na front wschodni!

Tristan nachylił się do Ottona, który trzymał drżące dłonie na kierownicy.

– Wychylcie głowę przez okno i podajcie im hasło. Już!

– Nie wiem, czy dam radę...

– Erika was zasłania. Jeżeli strzelą, ona umrze. Nie musicie wykazywać się żadną odwagą.

W jednej chwili z twarzy chłopaka piegi zniknęły pod rumieńcem wstydu. Opuścił szybę i wrzasnął:

– Ehre und Treue!

Porucznik Horst czuł u podwładnych za swoimi plecami narastające wątpliwości, a po chwili wręcz ich wrogość. Wszyscy znali szybkie metody Himmlera. Jeżeli ta kobieta mówiła prawdę, groziło im, że skończą w obozie. A on trafi tam pierwszy.

– Macie rozkaz na piśmie?

Tristan bardzo powoli wysiadł z samochodu. Na jego piersi błyszczał Krzyż Żelazny.

– Oficjalne dokumenty zadania mam w dolnej kieszeni munduru. Podpisane przez Reichsführera we własnej osobie.

Ostatnia informacja do reszty rozwiała wątpliwości porucznika. Teraz chodziło już tylko o to, aby nie stracić twarzy.

– Nie mam możliwości połączyć się szybko z dowództwem. Sektor bez przerwy nękają partyzanci i systematycznie przecinają kable telefoniczne, które kładziemy. Mam dwa motocykle z przyczepą, będą was eskortowały do samego Knossos, gdzie zweryfikują wasze rozkazy.

Erika czym prędzej wróciła do auta.

– Jedziemy, zanim ten kretyn zmieni zdanie. Chcę się wykąpać.

Otto ruszył, nie dając się dłużej prosić. Jeden z motocyklistów ustawił się przed wozem, otwierając konwój. Kierowca i pasażer, wbici w pociemniałe od pyłu płaszcze wojskowe, w szerokich okularach poniżej krawędzi hełmu, przypominali jeźdźców

żywcem wyjętych z Apokalipsy. Kiedy mijali punkt kontrolny, Tristan opuścił szybę i zagadnął oficera, który wkładał do kabury broń służbową:

– Co tu się dzieje?

Odpowiedział mu urągliwy śmiech.

– Proszę popatrzeć na drzewa, to pan zrozumie.

Za gajami oliwnymi pojawiły się pagórki porośnięte coraz gęstszą roślinnością. Nawet w Hiszpanii Tristan nigdy nie widział tak gęstych, splątanych zarośli. Droga była wąska, prowadziła między stokami, które pokrywał dziki mirt. Jadący przed samochodem motocykl ryczał przy każdym wykrocie i tracił prędkość, omijając przeszkody, koleiny i osuwiska.

– Nie ma lepszego miejsca na zasadzkę – zauważył Otto. – Jeśli partyzanci zaatakują, wystrzelają nas jak kaczki.

– Najpierw zabiją żołnierza w przyczepie, potem kierowcę motoru – odpowiedziała spokojnym głosem Erika. – To pozwoli nam się zorientować, skąd padają strzały, i wyskoczyć na przeciwną stronę. Wzgórze opada łagodnie, a dalej bez końca ciągną się zarośla. Jeśli tam dotrzemy, sam diabeł nas nie znajdzie.

– Zawsze pani taka spostrzegawcza? – zdziwił się szofer.

– Jestem archeologiem, ciągle zmuszam umarłych do mówienia, a możecie mi wierzyć, nie są bardzo gadatliwi. Dlatego nie pomijam żadnego szczegółu.

Tristan się nie wtrącał. Erika doskonale wiedziała, jak rozładować napięcie w każdej sytuacji. Zręczną mieszkanką spokojnego autorytetu i zimnego poczucia humoru.

Droga się poszerzała i pięła ku płaskowyżowi otoczonemu błękitnym niebem. Według mapy wojskowej, do której zaglądał Tristan, znajdowali się nie więcej niż kilka kilometrów od Knossos. Już miał się zatopić w studiowaniu szczegółowego planu stanowiska archeologicznego, gdy naraz motocykl gwałtownie skręcił i zahamował.

Przed nimi prawie na szczycie pochyłości obaj żołnierze zeskoczyli z motocykla i zastygli, jakby zobaczyli coś, co ich przerastało.

– Co jest? – zaniepokoił się Otto. – Jakby ujrzeli diabła.

– Diabeł nie istnieje. Idę tam – oznajmił Tristan.

Archeolożka położyła mu rękę na ramieniu, aby go zatrzymać.

– Czekaj. Zaraz się ruszą.

Jeden z żołnierzy istotnie się odwrócił i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku samochodu. Nieufny Otto wyjął z kabury lugera i położył sobie na kolanie.

– To mi się nie podoba.

Kilka metrów od samochodu żołnierz musiał się oprzeć o pochyłość. Wyraźnie nogi się pod nim uginały, a twarz miał białą jak płótno. Tym razem Tristan się nie wahał. Wysiadł z auta, Erika wyskoczyła za nim. Marcas wziął pistolet, który podał mu Otto, i ruszył do motocykla.

– Niech pan tam nie idzie – wystękał żołnierz, po czym zgiął się wpół i zwymiotował.

Tuż nad drogą wznosiło się gigantyczne drzewo. Stary dąb, którego korzenie przez wieki kolonizowały ziemię w poszukiwaniu wody. Trzech ludzi byłoby mało, aby objąć jego pień, którego brunatna kora lśniła niczym skóra węża.

– Gałęzie... – wydyszał kierowca motocykla.

Tristan podniósł wzrok. Spalone słońcem liście były poskręcane, Marcasa jednak uderzyła brzęcząca chmura skrzydeł i dziobów, które uwijały się na jednej z gałęzi. Odbezpieczył lugera i strzelił w powietrze. W jednej chwili skotłowany kłęb kruków wyprysnął w górę.

Tyle że to, co zwisało z drzewa, nie było gałęzią.

Było ciałem.

A raczej tym, co zostało z ciała.

Pozbawionego dłoni.

W miejscu twarzy była dziura.

Brzuch był ziejącą jamą.

Uczepiona do buta tabliczka kołysała się wolno. Tristan poczuł, jak ręce Eriki zaciskają się na jego ramieniu, kiedy archeolożka tłumaczyła splamiony krwią grecki napis: „Cudzoziemcy, witajcie w Knossos!”.



*Wiedeń*

*Październik 1908*

Kiedy profesor Wilhemster wyszedł ze swojej okazałej kamienicy przy Kärntner Strasse, już był w złym humorze. Czy to z powodu bruku lśniącego od deszczu, czy zimnego cienia opery padającego na ulicę ogarnął złym wzrokiem otaczający świat. Turkot powozu wzmógł jego irytację, a na widok oficera, którego szabla postukiwała o cholewę buta, Wilhemster z wyzywającą miną przyglądał węża. Tego ranka nie miał cierpliwości do nikogo. Odziany w czarny płaszcz, czarny garnitur i czarny krawat, profesor mógłby uchodzić za pracownika zakładu pogrzebowego, gdyby nie cylinder błyszczący jak latarnia. To nakrycie głowy było jego dumą, co wieczór nabożnie je szcztokował, przez cały dzień bowiem nigdy się z nim nie rozstawał. Żaden z jego studentów zresztą nie pamiętał, aby kiedykolwiek go widział bez tego „komina”, niektórzy nawet utrzymywali, że na podstawie stopnia jego przechylenia można rozpoznać nastrój profesora. W każdym razie tego ranka cylinder sterczał prosto jak wieża, wskazując wszystkim, że Herr Wilhemster jest w paskudnym humorze.

– Dzień dobry, panie profesorze, jak się pan dzisiaj miewa? – zagadnął kelner w Café Tannenberg, wyciągając rękę, aby odebrać od niego laskę i płaszcz.

Wilhemster burknął coś w odpowiedzi i przeszedł przez salę, by usiąść na swoim ulubionym miejscu. Zdjął rękawiczki, palcami prawej dłoni zabębnił po stole i złożył zamówienie:

– Kawa i koszyczek bucht.

Kelner się skłonił i pomaszerował do kuchni.

– I co, Ernst? Mamy wielki dzień? – zagadnął profesora klient siedzący przy sąsiednim stoliku.

Wilhemster z widoczną rozpaczą pokręcił głową, jakby mu zapowiedziano koniec świata. Wszyscy bywalcy kawiarni wiedzieli, że dla profesora każdy 20 października

to czarny dzień. Musiał oto zdecydować, którzy jego studenci z kursu przygotowawczego wstąpią do prestiżowej wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych. Selekcja była bezlitosna, zwłaszcza że jego zdaniem większość młodych ludzi była poniżej wszelkiej krytyki.

– Wałkonie, a ja żyły sobie wypruwam, żeby ich nauczyć zasad sztuki – uniósł się Wilhemster. – Niedołągi, które nawet nie potrafią trzymać pędzla...

Na szczęście jego perorę przerwał kelner, który postawił przed nim koszyczek bucht. Od upieczonych na złoto drożdżówek rozszedł się śliwkowy zapach.

– Nawet jeść mi się odechciewa! Przez te miernoty mam zepsute śniadanie. – Szerokim gestem wziął wszystkich w sali na świadków. – Nie zgadlibyście, co jeden mi zrobił. Namalował portret kobiety, stosując same figury geometryczne. Nazywa to kubizmem...

Przez kawiarnię przebiegł szmer dezaprobaty. Tutaj hołdowano tradycji i nikt nie robił sobie żartów z wartości. Na wprost wejścia na poczesnym miejscu wisiał ogromny portret Franciszka Józefa. Cesarz z dumnie podkreślonym wąsem i niezłomnym wzrokiem, władca panujący od pół wieku, był bożyszczem bywalców. Ostoją w świecie, w którym nie było już nic trwałego.

– Za dużo tych studentów!

– Żydów!

– Węgrów!

– Słowian!

W sali zawrzało. Wściekłym ruchem widelczyka profesor przepołowił buchtę. Gniew obecnych w kawiarni umacniał go we własnej złości. Zerknął na Franciszka Józefa – cesarz niewzruszenie spoglądał z portretu na wzburzenie gości. I nagle Wilhemstera ogarnęło poczucie misji: będzie chronił sztukę, prawdziwą sztukę, przed tymi zdegenerowanymi pacykarzami, którzy mienią się jego studentami. Zerwał się z krzesła.

– Już pan idzie? – zaniepokoił się kelner, widząc nietkniętą filiżankę parującej kawy.

– Obowiązek nade wszystko!

W atelier każdy student rozstawił sztalugi z obrazem, który zamierzał przedstawić w konkursie o przyjęcie do Akademii Sztuk Pięknych. Jedni wybrali sobie miejsce przy oknie, by do maksimum wykorzystać światło, inni, bez wątpienia sprytniejsi, woleli mniej eksponowane kąci, licząc, że względny mrok pomoże ukryć niedoskonałości prac. Wszyscy się bali Wilhemstera. Kiedy drzwi atelier trzasnęły i wysoka postać profesora rzuciła cień na parkiet upstrzony kolorowymi plamami,

każdy zastygł przy swoim dziele. Wybiła godzina prawdy, wszyscy czekali jak na ścięcie.

W konkursie można było przedstawiać trzy kategorie obrazów: pejzaż, portret i scenę historyczną. Licząc na łaskawsze oko Wilhemstera, wielu studentów zdecydowało się ukazać jakieś chwalebne wydarzenie z dziejów monarchii austro-węgierskiej. Na sztalugach pyszniły się zatem sceny batalistyczne, często niepoślednich rozmiarów. Profesor dopiero co przystanął przed szarżą kawalerii, a już w jego spojrzeniu zaczynał płonąć gniew. Jak można być taką miernotą? Jeźdźcy wyglądali jak karnawałowi przebierańcy, a konie jakby je właśnie wyprzęgnięto z pługą. Wzruszył pogardliwie ramionami i kandydat zrozumiał, że jego marzenia o studiowaniu w Akademii Sztuk Pięknych rozwiewają się jak dym.

– Mam nadzieję, że portrety są lepszej jakości – zagrmiał profesor.

Jeden rzut oka mu wystarczył, aby stwierdzić coś wręcz przeciwnego. Na równi zrozpaczony i wściekły, skierował wzrok na pejzaże. Już wyeliminował ponad trzy czwarte studentów. Wiedział, że teraz będzie jeszcze gorzej, acz wciąż jeszcze liczył na cud.

Nadaremno.

Pierwszy obraz był akwarelą. Na wąskim pasie płótna niewyrobyony pędzel usiłował przedstawić wiejską chatę nad stawem. Wilhemster omal się nie udławił. Począwszy od perspektywy, a skończywszy na kolorach, wszystko było tandetne, wyzute z głębi, nijakie. Łącznie z postaciami, które przypominały ogrodowe krasnale wycięte toporkiem. Jak można tak źle malować, a przede wszystkim jak można w swym zadufaniu prezentować taki kicz jemu, Wilhemsterowi? Jeszcze bardziej rozeźlony spojrzał na winnego takiego despektu.

I wtedy zrozumiał. Tłuste włosy przyklepione do czoła, rozgorączkowany wzrok, miękki podbródek i wyzywający wąsik – malarz przypominał swój obraz. Przez chwilę profesor czuł niemal litość. Ubogi student przybyły z prowincji, wierzący, że ma talent. Od takich jak on Wiedeń pękał w szwach. Z początku próbowali sprzedawać swoje malowidła marszandom, później turystom, a na koniec gotowi je byli oddawać na ulicy za skibkę chleba lub kawałek kiełbasy. Dotarłszy do tego stadium poniżenia, ostatecznie wracali do domu radzi, że mają kawałek ziemi, na którym mogą się uczepić. Ten człowiek jednak miał w oczach jakieś szaleństwo, co profesorowi wcale się nie podobało. Obsesjonat – to na pewno – niezdolny pogodzić się z tym, że nie ma talentu. Takiego pilnie należy wykluczyć. I niech więcej nie śmie zabiegać o przyjęcie do Akademii Sztuk Pięknych.

Do tego jednak profesor musiał znać jego nazwisko.

– Jak pan się nazywa, mój drogi? – zapytał Wilhemster, gładząc skraj runda cylindra.

Niepewny szept wydobył się spod wąsika.

– Niechże pan mówi głośniej, u diabła!

– Hitler. Adolf Hitler.

Temperatura na zewnątrz jeszcze bardziej spadła. Młody malarz, bez czapki i szalika, zgiął się wpół, zarówno chroniąc się przed lodowatym wiatrem, jak i po to, by powstrzymać skurcze, które skręcały mu żołądek: od wczoraj nic nie jadł. Ale bardziej niż ziąb czy głód doskwierał mu gniew. Nigdy dotąd nie został tak upokorzony. Po raz drugi oblał konkurs do Akademii Sztuk Pięknych. Pierwszy raz nie zdał tuż przed śmiercią matki i nie ośmielił się jej przyznać. Klara odeszła przekonana, że jej syn ma przed sobą świetlaną przyszłość. A tu proszę, znowu znalazł się na ulicy. A przecież wybrał inny kurs przygotowawczy, zapisał się do profesora Wilhemstera, licząc, że ktoś wreszcie pozna się na jego talencie. Jak się jednak okazało, było jeszcze gorzej. Potraktowano go lekceważąco i pogardliwie.

Adolf odrzucił grzywkę, która spadała mu na czoło. Rano przykleił ją do skóry posłodzoną wodą. Nawet najpodlejszy fryzjer był dla niego za drogi. Wezbrała w nim fala gniewu. Wilhemster! Stary drań! Co ten bogacz w cylindrze w ogóle rozumie z malarstwa? Kiedy namalował ostatni obraz? Dwadzieścia lat temu? Trzydzieści? Adolf zaczął gestykulować. Nienawidził tych burżujów, przeklętych mieszczuchów. Wyzyskiwaczy, którzy wysysają krew z ludu, za nic mają prowincjuszy... Między prętami ogrodzenia Burggarten wiatr dmuchnął tak mocno, aż Adolf się zachwiał. Odkąd przyjechał do Wiednia, nic, tylko chudł. Jego współlokatorzy mówili, że przypomina kołek, na którym zawieszono obszarpany garnitur. Dotąd cierpiał na wspomnienie śmiechów, które wywoływał ten żart. Ponieważ nie miał środków na wynajęcie pokoju, choćby najskromniejszego, wylądował w przytułku dla mężczyzn. W norze, w której kończyły wszystkie wiedeńskie wyrzutki. Wyrzuceni z uczelni studenci, zawodowi bezrobotni, nałogowi pijacy, łobuzy, które chciały, by o nich zapomniano... Bydlaki, degeneraci, którzy nie przestawali mu dokuczać tylko dlatego, że jeszcze się starał być czysty.

Wyczerpany Adolf przystanął przed obwoźnym kramem, w którym sprzedawano okazynie książki i poźółkłe grawiury. Spod wytartej kurtki wyjął obraz, przez który oblał konkurs do Akademii Sztuk Pięknych.

– Skupuje pan obrazy?

Kramarz, starzec o wpadniętych oczach i nierówno przyciętej brodzie, obrzucił nieufnym wzrokiem najpierw jego, a potem malowidło.

– Tyś to zrobił?



Chowając do kieszeni dumę, Adolf pokręcił głową.

– Nie, odziedziczyłem po wujku.

– Cóż, można powiedzieć, że się nie postarał.

– Warte to coś?

– Nawet nie tyle, co płótno, skoro jest na nim to, co jest. Bohomaz.

– Oddawaj, człowieku! – krzyknął Adolf, czując, że się rumieni ze wstydu.

– Z przyjemnością. I dam ci dobrą radę, chłopcze – rzekł ironicznym głosem handlarz, domyśliwszy się wszystkiego. – Daj sobie spokój z malowaniem!

Obróciwszy się plecami do upokorzenia, Hitler stanął przodem do Biblioteki Narodowej. Inspirowany sztuką barokową gmach przypominał gigantycznego lukrowanego cukierka, ustawionego w samym centrum Wiednia. Adolfa tak onieśmiała oszałamiająca liczba kolumn i posągów, że nigdy nie odważył się wejść do środka ze strachu, że wezmą go za żebraka i wyrzucą. Teraz jednak było za zimno. Odgarnął grzywkę do tyłu, przyglądził wymiętoszony krawat i zanim wszedł, cisnął swój obraz w krzaki. Wewnątrz ku jego zaskoczeniu żaden strażnik go nie zagadnął. Adolf dyskretnie posuwał się wzdłuż długiej, całej w boazeriach sali, w której bibliotekarki w uniformach czekały na czytelników.

– Życzy pan sobie przejrzeć jakąś książkę?

Hitler był kompulsywnym czytelnikiem. Czytał wszystko, co mu wpadło w ręce: foldery wręczone na ulicy, gazety zostawione w parkach, książki zapomniane na dworcach. Przez to w końcu rozwinął w sobie kulturę, tak jak w organizmie rozwija się choroba, która zajmuje wszystkie narządy. Najpierw pasjonował się architekturą – szybko stał się nie do pokonania w najbardziej zawiłych zagadnieniach. Następnie zapłonął uczuciem do muzyki, chciał nawet napisać operę, która oczywiście nie ujrzała światła dziennego, ale ten pomysł zapewnił mu kpiące przezwisko Wagneribus. Jego prawdziwą namiętnością stała się historia. Dosłownie pożerał wszystkie teksty o wielkich zdobywcach. Szczególnie fascynowali go średniowieczni cesarze. Kusily go wszelkie czasopisma, których w Wiedniu było zatrzęsienie, poruszające tematy literatury, sztuki, a przede wszystkim polityczne. Niedawno właśnie się dowiedział o nowym tytule.

– Mają państwo może pismo „Ostara”?

Bibliotekarka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Wie pan, że można je dostać w każdym kiosku za parę fenigów?

– Chciałbym przejrzeć wszystkie numery.

– Proszę usiąść na miejscu sześćset dwadzieścia jeden, w głębi po prawej. Zaraz ktoś je panu przyniesie.

Idąc przejściem między rzędami stołów, Adolf szybko zrozumiał, dlaczego zesłano go na sam koniec czytelnicy. Pierwsze rzędy zarezerwowane były dla stałych bywalców, pracowników naukowych czy badaczy, którzy studiowali stare księgi z takim nabożeństwem, jakby dotykali Świętego Graala, w ostatnich natomiast rzędach siedzieli zupełnie inni ludzie. Wydawało się, że tam umówiły się wszystkie wiedeńskie łapserdaki. Hitlerowi zrobiło się niedobrze. Gdziekolwiek szedł, nędza go poprzedzała. Usiadł na wyznaczonym miejscu, między pijakiem cuchnącym wińskim i bezzębną staruszką, która bez chwili przerwy mamrotała zdania bez sensu. Każde z nich miało przed sobą książkę, której nawet nie otworzyło.

– Hitler, tak?

Pracownik czytelnicy podał mu plik broszurek. Już pierwsza okładka zaintrygowała Adolfa. Widniał na niej zaśnieżony zamek, z którego wybiegał oddział wojowników wymachujących toporami i mieczami. Podtytuł był jeszcze bardziej tajemniczy: Aryjska rekonkwista.

W jednej chwili Hitler zapomniał, gdzie jest, zapomniał o upokorzeniach i głodzie, który cierpiał. Wpatrywał się w zamek, ciemny, odosobniony, i widział w nim metaforę własnego życia. Od lat znosił przemoc i pogardę. Od dziecka codziennie musiał podwyższać mur, aby się chronić przed innymi. Okopał się w swoim zamku, z nadzieją czekając, że kiedyś wreszcie do jego bram zastuka przyjazna dłoń, lecz nikt nigdy się nie zjawił. Świat toczył się dalej bez niego, coraz twardszy, coraz bardziej niesprawiedliwy. Należało to przyznać: nikt nie czekał na Adolfa Hitlera. Jeśli chciał znaleźć gdzieś swoje miejsce, musiał je zdobyć, tak jak ci szlachetni rycerze, którzy wyruszali na podboje, mieczem wykuwając swój los.

U drzwi czytelnicy rozległ się dzwonek. Czytelnicy, naciągając ubogie jesionki, zaczęli się podnosić, by stawić czoła deszczowi i wichurze. Hitler wciąż siedział z oczami zaczerwienionymi od zbyt długiej lektury. Za szerokimi oknami zapadła już noc. Musiał wracać do przytułku, ale teraz już się tym nie przejmował. Wziął ostatnią broszurę, otworzył ją na spisie treści i znalazł nazwisko, którego szukał: „Jörg Lanz, redaktor”.

Musi się zobaczyć z tym człowiekiem.

*Południe Anglii*

*Listopad 1941*

Amilcar gnał przez tereny wiejskie. Malorley prowadził, zręcznie omijając wądoły, których było na drodze więcej, niż ustawa przewiduje. Po bokach, w zagrodach ciągnących się bez końca, stada owiec spokojnie skubały trawę. Przez pierwszą godzinę Laure nie powiedziała ani słowa, później na siłę przepędziła z głowy wspomnienie strasznej sceny w schronie. Przecież jest profesjonalistką, prawda?

Malorley zwolnił, gdy przed nimi pojawiła się wieś. Za kolejnym zakrętem ujrzeli grubego wieśniaka w kaszkiecie: siedział spokojnie przed stodołą i palił fajkę. Szklanym wzrokiem odprowadził przejeżdżający samochód.

– Po piekle raj – odezwał się Malorley. – Nikt by nie powiedział, że do tej dziury zabitej dechami zawitała wojna. Może być i tak, że tamten człowiek nigdy nie słyszał o Hitlerze. Jeśli kiedyś przejdę na emeryturę, osiadę w takim miejscu jak to.

– Nie jesteś taki stary.

– Wiem. Tak tylko marzę, by sobie wmówić, że przeżyję tę wojnę.

– Zdziwiłabym się, gdybyś nie przeżył. Wydajesz się taki...

– Twardy?

– Pewny siebie. Niewzruszony. Jak przed chwilą z tą spaloną kobietą.

Domy zniknęły, Malorley stopniowo przyspieszał.

– Nie ufaj pozorom. Gdybym szedł za głosem serca, zatrzymałbym się w hotelu w najbliższym miasteczku, kupiłbym dwie butelki whisky i schlał się na umór.

Droga znów biegła prosto, toteż samochód gnał tak jak wcześniej.

– A więc masz ludzkie uczucia... Trzeba to wykorzystać, póki w tobie nie umarły. Mogę zapytać o jednego z twoich agentów?

– Domyślałam się, o kogo ci chodzi.

– O podwójnego agenta, którego w Montségur wyjąłeś jak królika z kapelusza.

Dałam mu się nabrać. Świetny aktor.

– Tristan Marcas... Czarujący gość.

– Nie przypominam sobie, że bym wygłosiła taki komentarz.

– Tak mówią kobiety, które go znały.

– Na mnie nie podziałał. Raczej nie w moim typie. Zbyt pretensjonalny, zadufany w sobie.

Malorley powściągnął uśmiech.

– Uczuciowe sprawy zawsze tak się zaczynają. Co więcej chcesz wiedzieć? Wszystko już powiedziałem. Pracował ze mną w czasie hiszpańskiej wojny domowej, miał za zadanie szukać śladów swastyk. W najbliższych dniach powinienem dostać od niego raport za pośrednictwem naszej berlińskiej siatki.

– Żonaty? Ma rodzinę?

– Tak, żona mieszka w Normandii, mają pięcioro wspaniałych dzieciaków.

– Naprawdę?

Zerknął na nią ukradkiem. Nie zdołała ukryć zaskoczenia.

– Powinnaś zobaczyć swoją minę... Żartowałem. Jest kawalerem, a o jego życiu uczuciowym niewiele wiem. Chwilowo akta Marcasa są utajnione. Niczego więcej się nie dowiesz.

– Mnie tam obojętne. Ten Tristan ciekawi mnie tak samo jak dziadek, którego minęliśmy przed chwilą.

– I dobrze, nawet jeżeli ci nie wierzę. Nie zapominaj, że przeszedłem w naszym ośrodku szkolenie psychologiczne. Mam szósty zmysł, wyczuwam kłamstwo.

Westchnęła i odwróciła głowę do okna, wpatrując się w pejzaż.

– Powinnaś natomiast – podjął Malorley – zainteresować się innym mężczyzną.

– Co takiego? Było ustalone, że dostanę zadanie. W terenie. Taka była umowa, pod tym warunkiem dołączyłam do waszego oddziału łowców artefaktów i zjaw.

– To zależy od Marcasa, ja nie mam pojęcia, gdzie może się znajdować trzeci artefakt. Chwilowo wszystko stanęło, czekamy na wieści od niego. Na razie muszę skompletować ekipę. Chciałbym, żebyś się spotkała z jednym z kandydatów i wyraziła swoje zdanie. Ten gość by mi się przydał, żeby wyciągnąć z Rudolfa Hessa wszystko, co wie o swastykach i o Thule Borealis. Z tym że gdyby moi przełożeni wiedzieli, że chcę go wciągnąć do współpracy, chybaby mnie ukrzyżowali.

Krajobraz szybko się zmieniał. Znikały pola, zamiast nich pojawiały się opuszczone fabryki. Po obu stronach drogi ciągnęły się szeregi ceglanych domków. Docierali do przedmieść Croydon, do Londynu zostało im jeszcze pół godziny jazdy.

– Zaintrygowałaś mnie. Kim jest ten uroczy dżentelmen?

Malorley skręcił w prawo, by wjechać na drogę krajową zapchaną ciężarówkami.

– Dowiesz się w moim biurze. Mam zebranie z dyрекcją SOE. Ty w tym czasie zapoznasz się z jego aktami i jutro go odwiedzimy w jego londyńskim mieszkaniu. Jest bardzo wrażliwy na kobiecy urok.

– Dziękuję za sprowadzenie mnie do roli figurantki... A czy na mnie podziła jego męskość?

– Masz szlacheckie pochodzenie, nie uchodzi, żeby taka uwaga wychodziła z ust damy.

– I dobrze, bo nie jestem damą. Dzięki waszej szkole zawodowych zabójców w służbie Jego Królewskiej Mości. No więc?

– Nasz jegomość w ciągu całej swojej kariery odniósł wiele sukcesów u pań, ale cechuje go wyjątkowa szpetota.

– Przypuszczam, że ma inne zalety.

– O tak, i to wiele... Jest perwersyjnym egoistą, maniakiem seksualnym, megalomanem, zboczeńcem, kłamcą, manipulatorem, sadystą, rozpustnikiem i prawdopodobnie mordercą.

– Ho, ho... I wszystko w jednym człowieku? Opisujesz samego Antychrysta?

Spojrzał na nią z twarzą nagle zimną jak lód.

– Właśnie. On zresztą chce, żeby go tak nazywać.

*Kreta*

*Listopad 1941*

Ukryty w bibliotece Karl Häsner nerwowo czekał na przybycie Eriki i Tristana. To, że Himmler postanowił przysłać tutaj, do Knossos, samą dyrektorkę Ahnenerbe, było mocnym sygnałem, nie wiedział jednak, jak go interpretować. Stał przy oknie wpatrzony w drogę prowadzącą z Heraklionu. Odkąd znaleziono okaleczone zwłoki trzech żołnierzy, zaszył się u siebie i przy każdym wystrzale drżał ze strachu. Patrole reagowały szybko, przy byle alarmie otwierały ogień. Nie wspominając o plutonie egzekucyjnym...

Nie przestawał go prześladować widok ciał popa i burmistrza posiekanych kulami i wystawionych na widok publiczny przy wjeździe do wioski. Zrobił wszystko, żeby zapobiec represjom, lecz władze wojskowe nie ustąpiły. Nie tyle nawet chodziło o ukaranie wioski, ile o to, aby pokazać ludziom, że okrutny mord na ich towarzyszach nie pozostanie bezkarny. To jedyny sposób, żeby utrzymać dyscyplinę, dobitnie oświadczył kapitan, inaczej... Odtąd Karl żył za zamkniętymi drzwiami i zabarykadowanymi oknami, jakby go oblegały niewidzialne siły. Wychodził jedynie pod eskortą żołnierzy, aby przejść do kościoła, gdzie schronili się pozostali archeolodzy. Nie było już teraz mowy o podjęciu na nowo wykopalisk ze strachu przed atakiem partyzantów. Ilekroć Karl spotykał kolegów, stwierdzał u nich pogłębiającą się paranoję. Niektórzy odmawiali nawet jedzenia w obawie, że zostaną otruci. Właśnie po powrocie z takiej przygnębiającej wizyty w kościele dowiedział się, że znowu jakiś żołnierz zniknął. Jeżeli zostaną znalezione jego zwłoki, odwet będzie straszny. Mordercze szaleństwo narastało, niedługo ogarnie wszystko.

Karl złożył ręce. W młodości chadzał z rodzicami do kościoła. Umiał wtedy się modlić, ale jaki bóg mógł go usłyszeć dzisiaj, gdy Zło zawładnęło światem?

Samochód zatrzymał się w wiosce na placu. Tristan wysiadł pierwszy, by otworzyć drzwi Erice. Ustawieni w oknach żołnierze strzegli wjazdu do wioski. Zanim dotarli do domów, Tristan zauważył dwa trupy ułożone na widoku. Jeden musiał być duchownym, bo wisiały na nim resztki sutanny, z drugiego nie pozostało nic, co pozwoliłoby go zidentyfikować. Szofer również spostrzegł zwłoki, lecz milczał. Poszarpane ciało zwisające z dębu wyczerpało jego możliwości odczuwania odrazy.

– Karl Häsner, kierownik wykopalisk.

Tristan skinął mu głową, Erika natomiast nie zareagowała, tak ją zdumiało zaniechanie witającego ich archeologa. Włosy rozczochrane, twarz zarośnięta, oczy zaczerwienione z niewyspania – stała przed nimi namiastka człowieka u kresu wytrzymałości.

– Oficera nie ma? – zapytał Marcas zdziwiony.

Karl odchrząknął.

– Kapitan nie jest w stanie dowodzić. Gorączka... – Machnął ręką ze zniechęceniem, jakby już wszystko powiedział.

– Kto go zastępuje?

– Na pewno spotkalicie go w punkcie kontrolnym. Oficer, porucznik Horst. Po powrocie obejmie dowodzenie. – Karl wskazał dom w rogu placu. – Tam mieszkam. Proszę za mną. Spróbuję państwu wszystko wytłumaczyć.

Poszli prosto do biblioteki. Otto na kilka chwil zatrzymał się przy wejściu. Kiedy Erika oglądała eksponaty rozłożone na stole, Tristan rozsiadł się przy kominku zabitym byle jak deskami.

– Wątpię, żeby ktoś wszedł przez komin. Za wąski.

– Człowiek nie wejdzie – zgodził się z nim Karl, biorąc do ręki butelkę, w której zostało niewiele ouzo. – Ale już nie walczymy z ludźmi.

– A może pan wytłumaczyć dokładniej? – zagadnął Marcas spokojnie.

Archeolog wziął dwa kieliszki i nalał do pełna. Z wahaniem zerknął na Erikę, lecz pochłaniały ją oględziny eksponatów.

– Od lata prowadzimy poszukiwania w Knossos. Ochronia nas oddział SS oddelegowany z Heraklionu. Żołnierze pilnują dostępu do stanowiska i do naszych instalacji. Są bardzo rygorystyczni, ale przywykliśmy.

– Sprawują też władzę nad miejscową ludnością?

– Na początku załatwiliśmy to tak, żeby żołnierze nie kontaktowali się z nimi bezpośrednio. My rozmawiamy na temat zaopatrzenia.

– A przedtem jak to się odbywało?

– Miejscowi są przyzwyczajeni do obcych. Wykopaliska trwają tu od początku wieku. Dla mieszkańców to istna manna z nieba, tu wszyscy przymierają głodem. Niektórzy pracują przy wykopaliskach i bardzo się przydają, inni dostarczają żywność, a kobiety zajmują się domem. Stosunki są raczej dobre. Znaczący takie były do zeszłego tygodnia.

Podeszła do nich Erika. W rękach trzymała eksponat ze swastyką. Himmler dałby fortunę, aby mieć taki przedmiot w swojej prywatnej kolekcji. Dziwne, że Karl nie

wysłał go natychmiast do Berlina... Na usta cisnęły się jej pytania, lecz nie przerywała panom rozmowy. Tristan dał znak archeologowi, aby mówił dalej.

– Żołnierze są zakwaterowani w kilku domach przy różnych drogach, które dochodzą do wioski. Zabezpieczyli budynki tak, żeby mogli odeprzeć atak. Okna na parterze zamurowano, na piętrze zwięzono do wielkości strzelnicy. Na tarasach postawiono blanki.

– Są jeszcze inne elementy obrony?

– Przed drzwiami postawione są przegrody, żeby zapobiec akcjom samobójczym. Ponieważ połowe linie telefoniczne są regularnie przecinane, na tarasach zainstalowano systemy sygnałów optycznych. W razie problemów każdy garnizon może natychmiast zaalarmować inne.

– Czyli niczego nie pozostawiono przypadkowi – stwierdził Marcas. – Domyślam się jednak, że to nie wystarczyło?

– W ostatni poniedziałek kapitan odpowiedzialny za bezpieczeństwo wykopalisk postanowił przeprowadzić niezapowiedziane ćwiczenia obrony stanowiska archeologicznego. Jego ludzie wkroczyli na teren wykopalisk i zaczęli go przetrząsać, jakby szukali partyzantów. W tym czasie każdego ufortyfikowanego budynku pilnowała trzyosobowa drużyna.

– I jedną z nich zaatakowano, tak?

Karl znów napełnił sobie kieliszek. Zauważył eksponat w rękach Eriki, lecz nie skomentował tego.

– Znaleźliśmy trzech martwych wartowników.

– W jakim stanie były zwłoki?

– Bez głów.

Erika obracała eksponat w rękach. Palcem wskazującym wodziła po załamanych liniach swastyki. Kto ją wygrawerował? Kreteński złotnik czy też przedmiot ten przyjechał z daleka? Został zrabowany? Wymieniony na coś innego? Gdzie? Na południu czy na północy? Dopóki nie zbada się zawartości czystego złota w stopie, aby określić jego pochodzenie, niczego więcej nie będzie wiadomo. Zamiast więc zadawać sobie pytania, na które na razie nie było odpowiedzi, Erika włączyła się do rozmowy. Po swoim.

– Przeprowadzono autopsję? Zbadano mury ochlapane krwią? Odnaleziono broń, która posłużyła napastnikom?

Karl pokręcił głową.

– Mury były nietknięte. Bez jednej plamki.

– Niemożliwe – obruszył się Marcas. – Ścięcie toporem albo mieczem powoduje miarowe tryskanie krwi w różnych kierunkach.



Erika dziwnie na niego popatrzyła. Zdziwiła się, że Tristan wie o takich szczegółach związanych ze ścinaniem głowy. Nie po raz pierwszy zaskoczyła ją jego wypowiedź. Odniosła nagle wrażenie, że przez szparę dostrzega jakieś światło.

– Nie potraktowali ich ani toporem, ani mieczem – rzekł archeolog bezbarwnym głosem. – Zostali uduszeni. Stalową linką. Gardło przecina się bez problemu gołymi rękami, ale później, kiedy linka dochodzi do kręgosłupa, trzeba piłować... – Karl wykonał gest piłowania. – I często ofiara jeszcze żyje. Wyrывa się, za to nie słycać krzyków. W końcu dusi się własną krwią.

– Powiedziano żołnierzom, jak zginęli ich koledzy?

Archeolog zaśmiał się urągliwie.

– Żartuje pan? Ale lekarzowi, który robił autopsję, pomagali pielęgniarze. I oni nie utrzymali języka za zębami. Od tej pory...

Tristan łatwo wyobraził sobie ciąg dalszy. Najbardziej szalone pogłoski wzbudzają najgorsze lęki.

– Co potem? – spytała Erika.

– Wczoraj znaleziono kolejne trzy ciała. Patrol przy studni. Tym razem żołnierzy zaatakowano nożami. Wygląda na to, że od tyłu.

– Przynajmniej nie okaleczono trupów.

– No tak. Mordercy poprzestali na wyrwaniu każdemu wątroby.

Karl miał coraz bardziej rozbiegane spojrzenie, jakby się bał, że zobaczy duchy. Tristan nie zazdrościł mu nocy pełnych koszmarów, które z doby na dobę mogły stawać się coraz gorsze.

– A dzisiaj rano na apelu brakowało jednego człowieka – dodał archeolog.

– Znalezliśmy go – wyjaśniła mu Erika. – Powieszzonego na drzewie. Ale mówienie, że brakuje mu głowy albo wątroby... trudno w ogóle coś powiedzieć, zważywszy na liczbę padlinożerców, którzy jeszcze się nim pasą.

Karl ze strachem w oczach popatrzył na Erikę. Czy ta kobieta nie ma za grosz współczucia?

– Czyli podsumowując: trzy odcięte głowy, trzy wyrwane wątroby i jeden powieszony trup. I nikt nic nie wie?

– Żołnierze twierdzą, że to partyzanci, że okaleczają zwłoki, by nas nastraszyć.

– A co mówią miejscowi, jeśli w ogóle coś mówią, skoro rozstrzelaliście ich burmistrza i popa?

– Mówią, że to Abba.

Erika i Tristan równocześnie nachylili się ku archeologowi, jakby nie dosłyszeli.

– Abba?

Z parteru dobiegł głos Ottona:

– Porucznik Horst prosi, żeby natychmiast się udać na miejsce wykopalisk.

Karl przytrzymał pusty kieliszek tak, jakby wznosił toast do niewidocznego przeznaczenia.

– Szybko zrozumiecie.

*Londyn*

*Kierownictwo Operacji Specjalnych*

*Listopad 1941*

Laure siedziała w szarym bezosobowym biurze: szafa z rozsuwanymi metalowymi drzwiami, pusty stół, krzesło z lichą tapicerką i krzykliwy obraz przedstawiający scenę z polowania z nagonką. Angielska administracja w całej swej świetności.

Nowa sekretarka Malorleya zapukała do drzwi i weszła, nie czekając na zaproszenie. Położyła na stole szare pudełko przewiązane zielonym sznurkiem i z podejrzliwą miną obrzuciła Laure wzrokiem.

– To akta, które komandor kazał pani przekazać. Powiedział też, że ma się pani z nim spotkać jutro o osiemnastej trzydzieści przed British Museum. Proszę się za bardzo nie spóźnić. Zna go pani, jest uosobieniem punktualności.

– Dziękuję, miss Banbridge. Przed wyjściem zostawię wszystko na pani biurku – odparła Laure ze swoim najpiękniejszym uśmiechem.

Spojrzała na akta. Na pokrywce pudełka nalepiono białą etykietę z nazwiskiem wypisanym czerwonym atramentem: „Edward Alexander «Aleister» Crowley”.

– To ściśle tajne dokumenty – mamrotała z niezadowoleniem stara panna. – Zastanawiam się, czemu komandor pozwolił je pani przejrzeć. Zwłaszcza te. Nie wypada, żeby dobrze wychowana młoda dama je oglądała. Jest w nich pełno bezeceństw. Będzie pani przerażona.

– Proszę się nie martwić, na te kwestie jesteśmy we Francji dosyć otwarci.

Szacowna sekretarka rzuciła jej urażone spojrzenie, jakby młoda Francuzka przymierzała się do striptizu, po czym obróciła się na pięcie i zamknęła za sobą drzwi. Nie lubiła ani Francuzów, ani Niemców i krzywiła się, kiedy przy niej wspomniano inne europejskie narodowości. Jedynie poddani Jego Królewskiej Mości zasługiwali na poważanie, a i to wyłącznie urodzeni w Anglii. Pogardzała Irlandczykami i Szkotami, ciemnymi narodami ledwie godnymi przynależeć do Zjednoczonego Królestwa.

– Stara wiedźma – mruknęła Laure, rozwiązując sznurek na pudełku. – No, to zobaczmy akta złowrogiemu przyjacielu pana komandora.

Odłożyła pokrywkę na bok i przejrzała zawartość pudełka. Zawierało długi spisany na maszynie raport z nagłówkiem MI54, kontrwywiadu, wycinki z angielskich i zagranicznych gazet oraz otwartą kopertę, z której wystawały zdjęcia. Wyjęła największe.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu, patrząc na odbitkę. Dojrzały mężczyzna wpatrywał się w obiektyw z nawiedzoną miną, z łokciami na blacie i policzkami wspartymi na pięściach. Rysy miał grube, nos wydatny, brwi wygięte w łuk, usta świadczące o stanowczości. Ale najbardziej niesamowity był kapelusz, który miał na głowie. Coś w rodzaju płóciennej torby w kształcie trójkąta ozdobionego świetlistą deltą<sup>5</sup>. Rogi kapelusza opadały na pięści, tak że powstało coś w rodzaju namiotu cyrkowego. Na stole po jego lewej stronie, na tabliczce z wygrawerowanym napisem „Perdurabo”, leżała książka w twardej oprawie.

Laure opadła na oparcie krzesła.

– Edward Alexander „Aleister” Crowley... Nie wiem, z jakiego cyrku uciekłeś, człowieku, ale mam nadzieję, że nie łazisz po ulicach w tym przebraniu, bo gotowi cię zamknąć w wariatkowie.

Wbrew swoim przewidywaniom potrzebowała więcej niż godzinę, aby przeczytać akta.

I nie posiadała się ze zdumienia.

Wychowany przez rodziców należących do protestanckiej sekty, ludzi fanatycznie pobożnych, młody Edward dla odreagowania praktykował wszelkie niewyobrażalne wręcz dewiacje. Kiedy zafascynowała go ezoteryka, Aleister – takie imię sam sobie wybrał – zaczął swą osobliwą podróż po świecie okultystycznym. Związał się z największymi w Anglii i Europie tajemnymi stowarzyszeniami (jak Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku, Towarzystwo Teozoficzne, wolnomularstwo czy różne zakony templariuszowskie), a następnie powołał własny kult, który zrywał z konwencjonalnymi tradycjami inicjacyjnymi na rzecz mieszaniny magii i seksu. Ten koktajl wywołał wściekłość wśród wyższych sfer. Crowley wsławił się nawet otwarciem w samym centrum Londynu burdelu sado-maso, w którym wcielał w życie swoje najbardziej piekielne teorie.

Laure dłużej się zatrzymała przy serii rysunków erotycznych wykonanych ręką maga, ilustrujących jednoznaczne teksty, i dopiero teraz zrozumiała zgorszenie starej sekretarki.

Kiedy w końcu prasa brytyjska ujawniła jego wyczyny, mag wyniósł się do Indii, później do Egiptu. Kolejno pisarz, odkrywca, dziennikarz, himalaista, medium, guru, w czasie pierwszej wojny światowej zwrócił na siebie uwagę tajnych służb.

Podejrzewano, że jest szpiegiem na niemieckim żołdzie, toteż wsadzono go do więzienia, a potem bez żadnych wyjaśnień uwolniono.

Czytając kolejne dokumenty, Laure odnosiła wrażenie, że ma do czynienia z powieścią, tak burzliwe Crowley wiódł życie na wszystkich kontynentach. W roku 1923 znalazł się w Paryżu, gdzie policja bezpieczeństwa zatrzymała go w mieszkaniu na Montmartrze odurzonego opium, skulonego obok trupa swojego aktualnego kochanka. Ten człowiek o wilczym apetycie romansował z ludźmi obojga płci. Potem spokojnie udał się do Niemiec i Włoch, gdzie na Sycylii w Cefalu założył Opactwo Thelemy, w którym oddawał się wszelkim swoim nałogom w towarzystwie grupy adeptów, mężczyzn i kobiet. Po śmierci jednego z wyznawców administracja Mussoliniego bezwzględnie wydalila go z kraju. Crowley wraca do Anglii, potem znów jest w Niemczech w latach trzydziestych, w okresie rozkwitu nazizmu.

Zdjęcia robione na różnych etapach życia ukazywały fizyczną degradację tego człowieka. Buzia cherubina, jaką obnosił w młodości, z biegiem lat przeobraziła się w maskę zbrodźca.

Laure dość już się naczytała – ten osobnik miał w sobie coś fascynującego i odpychającego zarazem. Uczucia te podzielał również oficer z MI5, który przez lata miał nad nim nadzór. Laure zamknęła pudełko i obwiązała je sznurkiem. Jej uwagę zwróciło zdanie wypowiedziane przez Crowleya i zacytowane w jakiejś gazecie. Oficer zakreślił je na czerwono. „Zanim nastał Hitler, byłem ja”.

Te słowa można było różnie interpretować, ale prowadziło to zawsze do takiego samego wniosku: ich autor jest szalony. Laure naprawdę nie rozumiała, jakie usługi mógłby świadczyć dla Malorleya.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma, pora wracać na kwaterę. Tragiczne zajście w Southampton pozbawiło ją energii. Rozpacz w błękitnych oczach nieznajomej wyryła się jej w pamięci. I ten zapach. Ohydny smród spalonego ciała. Laure pragnęła jednego: wejść pod prysznic i zmyć z siebie ten odór, który wciąż czuła. Ale nie tylko to wzbudzało w niej odrazę. Po raz pierwszy w życiu była świadkiem morderstwa z zimną krwią. Jej umysł pojmował czyn Malorleya, ale serce nie. Nigdy nie potrafiłaby strzelić do niewinnej osoby. Za to do tych gnojów faszystów czy do kolaborantów mogłaby walić jak do kaczek. I aż się do tego paliła. Nie chciała jednak stać się zimnym potworem.

Przeszedł ją dreszcz, podniosła się z krzesła. Zabrała płaszcz i poszła do sekretariatu, by oddać pudło strażniczce świątyni. Po korytarzu niosły się śmiechy, strzępy rozmów i dźwięki muzyki jazzowej nadawanej przez radio. Odbywała się pewnie jakaś popijawa na zakończenie dnia pracy. Dla pracowników SOE sposób na

osłodzenie sobie życia. Na zapomnienie o dniówce spędzonej na planowaniu operacji, w których mężczyźni i kobiety szli na prawie pewną śmierć.

Laure nie miała ochoty przyłączyć się do balujących. Weszła do sekretariatu i postawiła akta na stoliku. Już miała wyjść, gdy zauważyła, że szafa z archiwum stoi otworem. I że są tam akta agentów w służbie Francji.

Tristan...

A jeżeli...

Nagle owładnęła nią ciekawość.

Malorley ją przejrzał. Owszem, zwróciła uwagę na tego tajemniczego człowieka, który pojawił się w jej życiu w pewien wietrzny dzień. Podczas pierwszego spotkania w rodzimym zamku d'Estillaców nie mogła go znieść. Czy nie przedstawił się jako współpracownik tych przeklętych Niemców? A później się dowiedziała o jego grze na dwa fronty. Co znaczyło, że tak jak ona należy do niebiańskich legionów stojących naprzeciwko armii diabła. Takiego wyrażenia użył Malorley. Tristan jednak był archaniołem szczególnego rodzaju. Skrzydła miał czarne i rogi na głowie. Był archaniołem przebranym za demona. Aby lepiej zwalczać zło.

Skąd brał tyle odwagi do operowania w twierdzy zła? I do ryzykowania, że w każdej chwili może zostać zdemaskowany i poddany najgorszym torturom? W ośrodku szkoleniowym czytała w raportach o okrucieństwie, do jakiego byli zdolni oprawcy Gestapo. O potwornej brutalności.

Tristan...

Akta w zasięgu ręki...

Podeszła do szafy i chciwie do niej zajrzała. Jak głodny do miski z jadłem. Musi mieć czyste sumienie. Malorley nie chce jej nic powiedzieć? Trudno, sama sobie poradzi bez jego zgody.

Co ryzykuje, zaglądając do jego akt, w porównaniu do ryzyka, jakie ponosi podwójny agent? W najgorszym razie wyrzucą ją z SOE. A poza tym jest przecież szpiegiem, prawda? Teraz albo nigdy.

Przebiegła wzrokiem etykiety na zawieszonych segregatorach. Zatrzymała się na literze M. Były pod nią akta mniej więcej dziesięciu osób, każde w osobnej szarej albo zielonej teczce, ze zdjęciem przyklejonym w górnej części okładki. Szybko je przejrzała – przedostatnie były tymi, których szukała. To na pewno był on. Ta sama twarz, tylko młodsza o kilka lat. Łagodne głębokie spojrzenie, lekki uśmiech na ustach, mina prawie zuchwała.

Laure obejrzała się na drzwi. Cisza. Gdyby ją przyłapano, mogłaby się pożegnać z karierą w SOE. Serce zabiło jej szybciej. Ostrzegano ją przecież w ośrodku szkoleniowym.

Dwa zagrożenia trzeba pokonać, kiedy się włamuje do biura: pierwsze czai się na zewnątrz i jest jak najbardziej rzeczywiste, drugie rodzi się w głowie i na imię mu strach. To zagrożenie, owoc własnej wyobraźni, jest znacznie bardziej zgubne niż pierwsze. Jego objawy można rozpoznać – serce bez powodu zaczyna szybciej bić. Należy wtedy uspokoić oddech i... zaufać swojemu szczęściu.

Spokojnie odetchnęła, po czym wyjęła akta i położyła je na stole. Zerknęła na korytarz, nadal pusty, i wróciła do sekretariatu. Drżącą dłonią otworzyła teczkę.

Z zaskoczenia szeroko rozwarła oczy: w środku nic nie było. Tylko biała kartka z nazwiskiem:

JOHN DEE.

*Kreta*

*Listopad 1941*

Stanowisko archeologiczne było oddalone zaledwie o kilkaset metrów od wioski. Lekki wietrzyk szumiał w gałęziach drzew oliwnych, wtórowało mu nieprzerwane granie cykad otumanionych skwarem. Wystarczyło kilka kroków, aby połączone wpływy ziemi, powietrza i ognia błyskawicznie zadziały, oczyszczając wioskę ze strachów i miazmatów śmierci. Tak przynajmniej odbierał to Tristan, którego opuszczało zmęczenie pomieszane z niepokojem, w miarę jak szedł brukowaną ulicą prowadzącą do pierwszych ruin. W upalnym powietrzu już wyłaniały się mury zwieńczone kolumnami.

– Nie ma żołnierzy? – zdziwiła się Erika.

– Perymetr bezpieczeństwa musi obejmować wioskę i stanowisko. Dlatego punkty kontrolne i patrole są trochę dalej.

– Uważam, że jak na specjalistę w dziedzinie sztuki masz dość zaskakującą wiedzę militarną.

– Obserwuję i wyciągam wnioski – wyjaśnił Marcas.

– Zdaje się, że znasz się również na podrzynaniu gardeł. Przed chwilą twoja uwaga o tryskającej miarowo krwi zabrzmiała bardzo rzeczowo.

Tristan z uśmiechem odpowiedział:

– Odnoszę wrażenie, że obserwujesz mnie okiem archeologa. Czyhasz na każdy najdrobniejszy nieoczekiwany szczegół. Właściwie co to jest ten Abba?

– Rodzaj demona, na którego u nas mówi się bobo, jak sądzę. Nocna istota, która nęka pamięć i przewija się w legendach. Na poły wymyślona, na poły prawdziwa.

Erika wskazała kolumnę, na której spod wyschniętego cementu wyłaziły szpary. Istny szary trąd.

– Widocznie dzisiejsi kretańscy murarze nie są tak uzdolnieni jak ich przodkowie – skomentował Tristan.

– To stanowisko odkryto pod koniec dziewiętnastego wieku. Wtedy poszukiwania odbywały się na łapu-capu, nie miały w sobie nic naukowego. Liczyło się tylko, żeby znaleźć. Szybko. Dlatego bez wahania burzono ruiny, by sprawdzić, czy pod spodem



nie ma czegoś bardziej obiecującego, a później ewentualnie zdecydowano się na odbudowę.

Przystanęli pod dębem spragnieni odrobiny cienia. Z nieba lał się przytłaczający żar. Tristan podał Erice manierkę. Przed nimi jak okiem sięgnąć rozciągały się ruiny. O ile Erika spoglądała na nie okiem specjalistki, o tyle Tristan odnosił wrażenie, że odkrywa dziewiczy świat. Tam gdzie przez dziesięciolecia rozbrzmiewały odgłosy kopania, teraz zalegała cisza. Tam gdzie kiedyś ludzie nie przestawali marzyć, teraz panowała pustka.

– Jak to stanowisko odkryto?

– Zwyczajnie – odparła Erika, odstawiając manierkę. – Chłopi, którzy uprawiali tę nieurodzajną ziemię, podczas orki natknęli się na resztki murów. Powiedzieli o tym w wiosce burmistrzowi, dowiedział się pop, który zwierzył się innemu duchownemu. I pewnego pięknego ranka w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym w Knossos zjawił się niejaki Andreas Kalokairinos. Syn właściciela tych ziem, na których nie urodziło się nic oprócz pyłu.

– Archeolog?

– Nie, handlarz mydła. W tamtych czasach nie było w tym nic dziwnego. Przypominam, że Heinrich Schliemann, który odkrył Troję, był sklepikarzem.

Tristan znał historię niemieckiego kupca z fiołem na punkcie Homera. Schliemann poświęcił całe życie i majątek na udowodnienie, że miasto, które widziało śmierć Achillesa, naprawdę istniało. I osiągnął swój cel.

– A dlaczego twój handlarz mydła nie jest tak znany jak Schliemann?

– Bo on też natknął się na trudności w trakcie poszukiwań i...

Erika urwała. Na lewo od nich pojawił się porucznik Horst. Wyglądał lepiej niż w punkcie kontrolnym, aczkolwiek głęboka bruzda przecinała mu czoło niczym wieczny znak zapytania. Zsalutował, po czym odwrócił się w stronę położonej niżej wioski, patrząc na pozamykane okiennice i puste tarasy.

– Nie chcą, żeby kopać dalej. Boją się.

– Abby? – zapytała ironicznie Erika.

Porucznik przysiadł na murku, szukając cienia pod sztywnym ulistnieniem drzewa oliwnego. Z rozpalonego nieba lał się żar.

– Przedtem moi ludzie bali się upału bardziej niż wszystkiego innego, teraz boją się cienia. Tak jak miejscowi, którzy się boją, żeby nie obudzono ducha Abby.

– Mamy więc oblężoną wioskę, zbiorowe morderstwa, przerażonych żołnierzy i archeologów spanikowanych z powodu opowieści o duchu?

Porucznik jakby tego nie słyszał. Dotąd siedział w nim ton, jakim Erika zganiła go na punkcie kontrolnym. Nie lubił, gdy cywile tak do niego mówili. A tym bardziej

kobiety. Postanowił ją zignorować i zwrócił się do Marcasa:

– Nie partyzanci zamordowali żołnierzy. Wiemy, że operują daleko stąd w górach. Tutaj nigdy nie schodzą. To zbyt niebezpieczne.

– Co oznacza, że morderstwa popełnili miejscowi – wywnioskował Tristan. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego zaryzykowali krwawe represje, zamiast pozwolić na dalsze poszukiwania.

Horst się wzdrygnął i obejrzał gwałtownie, za nim jednak na wietrze od morza szumiała tylko sośnina, która opadała do samej wioski.

– Widzieliście ducha, poruczniku? – zapytała Erika.

Oficer już miał odpowiedzieć, lecz zrezygnował. Nawet jeżeli ta archeolożka odnosiła się do niego pogardliwie, musiał bezwzględnie się pohamować: zadzieranie z jedną z walkirii Himmlera oznaczało narażanie własnego życia. Lepiej będzie się dogadać. Z lekkim, grzecznym uśmiechem podjął:

– Po pierwszej napaści, kiedy trzem naszym ludziom odcięto głowy, przeczesałiśmy całą wioskę dom po domu, łącznie z domem Kalokairinosa. Rodzina przekształciła go w lokalne muzeum. W archiwach, dotąd nieuporządkowanych, znaleźliśmy jego notatki z poszukiwań.

Archeolożka dała mu znak, by mówił dalej.

– Kiedy Grek zaczął szukać, najpierw odkrył pomieszczenia magazynowe. Ale marzyło mu się odnalezienie czegoś, co by przyniosło sławę, dlatego szybko się znudził przetrząsaniem szafek na konserwy.

Tristan czuł, że finał opowieści jest już blisko, i w odróżnieniu od Eriki, która wyraźnie okazywała niecierpliwość, z lubością przeżywał te chwile wyczekiwania tuż przed objawieniem.

– Kalokairinos zauważył, że kiedy wieśniacy zatrudnieni przy wykopaliskach sondują teren, konsekwentnie unikają pewnej strefy: strefy kaplicy.

– Na tym stanowisku nie ma kaplicy – oświadczyła Erika. – Nie widać jej na żadnym planie.

– Była w ubiegłym wieku, pod wezwaniem Świętego Jerzego. I właśnie tam Kalokairinos postanowił skoncentrować poszukiwania.

Porucznik ruszył w kierunku wejścia do strefy wykopalisk. Płatanina murków nierównej wysokości prowadziła do pozostałości pałacu, którego kolumny wznoszące się ku niebu górowały nad najwyższymi cyprysami. Horst okrążył aleję główną przeznaczoną dla zwiedzających i wkroczył na teren sektora, którym na powrót zawładnęła roślinność. Wonne krzewy zasłaniały ruiny, zielone dęby zapuszczały korzenie między zwalonymi kamieniami.

– W zapiskach Kalokairinosa było kilka planów stanowiska, w tym jeden z położeniem kaplicy. Porównałem rysunki z dzisiejszymi i... – Palcem wskazał stertę szarego kamienia, z której jak zastygła lava wypływała struga pokruszonych dachówek. – Oto co z niej zostało.

Tristan podszedł, jakby chciał zobaczyć ślady po sondowaniach.

– Nie ma co szukać, czas zatarł wszystko.

– Czas... – wtrąciła się Erika. – I ludzie. Zwłaszcza jeżeli Kalokairinos coś znalazł.

Horst z kieszeni munduru wyjął notes oprawiony w skórę, otworzył go na stronie z rysunkiem wykonanym brązowym atramentem i podał archeolożce.

– Znaleźli to na tyłach kaplicy. Na głębokości ponad dwóch metrów.

– Niemożliwe...

Tristan wziął notes. Rysunek był bardzo prosty. Załedwie kilka pociągnięć piórem. Nie trzeba więcej, by narysować drzwi. Zamurowane drzwi.

Podeszła do niego Erika.

– Spójrz na kształt ostrołuku, narożne kamienie... Przecież to średniowieczne drzwi. Co robią pod starożytnym stanowiskiem?

Marcas z niedowierzaniem wpatrywał się w rysunek.

Porucznik podjął:

– Tyle że nazajutrz po ich odsłonięciu cała wioska uderzyła do władz tureckich, oskarżając Kalokairinosa, że obudził demony pod ruinami. Turcy w obawie przed zamieszkami natychmiast zabronili dalszych poszukiwań i kazali zasypać dostęp do drzwi.

Tristan przerzucał strony notesu: było tam ledwie kilka nieskładnych notatek. Tu kończyła się krótka kariera Kalokairinosa jako archeologa.

– Dlatego ściągnęliśmy nas tutaj... żeby nam pokazać notes i kaplicę, tak?

– Powiedzieliście o tym Karlowi Häsnerowi – podchwyciła Erika. – On jest kierownikiem wykopalisk, prawda?

– Teraz państwo pełnią tę funkcję. A Häsner żyje niezupełnie w tym samym świecie co my. Jest przekonany, że w Knossos działają jakieś niewidzialne siły. Stracił umiejętność podejmowania właściwych decyzji.

– A waszym zdaniem, poruczniku, jaka byłaby ta właściwa decyzja?

Horst ruszył do ruin kaplicy, minął je. Tupnął w kamienne podłoże, które odpowiedziało głucho.

– Trzeba otworzyć drzwi.

*Londyn*  
*Klub Hellfire*  
*Listopad 1941*

Zwinne ciała opięte sztywnymi czarnymi gorsetami. Buty z wysokimi cholewami i obcisłe rękawiczki z czerwonej skóry. Szkarłatne wargi i powieki pociągnięte ciemnoszarym cieniem. Stroje dwóch amazonek, które rządziły w salonie obitym szkarłatnym aksamitem, pasowały do flagowych barw klubu Hellfire. Czerwień i czerni. Krew i ciemności.

W stolicy były oczywiście inne domy uciech, lecz tylko Hellfire oferował klientom zapowiedź jednakowej przyjemności i bólu. Inna cecha szczególna przybytku: bywali tam klienci, którzy się spełniali w dominacji.

Brunetka o twarzy równie otwartej jak oblicze żołnierza gwardii konnej trzymała na smyczy trzech nagich mężczyzn w maskach. Spoglądała na swoje odbicie w wielkim lustrze w purpurowej ramie. Suchym głosem rozkazała:

– Psy, siad!

Bez słowa wykonali polecenie i wyciągnęli ręce.

W drugim końcu pomieszczenia blondyna siedząca w fotelu wciskała obcas w tors brodacza wyciągniętego na podłodze, z nogami i rękami przywiązanymi do żelaznych pierścieni.

– Powtórz, czego cię nauczyłam, żabojadzie – parsknęła.

– Jestem ograniczony.

– A pewnie... Nie skończyłeś!

Docisnęła mocniej podkuty obcas. Brodacz jęknął i wyskomlał:

– Nie... Tego nie było w umowie...

Blondyna nadal wbijała w niego obcas. Rozległ się okrzyk bólu.

– Zgoda! Jak wrócę do kraju...

– To co zrobisz, padalcu?

– Hrrrr... Przyznam kobietom prawo głosu. Jak w Anglii.

Blondyna wydawała się usatysfakcjonowana.

– Grzeczny chłopiec. Ale w twoich słowach nie ma szczerości. Nie zostaniesz ukarany.

W przyległym pomieszczeniu za lustrem weneckim człowiek o osobliwej aparycji rozkoszował się widowiskiem. Łysą głowę powlekała mu blada skóra, miał twarz przedwcześnie postarzałego niemowlaka, zwiędłe powieki opadające na żywe niebieskie oczy, imponujące ciało okryte czarną jedwabną szatą. Podglądacz patrzył z cierpkim uśmiechem.

– Francuzki nie mogą wybierać swoich decydentów politycznych... Dziwny kraj... Ucinają głowę królowi i dalej traktują kobiety jak obywateli drugiego sortu. Kto to jest, Mojrusiu?

Obok niego stała wysoka ruda kobieta. Dziwnej urody – gęste ondulowane włosy łagodziły rysy trójkątnej twarzy. Błada cera podkreślała oczy i wargi czarne jak węgle. Moira O'Connor, kierowniczka Hellfire'u, obnosiła klubowe barwy nie tylko na odzieży.

– Były francuski ambasador, który zjechał do Londynu po klęsce – odparła. – Chętnie bym mu zaaplikowała karę, gdyby to posunęło naprzód sprawę feministyczną.

– A psy?

– Aleisterze, dobrze wiesz, że nasze sfory składają się z samych elit. Deputowany torysów, biskup anglikański, a jeśli chodzi o trzeciego, dałabym sobie rękę uciąć, że to wysokiej rangi członek domu królewskiego. A te dwie furie...

– Tak, znam je. Blondyna jest żoną urzędującego ministra, a brunetka dyryguje największym żeńskim chórem w mieście. Francuzik nie ma szczęścia, to sufrażystka od najmłodszych lat.

Ruda zapaliła światło i położyła na biurku plik papierów.

– Może byśmy załatwili nasze sprawy?

Crowley uniesieniem dłoni dał jej znak, by poczekała. Nie mógł oderwać wzroku od sceny rozgrywającej się po drugiej stronie lustra. Brunetka z zapalem zaczęła smagać swoje zwierzaki, które ujadły głośno.

– Jaki szlachetny powrót bata – mruknął przeciągle. – I pomyśleć, że w pierwszym osiemnastowiecznym Hellfirze praktykowano tylko męską dominację. Wyobraź sobie te wszystkie biedne służące dręczone przez pocziwych obłudnych mieszczan tamtych czasów. Byłyby dumne, widząc, jaką ewolucję przeszedł klub. Ja ją narzuciłem, kiedy dwadzieścia lat temu przejąłem interes. Mówię ci, Moira, jestem największym feministą w królestwie.

– Tysiąc razy mi to opowiadałeś – westchnęła ruda. – Jakbyś nie miał ochoty sprzedać udziałów.

– Ach, nie, za bardzo potrzebuję pieniędzy. Poza tym porządnie cię wyszkoliłem, moja ty czarodziejska dziwko. Bosko zarządzasz tym burdelem.

– Wolę, jak mówisz na mnie Szkarłatna Czarodziejka. Sam mnie tak nazwałeś, prawda?

– Faktycznie... Do diabła, rozpala mnie ten widok.

Rudowłosa zaciągnęła zasłony, które zwisały po obu stronach szyby.

– Kocurku drogi, będziesz mógł zaspokoić wszelkie pragnienia. Po podpisaniu papierów.

– Kiedyś inaczej do mnie mówiłaś... Aż tak się postarzałem?

Popatrzyła na niego z mieszaniną politowania i ironii.

– Przestań, Crowley. „Wtajemniczałeś” mnie dwadzieścia lat temu i już wtedy byłeś w sile wieku. Choć jesteś wielkim magiem, nie przestałeś być człowiekiem.

– Twoje słowa są jak rozgrzane do białości ostrza, prowokujesz mnie, wyzywasz na pojedynek. Udowodnię ci, że moja męskość ani trochę nie ucierpiała.

Przywarł do niej i próbował ustami sięgnąć do jej warg. Szybkim ruchem Moira O'Connor dobyła z za gorsetu malutki sztylet i przystawiła go napastnikowi do gardła. Przechyliła głowę jak dziki kot, który obserwuje swoją ofiarę przed pożarciem.

– Dotknij mnie jeszcze raz, a poderżnę ci gardło od ucha do ucha. Będziesz mógł się pobrandzlować, jak dopniemy transakcję. Podpisuj albo spadaj!

Na skórze Crowleya pojawiła się kropla krwi. Cofnął się smętnie i otarł czoło niebieską jedwabną chusteczką.

– Zapomniałem, że zawsze masz przy sobie ten swój cudaczny sztylet. No dobra... Załatwmy to.

Wziął do ręki pióro, nerwowo zaparafował każdą stronę, a na ostatniej złożył podpis.

Kiedy wychodzili z pomieszczenia, w salonie za szybą rozlegały się coraz głośniejsze jęki bólu i odgłosy smagania. Przeszli przez wąski mroczny korytarz i znaleźli się w barze przypominającym lokal w luksusowym hotelu. Lampy w stylu art déco umieszczone w kątach rzucały łagodne światło. Około dwudziestu osób, mężczyzn i kobiet, ubranych albo nie, popijało ze śmiechem przy niskich stolikach. Barmanka w czerwonym gorsecie przygotowywała drinki, które podawały dwie markizy ubrane tylko w upudrowane peruki. Dokoła były same złocenia, kiry i... zbroje. Trzej średniowieczni rycerze w białych płaszczach oznaczonych czerwonym krzyżem, z mieczami wbitymi w ziemię i w groźnie wyglądających hełmach trzymali wartę przed kamiennym murem.

– Nowy wystrój? – zagadnął Crowley. – Co oznacza?

– Nic. Wymiana barterowa z jednym z najwierniejszych klientów, antykwariuszem z Kensington. Pięć seansów za jedną zbroję.

Zatrzymali się przy barze. Moira dała dyskretny znak barmance, drobnej blondynce o przebiegłym spojrzeniu, która postawiła przed nimi na kontuarze dwie lampki szampana.

– Twoje zdrowie, Aleisterze – powiedziała Moira. – Dziękuję, żeś mi sprzedał swoje udziały.

– Sprawianie innym przyjemności to moja racja bytu – odparł, natarczywie wpatrując się w blondynkę. – Sugestywna ta twoja królowa drinków.

– Uważaj, Banshee równie dobrze zna rośliny, które leczą, jak te, które trują, świetnie sobie radzi z napitkami brzasku i z kroplami zmierzchu. Osobiście ją wprowadzałam w siły lasu, wiatru i nocy. Jeśli wielki bóg Pan zechce, pewnego dnia zastąpi mnie na czele bractwa wiedźm.

– Ale przebyłaś drogę... I pomyśleć tylko, że kiedy cię poznałem, byłaś irlandzką gąską, która klęła „krucafiks” i zaklinała się na książeczkę do modlenia dla ubogich.

– Przyznaję, że ty otworzyłeś mi oczy.

– I przypuszczam, że twoja barmanka jest też twoją partnerką w kamasutrze. – Crowley zarechotał. – Bardzo bym chciał popatrzeć na wasze ceremonie.

Moira obrzuciła go pogardliwym wzrokiem.

– Nasze nauczanie nie ma nic wspólnego z twoimi lubieżnymi praktykami.

– Bzdura, fallus i wagina to wyłączne bramy dostępu do kosmicznego uniwersum.

– Seks to tylko jeden krok w tańcu na wielkim balu wszechświata. A dla maniaków takich jak ty ostatni takt kończy się zawsze na cmentarzu. Jeśli o mnie chodzi, подарuję ci jedynie taki sobie zgonik. Chodź.

Wyszli z baru i zaczęli się wspinać po kręconych schodach. Co kawałek kandelabry oświetlały stopnie. Brzuchaty mag z trudem szedł do góry, oddech miał coraz krótszy. Dotarłszy na piętro, przystanął, aby odetchnąć. Miał zawroty głowy.

– Już zmęczony, Crowley? Jeśli chcesz, możesz odpocząć przed otwarciem prezentu.

– Nie trzeba, to tylko brak kondycji. Chodźmy.

Doszli do uchylonych drzwi pociągniętych czerwoną laską, przed nimi czekała młoda kobieta w zielonym jedwabnym stroju.

– Przedstawiam ci Lei Ling, która przyjechała prosto z Szanghaju.

– Jestem twoją pokorną służką, panie – rzekła młoda kobieta, chyląc się w pokłonie. – Dużo o tobie słyszałam, panie.

– Cudowna... Chcę jak najszybciej posmakować tej... ja...

Crowley poczuł, że ziemia usuwa mu się spod nóg. Moira i Chinka zdążyły go złapać, zanim padł na podłogę.

– Aleisterze, nie możesz teraz się łamać. W środku czeka na ciebie inna niespodzianka.

Ruda nogą pchnęła drzwi, zza których dochodził silny zapach dymu opiumowego. Pośrodku pokoju stało łóże z baldachimem, a na nim leżała złotowłosa młoda kobieta. Ułożona była na boku, pełne blade biodro wyłaniało się z obfitych fałd czarnego atłasu. Crowley nie był w stanie zobaczyć jej twarzy, wzrok mu się zamglił. Moira szepnęła mu do ucha:

– Ta panna czeka na twoją ofiarę, nie zawieź jej.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje...

Moira z Chinką pomogły magowi usiąść na łóżu.

– Głowa... się... zawraca...

– Połóż się.

Cały pokój tańczył wokół niego, ale Crowley się nie bał. Jego umysł już tyle razy się błąkał po sztucznych rajach, że fascynowało go każde nowe doświadczenie. I nie liczyło się ryzyko. Poczul, że bezwładnie opada na miękkie materac. Tuż obok swojego prezentu. Jego ramię dotknęło ramienia dziewczyny.

– Aleisterze, twoja nowa miłośnica czeka na pocałunki...

Głos Moiry brzmiał jak echo.

Od jego nowej miłośnicy dolatywał słodki zapach wanilii, który wnikał mu do mózgu. Obrócił głowę i próbował dziewczynę objąć, lecz ręce już go nie słuchały. Jej szeroko rozwarte oczy wpatrywały się nieruchomo w jeden punkt. Na szyi miała dziwny naszyjnik, sploty czerwieni i czerni. Crowleyowi w głowie mignął obraz. Już kiedyś widział taki naszyjnik, dawno temu w dzikim kraju, którego nazwę zapomniał. W wymordowanej wiosce. Widział mężczyzn, kobiety, dzieci rozciągniętych w słońcu, z poderżniętymi gardłami.

Spróbował wstać.

– Moira? Ona jest...

Nicość zawładnęła nim i twarzą pięknej dziewczyny z podciętym gardłem.



*Kreta*

*Listopad 1941*

Tristan niedawno wstał i teraz przez okno podziwiał olśniewające niebo. Tylko nad Morzem Śródziemnym jest taki błękit. Pora była wczesna, tuż po brzasku, żar jeszcze się nie lał, wietrzyk szemrał wśród krzewów, jakby ten poranek był pierwszym porankiem świata. Marcas odnosił wrażenie, że został obmyty, oczyszczony z wszelkich wspomnień, jak gdyby nigdy wcześniej nie istniał. Przez kilka chwil wydawało mu się, że gdzieś zniknęła jego burzliwa przeszłość. Ale która przeszłość – znana jemu czy opowiedziana Erice? Ostrożnie zamknął okno, aby jej nie obudzić, i skierował się do łóżka. Tylko rozpuszczone włosy wystawały spod pościeli, pod którą widać było zarysy jej ciała.

O czym śni? Tristan tak mało o niej wiedział. Jedyna córka rodziny przemysłowców blisko związanej z nazistami, dobra znajoma Himmlera i Göringa, jedna z niewielu kobiet archeologów na niemieckich uniwersytetach. Odkąd Weistort został poważnie ranny, stała na czele wszechmocnego Ahnenerbe i odpowiadała bezpośrednio przed Himmlerem. Tristan zsunął pościel do skraju jej ramion. Jak to się stało, że tak mało wie o kobiecie, z którą dzieli łożo? Jakie są jej relacje z rodzicami, o których niechętnie mówi? Nawet jeżeli wywodzi się z klasy wyższej, jakim cudem znalazła się w kręgach najwyższej władzy? Dlaczego ufa Himmlerowi?

Erika się poruszyła, odsłaniając szczyty piersi. W tym pokoju, ledwie rozjaśnionym przez wstający dzień, przypominali mityczną parę kochanków. Które z nich mówiło prawdę drugiemu?

– Nie śpisz?

Lekko chrapliwy głos Eriki wyrwał Tristana z zamyślenia.

– Dopiero co wstałem. Dzień też.

– Żołnierze już na stanowiskach?

Marcas spojrział na zegarek.

– Będą za pół godziny.

Poprzedniego dnia w czasie narady z porucznikiem Horstem zdecydowali, że od świtu zamkną wioskę, ludność zbiorą na placu i metodycznie przetrząsną dom za domem. Oczywiście to miało być mydlenie oczu. Bo tymczasem elitarny oddział

przejmie kontrolę nad stanowiskiem archeologicznym, aby strzec kaplicy i zacząć poszukiwania. Horst był optymistycznie nastawiony. Drzwi znajdą szybko.

Erika wstała z łóżka owinięta w prześcieradło rozgrzane od jej ciała i usiadła przy stole, na którym leżały eksponaty znalezione przez Karla.

– Widziałeś swastykę?

Podawała Tristanowi wygrawerowany przedmiot. Obrócił go w palcach. Dotykając kruszcu, próbował sobie wyobrazić, z czyją skórą miał styczność. Czy tylko jedna kobieta lubiła ten klejnot? A może zdobił ich kilka? Przedmioty co prawda nie mają duszy, mają jednak pamięć. I Marcas niemal ją wyczuwał.

– Przemyślałam to. Karl musiał zaznaczyć na planie wykopalisk, gdzie znalazł ten przedmiot. Coś mi mówi, że to było w pobliżu kaplicy.

– Trudno będzie go zapytać. Zarekwirowałaś przecież dom, a jego posłałaś spać do kościoła. Wątpię, żeby chciał współpracować.

– Nie musi. Plan jest w lewej szufladzie szafki w bibliotece. Zauważyłam go już pierwszego wieczora, zaraz po przyjeździe.

Marcas nie okazał zdziwienia. Nie po raz pierwszy zauważał u niej zawodowe odruchy, które bardziej by pasowały do policjantki niż do archeolożki. Znowu obrócił eksponat w palcach. Czy to naprawdę ozdoba czy też przedmiot wotywny ofiarowany jakiemuś bóstwu?

– Co o tym myślisz?

– To samo co ty. To znak, może nawet dowód.

– Czy archeologowie, których przysłaliście tutaj, do Knossos, znają prawdziwy cel poszukiwań?

– Skądże! Jutro zresztą wracają do Berlina. Raporty z poszukiwań trafią pod klucz, ekipa zostanie rozwiązana i wszyscy jej członkowie rozesłani po różnych wykopaliskach. Więcej się nie spotkają.

– Ale mogą przecież mówić. Siedem morderstw w ciągu kilku dni...

– To już będzie na ich odpowiedzialność. Przed ich wyjazdem postawię sprawę jasno.

Erika włożyła koszulę khaki, płócienne spodnie i odrapane buty z cholewami. Splotała włosy w warkocz jak grzeczna dziewczynka.

– Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, byłaś tak samo ubrana.

– To było w Montségur, za murami zamku, tyle że ja ciebie nie widziałam.

Marcas się uśmiechnął.

– Kiedy Himmler wysłał cię na południe Francji, wiedziałaś, czego masz szukać?

– Nie.

Tristan na powrót pogрузił się w milczeniu. Ponieważ nie lubił rozmyślać beczynn timer, wysunął szufladę, w której znajdował się plan stanowiska, i rozłożył go na stole. Karl wykonał dobrą robotę. Zaznaczył na planie miejsce i datę znalezienia każdego eksponatu: czarnym punkcikiem ceramikę; niebieskim trójkątem przedmioty z metalu; czerwoną gwiazdką dzieła sztuki. Czubkiem palca Marcos śledził kolejność odkryć, w większości skorup amfor zaznaczonych czarnymi punktami, którymi usiany był cały plan. Przedmioty metalowe występowały o wiele rzadziej. A czerwona gwiazdka była tylko jedna. Tuż obok niej Karl drobnym pismem zanotował: „Swastyka”.

Erika, która właśnie spakowała swój sprzęt archeologiczny – łopatkę, pędzelki, skrobaki – podeszła do niego.

– Dawna kaplica jest... – Pochyliła się nad planem i powiodła palcem wzdłuż poziomicy obejmującej najwyższy punkt stanowiska. – Jest tuż obok. Dokładnie tutaj.

Czerwona gwiazdka znajdowała się w odległości kilku centymetrów. Erika położyła na stole kompas i ustawiła plan tak, żeby północ zgadzała się ze wskazaniem na mapie.

– Oznaczenie jest zbyt niedokładne, żeby obliczyć odległość między kaplicą i miejscem odkrycia eksponatu. Ale przynajmniej pokaże nam kierunek poszukiwań. No więc... trzeba się kierować od kaplicy prosto na wschód.

– Przy odrobinie szczęścia odnajdziemy ślady poszukiwań.

– O ile wieśniacy ich nie zasypali. Po drugiej serii morderstw stanowisko przez kilka dni nie było strzeżone.

– Według Karla oni boją się Abby. Gdybyśmy wiedzieli dlaczego...

Erika usiadła przy oknie, aby się ochłodzić w rześkim wietrzyku, który pieścił mury. Jej skóra już nabrała złotego odcienia. Kilka godzin na słońcu wystarczyło, by opaliła sobie twarz, przez co nieco złagodniał jej dość ostry owal. W oczach Tristana była przez to tylko bardziej godna pożądania. Otworzyła właśnie słownik zdjęty z półki w bibliotece.

– W starożytnej grece abba oznacza ojciec, ale nie tylko w sensie rodzinnym. Używa się też tego słowa w klasztorach na określenie przywódcy wspólnoty religijnej.

– Pewnie stąd wziął się opat i opactwo – zauważył Tristan.

– Słownik precyzuje, że znaczenie słowa zmieniało się stopniowo, przeszło w „przewodnik” albo „święty”.

– Mieszkańcy wioski zwykle nie boją się swojego patrona, prawda?

– Niekoniecznie. Musisz wiedzieć, że średniowiecznych świętych czczono, ale też bano się ich, bo mieli groźną moc przechodzenia między dwoma światami, światem

żywych i umarłych.

Erika wstała, sprawdziła narzędzia i włożyła je do plecaka. Na parterze zegar w kuchni wybił wpół do szóstej.

– Żołnierze zaraz...

Archeolożka nie zdążyła dokończyć zdania. Na wioskowym placu zaskrzypiały koła, zaraz potem z przyległych uliczek dobiegł tupot butów. Tristan wyrzał przez jedno z wąskich okienek. Z domów dolatywały krzyki, gdy żołnierze w hełmach rozbijali drzwi kolbami. Nie zważając na to, Erika zarzuciła plecak.

– Pora iść.

*Londyn*

*Klub Hellfire*

*Listopad 1941*

W dworku nie było nikogo oprócz dwóch dusz, jednej żywej, drugiej martwej. Obydwie znajdowały się w piwnicy, która pełniła funkcję chłodni. Pierwsza dusza, nazywana Szkarłatną Czarodziejką, miała na sobie gruby czarny golf. Pochylała się nad drugą z nożyczkami w ręce. Jej ofiara, zamordowana poprzedniego dnia, spoczywała na stole naga, z szeroko otwartymi oczami. Poderżnięte gardło okryto kawałkiem czerwonego jedwabiu. Moira pogłaskała dziewczynę po policzku i szepnęła jej na ucho:

– Jeśli może cię to pocieszyć, ze zła zawsze rodzi się dobro. Dzięki mnie dostąpisz reinkarnacji i zaznasz szczęśliwszego życia.

Jednym ruchem nożyczek odcięła jej kosmyk włosów, później paznokcie u palców wskazujących. Schowała je do pudełka po zapałkach ozdobionego portretem dobrodusznego pilota Królewskich Sił Powietrznych, który ułożył palce w V, znak zwycięstwa.

Moira O'Connor złożyła pocałunek na czole trupa, następnie rozciągnęła powieki prawego oka i wbiła czubek nożyczek w orbitę. Stal bez trudu weszła między kość a gałkę oczną. Nacisnąwszy kciukiem górną część policzka, Moira szybkim ruchem wydłubała oko, po czym odcięła nerw wzrokowy. Do pustego oczodołu włożyła kłębek waty, a gałkę oczną schowała do pudełka po zapałkach, kładąc ją na włosach i paznokciach.

– Obiecuję, że za tydzień pogrzebię twoją duszę w świętym kręgu w New Forest. U stóp dolmenu naszej siostry i królowej Budykió, której imię jaśnieje ponad wiekami. Tej, która nigdy nie zległa z rzymskim samcem. Razem z naszymi siostrami spędzimy noc na modlitwach, prosząc o twoje nowe wcielenie.

Szkarłatna Czarodziejka schowała pudełko po zapałkach do szuflady. Na jej napiętej twarzy pojawił się blady uśmiech.

– Twoja dusza jest teraz bezpieczna. Zanim się zajmę twoim ciałem, muszę poprosić Hekate o wsparcie.

Uklęknęła przed ołtarzykiem, na którym paliły się dwie świece. Pośrodku na srebrnej tacy stał posążek z poczerńniętego drewna przedstawiający kobietę na tronie. Za statuetką znajdował się wyrzeźbiony złocony półksiężyc z czubkami skierowanymi ku niebu. W twarzy bogini błyszczały dwie czerwone kropki.

– Hekate, bogini nocy, prowadź mnie w cielesnym dziele. – Moira O’Connor wyciągnęła przed posążkiem nóż o srebrnej klindze i cyzelowanej rękojeści z koziego rogu. – Niechaj mój sztylet athame będzie twoim pazurem. Niechaj mój umysł będzie twoim umysłem. Niechaj moja wola będzie twoją. Niechaj wszystkie twoje wcielenia we mnie się objawiają.

Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Jej świadomość się rozmywała, aby wpuścić duszę bogini. Chociaż temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni, na jej czole perliły się krople potu. Przez żyły przepływała jej gorąca mocna fala. Głos zrobił się świszczący.

– Hekate, Durgo, Kali, Beylo, Astarte, Bestio, Járnsaxo, Sechmet, Bellono, Isztar! Dajcie mi siłę! Dajcie mi władzę!

Oczy jej błyszczały. Moira się przeobraziła, jej twarz ogarnęła jakaś dzikość. Podniosła się i skierowała ku młodej kobiecie ułożonej na stole.

Szkarłatna Czarodziejka przystawiła czubek athame tuż powyżej pępka dziewczyny i wolno nacisnęła. Srebrne ostrze przecięło delikatną skórę i niespiesznie weszło w brzuch. Precyzyjnym ruchem Moira poszerzyła ranę, po czym drugą ręką zaczęła wyciągać zimne już wnętrzości. Była jak w transie, nie czuła nawet smrodu wydzielanego przez wybebeszone zwłoki. Potrzebowała prawie kwadransa, aby wyjąć trzewia, które umieściła w wiadrze ustawionym przy stole. W miejsce wnętrzości włożyła do zięjącego otworu kartkę pergaminu, na której w starożytnym gaelickim wypisano trzy inkantacje po cztery wiersze każda. Dwie były złowróżbne, trzecia dobroczynna. Pierwsza skazywała na potępienie duszę Aleistera Crowleya, druga przeklinała angielskiego króla, trzecia miała ściągnąć łaski na tego, który odrodzi świat i wyzwoli Irlandię – na Adolfa Hitlera.

Potrzebowała kolejnego kwadransa, aby zaszyć brzuch. Następnie piłą odcięła trupowi dłonie, a zakończyła swoje dzieło, rysując na czole dziewczyny swastykę.

Zadowolona nakryła ciało białym prześcieradłem i z niezmaconym umysłem, zdmuchnąwszy świece, spokojnie opuściła piwnicę. Szła wzdłuż poczerńniętego kamiennego muru, pozostałości po budowlu, której pochodzenie skrywały mroki zamierzchłych czasów. Czasów sprzed przybycia normańskich najeźdźców. Towarzyszyło jej delikatne drapanie. Rozpoznała te znajome dźwięki – eskortowały ją zaprzyjaźnione szczury. Darzyła prawdziwie ciepłym uczuciem te znienawidzone przez ludzi zwierzęta i nigdy jej nie przeszkadzała ich obecność. Obecność coraz

częstsza w Londynie, odkąd zbombardowano kolektory ścieków. U niej szczury miały tylko zakaz wstępu na górne piętra. Nie można przerazić klientów.

Kiedy skierowała się do swojego biura, szczury zniknęły, prawdopodobnie udały się ku jakiemuś okienku otwartemu na Tamizę. W pomieszczeniu panowała przyjemna temperatura. Moira zaciągnęła zasłony na lustrze weneckim, po czym otworzyła szafę, w której umieszczono najróżniejsze akcesoria: bicze, nabijane gwoździami pasy, metalowe kółka, maski weneckie, i nacisnęła tylną ściankę. Rozległo się ciche szczęknięcie. Ścianka się otworzyła, Moira wyciągnęła z niej kasę pancerną na kółkach i przesunęła ją do pokoju.

Dziesięć minut później na biurku stał zmontowany nadajnik. Moira ustawiła częstotliwość przekazu na 14 MHz i przekręciła włącznik. Jej zegarek pokazywał godzinę dwudziestą, zostało jeszcze kilka minut do odbioru wiadomości z Berlina. Zadowolona wysunęła szufladę i wyjęła z niej grubą kopertę.

Rozłożyła przed sobą zdjęcia.

– Aleisterze, mój ty biedaku... Gdybyś wiedział...

Dziesięć fotografii przedstawiało Crowleya nagiego, obejmującego prawą ręką ramiona młodej kobiety z poderżniętym gardłem. Tłustą twarz pochylał nad dziewczyną, w lewej dłoni trzymał sztylet, którego ostrze opierało się o pierś ofiary.

Moira O'Connor z obrzydzeniem spoglądała na swojego dawnego mentora. Ten pyszałek nie powinien był się jej przyznać, że kontakt z nim nawiązały brytyjskie tajne służby. W czasie poprzedniej bytności w klubie zaproponował, że odsprzeda jej swoje udziały, zamierza bowiem zacząć nowe życie. W służbie ojczyzny.

„Moira, musisz mi przysiąc, że dochowasz tajemnicy. Pewien ważniak z SOE mnie odwiedził. Chce, żebym pomógł w walce z Hitlerem, wykorzystując swoje talenty okultystyczne. Zdajesz sobie sprawę? Mnie, Aleistera Crowleya, bydlaka, sam król powołuje do ratowania kraju”.

Zażądano, aby się pozbył swoich udziałów w klubie Hellfire – służby Jego Królewskiej Mości nie mogą zatrudniać właściciela burdelu, nawet jeżeli firma należy do niego tylko w jednej dziesiątej.

„Rozumiesz, Moira, muszę się cały oddać tej świętej misji”.

Moira chętnie przyjęła propozycję i przekazała Berlinowi wynurzenia Crowleya. Ku jej wielkiemu zdziwieniu RSHA7 zainteresował się tą informacją i zażądał, by przygotowała grunt pod szantaż.

Kiedy mag obudził się w czerwonym pokoju, zwłok już w nim nie było, a jego otumaniony narkotykami umysł ledwie sobie przypominał, co się wcześniej działo. Moira siłą wepchnęła go do taksówki i kazała odwieźć do domu.

W nadajniku zaczęła migać kontrolka. Moira wzięła słuchawkę i przyłożyła do ucha. Usłyszała znajome dźwięki alfabetu Morse'a, którym nadawano wiadomość. Chwyła notesik i zaczęła zapisywać.



*Kreta*

*Listopad 1941*

Czekając na Erikę i Tristana, porucznik Horst usiadł w najwyższym punkcie stanowiska archeologicznego. Górował nad ruinami kaplicy i czujnym wzrokiem obserwował żołnierzy, którzy ostrożnie zagłębiali długie tyczki w ziemi i równie ostrożnie je wyciągali. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Marcas, patrząc na postacie posuwające się wśród ruin, jakby chodziły po grzbiecie smoka, którego za nic nie wolno obudzić.

– Próbujecie wytyczyć obszar poszukiwań? – zapytał Francuz.

– Tak jest. Wezwałem saperów, żeby znaleźli wejście, którego szukamy. Mają świetnie rozwinięty słuch.

– I są jakieś wyniki?

Porucznik wskazał fałdę terenu.

– W tym miejscu poruszono ziemię, później ją zasypano. Dźwięk jest inny niż wszędzie dokoła.

– Możecie ustalić większy perymetr? – spytała Erika, która do nich dołączyła.

– Spróbuję.

Najbardziej doświadczony saper zaczął delikatnie stukać w ziemię, posuwając się krok po kroku. Podążał za nim jeden z kolegów, który na polecenie wbijał palik we wskazane miejsce. Horst już zgromadził dziesięciu swoich ludzi zaopatrzonych w łopaty i kilofy. Tristan dyskretnie musnął włosy Eriki i szepnął jej do ucha:

– Niedługo otworzysz wrota piekła.

W niecałe pół godziny wytyczono palikami obszar nieprzekraczający kilku metrów kwadratowych. Zaraz też do pracy przystąpili kopacze. Pierwszą warstwę stanowił humus wymieszany z sosnowymi szpilkami i żwirem, lecz szybko odsłoniła się warstwa kolejna, usypana w pośpiechu, złożona z kamyków i ziemi. Wypełniała wydrążony w ziemi korytarz, na którego ściankach widać było jeszcze rysy od łopat.

– Karl na pewno tutaj szukał – oznajmiła Erika.

– I jak tylko przystąpił do kopania, zaczęły się morderstwa – odparł Tristan. – Trzeba się spieszyć, zanim miejscowi zaczną coś podejrzewać.

– Patrzcie!

Horst wskazał palcem dwa ociosane kamienie, które się łączyły, tworząc ostrołuk. Znaleźli drzwi.

Na polecenie Eriki żołnierze się oddalili. Zafascynowana archeolożka gładziła odsłonięte, znakomicie zachowane kamienie. Drzwi z pewnością zasypano zaraz po postawieniu, co uchroniło je przed zniszczeniami.

– Trzeba je otworzyć – powiedział Horst. – I to szybko.

– Widać, że nie jesteście archeologiem, poruczniku – ironicznie zauważyła von Essling. – Drzwi od sześciu wieków są zamurowane kamieniami ciosanymi spojonymi zaprawą.

– No właśnie, ile czasu trzeba, żeby wyjąć jeden kamień?

– Jeśli robić to zgodnie z zasadami sztuki archeologicznej, to dobrą godzinę.

– Mam lepszy pomysł – oznajmił Marcas, a widząc zmarszczone brwi Eriki, wyjaśnił: – Znalazłem to dziś rano w piwnicy domu Karla.

Postawił na ziemi płócienną torbę i wyjął z niej skrzyneczkę z nieheblowanego drewna. Kiedy wieko odskoczyło, Erika ujrzała ułożone równiutko jak na pokaz laski dynamitu. Lonty były owinięte naoliwionym papierem, aby proch nie zamókł.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała nieufnie.

– Możesz rozbierać ten mur kamień po kamieniu. To zajmie parę dni.

– Nie dam rady tak długo utrzymać wioski pod kontrolą – dorzucił porucznik.

– Albo – ciągnął Tristan – wyjmemy jeden kamień, podłożymy laskę dynamitu, podpalimy lont i zrobimy wyłom.

– Ryzykując, że siła wybuchu zniszczy wszystko, co jest za tym murem!

– Skądże – uspokoił ją czym prędzej Tristan. – Można umieścić dynamit tak, żeby siła eksplozji była rozłożona tylko na boki. Część prowadząca do wnętrza w ogóle nie ucierni.

– W takim razie podkładaj – zdecydowała archeolożka.

Tristan wybrał kamień do wyjęcia, po czym zrzucił koszulę i dłutem zaczął wydłubywać zaprawę wokół niego.

Erika patrzyła na ciało kochanka. Dokładnie, co prawda, poznała wszelkie zakamarki jego dłoni czy ust, ale rzadko go widywała rozebranego w świetle dnia. I fascynowała ją nie gra mięśni pod skórą czy ruchy ramion pod wpływem wysiłku, lecz liczba blizn, które odkrywała. Jedna z nich, na lewym ramieniu, biegła od obojczyka aż do łokcia. Sprawiała wyjątkowe wrażenie z licznymi śladami po nierównych szwach. Gdzie Tristana tak pocięli i pozszywali?

Kamień się zachwiał po kolejnym uderzeniu i z głośnym stuknięciem upadł na ziemię. Z otworu powiało cierpkim zapachem. „Budowniczy nie zadbali o podwójny

mur – pomyślał Tristan – jakby byli pewni, że nikt nigdy nie naruszy tego miejsca. Strach przed Abbą?” Umieścił laskę dynamitu we właściwej pozycji i zapalił zapałkę.

– Wszyscy na powierzchnię – rozkazał porucznik.

W okolicy wejścia rozległ się huk wybuchu. Runęła ściana ziemi, chmura pyłu zasnuła otwór drzwiowy. Poprzez jego kłęby Tristan widział, że zwałił się kawał muru.

– Wyłom jest wystarczający, można wchodzić.

Zeskoczył do korytarza i zaczął torować sobie drogę między kamieniami. Erika za nim nagle zagroziła drogę porucznikowi.

– Oprócz członków Ahnenerbe nikt inny nie wchodzi do środka!

– Nie będzie mi pani rozkazywała.

Erika wskazała otwór, przez który Tristan się prześliznął.

– Jeśli wejdziecie za ten mur, poruczniku, nie wydacie więcej żadnego rozkazu.

– Już drugi raz pani mi grozi – uniósł się Horst.

– I ostatni, bo następnym razem was nie ostrzegę.

Oszołomiony porucznik SS pozwolił jej pokonać wyłom, sam jednak nie śmiał ruszyć za nią.

W środku Tristan zapalił latarnię, której światło rzucało ruchome cienie na ściany. Sklepienie sali spękało pod wpływem korzeni, lecz nie groziło zawaleniem. Ziemia wyłożona była szerokimi płaskimi płytami, równiutkimi mimo upływu tylu wieków. W głębi pomieszczenia panował mrok. Chociaż Tristan bardzo chciał poznać tajemnicę, wahał się, czy iść dalej. A przecież wystarczyłoby zrobić kilka kroków i podnieść latarnię w wyciągniętej ręce. Był w Knossos, mieście króla Minosa, którego mit głosił, że jego żona Pazyfae, osoba o zoofilskich upodobaniach, poczęła dziecko – pół człowieka, pół byka – tak przerażające, że trzeba było je zamknąć w labiryncie.

– Boisz się Minotaura? – zawołała Erika, która właśnie dołączyła do niego.

– Boję się tego, co się zrodziło z ludzkiego szaleństwa.

– Ja nie.

Wyrwała mu latarnię i skierowała światło w głąb pomieszczenia. Ku ich wielkiemu zdziwieniu nic tam nie było. Tylko mur identyczny z tym, przez który przeszli. Zaskoczona archeolożka ruszyła naprzód. Gdy już miała dotknąć kamieni, Tristan ją przytrzymał.

– Ani kroku dalej!

Tuż przed nią, między ciemnością a światłem, pojawiła się długa płyta powyżej poziomu posadzki – zdawała się unosić w mrocznym powietrzu. Nie dotykając jej, Erika dmuchnęła na jeden róg i spod wielowiekowego kurzu wyłonił się

brunatnoczerwony idealnie wypolerowany marmur, który zaiskrzył się w świetle. Płyta była jednolita, bez śladu grawerunku, rysunku czy inskrypcji.

– Wygląda jak płyta nagrobna – rzekł Tristan – ale...

– A jeśli to coś pod nią nie było człowiekiem?

– Myślisz o Abbie?

– Myślę, że tutejsi wieśniacy boją się od niepamiętnych czasów. Najpierw bali się Minotaura, potem Abby. I boją się tak, że gotowi są zabijać...

Po raz pierwszy Marcas widział Erikę poruszoną nieznanym fenomenem, tajemnicą, która zdawała się ją przerastać. Czy był to wpływ skumulowanego napięcia ostatnich godzin, czy też irracjonalny strach przed chwilą, gdy pozna prawdę?

– Jedyne rozwiązanie, żeby się dowiedzieć... – zaczął Tristan.

Wyszedł na górę po młot, a gdy wrócił, najpierw okrążył płytę i wypatrzył ciemniejszą żyłę, która przecinała ją z lewa na prawo. Marcas powiódł po niej palcem do połowy.

– Jeżeli uderzę tutaj, jest szansa, że żyła ustąpi i marmur pęknie.

– Jedna szansa na ile?

Tristan nie odpowiedział. Walnął młotem w wybrane miejsce. Głuchy huk ciosu odbił się echem od sklepienia. „Jeżeli Abba przysnął – pomyślał Marcas – teraz na pewno się obudzi”. Płyta się przełamała, prawa jej część ustąpiła pod wpływem uderzenia i wpadła do odsłoniętej piwniczki.

Erika z latarnią w ręce rzuciła się do otworu.

Nie było tam zwłok.

Nie było swastyki.

Niczego nie było.

– Niemożliwe. Wszystko pasowało. Poszukiwania Kalokairinosa, Karla... – Von Essling zastygła z niepotrzebną latarnią zwisającą z jej palców. – A te morderstwa po co? Żeby chronić pustą piwniczkę?

Światło lampy na próżno omiatało ścianki kamiennego prostopadłościanu. Naraz Tristan zauważył refleks, który padł na kamień w głębi. Jakby światło uchwyciło się okruszka lustra. Zszedł do piwniczki, schylił się.

– Co robisz?

– Opuść mi tu lampę.

Pod częścią płyty, która pozostała na miejscu, co rusz migotał refleks niczym błędny ogień. Tristan wyciągnął rękę, dotknął zimnego metalu. Chwycił go i pociągnął szybkim ruchem. W tym momencie płyta, naruszona uderzeniem młota,

złamała się na dwoje. Marcas ledwie zdążył się usunąć, podając Erice to, co zdołał uratować.

Miecz.

*Londyn*  
*Bloomsbury*  
*Listopad 1941*

Zmierzchało już nad dzielnicą Bloomsbury. British Museum zamknęło podwoje, z szacownej instytucji wysypał się tłum zwiedzających, którzy wesoło się rozproszyli po okolicznych ulicach. Siedząc na ławce na wprost kolumnady muzeum wystylizowanej na starożytną, Laure nie mogła się opędzić od myśli o widmowych aktach Tristana, które poprzedniego dnia odkryła w biurze w siedzibie SOE. W samą porę, tuż przed przyjściem sekretarki, zdążyła odłożyć je do szafy. W dossier było tylko jedno nazwisko: John Dee. Kolejny kryptonim. Słabo. Może jego status podwójnego agenta wymagał ukrycia akt gdzie indziej. Zerknęła na zegarek. Pół godziny spóźnienia. Komendant Malorley, uosobienie punktualności, nie zasługiwał teraz na to miano.

– Nie wolno siadać tak, żeby plecy były odsłonięte... Mogłem cię zasztyletować w jednej chwili.

Głos Malorleya był taki jak zwykle. Neutralny i precyzyjny. Laure nie sprawiła mu przyjemności i się nie obejrzała.

– Bloomsbury nie uważa się za wrogi teren.

– W tej robocie cały świat staje się wrogi. Jeśli tego nie rozumiesz, już po tobie.

Wstała bez pośpiechu i posłała mu ironiczny uśmiech.

– Jak urocz! Zastanawiam się, czy nie będę wołała towarzystwa rozpustnego maga od twojego. Z nim przynajmniej powinno być zabawnie.

Malorley nie odpowiedział na zaczepkę, tylko ruszył w stronę uliczki, która prowadziła na Holborn.

– I jakie wnioski po przeanalizowaniu jego akt?

– Chory na głowę, zdeprawowany, do tego szarlatan bez skrupułów. W dodatku alfons z tym domem uciech dla zboczeńców. O Boże, jacy ci Anglicy są zepsuci...

Malorley zwolnił kroku.

– Mimo perwersji uważam go za żarliwego patriotę. O... jesteśmy.

Przystanęli przed witryną księgarni ezoterycznej noszącej nazwę Atlantis. Za szybą widać było książki z dziedziny astrologii, magii i czarownictwa. Traktaty

kabalistyczne sąsiadowały z dziełami teozoficznymi i spirytystycznymi. Reprodukcje w dużym formacie kart tarota zdobiły półki wypełnione klejnotami, srebrnymi naszyjnikami i bransoletami. Na osobnym stojaku wyeksponowano dzieła Crowleya, którego zdjęcie zawieszono w złotej ramce.

– Wygląda, jakby był wiodącym autorem firmy – zauważyła Laure.

– Cóż za przenikliwość... W podziemiach odbywają się tu czasem magiczne ceremonie.

– Czarne msze?

– Nie, o ile wiem. Tego trzeba szukać gdzie indziej w Londynie, w bardziej zakazanych miejscach.

Malorley nie pchnął drzwi księgarni, lecz zatrzymał się przy sąsiednich. Trzykrotnie nacisnął dzwonek, nad którym widniała wykrzywiona diabelska facjata.

Drzwi się uchyliły i w szparze pojawiła się głowa starego Chińczyka.

– Twój pan na nas czeka – powiedział Malorley.

– W rzeczy samej. Zapraszam.

Dwójka agentów SOE weszła do przedpokoju o ścianach obitych fioletowym aksamitem. Odziany w czarną jedwabną szatę służący odebrał od nich płaszcze i wskazał jedyne drzwi prowadzące do mieszkania. Szli korytarzem ozdobionym obrazami, które przedstawiały pary w wyuzdanych miłosnych pozach. Co ciekawe, na wszystkich malowidłach przedstawiono tego samego mężczyznę, zmieniały się tylko jego partnerki. Ogier był łysy. Laure się uśmiechnęła, pochwycawszy zażenowany wzrok przełożonego. Azjatycki sługa skłonił się nisko.

– Proszę tu zaczekać. Pan kończy spotkanie.

Na drugim końcu korytarza otworzyły się drzwi i wyszła z nich wysoka ruda kobieta. Miała na sobie beżowy prochowiec, część twarzy zasłaniał jej kapelusz z szerokim rondem.

Minęła Laure i Malorleya, obdarzając ich lodowatym uśmiechem. Malorley odprowadzał ją wzrokiem aż do wyjścia.

– Wygląda na to, że lubisz rude – zauważyła Laure filuternie.

– Wcale nie, ale skądś znam tę twarz. Gdzieś już widziałem tę kobietę.

– No, na taką płomienną czuprynę trudno nie zwrócić uwagi. Kojarzy mi się z aktorką, która gra w Oberży Jamajka. Widziałam ten film na Leicester Square. W reżyserii niesamowicie uzdolnionego człowieka, niejakiego Hitchcocka. Znasz?

– Nie mam czasu na chodzenie do kina – odparł sucho Malorley.

Służący gestem zaprosił ich do salonu. Kiedy weszli, od razu poczuli silny zapach kadzidła. Plecami do nich stał człowiek o błyszczącej łysinie. Jego imponującą

sylwetkę spowijała długa fiołkoworóżowa toga opadająca aż do kostek. Stał przed przeszklonymi drzwiami, które wychodziły na ogród obrośnięty bukszpanami.

– Proszę wybaczyć, ale załatwiałem interesy z kobietą, z którą państwo się minęli.

Gospodarz odwrócił się do nich. Musiał być dobrze po sześćdziesiątce. Twarz miał nalaną o obwisłych policzkach, okrągłą łysą głowę poznaczoną piegami, usta wykrzywione, szeroki spłaszczony nos, nad nim wyłupiaste oczy. Nieruchome i przenikliwe. Aleister Crowley niespecjalnie przypominał człowieka ze zdjęć, które Laure oglądała w jego aktach.

– Kim ona jest? – zapytał Malorley.

Aleister Crowley przyłożył palec do ust.

– Och, nie wypada ujawniać nazwiska damy, która wychodzi po spotkaniu z mężczyzną, zwłaszcza z takim jak ja.

– Proszę skończyć z tym cyrkiem. Jeżeli chce pan dla mnie pracować, nie może być między nami żadnych tajemnic.

Mag podniósł wzrok.

– Moira O'Connor, zarządzająca i główny udziałowiec przedsiębiorstwa rozrywkowego, w którym byłem wspólnikiem. Swoje udziały sprzedałem zgodnie z pańskim życzeniem. Przyniosła mi dzisiaj kopię umowy sprzedaży potwierdzoną przez jej prawnika. Chce pan sprawdzić?

– Nie... Moira O'Connor...

Crowley rozłożył szeroko ramiona.

– Proszę zapomnieć o tej kobiecie. Witam państwa w moim domu – rzekł z emfazą. – Proszę czuć się swobodnie. I proszę przynieść mi okruch szczęścia, które z państwem tu wkracza.

– Nie wiem, jak mam rozumieć pańskie powitanie – odparł Malorley. – Czy to nie słowa hrabiego Drakuli, gdy wita swoją przyszłą ofiarę, Jonathana Harkera?

– Jakże miło stwierdzić, że nawet tajni agenci są odczytani. Bram Stoker, autor, był moim przyjacielem. A kim jest urocza osóbką, która panu towarzyszy? – zagadnął, z zachwytem wpatrując się w młodą kobietę.

– Matilda. Po prostu – odpowiedziała Francuzka.

– Prostota się przystroiła w najpiękniejsze piórka. – Wziął ją pod rękę i wskazał trzy obrazki ustawione na sztaludze. – Proszę spojrzeć, czy to nie wspaniałe? Błazen, Gwiazda i Diabeł! Jedna z moich uczennic, lady Frieda Harris, przesłała mi właśnie trzy ilustracje do moich kart tarota... – Urwał, jakby mówił do siebie, po czym skłonił się przed Laure. – Ale uchybiam swoim obowiązkom, szanowna pani, już się przedstawiam. Jestem mag z Thelemy, wielki Tau Mega Therion, Perdurabo,



bestia z Apokalipsy albo sześćset sześćdziesiąt sześć. Jestem tym, który był, który jest i który będzie.

– Pozostaniemy przy pańskim cywilnym nazwisku – wpadł mu w słowo Malorley.

– George Alexander Crowley znany jako Aleister Crowley. Po naszym ostatnim spotkaniu zastanawiałem się nad pańską kandydaturą. Nie kryję, że pańska reputacja sięga szczytów obrzydzenia. Ale w walce z Hitlerem wychodzę z założenia, że nie można być zbyt wybrednym.

Crowley prychnął.

– Ach, naziści... Fascynujący ruch. Führer bezwstydnie mnie ograbił.

– Jak to? – zdumiała się Laure.

– Wcielił w życie dosłownie moją dewizę: „Rób, co chcesz”! Przyznaję jednak, że za daleko się posunął. A przy okazji, jakie będzie moje wynagrodzenie, mój drogi?

– Pokaże pan, co potrafi, to pogadamy o wynagrodzeniu. Poza tym sprzedał pan, jak się zdaje, swoje udziały w klubie Hellfire, prawda?

Przez twarz Crowleya przemknął cień.

– Owszem, ale jak to się mówi, „brak pieniędzy to cierpienie, które nie ma sobie równych”. Może by pan coś więcej powiedział o tym zadaniu?

– Spotka się pan z człowiekiem, z którym miał pan do czynienia w Niemczech w trzydziestym pierwszym roku. Tak przynajmniej wynika z pańskich akt w MI Pięć. Z niejakim... Rudolfem Hessem.

Crowley zamknął oczy, jakby nagle zasnął. Otworzył je zaraz i na usta wypłynął mu jowialny uśmiech.

– Mmm... Oczywiście. Rabin Hess! Wybitny specjalista od Talmudu.

Laure i Malorley wymienili niedowierzające spojrzenia.

– Chyba nie o tym samym człowieku mówimy – powiedział Malorley. – Chodzi o Hessa, byłego zastępcę Hitlera, który w maju wylądował w Szkocji. Na pewno czytał pan o tym w gazetach?

Mag zrobił zdegustowaną minę.

– Nie myślę się. Spotkałem go w Niemczech. O mało nie zapłaciłem skórą, kiedy odkryłem jego sekret.

## CZĘŚĆ DRUGA

*Hitlerem do tego stopnia powodowały demoniczne siły, że przestał choćby myśleć o normalnym życiu z kobietą. Wystarczało mu uniesienie władzą w każdej formie..*

The Labyrinth,  
wspomnienia Waltera Schellenberga,  
szefa kontrwywiadu Rzeszy



*Wiedeń*

*Październik 1908*

Wiedeńczycy szerokim łukiem omijali dzielnicę Margareten. Zresztą między tym cieszącym się złą sławą rejonem a bogatym eleganckim centrum miasta od dawna istniała niewidzialna, lecz trudna do pokonania granica. Przekraczano ją, mając się na baczności w przekonaniu, że wchodzi się na wrogie terytorium. Dla zamożnych mieszczan właśnie w Margareten, w ponurych zapyziałych kamienicach, mieszkały grupy uznawane za niebezpieczne: robotnicy zatrudnieni w podmiejskich fabrykach, bezrobotni przybysze z prowincji, Węgrzy, Słowianie. Każdy tułacz, dotarłszy do stolicy cesarstwa, lądował w tej dzielnicy, której szarość ciągnęła się i ciągnęła aż do najdalszych przedmieść. Toteż nawet Hitler mocno się zdziwił, kiedy odkrył, że redakcja pisma „Ostara” mieści się w samym sercu Margareten. Niemniej nie zrezygnował z zamiaru spotkania się z Jörgiem Lanzem, mózgiem pisma. Jego ciekawość jeszcze wzrosła, kiedy się dowiedział, że Lanz niegdyś był cystersiem, mnichem w zakonie założonym w średniowieczu przez Świętego Bernarda, inicjatora wypraw krzyżowych i ojca zakonu templariuszy – a cystersi fascynowali Hitlera od dawna.

Po raz trzeci już spytał właśnie o drogę, za każdym razem jednak trafiał na cudzoziemca, przez którego nikłą znajomość języka tylko błądził. Chociaż Hitler urodził się w Austrii, nienawidził cesarstwa. Głęboką odrazą napawał go ten zlepek krajów, języków i odmiennych kultur. Dla niego naród miał być jednorodny i monolityczny, tak jak Niemcy, wielki sąsiad, który stanowił dlań polityczny wzór. Tymczasem błąkał się po brudnych ulicach, na pewno w pobliżu adresu „Ostary”. Przeszedłszy na drugą stronę jezdni, aby lepiej się zorientować w okolicy, za kwartałem kamienic dostrzegł dwie szare ceglane wieże sterczące na tle porannego nieba. Ucieszył się. Poznał te wieże: widniały na czwartej stronie okładki pisma. Przeszedł z powrotem przez ulicę, okrążył kamienice i w samym środku Margareten

ujrzał gmach niepasujący do tej dzielnicy i prowokujący. Architekt niewątpliwie użył sobie na nim, mieszając i parodiując wszelkie możliwe style. Wieże niosły skojarzenia ze średniowiecznym zamkiem, fasada była w stylu weneckim, a starannie wypracowane szczyty nieodparcie przywodziły na myśl dworki, którymi usiana była angielska wieś. Nasuwało się pytanie, jakim cudem takie architektoniczne szaleństwo mogło powstać właśnie tutaj. Adolf podszedł do monumentalnej bramy, która zdawała się otwierać na zapomnianą, tajemniczą posiadłość.

– Szuka pan czegoś albo kogoś? – zapytał młodzieniec, który palił papierosa w ogrodzie. Nie był starszy od Hitlera, lecz jego twarz już zdobiła blizna, której ostre zakończenie znikało pod cienkim wąsikiem. – Uprzedzę pańskie pytanie: to od cięcia szabłą. Pojedynek na uniwersytecie... i koniec mojej krótkiej kariery studenckiej. Zamierzam jednak na nowo podjąć studia, jak tylko trawa porośnie grób mojego przeciwnika. Nazywam się Weistort, a pan?

– Hitler. – Adolf właśnie w rogu bramy zauważył miedzianą tabliczkę, na której ciemnymi literami wygrawerowano nazwę OSTARA. – I chcę się widzieć z panem Lanzem.

– Zapraszam. – Weistort otworzył jedno skrzydło bramy, po czym ręką wskazał schody. – Biura „Ostary” są na pierwszym piętrze. Proszę zapukać i wejść.

– Tak po prostu? – zdziwił się Hitler. – Bez weryfikacji?

Weistort wbił w niego wzrok.

– Potrafię rozpoznać duszę szukającą swojego przeznaczenia.

Sala redakcyjna była pusta. Zza przeszklonych drzwi dobiegał tylko stukot maszyny do pisania. Adolf podszedł bliżej. Musiał go zdradzić cień, bo zanim jeszcze zapukał, wysoki głos zaprosił go do środka. Zobaczył pomieszczenie przypominające jamę. Okna zasłaniały stosy książek, podłogę zastawiały pudła, a pośrodku tego królestwa papieru za biurkiem siedział człowiek niczym robak w dziurce. W pierwszej kolejności Hitler zwrócił uwagę na jego dłonie, długie, wąskie, niesamowicie białe, jakby krew do nich nie dopływała. Twarz miała taką samą nierzeczywistą, niepokojącą bladość. Człowiek ów podniósł się bez słowa, by przyjrzeć się gościowi. Zdawał się posługiwać niewidzialnym kompasem.

– Ma pan mniej niż metr siedemdziesiąt pięć. Brak muskulatury. Waga poniżej siedemdziesięciu kilogramów. Brunet na całym ciele. Bujne owłosienie. To widać po wąsach... Powiedziałbym... południowe Włochy... W każdym razie basen Morza Śródziemnego.

– Urodziłem się w Austrii...

– To nic nie znaczy. Za to oczy... szare. Jasnoszare. Dobry znak. Ma pan w sobie germańską krew, co widać po oczach. Czego pan chce?

Hitler się zająknął.

– Jestem czytelnikiem „Ostary”...

– To jasne, inaczej pana by tu nie było. I?

– Chciałem powiedzieć, jak pana podziwiam.

Komplement nie wywarł spodziewanego efektu. Lanz cofnął się gwałtownie.

– Kto pana przysłał? Żydzi czy masoni?

– Myślałem, że to jedno i to samo – zdumiał się Adolf.

– W żadnym razie. Żydów da się rozpoznać, poczuć. Masoni są tacy jak pan czy ja, nie można ich wykryć. Dlatego są groźniejsi. Ale bliski jest już czas, gdy słudzy Lewiatana zapłacą za swoje zbrodnie. Spotkał pan Weistorta?

– Tak, tego młodego człowieka przy wejściu.

– To mój sekretarz. Przyjrzał mu się pan? Rysom jego twarzy? Barczystym ramionom? Jasnym włosom? Oto dzisiejszy człowiek, człowiek odnowy. Taki, jakiego opisuje Księga. – Lanz wskazał Biblię leżącą na biurku. – Prawdziwe Słowo Boże, ale dla tego, kto potrafi je odczytać. Żydzi wszystko zepsuli przez swoją ignorancję, to naród wiecznych tułaczy, który uwierzył, że jest zdolny pojąć wolę Wszechmogącego. Wypaczyli, zakłamali, ubarwili prawdę. Zbliża się jednak godzina objawienia.

Hitler miał wrodzony wstręt do religii, lecz jeszcze bardziej nienawidził pouczeń księży i pastorów. To oszukańcze wmawianie ludziom miłości bliźniego! Kompletna bzdura, która służyła tylko interesom możnych, a wszystkich innych utrzymywała w poddaństwie. W dzieciństwie najbardziej go złościł widok matki, która nisko się kłaniała miejscowym notablom. Hipokrytom, którzy zjadali ciało Boga w niedzielę, a przez resztę tygodnia pożerali lud.

– Zna pan Księgę Rodzaju?

Adolf kiwnął głową.

– Wie pan zatem, że Ewę uwiódł wąż, co doprowadziło ludzi do upadku. A pana zdaniem kim jest ten wąż?

– Symbolem Zła?

Lanz się uśmiechnął.

– Długo też tak myślałem, ale to nieprawda. Wąż nie jest symbolem, tylko metaforą. Żydzi uczynili z kusiciela Ewy wcielenie diabła, lecz to kłamstwo, które ma ukryć prawdę. Manipulacja.

Hitlerowi twarz się zmieniła. Usta mu znieruchomiały, patrzył na Lanza rozgorączkowanym wzrokiem. W głębi ducha zawsze o tym wiedział. Wszystko,

czego go uczono, było tylko kłamstwem. Społeczeństwo to oszukańczy teatr sprzyjający tajemnym siłom, które się nim posługują, by zaspokoić swoje pragnienie władzy i dominacji. Inaczej jak wytłumaczyć, że on, Hitler, od lat zaznaje tylko odrzucenia i biedy, że wszystkie drzwi się przed nim zamykają?

– Węża nigdy nie było, a Księga Rodzaju opowiada zupełnie inną historię. Tajemną historię świata.

Przeszkłone drzwi się otworzyły. Wszedł Weistort, który rozsiadł się w rogu biura. Lanz podjął:

– Tak, człowieka spotkał upadek, ale to nie wina ani kobiety, ani pospolitego węża.

– Pierwotnie – wtrącił Weistort – jedna rasa dominowała na świecie, białych ludzi o jasnych oczach i włosach. Pochodzili z północy i podbili całą ziemię. Po nich ma pan oczy szare, prawie niebieskie. One dowodzą, że jest pan rasy aryjskiej.

– I co się stało? – zapytał Hitler.

– Wystarczy właściwie zinterpretować mit o rajskim ogrodzie. Powoli ludzie zaczęli gnuśnieć, przestali zwycięzać, polować, walczyć... Skóra im pociemniała z powodu klimatu... I tak powstała rasa ciemnoskóra, leniwa i zepsuta.

– I ta rasa skaziła świat, mieszając się z rasą pierwotną, zdeprecjonowała ją, ujarzmiła, unicestwiła.

– Prawdziwy sens kuszenia Ewy przez węża to skażenie rasy wyższej przez niższe.

Hitler był zdumiony. Nigdy nie słyszał takiej teorii. Jeszcze jej dobrze nie rozumiał, zapamiętał jednak, że on jest pochodzenia aryjskiego. I dlatego inni instynktownie go nienawidzą. Ci wszyscy z rasy niższej.

– No, a żeby przywrócić rasę pierwotną – wygłosił Lanz – trzeba dokonać czystki rasowej, zakazać nieczystych małżeństw i pozbyć się degeneratów. Rodzić dzieci powinny wyłącznie kobiety czyste rasowo. Założymy klasztory płodności, gdzie będą zapładniane tylko przez prawdziwych Aryjczyków.

Adolf odnosił wrażenie, że po raz pierwszy widzi światło, niemniej jego zmysł krytyczny wziął górę.

– A jak zamierzacie odwrócić procesy? Zmienić wcześniejszy bieg historii?

Lanz zwrócił się do Weistorta:

– Jego oczy nie kłamią. Jest w nim dziedzictwo starożytnych. – A do Adolfa powiedział: – Czym pan się zajmuje, panie...

– Nazywa się Hitler.

– Studiuję sztukę, maluję...

– Czyli może pan liczyć tylko na siebie, bez źródła utrzymania i bez przyjaciół. Mam słusność?

Hitler zbladł. Porażka poniesiona poprzedniego dnia wróciła do niego w postaci poczucia nieznośnego afrontu.

– Wcale mnie to nie dziwi – ciągnął Lanz. – Rasa ciemna jest wszędzie i gdy tylko zidentyfikuje Aryjczyka, zaczyna go prześladować. Odmawia mu pomocy, odmawia pracy. Woli sprowadzić dziesiątki tysięcy zawszonych Słowian, złodziejskich Węgrów, a zwłaszcza Żydów.

– Wie pan, że w Wiedniu mają własną dzielnicę, do której nie da się wejść, tylu ich tam jest? – dorzucił Weistort.

Adolf w milczeniu pokiwał głową. W rzeczywistości nie znał żadnego Żyda.

– A wie pan – kontynuował Lanz – dlaczego tylu ich jest, dlaczego liczebnie nas przewyższają? Dlatego, że są solidarni. W przeciwieństwie do nas. My już nie mamy ze sobą nic wspólnego, ani historii, ani rodziny, ani religii. Ciemna rasa zrobiła z nas ludzi wykorzenionych na naszej własnej ziemi. – Redaktor „Ostary” podniósł się i położył bladą dłoń na ramieniu Hitlera. – A gdyby odnalazł pan swoją prawdziwą rodzinę? Gdyby odnalazł pan siebie?

*Londyn*  
*Bloomsbury*  
*Listopad 1941*

Chiński służyący wniósł tacę z herbatą i ciasteczkami. Crowley go odprawił i sam obsłużył gości. Nalewał bursztynowy napój do filiżanki, wpatrując się w Laure denerwująco natarczywie.

– Cukru?

– Nie, dziękuję – odparła, czując się nieswojo.

– Przyznam, że nie rozumiem. Hess jest Żydem? Wydaje mi się to absurdalne – rzekł Malorley.

Crowley usiadł w fotelu, ręce oparł na podłokietnikach. Wyglądał teraz zupełnie inaczej. Jak nie ten sam człowiek. Minę miał władczą. Głos zrobił mu się poważny.

– Posłuchajcie uważnie. Macie niedokładne informacje. Spotkałem go nie w trzydziestym pierwszym roku, ale w październiku trzydziestego drugiego. W Berlinie na kolacji w gronie przyjaciół u Hanussena, najśłynniejszego niemieckiego jasnowidza. Adolf Hitler jeszcze nie zdobył władzy i był kompletnie załamany, przestał wierzyć, że wygra wybory. Posyłał Hessa do wszystkich towarzystw okultystycznych i astrologicznych, żeby tropił sprzyjające znaki. Jeden Hanussen przepowiedział mu przyszłe zwycięstwo, chociaż wszyscy komentatorzy polityczni nie postawiliby ani feniga na narodowy socjalizm. Krótko mówiąc, Hess i Hanussen się zaprzyjaźnili, podzielali pasję do nauki o gwiazdach. Tamtego wieczoru kolacja była wystawna, chociaż brakowało pań. Hess zrobił na mnie nieszczególne wrażenie. Raczej radykalny w poglądach, jego wywody na temat narodowego socjalizmu i wyższości rasy aryjskiej zaczynały nas usypiać i wtedy rzuciłem pomysł, żeby zorganizować seans hipnozy.

– Zahipnotyzował pan Hessa?

Gospodarz przyłożył ręce do oczu i rozsunął je na boki, aby pomasować powieki. Następnie wydał z siebie westchnienie zadowolenia. Jak kot. Jak wielkie spaspione, zepsute kocisko.

– I owszem, mam ten skromny dar – odparł. – Pod koniec kolacji rozmowa zesłała na reinkarnację, w którą Hess twardo wierzył, podobnie jak wielu nazistowskich



dygnitarzy. Był przekonany, że kiedyś, na początku siódmego wieku, żył jako wikiński władca. Zaproponowałem, że poddam go regresji czasowej, i wtedy stało się coś dziwnego. Ledwie wszedł w trans, zaczął mówić w jidysz! Mówił, że jest rabinem, który żył w Norymberdze w średniowieczu, znawcą nauk talmudycznych. Wyobraźcie sobie państwo nasze zaskoczenie. Człowiek z najbliższego otoczenia Hitlera, obnoszący się ze swoim antysemityzmem jak ze sztandarem, z werwą perorował na temat Tory i innych świętych ksiąg żydowskich!

– Mówi pan poważnie? – spytała sceptycznie Laure.

– Zawsze mówię poważnie, kiedy chodzi o reinkarnację – zapewnił Crowley bez mrugnięcia. – Nie będę opowiadał, jaką minę miał Hanussen i inni goście. Połowa umierała ze śmiechu, druga połowa ze strachu. Gdyby Hess się dowiedział, że w poprzednim życiu był Żydem, a nie wikingiem, zaraz by ściągnął bandę SA-manów, żeby się pozbyć całego towarzystwa.

– Jak się pan z tego wywinął?

– Uciekłem się do techniki indukcji. Wszczepiłem mu fałszywe wspomnienia, bardziej zgodne z jego wyobrażeniami. Dzięki mnie odkrył, że był w piątym wieku srogim skandynawskim władką, który został kapłanem. Kiedy się wybudził z hipnozy, był w siódmym niebie i zarzekał się, że doświadczył niezwykłego przeżycia mistycznego. Oczywiście nikt słowem nie pisał o rabinie. Aby zakończyć tę anegdotę, powiem tylko, że to wydarzenie dało zupełnie nieoczekiwane skutki uboczne. Tydzień później Hess, niesamowicie podniecony, przyszedł mi podziękować. Słyszał głos nordyckiego boga imieniem Baldr. Czegoś w rodzaju anioła stróża w rogatym hełmie, doradzającego mu od czasu do czasu. Hess był tak entuzjastycznie nastawiony, że chciał, abym natychmiast zahipnotyzowałem jego Führera i zarejestrowałem seans dla potomności. Przezornie odmówiłem.

– Dlaczego?

– Proszę sobie wyobrazić, że Hitler był na przykład żydowskim cieślą w Palestynie albo czarnym niewolnikiem w Stanach. Dla mnie ten seans mógłby się zakończyć kulką w łeb. Następnego dnia wyjechałem z Berlina, wróciłem do Anglii. Ale zachowałem spis nazistów, którzy wierzą w reinkarnację, zawsze notuję wspomnienia z podróży. Mam pewnie z pięćdziesiąt notesów z zapiskami.

– Mógłby nam je pan wypożyczyć?

Crowley się zakłopotał.

– Musiałbym je znaleźć, pewnie leżą w kartonie gdzieś na strychu. To zajmie sporo czasu, a ja jeszcze nie pokazałem, co potrafię... Zobaczmy, jak pójdzie z Hessem, i jeśli będzie pan zadowolony, obaj będziemy mieli co robić z czasem.

– A dokładniej?

– Ja przeszukam swoje archiwa, a pan znajdzie dojdzie do księgowego w swojej firmie i przyniesie mi sporą paczkę funtów szterlingów.

Laure milczała. Skorygowała swoją ocenę Crowleya – szaleńcy mają czasem zmysł polityczny, rzadko smykałkę do interesów.

Malorley wstał.

– W porządku. Hess przynajmniej zachował o panu dobre wspomnienie, to ułatwi zadanie. Mam nadzieję, że pana pozna, kiedy go odwiedzimy. Chcę, żeby wyciągnął pan z niego jak najwięcej informacji.

– Na jaki temat?

– Powiem panu jutro, kiedy wstąpię po pana późnym popołudniem.

– Gdzie go trzymacie?

– W najbardziej prestiżowym więzieniu królestwa. W tym, gdzie ścięto wiele koronowanych głów. Jest tam zresztą jedynym więźniem. W londyńskiej Tower.

Malorley wydawał się mocno zamyślony, gdy wyszli z rezydencji maga. Wziął Laure pod rękę.

– Powierzę ci zadanie.

– Teraz zaraz?

– Tak. Wiem już, gdzie widziałem kobietę, na którą natknęliśmy się przedtem. To Irlandka, sympatyzuje z „czarnymi koszulami” Mosleya.

– Myślałam, że ten model odzieży występuje tylko we Włoszech.

– Nie, u nas też go mamy. Faszystów wielbiących Hitlera i Mussoliniego. Z partii, której przywódcą jest czystej wody arystokrata Oswald Mosley. Przed wojną nawet defilował w Londynie z paroma tysiącami swoich zwolenników.

– I pozwalacie im na działalność? – zdumiała się Laure.

– Nie, jeszcze przed wojną ruch rozwiązano. Mosley i jego kadra kierownicza gniją w więzieniu<sup>8</sup>. Tę kobietę, Moirę O’Connor, spotkałem w trzydziestym ósmym na wieczorze zorganizowanym z okazji podpisanego w Monachium porozumienia Hitlera z Mussolinim. Nie ukrywała sympatii dla Führera i tak jak Mosley była zwolenniczką niepodległości Irlandii. Martwi mnie, że utrzymuje stosunki z Crowleyem. Będiesz ją dyskretnie śledziła i donosiła mi o każdym jej kroku.

*Berlin*

*Siedziba Ahnenerbe*

*Listopad 1941*

W bibliotece panował półmrok. Żaden z badaczy instytutu jeszcze nie przystąpił do pracy. Biura były puste, korytarze ciche, cały budynek uśpiony. Tristan rozsiadł się przy przeszklonych drzwiach wychodzących na taras. Wkrótce słońce się wyłoni zza koron drzew w parku i światło oficjalnie wszystko rozjaśni, tymczasem jednak Tristana spowijała ciemność, w której czuł się osobliwie spokojny. Lubił ostatnią godzinę nocy, gdy jasność jeszcze leży w sferze marzeń. Odnosił wrażenie, że jest owinięty w kołdrę niewidoczną, lecz ciepłą i opiekuńczą. Złożył dłonie na kubku z kawą jak do niemej modlitwy i oparł głowę na grubej skórce fotela. Na piętrze Erika jeszcze spała. Tristan był zupełnie sam. A gdyby nawet ktoś wszedł do biblioteki, w półmroku niczego by nie zauważył, no może z wyjątkiem otwartych książek na biurku. Było ich tam z dziesięć, wszystkie na temat Krety. Mapy z ubiegłych stuleci, opowieści podróżników, historia wyspy – Tristana dopadł nocny kryzys poznawczy.

Obok książek leżał notatnik – pusty. W książkach Francuz nie znalazł zupełnie nic, co mogłoby go oświecić w sprawie odkrytego podziemnego schowka. Nic, co by wytłumaczyło pusty grób i anonimowy miecz. A musieli z Eriką szybko się dowiedzieć, jakie jest tego znaczenie, i natrafić na sensowny trop. Reichsführer życzył sobie odpowiedzi, nie pytań.

– Wcześniej wstałeś.

Do biblioteki weszła Erika owinięta w kołdrę jak w togę. Tristan się podniósł i przysunął jej fotel. Skuliła się w nim jak w rogu łóżka.

– Przespałem się w samolocie – wyjaśnił Francuz. – A że nie mogłem zasnąć, pomyślałem, że pogrzebię w książkach.

– I znalazłeś coś? – spytała archeolożka, przyciągając stopą krzesło, by wyciągnąć na nim nogi.

– Nic oprócz tego, że w ciągu wieków na Kretę ciągle najeżdżano: Rzymianie, Bizantyjczycy, Frankowie, Arabowie, Wenecjanie, Turcy...

– A w czasach, kiedy zbudowano tę piwniczkę?

– Wtedy wyspę okupowali Wenecjanie.

Erika podciągnęła kołdrę do kolan. Promyk wschodzącego słońca padł przez górną część okna na jej kostkę u nogi.

– Wenecja... – podjęła archeolożka. – Byłeś tam?

Tristan pokręcił głową.

– Dużo podróżowałaś, zanim się poznaliśmy?

– Jak wiesz, byłem w Hiszpanii.

– No właśnie, bardzo mało o tobie wiem. Na przykład o tej bliźnie na lewym ramieniu... Ten, kto ci ją zeszył, nie był zręcznym chirurgiem.

– W ogóle nie był chirurgiem.

Erika znów podciągnęła kołdrę na nogach o kilka centymetrów.

– Po każdej informacji, którą mi ujawnisz o sobie i którą uznam za rzeczową, troszkę podciągnę kołdrę.

– Co chcesz wiedzieć?

– Co robiłeś w Hiszpanii?

– Twój poprzednik, pułkownik Weistort, ci nie powiedział?

– Nie zdążył. Kula w piersi mocno spowalnia rozmowę. A ponieważ nadal jest w śpiączce... No więc?

– Do Hiszpanii pojechałem, żeby się zająć przekazaniem kolekcji dzieł sztuki, ale jej właściciel zszedł.

Archeolożka podciągnęła skraj kołdry nad uda.

– I znalazłeś się w Montségur w niemieckim mundurze?

– A wcześniej nosiłem mundur republikański. Taki właśnie jest problem z wojnami domowymi, które zamieniają się w wojny międzynarodowe: jedyny mundur, który chroni skórę, to mundur strony mającej aktualnie przewagę.

Kołdra znów się podniosła o kawałek.

– Czyżbyś był oportunistą?

– Nie bardziej niż ty. W sumie śpiączka Weistorta jest ci na rękę. Zostałaś szefową Ahnenerbe do jego ewentualnego przebudzenia. Zauważ, że wcale się na to nie skarżę, twój poprzednik na pewno by się mnie pozbył po powrocie z Krety. Nie byłbym mu już potrzebny. Niech sobie śpi do samego końca świata.

– Cicho... – szepnęła Erika, opuszczając kołdrę. – Tu wszystko słyszą. Hitler byłby wściekły, gdyby się dowiedział, co mówiłeś.

– Dlaczego?

– Za młodu znali się z Weistortem w Wiedniu, jeszcze przed Wielką Wojną. Poznali się w siedzibie pisma „Ostara”, którego założyciel, niejaki Jörg Lanz, głosił poglądy zapowiadające narodowy socjalizm. Himmler zdradził mi kiedyś, że Lanz i Weistort odegrali główną rolę w ideologicznej przemianie Führera.

Za drzwi nagle dobiegły słowa:

– Wszystko gotowe, proszę pani. O której godzinie przewiduje pani wyjazd?  
Erika zawinęła się w kołdrę i skoczyła na równe nogi.

– Za dwie godziny.

– Wyjeżdżasz? – zdziwił się Tristan.

– Wyjeżdżamy.

– Dokąd?

– Do zamku Wewelsburg.

Siedziba Ahnenerbe położona była na nieodległym przedmieściu Berlina, tam gdzie szlacheckie rody pobudowały pałace, aby znaleźć się bliżej władzy, a równocześnie nie mieszać się z podmiejskim plebsem. Toteż budynek, położony w centrum parku, chroniony kurtyną stuletnich drzew, zdawał się stać na terenie wiejskim. Niewątpliwie z tego właśnie powodu wybrał go Himmler, który lubił otaczać dyskrecją swoje najbardziej poufne poszukiwania. Kiedy Erika szykowała się do wyjazdu do zamku Wewelsburg, Tristan szedł przez park. Po jałowych kreteńskich krajobrazach dobrze mu robiło maszerowanie przez cieniste podszycie leśne, słuchanie łopotu ptasich skrzydeł czy ucieczki w zarośla jakiegoś niewidocznego zwierzątka. Alejki zwężyły się do ścieżek usianych opadniętymi liśćmi. Tu najwyraźniej nikt nie przychodził. Widocznie badacze z Ahnenerbe dla odprężenia woleli krótkie przechadzki w pobliżu starego pałacu. Tristan się obejrzał. W przesiece dojrzał kolumnadę frontową zwieńczoną tarasem, na który wychodziły okna na modłę francuską. Za jednym z nich szykowała się Erika.

Ogarnęło go gwałtowne pożądanie. Ich sam na sam w bibliotece zbyt szybko przerwano. Ona również na pewno o tym myślała. Chyba że wciąż zadawała sobie pytania o jego przeszłość... Tristan się odwrócił, by posłuchać dźwięków dokoła. Podszycie zawsze grało niezliczonymi dźwiękami, toteż z łatwością można tu było kogoś śledzić. Zszedł ze ścieżki i ruszył między drzewami. W ciągu kilku sekund znikł wśród zieleni. Pytania Eriki wzbudziły w nim nieufność. Zwłaszcza dzisiaj.

Cały park otaczało murowane ogrodzenie mające chronić przed niepowołanymi spojrzeniami. Tristan przeszedł wzdłuż niego z dziesięć metrów, po czym przystanął przy furtce, której zamek, niedawno naoliwiony – bez wątplenia staraniem służb bezpieczeństwa – niedługo się opierał jego umiejętnościom włamywacza. Po wyjściu na powrót starannie zamknął furtkę i podążył brukowaną drogą, która biegła wzdłuż posiadłości. Stąd widać już było szare dachy domów. Minąwszy pierwsze budynki, Francuz skierował się ku rynkowi. O tej porze natrafił tam tylko na nieliczne parafianki, które wychodziły z porannego nabożeństwa. Kiedy zniknęły, wszedł do kościoła.

W powietrzu unosił się zapach kadzidła. Przy ołtarzu ministrant składał ornat. Tristan odczekał, aż chłopiec zniknął w zakrystii, i skierował się ku kaplicy, w której stał konfesjonał. Przez szary witraż wpadało słabe światło dnia, posadzka nie była pozamiatana. Świątyni najwyraźniej się nie przelewało. Odkąd narodowi socjaliści doszli do władzy, katolicy zrobili się bardzo dyskretni. Himmler w swoich przemówieniach już się nie wahał wytykać ich. I wielu się zastanawiało, czy po Żydach oni nie staną się nowymi kozłami ofiarnymi reżimu. W konfesjonale Tristan usiadł na drewnianej ławeczce, zamknął drzwi i nachylił się do kratki.

– Ojciec duchowny, chcę się wyświadczyć, bo zgrzeszyłem, jak jest powiedziane w księdze.

Po ostatnich słowach, które nie należały do rytualnej formułki, postać po drugiej stronie kratki odparła ze zdziwieniem w głosie:

- Wszyscy jesteście grzesznikami, synu.
- Niektórzy większymi niż inni, jak jest powiedziane u Izajasza.
- Zdziwiasz mnie, synu, nie przypominam sobie tego cytatu.
- Rozdział trzydziesty trzeci, wersety jedenasty.

Z konfesjonału dobiegło westchnienie ulgi.

– A więc to ty!

– Mam bardzo mało czasu. Może ksiądz przekazać wiadomość?

– Jeśli będzie wystarczająco krótka, jeden z naszych przyjaciół przekaże ją natychmiast. W ciągu dnia zostanie nadana podczas audycji publicznego radia szwajcarskiego.

Tristan popatrzył na zegarek. Musiał wrócić do Eriki, i to szybko, zanim zacznie go szukać.

– Jak krótka?

– Najwyżej dwadzieścia słów, nie więcej. Sieć radiofoniczna państw neutralnych jest na stałym nasłuchu. Nie można ściągać uwagi.

Francuz nie skomentował słów księdza, jednakże to, że duchowny znał całą procedurę przekazu, było o wiele groźniejsze niż hipotetyczne przejęcie wiadomości przez służby nasłuchowe Rzeszy.

– Ten przyjaciel, który jedzie do Szwajcarii... jak się z księdzem kontaktuje?

– Nigdy się ze mną nie kontaktuje. Zostawiam wiadomość w puszcze na ofiarę przy wejściu do kościoła. Nigdy go nie zamykam, i tak zresztą nikt już nie daje ofiar...

– I ksiądz pisze wiadomości?

– Ja, ale zmieniam charakter pisma – wyjaśnił kapłan.

– W porządku. Ma ksiądz na czym zapisać?

– Zawsze noszę przy sobie notes.

– „Tam gdzie żyje Minotaur / już nie ma drogi krzyża / ale jest droga miecza”.

Tristan wyszedł z konfesjonału, za nim podążył ksiądz. Drobny i zgarbiony, sutanna zdawała się go przytłaczać. Pokazał Marcasowi wiadomość.

– Od razu ją wrzucę. Nie lubię nosić przy sobie czegoś takiego.

Z zakrystii wyszedł ministrant. Zdjął szaty liturgiczne – teraz był w mundurze Hitlerjugend. Na lewej ręce miał opaskę ze swastyką.

– Możesz wracać do domu, Adrianie. Następną msza jest dopiero o jedenastej – powiedział mu ksiądz.

Nastolatek jednak nie ruszył się z miejsca. Zafascynowany wpatrywał się w Krzyż Żelazny, który Tristan miał przypięty do piersi.

– Gdzie go pan dostał? Na froncie wschodnim?

Francuz pokręcił głową.

– Jak tylko skończę siedemnaście lat, też się zaciągnę do SS i będę zabijał komunistów – oznajmił i wykonał ruch, jakby strzelał serią.

Ksiądz westchnął.

– Adrianie, to nie miejsce na takie słowa. Już ci to mówiłem. Chrześcijanin nie może pragnąć zabijania bliźnich.

Chłopak na twarzy miał zdumienie.

– A czemu? Przecież Żydzi i komuniści to nie ludzie.

Ksiądz już miał odpowiedzieć, lecz Tristan wszedł mu w słowo:

– Dziękuję za pociechę, ojcze. To wielkie wsparcie przed powrotem na front. Pobłogosław mnie.

Zdziwiony kapłan przyłożył Marcasowi kciuk do czoła i nakreślił znak krzyża. Jego nierówno obcięte paznokcie zostawiły ślad na skórze.

Kiedy Francuz ruszył do wyjścia, Adrian wrzasnął „Heil Hitler”, które odbiło się echem od sklepienia kościoła. Tristan w odpowiedzi strzelił obcasami.

W drzwiach jeszcze się obejrzał. Ksiądz w czarnej sutannie stał obok nastolatka z krwistoczerwoną opaską. Francuza ogarnęło dziwne przeczucie.

Było tam o jedną osobę za dużo.

*Londyńska Tower*  
*Listopad 1941*

Lodowaty deszcz zalewał bez przerwy ciemną fortecę wzniesioną nad Tamizą. Niepokojący zabytek, który przypominał wszystkim londyńczykom ciemne oblicze królestwa brytyjskiego. Tutaj od ponad tysiąca lat więziono, torturowano, osądzano, wieszano i ścinano największych przeciwników Korony. Często ludzi niewinnych, którzy mieli ten niefart, że nie spodobali się aktualnemu władcy. Plantageneci, Yorkowie, Lancasterowie, Tudorowie, Stuartowie, Koburgowie – większość dynastii panujących korzystała z usług oferowanych przez to miejsce albo wręcz ich nadużywała. Jedynie ostatni królewski ród, Windsorowie, zdawał się nie pałać tak gorącym uczuciem do tej piekielnej budowli. Chwilowo siedział w niej jeden tylko więzień, obcokrajowiec, Niemiec, który spadł z nieba. A i to zamknięto go na osobisty rozkaz premiera.

W biurze na drugim piętrze zachodniej części fortecy Malorley, Crowley i naczelnik więzienia gawędzili przy kubku gorącej czekolady.

– Jak się miewa więzień? – zapytał komandor.

– Dobrze. Zjada wszystkie posiłki i codziennie przez godzinę spaceruje po dziedzińcu. Ale pańscy koledzy z MI Pięc nic z niego nie wyciągnęli. Czyta niewiele, czasem rozmawia ze strażnikami, ale...

– Ale co?

– Niekiedy słyszy głosy i robi... dziwne rzeczy.

Malorley nie okazał ani cienia emocji: musiał się skupić na spotkaniu. Tymczasem nie przestawała go ekscytować wiadomość od Tristana przesłana via szwajcarskie radio tuż przed jego wyjściem z biura. Po raz kolejny zaczynała się wielka gra.

Zaczynała się nowa pogoń za swastyką.

Siedzący obok niego Crowley milczał, zapisywał tylko coś w notesie. Zamiast togi miał na sobie brązowy garnitur, spod którego wystawał fioletowy jedwabny fular.

Naczelnik więzienia przetarł okulary chusteczką, którą starannie poskładał, zanim ponownie się odezwał:

– Na przykład chce, żeby mu przynosić robaki. I zjada je. Mówi, że to źródło życia.

– Cudownie! Wspaniale! Istny Renfield – skomentował Aleister Crowley.



– Ren... field... Nie rozumiem. To jakieś zaburzenie?

– A pewnie. I szczegółowo opisane w powieści Drakula. Renfield, notariusz, sługa hrabiego, kończy w więzieniu, gdzie zjada muchy i karaluchy. Żeby się zregenerować. Nie czytał pan tego arcydzieła?

– Czytałem, dawno temu. Dobra powieść, ale nie...

– Powieść? Pan żartuje, przyjacielu. To dokument z pierwszej ręki na temat wampiryzmu. Dobrze znałem jego autora Brama Stokera. Należał do Hermetycznego Zakonu Złotego Brzasku, w którym byłem jednym ze znamienitych mistrzów. Stoker niczego nie wymyślił, daję słowo, z wyjątkiem paru banialuk o mocy krucyfiksów.

Naczelnik zmarszczył brwi.

– Hm... Proszę mi przypomnieć, kim pan jest właściwie?

Malorley wstał i nie dopuszczając maga do słowa, odparł:

– To doktor Kenneth Anger, specjalista od ludzkich zachowań. Pan wybaczy, naczelniku, ale dosyć nam się spieszy.

Naczelnik raz jeszcze przejrzał dokumenty, które przyniósł Malorley.

– Pozwoli pan, że wykonam jeden telefon, komandorze? To tylko kwestia weryfikacji. Proszę poczekać przy wejściu.

Malorley i Crowley wyszli z gabinetu i cierpliwie czekali w ponurym korytarzu.

– Niech mi pan więcej nie wycina takich numerów – wymamrotał Malorley. – To nie chwila na żarty.

– Mówiłem poważnie.

Naczelnik wrócił kilka minut później i skinął na strażnika.

– Zaprowadźcie panów do celi numer trzy. – Oddał Malorleyowi dokumenty, żegnając go, i badawczym wzrokiem obrzucił Crowleya. – Wydaje mi się, że gdzieś już pana widziałem... Przed wojną byłem naczelnikiem w innych zakładach karnych. Może przychodził pan wypytywać osadzonych?

– Na pewno nie – uciął szybko Malorley. – Raz jeszcze dziękuję za współpracę.

Droga nie trwała długo. Najpierw poszli ciasnymi schodami, potem wilgotnym korytarzem, aż dotarli do sklepionej łukowo ośmiokątnej sali, w której znajdowało się siedmioro drewnianych drzwi pomalowanych na zielono.

Strażnik włożył ciężki klucz do zamka. Ponury zgrzyt odbił się echem od murów. Kiedy weszli do środka, uderzył ich silny zapach stęchlizny. Jakby w celi nie sprzątno od ośmiuset lat. Ściany z poczerniałych kamieni, kamienna podłoga i prosta szpara w ścianie pełniąca funkcję okna, zaopatrzona w grubą żelazną kratę. Wystrój tchnął modelową autentycznością. Służba więzienna poczyniła jednak niejaki ustępstwa na rzecz nowoczesności w postaci na przykład łóżka, żarówki

rzucającej żółtawe światło i ustawionej w kącie ubikacji, która by jak nic pasowała do jakiejś nory w rejonie Shoreditch.

Przybysze stanęli pośrodku celi. Rudolf Hess siedział na łóżku, książkę odłożył na bok i patrzył na nich zdziwiony. Malorleya uderzył kontrast między jasnością jego oczu a czernią brwi. Hess wychudł, wydawał się o dziesięć lat starszy niż na zdjęciach drukowanych w gazetach. Bez przerwy mrużył oczy jak sowa.

– Miło pana poznać, Herr Hess.

– Jesteście z MI Pięć czy z MI Sześć? Trochę się gubię w tych skrótach.

– Ani stąd, ani stąd. Przychodzimy od premiera Winstona Churchilla.

Twarz Hessa nagle pojaśniała.

– Co za szczęście! Nie mogłem przekonać tych osłów z tajnych służb. Przypuszczam, że zabiorą mnie panowie z tego straszego miejsca. Nareszcie! A wiecie, że tu się dzieją dziwne rzeczy?

– No właśnie! – podchwycił Malorley. – Chcielibyśmy wyjaśnić pewne punkty...

– Nein! Fick dich! – Hess zerwał się na nogi z twarzą poczerwieniałą z odrazy. – Jeszcze jedno przesłuchanie! Kretyńscy Anglicy! Nadstawiałem karku, żeby wam przynieść pokój, a wy w zamian mnie dręczycie. Czy tak się traktuje wysłanników w waszym kraju?

– Zwracam uwagę, że sam Adolf Hitler odsądził pana od czci i...

– Nic nie wiecie o intencjach Führera. Nic! Dajcie mi spokój, nie odpowiem na żadne głupie pytanie, dopóki mnie nie wypuścicie i nie zabierzecie na spotkanie z Churchilllem.

– O to właśnie chodzi. W czasie pierwszej rozmowy z premierem poczynił pan aluzję do świętych swastyk znalezionych w Tybecie i na południu Francji.

– Nic nie powiem! Odejdźcie!

Hess z władczą miną skrzyżował ręce na piersi. Crowley podszedł do Malorleya i szepnął:

– Pan pozwoli... – Po czym zwrócił się do nazistowskiego dygnitarza: – Rudolfie, pamięta mnie pan? Aleister Crowley. Kolacja u Hanussena w Berlinie. Pomogłem panu nawiązać kontakt z Baldrem. Z bogiem Baldrem...

Hess obrzucił wzrokiem Crowleya od stóp do głów, po czym rzekł:

– A tak, przypominam sobie... Angielski mag. Ale wygląda pan inaczej, niż pamiętam. Przybrał pan na wadze, mój drogi, to niezdrowe.

Aleister wziął go za ramiona.

– Mój wygląd nie jest ważny, liczy się dusza. Wie pan o tym. Podzielamy te same wartości duchowe. Jak się ma Baldr?

– Wściekł się i nie odzywa się do mnie, odkąd tkwię w tym przeklętym więzieniu. Błąkają się tu udęczone duchy i nie pozwalają mu się objawić.

– Jakie duchy?

– Straszne rzeczy działy się tutaj, zamykano tu wysokich rangą więźniów, którzy mieli być straceni. W tej ohydnej celi zamknięto Annę Boleyn i Katarzynę Howard, żony Henryka VIII. Kazał je ściąć! W nocy słyszę ich krzyki. Dlatego jem robaki: one tego nie lubią i zostawiają mnie w spokoju... – Przerwał i nieufnie popatrzył na Malorleya. – Czy ten tam nie jest przypadkiem z rasy Dawidowej? Nic mu nie powiem o swastykach.

– Skądże, to czysty Aryjczyk. Niech pan się uspokoi. Przyszedłem, żeby panu pomóc. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Chce pan, żebym pana zahipnotyzował? Jak u Hanussena? Dzięki temu nawiązałbym od nowa kontakt z Baldrem. Duchy nic mi nie zrobią, mam talizman, który mnie chroni.

– Zrobiłby pan to dla mnie?

– Pewnie, przecież jesteśmy przyjaciółmi. Proszę oprzeć się o mur i rozluźnić.

*Zamek Wewelsburg*  
*Listopad 1941*

Gospoda w wiosce mieściła tylko garstkę miejscowych, którzy rznąli w karty, popijając z małych kieliszków sznapsa. Himmler, który odrestaurował zamek, by zrobić z niego duchową warownię SS, z pewnością nigdy nie przekroczył granic wioski ani nie oglądał jej mieszkańców. Tutaj nie było wysokich niebieskookich Aryjczyków, lecz krępi chłopci o twarzach ogorzałych od pracy w polu, szorstkim ciemnym zarostem i oczach czarnych jak węgle. Niemcy, którzy w niczym nie przypominali wizerunku naczelnika upowszechnianego przez nazistowską propagandę. Siedzący w pobliżu Tristan z zainteresowaniem słuchał ich rozmowy. Zatrzymali się w tej gospodzie, ponieważ Erika życzyła sobie raz jeszcze przeczytać różne raporty z misji Ahnenerbe na Krecie. Za radą Marcasa oboje ubrali się po cywilnemu, przez co byli niemal niewidzialni dla bywalców, którzy wzięli ich za parę przedstawicieli handlowych. Poza tym Tristan z przymkniętymi powiekami i rozchylonymi ustami zdawał się drzemać już od dłuższej chwili. Człowieka, który pochrapuje publicznie, nikt nie traktuje nieufnie.

– Mówię ci, kuzyn mi powiedział, że słyszeli dziwne hałasy w nocy. A służące w ogóle nie chcą chodzić do wieży – rozległ się czyjś głos.

– Głupi ten twój kuzyn! Do wieży nikt nie może wejść, esesmani wszystkiego pilnują.

– A czemu?

– Przez grobowiec Hitlera. Tam go pochowają, jak odwali kitę. A na razie... – mówiący zniżył głos. – Na razie odprawiają tam jakieś ceremonie, rytuały, żeby przedłużyć Hitlerowi życie.

– Cicho bądź! Ściany mają uszy.

Rozmowa się urwała. I Tristan nie usłyszał nic więcej oprócz regularnego szelestu kart kładzionych na stół. Mógł się obudzić, poczekał jednak, aż Erika potrząśnie go za ramię.

– Spałeś?

– I to głęboko – odparł Francuz. – Śniłem o tobie.

Płatanina wąskich uliczek prowadziła do nowego Camelotu Himmlera. Ponieważ już dochodzili do zamku, którego odnowione mury ginęły w szarym jak popiół niebie, Tristan zapytał Erikę:

– O czym rozmawiali ci ludzie w gospodzie?

– Nie mam pojęcia, czytałam. Czemu pytasz? Interesuje cię to?

– Z ciekawości, dyskusja wydawała się dość ożywiona. Jaki mamy plan?

– Jesteśmy umówieni z profesorem Waldenbergiem. To mediewista, specjalista od dawnej broni. Najpierw jednak zajrzemy do sali swastyk.

Na te słowa Francuz stanął jak wryty, czym zdziwił Erikę.

– Nie masz ochoty zobaczyć artefaktu, który uratowałeś w Montségur?

– Mam, ale myślałem, że tam wstęp wzbroniony.

– Reichsführer zezwolił.

Przechodząc przez kolejne kontrole, Tristan wspominał rozmowę z gospody. Nie dziwiło go, że wieśniacy wymyślają legendy na temat miejsca, do którego mają zakaz wstępu. Zwłaszcza że zamek był własnością wyłącznie Himmlera, co prowokowało te wszystkie bajania. Mówiono, że w ukryciu oddaje cześć pogańskim bóstwom, że obsesyjnie kolekcjonuje wszelkie książki na temat czarownictwa, nigdy natomiast Marcas nie słyszał, aby plotkowano o rytuałach i ceremoniach magicznych. A tym bardziej o przedłużeniu Hitlerowi życia. Jak taki pomysł mógł przyjść do głowy bywalcom wiejskiej gospody? Co właściwie ze swastykami robili Himmler i jego totumfaccy?

Minęli właśnie główny dziedziniec, ozdobiony czarnymi proporcami z dwiema runami SS, i weszli na kręcone schody prowadzące na wieżę.

– Byłaś tu już? – zapytał Tristan, widząc, że Erika staje przed drzwiami na pierwszym podeście.

– Tak, po powrocie z Montségur. Himmler pokazał mi salę swastyk.

Drzwi otworzył oficer, skłonił się przed archeolożką, dłonią wskazując wąski kamienny korytarz. Von Essling bez słowa ruszyła za nim z Tristanem podążającym z tyłu. Oficer zatrzasnął drzwi.

– Spodziewałem się, że będzie więcej strażników...

– Nic nie mów.

Znaleźli się w okrągłej sali zbudowanej z kamienia. Zapalił się jeden, drugi, trzeci, potem czwarty reflektor w posadzce, rzucając na sklepienie pionowe światło, które odbiło się w całym pomieszczeniu. Wycięte w kamieniu cztery nisze w kształcie swastyki znaczyły strony świata.

– Na wschodzie jest swastyka znaleziona w Tybecie – wyjaśniła Erika – a na południu artefakt z Montségur.

Tristan podszedł do jednej i drugiej. Były identyczne, jedna tylko usiana dużymi brązowymi plamami. Nagle Marcas odniósł wrażenie, że znalazł się w miejscu składania ofiar jakimś strasznym bóstwom. Podniósł wzrok na sklepienie i zauważył w nim otwór.

– Co jest na górze?

– W średniowieczu tutaj był loch. Nie było wtedy korytarza, którym przyszliśmy, a więźniów opuszczano przez ten otwór.

– A dziś co tam jest?

– Sypialnia Hitlera.

Kiedy wrócili na korytarz, który prowadził na piętro, Marcas starał się ukryć dręczące go pytania. Na pamięć wróciło mu jedno zdanie, które w ostatnich miesiącach Himmler coraz dobitniej wypowiadał. „Budujemy tysiącletnią Rzeszę”. A jeżeli prawdziwym celem poszukiwania swastyk jest nie zwycięstwo nad Anglią Churchilla i Rosją Stalina, lecz nieśmiertelność? Nieśmiertelność Hitlera?

– Jesteśmy.

Erika przekręciła gałkę u podwójnych drzwi, które otworzyły się na ogromną salę o ścianach zastawionych książkami po sam sufit. Do pomieszczenia pogrążonego w półmroku przez kilka okien zasłoniętych storami wpadało trochę światła. Na pokrytej parkietem podłodze ustawiono długie dębowe stoły, leżały na nich stosy książek. Każdy stół opatrzono tabliczką z nazwiskiem, w każdym przypadku poprzedzonym tytułem profesorskim.

– To nazwiska nauczycieli, którzy kształcą kadry SS na seminariach prowadzonych na zamku.

– Ciekawe... Po niemiecku częściej obdarza się ludzi tytułem „doktor” niż „profesor”, prawda?

– Kiedy przeszło się przez uniwersytet, owszem, ale niektórzy tutejsi nauczyciele nigdy nie postawili nogi w żadnej szkole wyższej. Dlatego żeby nikogo nie urazić, wszystkich tutaj tytułuje się profesorami. Himmler wybrał kilka osób o poglądach dość marginalnych, żeby nie powiedzieć heretyckich.

Doszli do stołu, na którym zamiast książek ustawiono kolekcję globusów. Tristan zbliżył się do nich. Zawsze go fascynowały zabytkowe globusy. Zwłaszcza te, na których widniały magiczne słowa „Terra incognita” na oznaczenie ziem jeszcze nieodkrytych.

– To biurko profesora Hörbigera. Pasjonuje się globem ziemskim, a poglądy ma rozkosznie ekscentryczne. Jego zdaniem żyjemy wewnątrz gigantycznego dołu. Jakbyśmy mieszkali w pestce owocu.

– Żartujesz?

– Skądże. A kiedy patrzymy w niebo, widzimy nie nieskończoność, tylko skórkę tego owocu od środka.

– A gwiazdy?

– Zwykle złudzenie optyczne spowodowane załamaniem światła.

Marcas oniemiał.

– Ale Hörbiger zastanawia się też, czy ten owoc, w którym mieszkamy, nie pływa w oceanie światła. W takim wypadku migotanie gwiazd byłoby przenikaniem tego światła w miejscach, gdzie skórka owocu jest cieńsza albo przebita.

– Całe szczęście, że ten profesor Hörbiger żyje w dzisiejszych czasach. W średniowieczu skończyłby na stosie. Nie mogę uwierzyć, że Reichsführer interesuje się takimi absurdami.

– Himmlera interesuje tylko aspekt militarny tej teorii. Załóżmy, że nad nami naprawdę jest jakaś ściana, skórka, membrana czy co tam chcesz. Możesz posłać w jej stronę potężny promień światła, który się od niej odbije, a jeżeli dobrze obliczysz kąt, możesz uderzyć w każdy punkt globu pozostający dzisiaj poza zasięgiem twoich samolotów bojowych.

– Jak na przykład Stany Zjednoczone! – zawołał Marcas, który zrozumiał ideę. – Ale do tego trzeba by promienia o naprawdę ogromnej energii.

– Owszem, tyle że niedługo będziemy mieli wszystkie cztery swastyki.

Dotarli do centralnej części biblioteki. Stał tam nie długi stół przeznaczony dla nauczycieli, lecz kamienny ołtarz, który zapewne zrabowano z jakiegoś kościoła. Na płaskim kamieniu leżał pulpit z ciemnego drewna nakryty szklaną piramidą.

– Prywatna kolekcja Heinricha Himmlera – obwieściła archeolożka.

– Mieszanie romańskiego ołtarza z barokowym pulpitem... cóż, rozpoznaję tu znakomity gust Reichsführera...

– Podejdz.

Na pulpicie leżała księga w czerwonej skórzanej oprawie z tytułem wypisanym gotykiem. Pochyliwszy się nad nią, Tristan zauważył, że kartki nie są jednakowej wielkości. Nie był to zatem egzemplarz drukowany, lecz prawdopodobnie bardzo stary manuskrypt.

– Oto Thule Borealis Kulten.

Marcas się wzdrygnął. Z powodu tej księgi pułkownik Weistort uprowadził go w Hiszpanii, sfingował jego śmierć i wciągnął go w mordercze poszukiwania w Montségur.

– Może byś mi wytłumaczyła, co takiego zawiera ta księga? Wiem tylko, że została napisana pod koniec trzynastego wieku.

– Nasi specjaliści zbadali ją od podszewki. Na pewno została spisana przez mnicha w skrytorium jakiegoś klasztoru. Tak wynika z analizy pergaminu i pisma.

– Wiadomo z jakiego regionu Europy?

– Po porównaniu z innymi manuskryptami z epoki przypuszcza się, że powstała na południu Niemiec.

– Czy w okolicy bogatej w klasztory?

– Niespecjalnie, ale poszukiwania komplikuje to, że jej autor dowiódł wielkiej wiedzy historycznej i geograficznej, która nie miała nic wspólnego z wiedzą ówczesnych mnichów.

Francuz okazał zdziwienie.

– Może nie chodzi tu o mnicha, tylko o podróżnika, który zatrzymał się tam przejazdem – zasugerowała Erika.

– A jak manuskrypt dotarł do was?

– Weistort go pozyskał od jakiegoś żydowskiego antykwariusza.

Tristan powstrzymał się od zapytania, jak się dokonało to „pozyskanie”. Były szef Ahnenerbe z pewnością nie wymienił księgi za bręczącą monetę.

– Można ją obejrzeć?

Erika wskazała zamek na szklanej piramidzie.

– Tylko Himmler ma klucz.

– A ty wiesz, co zawiera?

– Tak. To historia pierwszego ludu, Hiperborejczyków, którzy w wyniku katastrofy klimatycznej podzielili się na cztery grupy migracyjne. Każda zabrała jedną swastykę. W tekście są wskazówki odnoszące się do miejsc, gdzie swastyki złożono.

– Tylko że w Knossos niczego nie było.

– Coś było. Miecz. – Von Essling spojrzała w głąb biblioteki, gdzie widać było blask jednej lampy. – I ktoś nam tu pomoże.



*Londyńska Tower*  
*Listopad 1941*

Malorley z niedowierzaniem patrzył, jak nazista pozwala kierować sobą niczym dziecko.

Mag wyjął z kieszeni niewielki graniastosłup koloru czerwonego, wytarł go chusteczką, później ustawił pod światło, aż kamień zaiskrzył.

– Rubin Cytoraka... Prezent od maharadży Raszpuru. Pozwala bez wysiłku wejść w hipnozę.

Malorley nie wierzył w ani jedno słowo maga, Hess jednak mu uległ i to było najważniejsze. Crowley zakołysał kamieniem na wysokości oczu więźnia.

– Proszę patrzeć na rubin i wsłuchiwać się w mój głos. Tylko w głos. Jesteś bezpieczny, światło Cytoraka niesie ci nieskończony spokój. Twój oddech się uspokaja, serce bije miarowo. Wolno, bardzo wolno wdychaj i wydychaj powietrze. Odeszliśmy daleko, bardzo daleko stąd. Do Niemiec, do twojego przytulnego domu w Berlinie.

Hess wydawał się rozluźniony.

– Wchodzisz do środka i idziesz prosto do salonu. Panuje tam przyjemne ciepło. Teraz siadasz w swoim fotelu. Co widzisz?

– Ogród. Cały w kwiatach.

– Jakie to kwiaty?

– Róże, czerwone róże... wspaniałe. Moja żona Ilse jest świetną ogrodniczką.

– Dobrze... Wpatruj się w róże i czekaj na mnie, póki nie przywołam Baldra. – Crowley się wyprostował i podszedł do Malorleya. – Jest w stanie głębokiej hipnozy. Przypuszczam, że chce pan, aby mówił o tym, o czym powiedział mi pan w samochodzie. O swastykach i księdze... Jaki to tytuł?

– Thule Borealis Kulten.

– Zważywszy na to, co się stało w czasie poprzedniego seansu w Berlinie, nie ręczę za wyniki, a tym bardziej za skutki.

– To nic! Później Hess znowu trafi pod pieczę MI Pięć, poradzą sobie z ewentualnymi skutkami ubocznymi.

– Jak pan sobie życzy.

Crowley znów usiadł obok Hessa, który zdawał się wyjątkowo spokojny.

– To ja, Baldr – rzekł cicho mag głosem osobliwie melodyjnym. – Poznajesz mnie? Na twarzy przyjaciela Hitlera pojawiła się głęboka radość.

– Nareszcie wróciłeś! Miałem jakiś absurdalny koszmar, śniło mi się, że siedzę w więzieniu. W Londynie. W wieży. Sam już nie wiem, czemu były tam kobiety bez głowy, które mi się przyglądały.

– To tylko zły sen. Potrzebuję cię. Pomożesz mi?

– Tak, ale pilnie muszę się widzieć z Führerem. Göring i inne szczury namawiają go do ataku na Anglię. Nie mogę pozwolić, by popełnił ten błąd. Jeszcze nie jesteśmy niezwyciężeni. Ciągłe nie mamy wszystkich świętych swastyk.

– No właśnie. Muszę wiedzieć, gdzie jest ta, którą znaleziono w Tybecie.

Hess się skulił.

– Jest na zamku Himmlera. Tam wszystkie mają zostać zgromadzone. Himmler dużo wie, to mój jedyny sojusznik. Musi mi pomóc przekonać Hitlera.

– Opisz mi ten zamek.

– To Wewelsburg... świątynia Czarnego Zakonu. Miejsce, gdzie mieszkają duchy. Ale... znasz go, panie, mówiłeś mi o nim.

– Owszem. A powiedz... księga... Thule Borealis Kulten... też tam jest?

– Tak, w bibliotece. Przeglądałem ją, to niebezpieczne dzieło.

– Rudi, biorę cię za rękę, opuszczamy twój dom, żebyś dokładnie przypomniął sobie otoczenie. Jesteśmy na zamku. Widzisz go?

– Tak... Wszędzie palą się pochodnie. Jest noc. Himmler stoi obok mnie, pokazuje mi Thule, która leży na pulpicie. Na czerwonej okładce widać symbol naszej partii.

– Otwórz księgę.

– Na jednej ze stron widać... paloną czarownicę. Jest też ostrzeżenie. Mówi, że... kto nie będzie godzinie czytać księgi, też spłonie. I jest narysowany diabeł... Ale... Nie mogę więcej. Wszystko ciemnieje.

Niemiec wiał się na łóżku z wykrzywioną twarzą. Coraz szybciej oddychał. Mimo chłodu w celi obficie się pocił.

– Czytaj dalej. Ja cię chronię.

– Nie... nie mogę... Demon wyszedł z księgi, szepcze coś w mroku. Nie... zostawcie mnie!

Crowley zerknął na Malorleya.

– Trzeba przerwać seans. Proszę go spytać, gdzie jest trzecia swastyka!

– Jak pan chce. – Mag odwrócił się do Hessa. – Przerzucaj kartki, Rudi. Nic ci nie grozi. Taki demon to nic w porównaniu z potęgą boga z Walhalli.

– Nie mogę, Himmler chowa księgę.

– Gdzie?

– Czarownica... ona pilnuje... O nie, demon mnie zobaczył.

– Jaka czarownica?

Nagle Niemiec wrzasnął. Zesztywniał, oczy wyszły mu z orbit.

– Pożera mnie! Litości!...

Drzwi celi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł strażnik, wymachując pałką.

– Co tu się dzieje, do licha?

Crowley kołysał rubinem przed oszalałymi oczami Hessa, Malorley przytrzymał go na łóżku.

– Obudź się! – ryknął Crowley. – Przegoniłem demona. Jesteś bezpieczny.

– Nie! On wchodzi we mnie!

Hess wrzeszczał w najlepsze. Z ust ciekła mu ślina.

– Wygląda na atak padaczki. Wezwać lekarza!

Strażnik podszedł do łóżka.

– Rany boskie!

– Później wezwie pan na pomoc swojego Boga – mruknął Crowley pogardliwie.

Do celi weszli dwaj inni strażnicy, za nimi naczelnik więzienia, który zgromił Crowleya wzrokiem.

– Już wiem, gdzie pana kiedyś spotkałem. W zakładzie karnym w Leeds jako więźnia. Skazanego za obrazę obyczajów. I miał pan czelność zorganizować przemyt pornografii do mojego zakładu! Wynocha stąd, zanim pana przymknę!



*Opactwo Heiligenkreuz*  
*Październik 1908*

Pierwszy śnieg leżał na brukowanej drodze, która wiodła do bramy klasztoru. Oparty o drzewo Hitler wpatrywał się w kopułę dzwonnicy błyszczącej w świetle księżyca. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola, jedno z nich pięło się po zboczu wzgórza zwieńczonego wieżą. To na pewno wieża strażnicza, pomyślał Adolf, ale raczej nie była zbyt skuteczna. W Austrii wszyscy wiedzieli, że opactwo Heiligenkreuz zostało splądrowane i spalone przez Turków w roku 1683. Ta data była symboliczna, wtedy bowiem Wiedeń omal nie wpadł w muzułmańskie ręce, a wraz z nim z pewnością muzułmańska stałaby się reszta Europy.

Adolf postawił kołnierz kurtki i chuchnął w dłonie, aby je ogrzać. Dostał od Lanza wiadomość, żeby po zapadnięciu nocy stawiał się przed opactwem, teraz się jednak zastanawiał, czy dobrze zrobił, że przyszedł. Uważnie przeczytał wszystkie numery „Ostary” w Bibliotece Narodowej i choć podzielał większość poglądów redaktora pisma, dotąd nie potrafił pojąć, jak Lanz może poważnie myśleć o wcieleniu w życie swojego programu: odnowienia rasy aryjskiej i narzucenia jej innym. Hitler wrzucił ramionami. Wystarczyło godzinę pochoździć po Wiedniu, aby sobie uzmysłowić, że miasto stało się kosmopolityczne. A wiedeńczycy jednego tylko pragnęli: kupować cuda nowoczesnej techniki, samochody i telefony. Idee Lanza znajdowały oddźwięk jedynie wśród ludzi zdeklasowanych, a Hitler musiał się pogodzić, że należy do tej grupy.

– Herr Hitler? – Pojawił się Weistort z lampą w ręce. Wskazał monumentalne wejście do opactwa za wysokim ogrodzeniem. – Z boku jest wejście służbowe, niech pan idzie za mną.

Szybko przebyli ośnieżony dziedziniec, później skręcili w lewo, w stronę kościoła. Witraże były oświetlone, dobiegał ich dźwięk dzwonka wzywającego mnichów na modlitwę.

– Dokąd idziemy? – zapytał Hitler, którego intrygował tajemniczy kierunek marszu.

– Na pewno nie na modlitwę z zakonnikami.

Minęli kaplicę – Adolf zauważył, że chyba jest starsza niż reszta budynków. Łuki przyporowe obejmowały ją, jakby chciały chronić przed zawieruchami. Najwyraźniej była opuszczona. Weistort się zatrzymał i podał lampę Adolfowi. Z kieszeni wyjął klucz, który wetknął w śnieg.

– Zamek zardzewiał – wyjaśnił. – Jak klucz jest mokry, nie skrzypi tak bardzo przy otwieraniu.

W bladym świetle latarni ukazały się niskie drzwi, które jakby przepchnęły się przez grube, masywne mury z szarego kamienia, migoczącego teraz od szronu. Adolf wszedł pierwszy. Kamienną posadzkę kaplicy pokrywały ptasie odchody. Kiedy Weistort uniósł lampę, aby się rozejrzeć, nietoperze z przeraźliwym piskiem wyleciały przez wybite okna. W pomieszczeniu wisiał smród stęchlizny.

– Zapach Kościoła katolickiego – ironicznie rzucił – który się rozkłada i kona. Smród powolnego umierania. I pomyśleć tylko, że z klasztorów cysterskich wyruszały tysiące krzyżowców na podbój Wschodu... Co za upadek!

Hitler go nie słuchał. Rozglądał się powoli dokoła: kąpielnica przewrócona na ziemię, posąg pozbawiony głowy, na ścianach ciągnęły się wykwity pleśni. Od tygodni nie tknął pędzla, a teraz niespodzianie zapragnął malować. Wyobraził sobie, jakie ponure fantomatyczne efekty mógłby osiągnąć w takim miejscu... Nieświadomie poruszył ręką, jakby pociągał pędzlem. Nie no, po co? Nikt nie chciał jego obrazów. A on dojrzał dzięki porażce w konkursie do Akademii Sztuk Pięknych. Wydawało mu się, że wreszcie pojął coś istotnego: na nic się nie zda zamiana tego, co rzeczywiste, w ideał. Sztuka to iluzja, a najwięksi artyści to sami manipulatorzy. Przemalowują świat, żeby stał się dla nas znośniejszy. Wszystko kłamstwo, oszustwo. Teraz już rozumiał: rzeczywistości nie powinno się upiększać, rzeczywistość należy zmieniać. A w tym celu trzeba działać.

– Przyszedł pan... – Niemal przezroczyta sylwetka Lanza rysowała się między dwiema kolumnami. Nie ruszał się, obserwując Hitlera, jakby nie dowierzał jeszcze, że tutaj jest. – Odpowiedział pan na wezwanie przeznaczenia. I dlatego jest pan tutaj. – Podeszedł do Hitlera, wskazał płytę z poczerńiałego drewna leżącą na posadzce tuż przed zrujnowanym ołtarzem. – Niech pan podniesie.

Adolf wykonał polecenie. Odsłonił czarną czeluść studni, z której powiało lodowatym chłodem.

– Tam znajduje się święte źródło, które czcili nasi przodkowie, zanim prawa Chrystusa przytłoczyły ten świat. Tutaj wznosiły się świątynie najpierw Celtów,

później Germanów, a chrześcijańscy mnisi czym prędzej zagarnęli je i przekabacili na swoją modłę. Odtąd w miejscu, gdzie czczono siłę i potęgę ziemi, musiano klękać przed ukrzyżowanym bóstwem, które nadstawia drugi policzek. – Głos Lanza, teraz głębszy, niósł się echem w kaplicy. – Ale w przyrodzie nigdy nic nie ginie, wyłania się na powrót pewnego dnia. Słyszał pan o rycerzach Świątyni?

– To ci rycerze, którzy chronili pielgrzymów w drodze do Ziemi Świętej?

– Zgadza się. Najpierw była ich garstka, a później stali się zbrojnym ramieniem Boga na ziemi, szli wszędzie, gdzie trzeba było walczyć z niewiernymi. Od Morza Czarnego po brzeg Nilu, od Hiszpanii po Jerozolimę. Bali się ich wrogowie, obawiali się przyjaciele. Za bardzo zresztą... – Lanz zdjął okrągłe okulary w cienkiej oprawce, przejechał ręką po głowie i ciągnął: – Dramatem templariuszy stało się zniszczenie zakonu ogniem i krwią. To tragedia, którą dyrygowali papież i król Francji i która całkowicie przesłoniła ich prawdziwą misję.

Adolf wyteńczył uwagę.

– Brutalny koniec templariuszy pozwolił stworzyć mit. W bibliotekach półki uginają się od książek, w których jakoby ujawnia się ich tajemnice. Ludzie przekopują archiwa w poszukiwaniu dowodów ich mocy, przetrząsają dawne komandorie w pogoni za ich skarbami i gubiąc się w legendzie, odmawiają akceptacji.

– Akceptacji czego? – spytał Hitler.

– Prawdy.

Rozbrzmiał dzwon kościelny. Skończyło się wieczorne nabożeństwo. Mnisi zaraz udadzą się do dormitorium. Weistort narzucił kurtkę na lampę. W kaplicy zapadła ciemność, którą po chwili zaczęły pomału rozpraszać księżycowe promienie wpadające przez wysokie okna. Na paluszkach Weistort przesunął się do drzwi, by w razie czego zapobiec czyjemuś wejściu. Lanz natomiast ani drgnął. Wpatrywał się w Hitlera.

– Chce pan poznać prawdę?

Prawdę? Ależ on już ją znał. Porywczy znienawidzony ojciec, przedwcześnie zmarła matka, nieudane studia, talent, a raczej brak talentu malarskiego... Oto prawda. Jedyna.

– Tak.

Zdziwiony własną odpowiedzią Hitler o mało się nie obejrzał, by sprawdzić, kto się odezwał w jego imieniu, lecz Lanz już chwycił go za rękę.

– No to chodźmy. Pora zejść do krypty.

Adolf po raz pierwszy szedł do świata podziemnego. Kiedy schodził po rozchwierutanych stopniach, odnosił wrażenie, że zstępuje do piekieł. Ale gdy znalazł się pod niknącym w ciemnościach sklepieniem, nie doświadczył

negatywnych odczuć. Przeciwnie, mrok, cisza, ciężkie kamienie nieoczekiwanie wzbudziły w nim poczucie bezpieczeństwa. Mówił sobie, że tutaj przynajmniej nikt go nie dosięgnie, że niesprawiedliwość i pogarda pozostały na powierzchni. Zagłębiony we własnych emocjach, jeszcze nie zauważył postaci, które półkolem stały przed nim. Kiedy podniósł wzrok, Weistort akurat postawił lampę na ziemi. Hitler się poczuł, jakby znalazł się przed sądem. Lanz stał wśród sześciu odzianych na czarno mężczyzn.

– Podejdź bliżej.

Adolf postąpił krok naprzód i znieruchomiał. Nie widział twarzy nikogo z obecnych, wszystkie spowijała ciemność. On natomiast był doskonale widoczny. Zastanawiał się, o czym oni myślą. Dlaczego tak go obserwują? A może to jakieś przygotowanie wstępne? Próba? Przygryzł wargę pod wąsem. Aby ukryć niecierpliwość, wpatrzył się w ziemię. Wśród ułożonych na niej płyt wyróżniała się jedna, dłuższa i jaśniejsza. W kamieniu zdawała się wyżłobiona niewyraźna postać. Może to grób, tyle że w tej krypcie musiało ich być wiele. Wypełniały ją po brzegi.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś?

W chwili gdy Adolf miał odpowiedzieć, rozległ się głos:

– Aby zobaczyć i poznać.

– Niechaj więc zobaczy.

Przed Lanza, który to powiedział, Weistort wyciągnął lampę – jej światło wydobyło z ciemności połobiony kamień dawnego ołtarza.

– Wiesz, dlaczego kamień jest nagi?

Tym razem Hitler nie próbował udzielić odpowiedzi. W dodatku uznał, że w tej zabawie w pytania i odpowiedzi jest coś dziecinnego. Naprawdę nie po to tutaj przyszedł.

– Aby pytać i uczyć.

– Niechaj się więc nauczy.

I znowu Weistort się włączył – przyniósł księgę, którą ostrożnie położył na ołtarzu. Adolf natychmiast zwrócił uwagę na czerwoną okładkę, a przede wszystkim na to, że karty nie są równo przycięte. Nie była to Biblia, jak początkowo sądził, lecz jakaś stara księga. Bardzo stara. Niewątpliwie manuskrypt.

– Wiesz, dlaczego księga jest zamknięta?

– Aby zwieść i zgubić.

Lanz zwrócił się do Hitlera wciąż stojącego bez ruchu.

– Kto otwiera tę księgę, dociera do prawdy. Do tej prawdy, która się ukrywa i wychodzi na jaw. Do prawdziwej historii świata i ludzi. Jesteś gotów ją poznać?

– Co mam zrobić? – zapytał Adolf coraz bardziej zniecierpliwiony tym dziecięcym rytuałem.

Weistort wziął go za rękę i poprowadził przed ołtarz. W tym czasie towarzysze Lanza zapalali świece w głębi krypty. Płyty na ziemi zniknęły, zastąpił je piasek skrzący się w świetle.

– Otwórz księgę.

Hitler odwrócił okładkę, odsłaniając pierwszą stronę, czystą, następna zapełniona była drobnym pismem. Na prawym marginesie dwaj jeźdźcy pędzili na jednym koniu, każdy z mieczem w dłoni. Lanz znów się odezwał:

– Tak spieszy prawda, która mówi za pośrednictwem obrazu. Wiesz, co przedstawiają ci jeźdźcy?

Adolf pokręcił głową. Już go zmęczyły zagadki.

– To rycerze Świątyni. Przedstawia się ich zawsze po dwóch dla podkreślenia ich braterstwa broni. Templariusz nigdy nie jest sam w walce. To stanowi o jego sile.

Każdy z obecnych wyciągnął rękę i dotknął palcami brzegu księgi, jakby chciał dzielić zawartą w niej tajemniczą wiedzę.

– Wspólnota duchowa – polecił Lanz.

Hitler odczekał kilka chwil, po czym przerwał cichą medytację:

– A może zamiast gadać o templariuszach, powiedzielibyście mi wreszcie, dlaczego tu jestem?

Zanim redaktor „Ostary” mu odpowiedział, długo się w niego wpatrywał.

– Jak wiesz, rasa ciemna podbiła świat, rozrzedzając rasę aryjską, niemal ją unicestwiając, ale w każdej epoce przychodzi chwila, gdy krew na nowo przemawia. W średniowieczu było to powstanie zakonu templariuszy.

– Nie rozumiem.

– Nie widzisz, że w pełni średniowiecza, kiedy chrześcijaństwo narzucało posłuszeństwo wobec panującego porządku społecznego i powszechne poczucie winy, templariusze uosabiali ducha podboju i witalną potrzebę przemocy? Powstanie zakonu było instynktowną reakcją aryjskiego ducha na zniewolenie. Dlatego czcimy pamięć rycerzy Świątyni.

Hitler się zastanowił. Czyli ludy nawet uciśnione, ciemnione, przetrzebione mogą doznawać przypływu siły. Wspomniał Wiedeń i jego wrzącą mieszankę narodów, ras i religii. Czy to możliwe, że w tym światowym mieście przetrwała jeszcze iskra zdolna rozpalić stary germański naród?

– Niech się stanie Światłość.

Każdy z obecnych ujął świecę, po czym utworzyli świetlisty trójkąt, którego jeden wierzchołek skierowany był w ciemną głębię krypty.



– Naprzód.

Świetlista strzała zatrzymała się o kilka kroków od czarnej tkaniny przypominającej kurtynę teatralną. Hitler odnosił wrażenie, że już to widział. Jakby kiedyś wcześniej przeżył taką scenę.

– Mroki ignorancji okrywają świat. Pozbawiono nas przeznaczenia, pozbawiono nas pamięci, odebrano nam siłę... uczyniono z nas ludzi bez przyszłości, wyciutych z nadziei... – Zapadła cisza. – Ale nie bez wiedzy. – Lanz odwrócił się do kotary, która zasłaniała głębię krypty. – Niechaj stanie się prawda!

Kotara się rozsunała.

Pojawił się mur, na którym widniał wyryty krzyż.

Krzyż, którego każde ramie w połowie opadało pod kątem prostym.

Hitler nigdy czegoś takiego nie widział.

– Z mroku czasów przybywa do nas ten symbol. Jest znakiem rozpoznawczym Aryjczyków w każdej epoce, w każdym miejscu. Dzięki niemu podbili ongiś świat. Dzięki niemu przynieśli światło, które rozjaśniło świat.

– Chwała swastyce! – wykrzyknęli adepci Lanza.

– Dzięki temu symbolowi ludzie dosięgnęli najwyższego poziomu myśli i mądrości, dosięgnęli tego, co posiadli nasi przodkowie. Dzięki temu symbolowi nawiążujemy do ich linii. Dzięki temu symbolowi znowu zwyciężymy.

– Chwała swastyce!

Hitler dyskretnie obejrzał się na Weistorta, który stał z nieprzeniknioną twarzą. Czy on też w to wierzy? W symbol, który pozwoli rasie wyższej podbić i ucywilizować świat? W symbol, którego znaczenie ci wyżsi ludzie gdzieś zagubili, a rycerze Świątyni je odnaleźli?

Nie zdążył postawić sobie innych pytań. Lanz wziął go za rękę i poprowadził pod wyryty krzyż.

– Przyjrzyj mu się dobrze, Adolfe Hitlerze, i przesiąknij mistycznym znaczeniem swastyki, bo niedługo będzie panowała nad światem.

Czy to z powodu głodu, który Adolf cierpiał od wielu dni, czy pod wpływem okultystycznej potęgi symbolu młody malarz poczuł, że nogi się pod nim ugięły. Wyciągnął dłoń do swastyki, ona jednak zaczęła rosnąć i obracać się wokół własnej osi, jakby po drodze chciała wszystko wchłonąć.

Hitler otworzył usta, by krzyknąć o pomoc, lecz było za późno.

Nieznana przemożna siła go wciągała.

Runął na ziemię.

*Zamek Wewelsburg*  
*Listopad 1941*

Profesor Waldenberg już dawno rozstał się ze światem żywych. Na uniwersytecie legendarne stało się jego roztargnienie. Potrafił pomylić aule i rozwodzić się na temat średniowiecza przed ubawionymi studentami, którzy czekali na wykład z mechaniki cieczy. Krążąc po oceanie wiedzy, swoich współczesnych miał za odległe malutkie wysepki. Żył jedynie dla historii i czuł się znacznie swobodniej z jedenastowiecznym rycerzem niż z członkiem własnej rodziny. Fenomenalny erudyta o równie błyskotliwym jak logicznym sposobie rozumowania bardzo szybko zwrócił uwagę Reichsführera, który zaoferował mu wikt i opierunek na zamku Wewelsburg. Za grubymi murami, z których już nigdy nie wyjdzie, profesor Waldenberg żył wyłącznie dla badań.

– I ten człowiek ma nam pomóc? – zdumiał się Tristan, wysłuchawszy z ust Eriki malowniczego opisu naukowca.

– To najlepszy w Niemczech specjalista od średniowiecznego uzbrojenia. Posłałam mu miecz zaraz po powrocie do Berlina. Na pewno już coś wie.

Francuz poszedł za nią pośród regałów z książkami, myślami jednak był gdzie indziej. Zastanawiał się, czy jego wiadomość dotarła do Londynu, do Malorleya. Ksiądz, który miał ją przekazać, nie wzbudził jego zaufania. I nie chodziło o lojalność duchownego, lecz o to, czy zdołałby wytrzymać ewentualne przesłuchanie. Wiara w Boga nic nie daje w obliczu tortur. A jeżeli ksiądz sypnie, ile czasu będą potrzebowali, aby dotrzeć do Marcasa? Dzień? Dwa dni? I jak długo on potrafi znieść ból?

– Oto i profesor – szepnęła Erika.

Przy stole czekał na nich Waldenberg, paląc papierosa. Przywilej ów zdziwił Tristana, który wiedział, jak bardzo Himmler nienawidzi najlżejszego nawet zapachu dymu tytoniowego. Waldenberg w ogóle nie przypominał człowieka, jakiego Marcas sobie wyobrażał. W eleganckim czarnym garniturze, z włosami idealnie zaczesanymi do tyłu, wydawał się gotów na wytworne przyjęcie. Tristan myślał, że będzie miał do czynienia z szalonym naukowcem o nieobecny wzrok, tymczasem miał przed sobą dandysa, który wpatrywał się w nich bystrym okiem.

– Frau Essling, jak mniemam?

Erika kiwnęła głową. Na stole leżał miecz znaleziony w Knossos. Starannie go wyczyszczono i teraz błyszczał w chwiejnym blasku świateł.

– A więc to państwo znaleźli tę broń na Krecie – powiedział naukowiec. – Zaskakujące znalezisko, bo od razu powiem, że pochodzi skądinąd.

– Przeprowadził pan już analizę stopu? – zdziwiła się Erika.

Waldenberg stuknął palcem w miecz. Nieoczekiwanie rozległ się brzęk, który zaraz ucichł.

– Kto ma wyćwiczone ucho, zgadnie, jakie są proporcje żelaza i miedzi czy cyny. To równie pewna metoda jak poddawanie metalu całej serii reakcji chemicznych, a przede wszystkim szybsza. A ponieważ w średniowieczu każde europejskie królestwo miało inne zasoby bogactw naturalnych, różny był też sposób wykuwania mieczy.

– Czyli potrafi pan powiedzieć, skąd pochodzi? – zapytał Tristan.

– Z południa średniowiecznych Niemiec, co dzisiaj odpowiada terenom między Monachium a Wiedniem.

– Ale jak miecz znalazł się na Krecie? – drążyła Erika nalegająco.

– W epoce wypraw krzyżowych wyspa była zarazem miejscem strategicznym i wymiany gospodarczej – wyjaśnił Waldenberg. – Statki, które płynęły na Wschód, pobierały tam zaopatrzenie, a wracające handlowały rzadkimi towarami. Europejczyków było tam wielu. Jeden z nich nosił ten miecz.

– Krzyżowiec?

– Albo kupiec lub mnich... W tych okolicach wszyscy nosili broń. To była kwestia przetrwania.

Archeolożka położyła dłoń na obciążonej skórą rękojeści miecza.

– Jak pan doskonale wie, profesorze, niektóre miecze były bardziej ozdobne niż inne. Czy po tym można wywnioskować, jaki był status społeczny jego właściciela?

– Nie, rękojeść jest bez zdobień i ornamentów. To broń bojowa, nie paradna.

– Czy na klindze jest wygrawerowana jakaś figura, symbol, znak?

Waldenberg delikatnie zgniótł papierosa w popielniczce. Dłonie miał długie i kościste.

– Jeśli chodzi pani o wskazówki, to nie ma żadnych. Ani dewizy, ani herbu, zupełnie nic. To miecz nieznanego człowieka i taki pozostanie.

Spotkanie dobiegło końca i właśnie wtedy Tristan zrozumiał, że odmalowany przez Erikę portret naukowca był dokładny. Profesor Waldenberg już ich opuścił. Choć fizycznie nadal przebywał w bibliotece, duchem znalazł się gdzie indziej,

a uśmiech, który błąkał mu się na ustach, był niczym piana za statkiem znikającym na horyzoncie.

– Zupełnie jak burza – zauważył Marcjas, kiedy szli z powrotem przez bibliotekę.

– Tyle że ta burza nigdy się nie myli. Miecz donikąd nas nie doprowadzi.

– Dlaczego więc ukryto go w krypcie?

Erika stanęła jak wryta. Ze złości z powodu porażki głos miała stłumiony.

– Popełniliśmy błąd. Ta krypta nigdy nie była grobem. To kenotaf. Ale ze mnie idiotka, że nie domyśliłam się wcześniej.

– Wyjaśnij.

– To zwyczaj krzyżowców. Jeżeli któryś umierał w Ziemi Świętej, prawie nigdy zwłok nie zabierano do kraju. Za długo trwała podróż i było to zbyt kosztowne. Dlatego kiedy rodzina dowiadywała się o śmierci bliskiego, aby go upamiętnić, stawiała grobowiec, ale pusty.

– A co robił tam miecz?

– Zgodnie z tradycją wkładano do grobowca jakiś przedmiot, który należał do zmarłego.

Kiedy znaleźli się w pobliżu drzwi biblioteki, podszedł do nich podoficer.

– Frau Essling, przyszedł do pani telegram z Berlina.

Erika natychmiast otworzyła depezę.

– Jutro wieczorem Goebbels wydaje przyjęcie. Himmler życzy sobie, żebyśmy na nim byli. – Podziękowała podoficerowi lekkim skinieniem głowy, po czym ujęła kochanka pod rękę. – W Knossos nie znaleźliśmy niczego, tutaj też nic. A Reichsführer się niecierpliwi. Na pewno zamierza coś ogłosić w czasie przyjęcia u Goebbelsa.

– Co na przykład? – zapytał Marcjas, dyskretnie muskając ustami jej szyję.

– Po ucieczce Hessa do Anglii Himmler stracił sojusznika. Goebbels to wykorzystuje.

– Czyli Himmler potrzebuje odzyskać przewagę, ogłaszając znalezienie swastyki.

Archeolożka przyznała mu słuszność wymuszonym uśmiechem. Po raz pierwszy Marcjas widział, że ogarnęło ją zwątpienie. To już nie była ta pewna siebie arogancka Erika, która na Krecie groziła oficerom. Tristan się zastanawiał, czy mianowanie jej szefową Ahnenerbe nie jest dla niej ważniejsze, niż okazuje. Oznacza odwet. Może na własnej rodzinie. Teraz była Esslingówną najbliższą kręgow władzy. Ze statusem osoby uprzywilejowanej, którego nie chciała utracić.

– Co się stanie, jeśli nie znajdziesz artefaktu?

– Co się stanie, jeśli n i e z n a j d z i e m y artefaktu – poprawiła go Erika. – Ja będę znowu archeologiem, a ty... nie wiem...

– Zauważyłaś, że Waldenberg jako miejsce pochodzenia miecza wskazał południe średniowiecznych Niemiec? I że również tam spisano Thule Borealis Kulten, w której wskazane są miejsca ukrycia swastyk?

– I jaki z tego wniosek?

– A jeżeli ta sama osoba zostawiła miecz na Krecie, a potem spisała księgę w Niemczech?

– Czyli rycerz, który przywdział mnisi habit?

Zatrzymali się przy stole, na którym znajdowała się kolekcja klepsydr. Tristan jedną odwrócił. Ziarnka piasku zaczęły się przesypywać przez zwężenie. Nic nigdy nie jest stałe i ostateczne: wszystko może się zawalić z powodu zwyczajnego przecucia.

– Posłuchaj, jeżeli zdołamy połączyć ten miecz z jakimś klasztorem położonym dzisiaj między Monachium i Wiedniem, może uda nam się podsunąć trop t w o j e m u Reichsführerowi.

– Tyle że na mieczu nie ma żadnej wskazówki.

– Bo sam miecz jest wskazówką.

O ile Waldenberga zdumiał ich powrót, o tyle konkretne pytanie Tristana wcale go nie zdziwiło:

– Ile liczących się klasztorów znajdowało się w średniowieczu w strefie produkcji tego typu mieczy?

– Siedem.

Profesor erudyta odpowiadał szybko i dokładnie.

– Ile było czynnych pod koniec trzynastego wieku?

W tym właśnie czasie, jak mu uświadomiła Erika, spisano Thule Borealis Kulten.

– Dwa klasztory zbudowano później. To był...

– Czyli zostaje pięć – przerwał mu Tristan. Wziął do ręki miecz i poruszył nim w świetle, aż metal zamigotał. – Gdyby miał pan umieścić broń w klasztorze, gdzie by pan ją dał? Do kościoła? Przy posągu? Na przykład Święty Jerzy walczący ze smokiem jest przedstawiany z włócznią czy z mieczem?

Szefowa Ahnenerbe dodała:

– A w dodatku Święty Jerzy jest patronem kaplicy, pod którą znaleźliśmy miecz.

Waldenberg jak wytrawny tenisista odbił piłeczkę natychmiast.

– W średniowieczu posągi świętych w kościołach zawsze były nieduże. Nie ma szans, żeby do któregoś pasowała rzeczywista broń.

– Więc gdzie? W dormitorium, gdzie mnisi spali? W refektarzu, gdzie jedli? W skryptorium, w wirydarzu?

– W żadnym z tych miejsc.

Rozczarowana Erika tupnęła w parkiet. Dość już straciła czasu na próżne gadanie.

– To ślepa uliczka. Wracamy do Berlina.

Profesor ich zatrzymał.

– W klasztorze tylko w jednym miejscu można znaleźć broń. Na grobie.

Tristan gwałtownie oburącz oparł się o stół, jakby miał zamiar skoczyć.

– Proszę mówić. Szybko.

– Trzeba szukać leżącego posągu nagrobnego. Rzeźby, która przedstawia osobę pochowaną pod spodem. Jeśli to dygnitarz kościelny, na przykład biskup, czasem wmurowuje się jego krzyż na grobie, a kiedy rycerz...

– Jego miecz! – wykrzyknęła Erika.

– No właśnie! I ten, którego szukamy, zostawił miecz w Knossos, żeby nas doprowadził do jego grobu.

Z oczami błyszczącymi podnieceniem von Essling zadała pytanie, którego spodziewali się wszyscy:

– Z pięciu klasztorów, które funkcjonowały w trzynastym wieku, w ilu są grobowce z leżącym posągiem?

– W ani jednym.

Zawiedziony Francuz zacisnął pięści. Mimo wszystko był pewien, że jest na właściwym tropie.

– Za to jeden ma płytę nagrobną. I kamień jest cały pokryty grawerunkiem. Widać postać rycerza... i wgłębienie w kształcie miecza.

– Gdzie? – słabym głosem spytała Erika, jakby po tylu fałszywych tropach zwątpiła, że usłyszy znaczącą odpowiedź.

– W Heiligenkreuz na południe od Wiednia.

*Przedmieście Londynu*  
*Cmentarz w Tower Hamlets*  
*Listopad 1941*

Nagrobki zmieniały barwę z niemal nadprzyrodzoną regularnością. Przechodziły od czystej posrebrzonej bieli w brudną ponurą szarość. Nazwiska na epitafiach migotały w ciemności, jak gdyby zmarli przesyłali sygnały, aby się przypomnieć żywym.

Moira O'Connor siedziała na płycie nagrobnej oparta o stelę. Obserwowała zmagania, które rozgrywały się wysoko na niebie. Kędzierzawe eskadry przelatywały migiem przed księżycem, zasłaniały go i odsłaniały zgodnie z kaprysami wiatru. Ilekroć lśniąca ciało niebieskie zwyciężało i zalewało cmentarz nierealnym blaskiem, Szkarłatna Czarodziejka zamykała oczy. W najdalszych głębiach siebie odczuwała dobroczynne działanie świetlistych promieni.

Było to jak miła dobroczynna kąpiel. Księżycowa kąpiel.

Rytuał, który przybył z odległych wieków, z czasów, kiedy ludzie współodczuwali z naturą i czcili jej siły. Z czasów, kiedy kobiety nie były sługami. Z czasów, kiedy Srebrny Glob uważano za równego jego słonecznemu bratu.

Rozwiał się przyjemne uczucie. Moira nie musiała otwierać oczu, aby wiedzieć, że właśnie chmura zatriumfowała nad świetlistym dyskiem.

Moira wolno podniosła powieki, wstała z cmentarnego fotela i przeciągnęła się, unosząc ręce jak w niemej modlitwie. Wokół niej groby znowu spowijał półmrok. Postawiła kołnierz płaszcza. Chłodny wiatr hulał między rzędami grobowców, które dość chaotycznie rozmieszczono pośród powykrzywianych dębów i dzikich zarośli. Powiewy przynosiły silny wilgotny zapach do spękanych nagrobków i zapomnianych mogił.

Szkarłatna Czarodziejka znała na pamięć alejki Siedmiu Wspaniałych, wielkich cmentarzy, które otaczają Londyn. Tower Hamlets wraz z Highgate należały do jej ulubionych. Porośnięty zielenią, spokojny, dziki i harmonijny. Moira razem z siostrami przychodziła tu od czasu do czasu, by odprawiać rytuały inwokacyjne. A zmarli z Tower Hamlets lubili ich towarzystwo.

Obróciła wzrok ku sąsiedniemu grobowi, na którym ustawiono skrzydlaty posąg. Na płycie spoczywał rozciągnięty ciemny kształt. Ludzki kształt.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawił się srebrzysty strumień, oświetlając leżącą postać. Była to złotowłosa kobieta. Naga, o rozłożonych rękach i nogach, lecz bez dłoni i bez stóp, wpatrywała się w niebo jedynym okiem. Otwartym i martwym. Na czole wycięto jej starożytny symbol, teraz czczony w całej Europie. Nad nią archanioł ze spękanego czarnego marmuru wyciągał kikut, który ongiś musiał być ochronną ręką. Moira sama wybrała to miejsce, by złożyć tu trupa.

Naraz zza jednego z grobowców dobiegł szelest deptanych liści. Moira się wyprostowała i ujrzała sylwetkę człowieka, który zmierzał w jej kierunku. Przyszedł punktualnie na spotkanie. Jak zwykle.

Znalazłszy się przy niej, skinął głową, nie uchylając kapelusza. Średniego wzrostu, o nijakiej, pełnej ziemistej twarzy, w okrągłych okularach na perkatym malutkim nosie, agent Abwehry<sup>9</sup> wyglądał jeszcze mniej wyraziście niż nagrobne kamienie. Anonimowe pospolite oblicze, które po dziesięciu minutach wylatywało z pamięci. Idealna twarz skutecznego szpiega. Z niesmakiem spojrzął na zwłoki złotowłosej dziewczyny, następnie zimnym wzrokiem popatrzył na Szkarłatną Czarodziejkę.

– Dobry wieczór, pani O’Connor. Czemu wybrała pani ten cmentarz na przedmieściu na swoje posępne zadanie?

Mężczyzna posługiwał się doskonałym angielskim, nie zdradzał go ani cień akcentu niemieckiego.

– Wolałabym Highgate, bardziej się nadaje na obrzędy wtajemniczenia, ale Tower Hamlets ma dwie zalety: jest położona bliżej Hellfire’u i jej popularność gwarantuje, że trup zostanie odkryty jutro przed południem. Gazety wywalą wielkie tytuły!

– Skoro tak pani twierdzi... Nie znam się tak jak pani na aranżacji makabrycznych scen.

Ironia była ledwie skrywana. Moira od pierwszego wejrzenia nie trawiła tego człowieka. Samiec gardzący kobietami – wyczuwała to nawet w jego sposobie mówienia. Chętnie by go rzuciła na pastwę swoich amazonek z Hellfire’u, aby udzieliły mu lekcji tresury i nauczyły go dobrych manier, tyle że Berlinowi to by się nie spodobało. Musiała go jakoś znosić. Był jej jedynym kontaktem.

– Tej sceny zażądali pańscy przełożeni z Berlina.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Myli się pani. Jestem z wojskowej służby wywiadowczej, nie z esesmańskiej. Moja praca polega na przekazywaniu informacji wojskowych, na wspomaganiu akcji sabotażowych... krótko mówiąc, na działaniach, które mają pomóc Niemcom wygrać wojnę. I w każdej chwili ryzykuję, że zostanę schwytany, torturowany, rozstrzelany. Proszę mi więc wierzyć, że nie mam czasu na dyskusje na cmentarzu przy trupie



jakiejś dziewczyny. Tyle że Reinhard Heydrich, adiutant Himmlera, osobiście nalegał, żebym pani asystował. Wykonuję więc rozkaz.

– Stwarza pan mniej trudności, kiedy przekazuję informacje o rozpuszczeniu angielskich elit... Pieniądze pan ma?

Człowiek z Abwehry wyjął z kieszeni kopertę.

– To obiecana kwota. Przypuszczam, że trafi do kasy pani irlandzkich przyjaciół niepodległościowców?

– Zgadza się.

– Czarownica finansująca IRA, której wszyscy członkowie to gorliwi katolicy... Dziwny sojusz, nie?

– Są święte sprawy, w których nie liczą się nawet podziały religijne. Moi rodzice zginęli z rąk Anglików w czasie powstania wielkanocnego 10, a mojego brata oddano do sierocińca, gdzie umarł z niedożywienia. Mogłabym całować nogi papieżowi, gdyby to miało nam pomóc w pozbyciu się tych przeklętych Angoli!

– Gadanie... Jaki jest następny etap pani zadania dla SS?

Skrót „SS” wymówił z nieukrywaną pogardą.

Szkarłatna Czarodziejka postawiła czubek buta na rozciętym brzuchu ofiary i wybuchnęła śmiechem.

– Szantażowanie Antychrysta!

Dziesięć metrów dalej Laure, ukryta za pozieleniałym gipsowym posągami Matki Boskiej, obserwowała dwoje spiskowców. Opłaciły się długie godziny śledzenia. Wcześniej o mało nie przegapiła odjazdu właścicielki klubu Hellfire furgonetką. Dogoniła ją przed cmentarną bramą, gdzie jeden z jej współników włókł ciężar, który wyglądał na ciało bez życia.

Ze swojej kryjówki, zbyt oddalonej, Laure nie słyszała, o czym rozmawia ruda kobieta z tajemniczym mężczyzną.

Zżerała ją frustracja. Cóż takiego opowiadali sobie w środku nocy, stojąc nad trupem?

Kiedy zaczęli się oddalać, jak duch przemknęła pomiędzy grobowcami, idąc tam, gdzie leżały zwłoki. Księżyc spowijał ciało oślepiającą bielą.

Laure pohamowała mdłości i skierowała wzrok ku alejce. Dostrzegła dwie postacie zmierzające do bramy.

Musiała kontynuować obserwację. I podjąć decyzję. Szybko. Czy ma śledzić Rudą, jak chciał Malorley, czy postarać się odkryć, kim jest ten człowiek?

„Nie odstępisz jej nawet na krok”.

Laure wahała się kilka chwil. Rozkaz czy intuicja?

Rozstrzygnęła dylemat i zapomniała o przełożonym.

*Opactwo Heiligenkreuz  
Listopad 1941*

Od roku 1938, kiedy Austrię najechały i zaanektowały nazistowskie Niemcy, Austriacy – przynajmniej ci, którzy nie udali się na wygnanie i nie trafili do więzienia – wreszcie mogli się radować przynależnością do Wielkiej Rzeszy. Radość tę okazywano na każdym kroku, jeśli sądzić po imponującej liczbie flag ze swastyką wywieszonych z okien. Tristan zastanawiał się jednak, czy ów entuzjazm podzielają matki, których synów zmobilizowano i posłano na front wschodni. Dzieci najwyraźniej nie zadawały sobie takich pytań: ganiały po ulicy, pozdrawiając dorosłych gromkim „Heil Hitler”, na które czym prędzej odpowiadano tym samym zawołaniem. Marcos miał już dość podnoszenia ręki automatycznym ruchem. Ewidentnie nazizm rozwijał mięśnie ramion, ale wpływał na kurczenie się mózgu.

Doszli wreszcie do dziedzińca opactwa. Tam nie było swastyk na szczycie kościoła ani na fasadzie klasztoru. Widocznie im bliżej domu Bożego, tym mniejszy był narodowosocjalistyczny zapach.

– Zakonnicy jakby nie darzyli uwielbieniem Führera – skomentował.

Erika wygładziła ciemną sukienkę, która sięgała jej do kostek, najdłuższą, jaką znalazła na wizytę w klasztorze. Szary kolor sukni zdawał się zresztą wpływać na nastrój archeolożki.

– Do katolików zaczyna właśnie docierać, że nazizm to nie tylko ideologia czy partia, ale nowa religia, która jak już pozbędzie się Żydów, nie będzie długo tolerowała konkurencji, czyli chrześcijan. Popatrz zresztą na minę braciszka, który na nas czeka. Już zerknął z odrazą na twoje odznaczenie.

Zakonnik z obiema rękami ukrytymi pod szkaplerzem skłonił się, po czym monotonnym głosem oznajmił, że ojciec opat oczekuje ich w westybulu.

Przeszli przez dziedziniec równiutko wysypany żwirem. Tristana uderzyła różnorodność stylów architektonicznych, które współistniały w obrębie opactwa. Od barokowego rozmachu portalu po orientalną kulę dzwonnicy – tutaj stulecia rozwoju architektury spotkały się jakby przypadkiem. Była nawet romańska kaplica, której przysadzista bryła zdawała się wyłaniać z otchłani historii.

Opat czekał na nich przed monumentalnymi schodami, które prowadziły pewnie na piętra prywatne.

– Gauleiter 11 powiadomił mnie o państwa wizycie i poprosił, żebym odpowiedział na wasze pytania. Następne nabożeństwo jest za pół godziny, prosiłbym więc, żeby się państwo pospieszyli. Nie przywykliśmy przyjmować niespodziewanych gości.

– Ilu zakonników przebywa obecnie w klasztorze? – zapytała spokojnie Erika.

– Pięćdziesięciu siedmiu.

– Widzę, że odkąd Austria stała się integralną częścią Niemiec, wasza liczebność niemal się podwoiła. Pewnie nastąpił spadek jakości powołań pod wpływem natchnienia Duchem Świętym?

Marcas spostrzegł, że Erika przygotowała się do tej wizyty i nie przyjechała z pustymi rękami.

– Niezbadane są wyroki Pana – odpowiedział opat ponurym głosem.

– A zatem wszystkie te nagłe powołania nie mają nic wspólnego z tym, że status zakonnika zwalnia ze służby wojskowej, dzięki czemu unika się wyjazdu na front wschodni?

– Nie pozwalam...

– A ja pozwalam sobie oskarżać ojca o udzielanie schronienia dezertantom, zdrajcom ojczyzny i wrogom Rzeszy. Zwrócę się więc do Gestapo o aresztowanie wszystkich zakonników poniżej trzydziestki i o dokładne przesłuchanie ich w sprawie zaangażowania duchowego. Jestem pewna, że wkrótce doczekamy się nawróceń.

Nadeszła chwila, by Tristan włączył się do rozmowy.

– A ja jestem pewien, że ojciec opat wcale nie potrzebuje nowych męczenników w swoim klasztorze i że odwoła się do całego swojego chrześcijańskiego miłosierdzia, aby nam pomóc.

– Czego państwo chcą?

– Zobaczyć grób. Grób rycerza.

Opat nie krył zaskoczenia. Dla zwyczajnego nagrobka grożono mu wydaniem klasztoru w ręce gestapowców?

– Chcą państwo zobaczyć grobowiec brata Amalryka?

– Powiedział ojciec: brata?

– Tak, to rycerz, który wstąpił do zakonu – wyjaśnił opat. – Według tradycji najpierw wyruszył z pielgrzymką do Jerozolimy, a życie zakończył w naszym opactwie. Podobno był też templariuszem, ponieważ jednak zakon został rozwiązany, może to być legenda.

Pewien szczegół zaintrygował Marcasa.

– Dlaczego został pochowany w stroju rycerskim, skoro był mnichem?

– Nie wiem, ale to niejedyna osobliwość jego grobu. Pokażę go zresztą państwu. Jest w najstarszej części klasztoru, w średniowiecznej kaplicy.

Opat zupełnie zmienił nastawienie. Wydawał się wręcz ucieszony, że pokaże im swoje opactwo. Jeśli Erika nie będzie pogrywała z pozycji siły, zakonnik zdradzi im więcej, niż się spodziewali.

– Od tak dawna sprawuje ojciec funkcję opata tego kilkusetletniego klasztoru, więc pewno nie kryje przed ojcem żadnych sekretów. – zagadnął Tristan.

– Istotnie, dużo czasu spędzam w archiwach. Dzięki temu udało mi się zidentyfikować grób brata Amalryka. Jesteśmy na miejscu.

Wejście do kaplicy nie ukrywało swojego wieku. Ale ani jedna rysa nie znaczyła zręcznie przyciętych kamieni, które tworzyły ostrołuk. Tristan jak zawsze, gdy wchodził do zabytkowego budynku, zastanowił się, ilu poprzedziło go ludzi, którzy stali się anonimowymi cieniami.

– Dzięki pewnemu tekstowi z epoki wiemy, że brat Amalryk poprosił, aby go pochowano w tej krypcie. Zejdźmy tam. Schody są odrestaurowane.

W posadzce nadszarpniętej zębem czasu jaśniejsza płyta zdawała się położona przypadkowo. Kontrast z płytą w Knossos był uderzający, ponieważ cały kamień nagrobny pokrywał grawerunek. Przedstawiono postać rycerza z twarzą ukrytą pod hełmem, z rękami złożonymi na piersi. Po prawej stronie rycerza widniał odcisk miecza. Marcas nie musiał go mierzyć – odpowiadał idealnie kształtom i wielkości miecza znalezionego w Knossos.

– Powiedział ojciec, że to szczególny grób – włączyła się von Essling. – Ale nie rozumiem powodu.

– A, bo umknął pani pewien szczegół – odparł opat. – Proszę spojrzeć na szyję.

Rycerzowi z szyi na obydwa ramiona opadała stuła, jaką księża noszą w czasie mszy. Była delikatna jak tasiemka.

– Pewnie ma przypominać, że był również mnichem.

– Proszę się bliżej przyjrzeć.

Tristan przykląkł. W załamaniu stuły dyskretnie wyrzeźbiona na poziomie serca widniała malutka swastyka. Była wielkości klejnotu i przy pierwszym spojrzeniu umykała uwadze.

– To bardzo zaskakujące – zauważył opat. – A jeszcze dziwniejsze... Ale proszę popatrzeć na ścianę wschodnią.

Na wskazanym murze krypty w kamieniu wycięto drugą swastykę. Była duża i zaskakiwała w tym odosobnionym miejscu, Marcasa jednak najbardziej zdumiało to, co odkrył poniżej swastyki.

Popiersie Adolfa Hitlera.

Erika, równie zdziwiona, podeszła bliżej, aby odczytać tekst wygrawerowany na miedzianej tabliczce.

– Kiedy Austria stała się niemiecka, z pierwszą wizytą Führer przyjechał właśnie tu, jeszcze zanim udał się do Wiednia – wyjaśniła.

– Uczynił zaszczyt naszej wspólnoty – poczuł się zobowiązany dorzucić opat.

– Swastyka na murze też pochodzi ze średniowiecza?

– Tak. I właśnie dlatego Führer złożył wizytę w opactwie. Ten symbol bardzo rzadko występuje w chrześcijańskich świątyniach z tamtych czasów.

Niecierpliwa von Essling przyklęknęła przy płycie. Badała jej brzegi, wodząc po nich palcem, notując w pamięci odpryski kamienia i ubytki spowodowane upływem czasu.

– Trzeba otworzyć grób, ale bardzo ostrożnie. Zaraz ściągnę tu z Berlina ekipę z Ahnenerbe. Będą tu za...

– To nie będzie potrzebne – przerwał jej opat. – Grób był dokładnie przeszukany w czasie odnawiania opactwa czterdzieści lat temu. Sporządzono przy świadkach raport z ekspertyzy. W środku leżał nietknięty szkielet. Bez wątplenia Amalryka. I nic więcej nie było.

Erika podeszła do Tristana, który bez ruchu tkwił przed popiersiem Hitlera.

– Daj spokój, gdziekolwiek się pojawił, wszędzie wmurowano tablicę albo postawiono posąg. Mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia. W tym cholernym grobie nic nie ma. Ani swastyki, ani żadnego tropu, który by nas do niej doprowadził. Przeczytam ekspertyzę, ale jestem pewna, że niczego więcej się z niej nie dowiemy.

Opat również podszedł do Francuza.

– Jeżeli chce pan dowiedzieć się więcej o wizycie Führera, to jeden z naszych braci ma obsesję na tym punkcie. Opowie wszystko ze szczegółami, jeśli pan sobie życzy.

– W porządku, zobaczę się z nim – odparł Tristan. – Zawsze to jakaś odmiana.

– Jest leciwy i najczęściej można go znaleźć w infirmerii. Zobaczą państwo, jaki z niego gaduła, ale nie wiercie we wszystko, co powie, bo czasami ponosi go wyobraźnia. Biedak miał wylew.

– Zostawiasz mnie tu? – zawołała Erika.

– Nie będę ci potrzebny do czytania raportu, a przynajmniej zajmę się czymś innym. Ale zrób zdjęcie płyty. Może się przydać.

Po mrocznym spojrzeniu, które mu rzuciła, Francuz zrozumiał, że drogo zapłaci za tę eskapadę.

Kilka minut później znalazł się w sali pełniącej funkcję infirmerii. Nazwa wydała mu się lekko na wyrost, zważywszy na prostotę pomieszczenia. Rozchwierutana

szafka pełna flakonów z jakąś podejrzaną ciemną zawartością, skrzynia do połowy wypełniona ręcznikami wątpliwej czystości i pod ścianą karton z lekami w sfatygowanych opakowaniach. Resztę sali zajmowały trzy stare żelazne łóżka.

Starzec w wieku kanonicznym leżał pod ciemnym przykryciem i coś czytał. Regularnie poruszał ustami, jakby odmawiał modlitwę.

Tristan wolno podszedł do niego.

Z bliska głowa starego mnicha zdawała się spękana jak za mocno wypalona gliniana miska. Z pergaminowego oblicza zza okularów w cienkich okrągłych oprawkach spoglądało dwoje jasnych oczu. Prawą połowę twarzy miał obwisłą, wyglądała niczym zmoczona zapomniana ścierka. Niewidzialna linia dzieliła ją na dwie części, żywą i martwą.

– Dzień dobry, bracie – wyszeptał Tristan.

Zakonnik oderwał wzrok od lektury i obrzucił go inkwizytorskim spojrzeniem.

– Kim jesteś?

– Poszukiwaczem.

– Każdy czegoś szuka. Czy to On cię przysłał?

– On, czyli kto?

Mnich zaśmiał się zdrową połową ust.

– Führer. Nie jesteś Niemcem, to widać.

– Francuzem. Nikt nie jest doskonały.

Zakonnik wywrócił zdrowym okiem. Drugim wpatrywał się w Tristana.

– Ach, Francuzi... Hitler nie przepada za wami. Spotkałem go, wie pan? Powiedzieli panu?

Tristan kiwnął głową, żeby mu się nie sprzeciwiać.

– Tak, tak... Zdaje się, że lubi pan opowiadać. Interesują mnie dzieje tego klasztoru.

Starzec wydawał się zawiedziony.

– Hm... Nie chcesz, żebym ci opowiedział o Führerze?

– Obejdę się.

Mnich zerknął w prawo i w lewo, po czym zniżonym głosem rzekł:

– Robisz błąd, Francuziku, bo tutaj działa się, oj, działa...

– Naprawdę?

– Tak, widziałem dziwne rzeczy i głosy wyjawiają mi wiele tajemnic. To opactwo jedyne na świecie. Jedyne. Mogę ci opowiedzieć historię wróbla i bożonarodzeniowego prosiaka...

Tristan pokręcił głową. Nic z niego nie wyciągnie, mózg starca był w takim samym stanie jak jego twarz.

– Kiedy indziej... Muszę już iść...

Mnich złapał go za rękaw koszuli. We wzroku miał rozpacz.

– Nie zostawiaj mnie, proszę. Nikt tu już mnie nie słucha...

Klasztorny dzwon zadzwonił na nieszpory. Przez witraże listopadowa noc powoli spływała na kościół. Aby pokonać gęstniejącą ciemność, zakonnicy zapalali wieloramienne świeczniki ociekające woskiem. Obok von Essling stał opat prosty jak świeca. Czekali godzinę, aż z sąsiedniego miasteczka dojedzie do opactwa fotograficzka, później zeszła kolejna, zanim udało się zrobić zdjęcie. W krypcie było za ciemno. Musieli znaleźć reflektor i go podłączyć. Tristan wrócił do Eriki, która obnosiła urażoną minę.

– Wracamy do Berlina – oznajmiła. – Mam nadzieję, że wizyta w infirmerii była owocna.

– O wiele bardziej, niż myślisz... Biedny staruszek naprawdę się ucieszył, że może z kimś porozmawiać. Nie mogłem go powstrzymać.

– Wy, Francuzi, macie wielki talent do tracenia... terenu i czasu.

Tristan wzruszył ramionami.

– Ty tego nie rozumiesz. Dla was, nazistów, dobry uczynek jest równie przydatny jak bukiet róż w czołgu.

Archeolożka popatrzyła na niego oburzona. Nie cierpiała, kiedy kochanek ironizował jej kosztem, problem z Tristanem polegał jednak na tym, że nigdy nie było wiadomo, kiedy naprawdę żartuje.

– Kim jest ten mnich? – zapytała opata.

– Problemem. Jak już mówiłem, od kilku miesięcy coraz gorzej z jego głową.

– Co Bóg dał, Bóg też odbiera – wygłosił Marcas. – To chyba z Hioba, prawda, ojczy?

Opat pokiwał głową oburzony, że cytuje się słowo Boże w takich okolicznościach. A Erika się uspokoiła. Jak zwykle Tristan nie był w stanie zatrzymać dla siebie złotej myśli.

*Londyn*  
*Dzielnica Mayfair*  
*Listopad 1941*

Boodles nie był ani najstarszym, ani najbardziej prestiżowym prywatnym klubem w stolicy, oferował jednak swoim członkom spokój, komfort, a przede wszystkim obsługę na niebywałym poziomie. Bar na przykład serwował całą gamę znakomitych trunków, mimo że z powodu wojny wyschły źródła zaopatrzenia w koniaki i armaniaki. Restauracja straciła szefa kuchni, którego powołano do obsługi mesy oficerskiej w Stanfordzie, ale jego obowiązki przejął zastępca, mistrz w przygotowywaniu mięs w sosie.

Malorley zostawił w szatni płaszcz i kapelusz i udał się do recepcji, gdzie rządził były sierżant wojska w Indiach.

– Coś podobnego! Pan komandor! Jaka niespodzianka! Tak pan zniknął, aż niektórzy myśleli, że pan nie żyje.

– A nie, jeszcze nie tym razem, Tommy. Widzicie, niewiele się ryzykuje w wydziale logistyki wojska. I nie Hitler mnie powalił, lecz porządna grypa.

– Tak też mówiłem. Taki szacowny człowiek jak pan miałby prawo do nekrologu w „Standardzie” albo i w „Timesie”.

– Dziękuję, Tommy. Dużo dziś ludzi?

– Nie bardzo, niestety. Jak we wszystkich londyńskich klubach z miesiąca na miesiąc u nas też spada frekwencja. Przez tego cholernego Führera. Okropny gość, doprowadzi w końcu do całkowitego zaniku życia towarzyskiego godnego tego miana!

– Niech Bóg i król nas przed tym obronią.

Malorley pragnął tylko jednego: usiąść spokojnie w ulubionym fotelu, napić się bez pośpiechu dwunastoletniej whisky single malt i na godzinkę czy dwie zapomnieć o pracy. Potrzebował chwili wyluzowania. A przede wszystkim zastanowienia.

Po pechowo zakończonym seansie hipnozy Hessa i zaskakującym raporcie Laure ze śledzenia Moiry O'Connor potrzebował powrotu do starych krzepiących nawyków.



Francuzka złamała jego rozkaz, lecz efekt był tego wart. Tajemniczy rozmówca Moiry poszedł z cmentarza do swojego mieszkania w dzielnicy Pimlico. Laure spisała jego nazwisko i adres ze skrzynki na listy, po czym triumfująca wróciła do SOE. Malorleyowi wystarczyło pół godziny, aby uznać, że informację należy przekazać do MI6. Komandor zwietrzył grubego zwierza.

Nic więcej nie zdradził kolegom z MI6. I tak nie leżało to w ich kompetencjach. Za to Crowleya usmaży żywcem za tę szefową burdelu, która rozwozi trupy po cmentarzach.

Na razie jednak Malorley rozpaczliwie potrzebował oczyścić umysł. Jego walka z nazizmem stawała się wręcz obsesyjna. Chociaż nie chciał tego przyznać, fascynował go kosmiczny wzlot Hitlera. Jak ten zdeklasowany osobnik, niemal włóczęga, w niecałe dwadzieścia lat stał się najpotężniejszym człowiekiem na świecie? Analizy polityczne i psychologiczne postaci Führera mogłyby zapełnić całą bibliotekę. Ale wciąż otaczała go jakaś tajemnica. Malorley był przekonany, że władza dyktatora ma ścisły związek z artefaktami. Przekonanie to przedstawił przed widownią złożoną z wysoko postawionych osobistości, stwierdzając, że istota nazizmu jest natury mistycznej i że uwielbienie, jakim Niemcy darzą mesjasza w brunatnej koszuli, bierze się z kolektywnego zaczarowania. Nie bez kozery tajne Stowarzyszenie Thule postawiło na niego w Monachium. Malorley był pewien, że w młodości przyszłego dyktatora coś się wydarzyło. Coś radykalnie go zmieniło, ktoś utkał kokon, w którym larwa przeobraziła się w złowieszczygo motyla. To była geneza tajemnicy Hitlera.

Przeszedł do prawie pustego głównego salonu, gdzie po cichu wiedli dyskusje członkowie klubu o pomarszczonych twarzach i śnieżnych czuprynach. Już pół roku, jak wrócił z Francji, i nie znalazł wcześniej czasu, aby zajść do Boodles. Żałował tego. Klub był czymś więcej niż oazą spokoju: nawet w wojennych czasach ucieleśniał niezniszczalne brytyjskie wartości. Był niemal domem dla niego, człowieka, który od czterech lat nie miał życia rodzinnego. Żona zostawiła go dla innego mężczyzny. „Weselszego, młodszego, bardziej wysportowanego”, jak oświadczyła w dniu rozstania.

Podszedł do niego kelner pochodzenia indyjskiego.

– Dobry wieczór panu. Mam podać jak zwykle mortlacha?

– Chętnie, Sadhu. Wypiję w bibliotece.

Kelner pracował tu od roku, ilekroć jednak Malorley go widział, zastanawiał się, czy kiedyś klub w poczet członków będzie przyjmował ludzi pochodzących z kolonii imperium. Raz tylko poruszył ten temat w rozmowie ze znajomym, znanym profesorem medycyny, który wybuchnął wtedy gromkim śmiechem.

– Indusów... Mój drogi, chyba rozum panu odebrało! A niby czemu nie kobiety? Przed wojną już zgodzono się przyjmować Żydów.

Boodles tymczasem uchodził za jeden z najbardziej liberalnych klubów w stolicy. Bankierzy, adwokaci, lekarze, sędziowie, redaktorzy naczelni gazet i wojskowi stanowili większość członków, często przyjmowano ich niejako dziedzicznie, ale też odnotowywano zwiększony udział osób coraz bardziej „niekonwencjonalnych”, jak z goryczą podkreślali strażnicy świątyni. Najpierw był pisarz, potem śpiewak operowy i wreszcie pilot wyścigowy, o wiele lepiej znany z liczby kochanek niż zwycięstw. Napływ świeżej krwi motywowany głównie przemożną potrzebą, jaką odczuwało wielu członków klubu, by opowiadać o sobie przed nowymi słuchaczami.

Malorley wszedł do bocznego salonu, który pełnił funkcję zarazem biblioteki i palarni. Kiedy okrążał stół bilardowy, spostrzegł, że w pomieszczeniu jest jeden z tych nowych członków pogrążony w lekturze „Daily Telegraph”. Archibald Meyer, adwokat, z matki Żydówki i ojca Walińczyka, pracował dla spółek amerykańskich prowadzących interesy w Anglii. Przyjęcie go zaowocowało odejściem pięciu członków klubu, antysemitów z dziada pradziada. Malorley podszedł do niego.

– Dobry wieczór, Archie, dawnośmy się nie widzieli. Pozwoli pan, że wypiję drinka w pańskim towarzystwie?

Adwokat oderwał wzrok od gazety i uśmiechnął się do niego przyjaźnie.

– Oczywiście, proszę spocząć. Jak przypuszczam, ma pan teraz multum obowiązków w tym swoim wydziale? Wysilek wojenny...

– No cóż, papierzyska, nic, tylko papierzyska – skłamał Malorley. – Ale przerwałem panu lekturę.

– Czytałem właśnie straszny artykuł o znalezieniu okaleczonych zwłok na cmentarzu w Tower Hamlets. Od ciała odcięto dłonie i stopy. Nie licząc innych okrutnych okaleczeń.

– Potworność – skomentował lakonicznie Malorley.

– A to nie wszystko – kontynuował adwokat. – Morderca wyciął ofierze na czole swastykę i otworzył jej brzuch, żeby go napełnić magicznymi zaklęciami. Mam nadzieję, że na narodowosocjalistycznym ogniu nie zmartwychwstał Kuba Rozpruwacz!

– Proszę wybaczyć, ale nie zgodzę się z panem. Poczciwy stary Kuba ma się dobrze i swobodnie chodzi po świecie.

– Jak to?

– Ma śmieszny wąsik i jego ofiarą padło już kilkaset tysięcy ludzi, lekko licząc.

Adwokat wykrzywił usta w grymasie.

– Ma pan słuszność. I obawiam się, że jeszcze bardziej będzie nękał moją wspólnotę... Wróciłem dopiero co z wyspy Man i jestem wstrząśnięty tym, co tam zobaczyłem.

– Doprawdy? Ofiary bombardowań?

– Nie, zwozi się tam Żydów przybywających z Niemiec i z państw Europy Środkowej, mężczyzn i kobiety. Uciekli przed pewną śmiercią i Anglia upycha ich w barakach, nie wiedząc, co z nimi zrobić.

– Smutny los uchodźców.

– Tyle że oni opowiadają straszne historie o prześladowaniach, które przeżyli. Na wschodzie Europy naziści podobno urządzają istną jatkę. Oddziały SS mordują mężczyzn, kobiety i dzieci, w miarę jak wojska niemieckie posuwają się naprzód.

– A co pan robił na wyspie Man?

– Próbuję ich wyciągać z obozów, ale to bardzo trudne. Ponieważ pechowo wielu z nich mówi po niemiecku, są postrzegani jako nasłani szpiedzy.

Adwokat przerwał, kiedy kelner stawiał szklaneczkę whisky przed Malorleyem, który podjął:

– Nie wiedziałem o tym. Dużo ich jest?

– Blisko dwadzieścia pięć tysięcy w całym Zjednoczonym Królestwie. Właśnie na Man jest największy obóz. Najgorsze, że wymieszano ich z Niemcami zgarniętymi w Anglii po wypowiedzeniu wojny, a oni są autentycznymi nazistami. Staram się o spotkanie z doradcą premiera, żeby przemówić w ich sprawie. Bezskutecznie.

– Ktoś pana wspiera?

– Nieliczni... Są różne stowarzyszenia zajmujące się przyjmowaniem uchodźców, a najciekawsze, że największą aktywność wykazują kwakrzy. Uwijają się jak w ukropie, byle wspomagać Żydów<sup>12</sup>.

Malorley zmarkotniał, słuchając go. Mógłby mu załatwić spotkanie z członkiem gabinetu Churchilla, ale w ten sposób by ujawnił, że jest kimś więcej niż trybikiem w biurokratycznej maszynie wojska.

Adwokat wstał.

– Muszę pana pożegnać. Mam dużo akt do przejrzania wieczorem.

Skądś się wyłonił klubowy odźwierny ze strachem wypisanym na twarzy.

– Panie komandorze, jakaś dama czeka na pana przy wejściu. Mówi, że pracuje z panem.

– Proszę ją wprowadzić.

– No... pan komandor wie, że to niemożliwe. Zakaz wstępu do klubu dla osób płci pięknej. Regulamin... Pan komandor rozumie, prawda?

Szef SOE podniósł się z miejsca z zaciętą twarzą.

– Nie rozumiem i następnym razem przedłożę zarządowi propozycję zmiany statutu, by panie miały tutaj wstęp. – Zwrócił się do adwokata: – Spodziewam się, że pan mnie poprze.

Prawnik wybuchnął śmiechem.

– Żeby później mówiono, że Żyd niszczy ducha klubu tak szacownego jak Boodles? Nie, dziękuję. Nie chcę budzić uspiętego antysemityzmu naszych członków. Proszę najpierw znaleźć poparcie w kręgach feministycznych i wśród gojów, a potem wrócimy do rozmowy.

Malorley pożegnał adwokata szerokim uśmiechem i skierował się do recepcji. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu ujrzał Laure stojącą przed kontuarem. Wyglądała na bardzo podekscytowaną.

– W razie gdybyś nie wiedziała, nie cierpię, jeśli mi się przeszkadza, gdy nie mam służby – oświadczył na wstępie.

– Przykro mi, to pilne, dzwoniło tutaj do ciebie, ale nie dało się połączyć.

Odźwierny podniósł oczy w górę.

– Wszystkie linie mamy zerwane od tygodnia, od ostatniego bombardowania. A służby telekomunikacyjne są zawałone robotą.

– Miałam dyżur, kiedy przyszła nowina – mówiła dalej Laure – i wolałam od razu cię zawiadomić. Artefakt z Montségur działa. To cud! Hitlera zamordowali generałowie Wehrmachtu.

– Co? Hitler nie żyje?

Malorley patrzył na Laure jak rażony gromem. A ona przez kilka sekund milczała, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Joke... Zdaje się, że tak mówicie na żart?

– Doprawdy? To wcale nie jest śmieszne.

– Ty rzeczywiście wierzysz w moc tych cholernych talizmanów. Słowo daję, dziwny z ciebie gość, komandorze.

Malorley chwycił ją za ramię.

– I dlatego zawracasz mi głowę teraz?

– Nie. Crowley dzwonił do twojego biura. Przez telefon był spanikowany.

– Aleister znowu odstawia jakiś kryzys?

– Nie, chce się z tobą pilnie widzieć. Przeraziła go ta ruda, którą kazałeś mi śledzić. I zwłoki na cmentarzu.

*Berlin*

*Wilhelmsplatz*

*Listopad 1941*

Udekorowane na każdym piętrze Ministerstwo Propagandy migotało jak tort urodzinowy pośrodku Wilhelmsplatzu. Reflektory wypożyczone z obrony przeciwlotniczej posyłały słupy światła w jesienne niebo, strażę w galowych mundurach eskortowały wybitnych gości. Na szczycie schodów Magda Goebbels w obcisłej sukni barwy diamentu witała przybywających osławionymi kaskadami śmiechu. Wszyscy Niemcy znali Magdę, która jaśniała urodą na okładkach pism albo na pierwszych stronach gazet w towarzystwie Hitlera. Führer, oficjalnie kawaler, aby utrzymać w sekrecie swój związek z Evą Braun, mianował Magdę pierwszą damą Rzeszy i wzorem dla wszystkich Niemek.

– Patrzcie, patrzcie – ironizował Goebbels – można by sądzić, że to ona wydaje przyjęcie!

Ochmistrz, który od lat służył u ministra, pokiwał lekko głową. Przywykł do monologów szefa. Goebbels obserwował przybywających gości przez okrągłe okienko na poddaszu ministerstwa. Tam właśnie kazał urządzić sekretny pokoik, do którego uciekał, by pomedytować. Dawne schody służbowe, teraz wyłącznie do jego użytku, pozwalały mu także bywać w towarzystwie młodych aktorek. Ot, skrywany wypoczynek, o którym Magda nie musiała nic wiedzieć.

– Jeszcze by wygadała Führerowi – mruknął minister.

Na samo wspomnienie czegoś podobnego Goebbelsa zlewał zimny pot. Latem 1938 roku Magda wparowała do Berghofu<sup>13</sup> jak burza i wypaplała Hitlerowi, że jej mąż związał się z dwudziestodwuletnią aktorką, w dodatku Czeszką. I oczywiście wujek Adolf, jak nazywały go dzieci Goebbelsów, nakazał swojemu ministrowi natychmiast zakończyć bezwstydną znajomość z tą panią.

– I odtąd wydaje się jej, że jest wszechmocna, bo Führer jej słucha. Ale jest w błędzie.

Goebbels ponownie napełnił swój kieliszek i odwrócił wzrok od Wilhelmsplatzu. Nie miał ochoty oglądać Magdy witającej z uśmiechem na ustach Himmlera, który od

zniknięcia Hessa stał się jego głównym przeciwnikiem: ten człowiek mógł niebawem zastąpić go na miejscu zausznika Führera.

– Ale ciebie też, drobiarzu<sup>14</sup>, postawię do pionu. Wszystkich was zresztą postawię do pionu.

Minister wstał, wspierając się na poręczach fotela. Prawą nogę miał potwornie niesprawną. Kalectwo towarzyszyło mu od czwartego roku życia. Był kulawy, chuderlawy i rozpaczliwie niski, tak że zawsze go brano za człowieka bez znaczenia. Duży błąd. Karzeł miał niejedno w zanadrzu. I tego wieczoru wszyscy raz jeszcze się o tym przekonają.

Wielki salon w ministerstwie przypominał poczekalnię dworcową. Szerokim wejściem wlewały się tłumy gości, każdy się spieszył, by podejść do znajomych, bufet był oblegany. Kobiety chodziły wolniej – przeszedłszy przed olśniewającą Magdą, chciały, aby teraz je przez chwilę podziwiano.

Erika w czarnej sukni odsłaniającej ramiona czekała przy kolumnie na Reichsführera, witając się z przybyłymi, których wcześniej już widywała u rodziców. W ciągu kilku lat zamożne sfery mieszczańskie utraciły cały swój powab. Teraz wszyscy się pchali na polowania u Göringa, na przyjęcia u Goebbelsa – to były nowe gwiazdy przewodnie światowego życia.

– Ilu pani zdaniem jest w tej sali szczerych nazistów? – zapytał Himmler, który właśnie przyszedł.

Erika z uśmiechem udała, że liczy na palcach, i zakończyła na jednej dłoni. Reichsführer wybuchnął śmiechem.

– Widzę, że pobyt na Krecie posłużył pani. Szkoda tylko, że nie udało się w pełni wykonać zadania.

– To jeszcze nie koniec. Jak pan wie, ja nigdy się nie poddam.

– A ja mam do pani pełne zaufanie.

– Cieszę się.

Himmler się skłonił. Koniec rozmowy. Do sali weszła Magda, otoczona gronem wielbicieli. Szef SS strzelił obcasami, kiedy go mijała. Żona Karła odpowiedziała mu olśniewającym uśmiechem. Himmler regularnie przysyłał jej uaktualniany spis kochanek męża. Nic go to nie kosztowało, a mogło przynieść duże zyski.

Erika znalazła Tristana w palarni przed zdjęciem ze ślubu Goebbelsów. Na zaśnieżonej polnej drodze wieśniacy witali młodą parę rękami uniesionymi w faszystowskim pozdrowieniu. Fotografia była fascynująca, ale jeszcze bardziej fascynowała ciemna postać za nowożeńcami.

– Wiedziałaś, że Hitler był świadkiem na ślubie Goebbelsów?

– Nie i mam to gdzieś. Nie zdążyłam nawet mu powiedzieć o naszej wizycie w Heiligenkreuz – zdenerwowała się archeolożka. – A tym bardziej pokazać zdjęcia grobu Amalryka!

Do palarni wszedł służący, pozbierał brudne kieliszki, po czym oznajmił, że pan minister zaraz przyjdzie. Uprasza się wszystkich gości o przejście do głównej sali.

– Karzeł dobrze się przygotował – skomentowała von Essling. – Jest tu cały Berlin. Goebbels trafi na pierwsze strony gazet. Himmler się wścieknie, że został zepchnięty do roli zwykłego widza.

W sali panował szum rozmów, padały pytania. Magdy, zepchniętej teraz w cień, jakby nie było. Z wymuszonym uśmiechem na ustach robiła dobrą minę do złej gry, lecz nie mogła się powstrzymać przed nerwowym podnoszeniem wzroku na podest w formie balkonu górujący nad salą. Technik ustawiał tam właśnie mikrofon. Wtem wyłonił się Goebbels, wzbudzając burzę oklasków. Miał na sobie beżowy mundur partyjny, ten, w którym sięgnął po władzę.

– Wydaje mi się jakiś wyższy – zauważył Tristan ze zdziwieniem.

– Pewnie ustawili podwyższenie, inaczej brodą sięgałby balustrady – odparła perfidnie Erika.

Teatralnym gestem minister wyciągnął ręce, prosząc o ciszę. Przypominał kaznodzieję, który wszedł na ambonę, by przemówić do swoich wyznawców.

– Przyjaciele, mamy dziś wielki dzień. Jedną z chwil, które przejdą do historii, a wy będziecie mogli powiedzieć: „Byłem tam!”.

Zapadła cisza jak nożem uciął. Wszyscy wstrzymali oddech.

– Nasze oddziały dotarły dzisiaj do przedmieść Moskwy. Do Kremla zostało kilka stacji metra!

Owacja wybuchła w sali, która rezonowała niczym wewnątrz bębna. Jako wytrawny mówca Goebbels poczekał, aż okrzyki i wiwaty ucichną, i znów zabrał głos:

– Nasz Führer był twórcą tego zwycięstwa, które w kilka miesięcy odmieniło świat. Teraz Niemcy podbili już całą Europę, aż po granice Azji.

Za Goebbelsem rozwinęła się gigantyczna mapa. Widniały na niej Niemcy rozciągające się od Norwegii po Kretę, od Francji po Rosję. Nieprzerwane gromkie oklaski powitały nowy światowy porządek.

– Podczas tej ofensywy nasz Führer walczył bez wytchnienia, cały swój czas i energię poświęcając wykuwaniu sukcesu tej kampanii, jedynej takiej, jak daleko ludzka pamięć sięga, nienotowanej w annałach. Miesiącami niez mordowanie pracował w Kancelarii Rzeszy lub w Berghofie, aby się wypełniło przeznaczenie Niemiec. Był jako ten niestrudzony żołnierz w cieniu. Pora, by znowu stanął w pełnym świetle.

W jednej chwili w górę wystrzelił las uniesionych rąk i żyrandole zadrżały od gromkich okrzyków „Heil Hitler!”.

– Z wielką przyjemnością mogę dzisiaj ogłosić, że niektórzy z was będą mieli szczęście znaleźć się w pobliżu Führera w wyjątkowych okolicznościach. Za tydzień kanclerz Hitler spotka się z Duceм Mussolinim w Wenecji.

Erika poszukała wzrokiem Heinricha Himmlera. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie. On, człowiek odpowiedzialny za ochronę Führera, nic o tym nie wiedział. Goebbels na balkonie triumfował. Kolejny raz Karzeł zyskał przewagę, lecz nie wyłożył jeszcze wszystkich kart.

– W najbliższych dniach przedstawię sporządzoną przez mnie listę osób, które będą miały zaszczyt towarzyszyć Führerowi w podróży do Włoch, ale już dziś mogę podać jedno nazwisko... – Z ręką na sercu spojrzał w głąb sali. – Magdo, będziesz pierwsza.

Gwar okrzyków wzniósł się wokół żony Goebbelsa, która zalała się łzami. W tej chwili orkiestra zaintonowała hymn partii, Horst Wessel Lied, który zaraz podchwycili obecni.

– Musimy natychmiast podejść do Reichsführera – poleciała von Essling. – Pewnie jest wściekły.

Tristan jednak nie zareagował. Stał bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w balkon, z którego skończył przemawiać minister propagandy.

– Goebbels wprawia cię w taki stan?

Marcas nadal zdawał się skamieniały. Erika ujęła obie jego dłonie.

– Źle się czujesz? Przez tę duchotę?

– Zdjęcie grobu Amalryka... masz je przy sobie?

Archeolożka otworzyła wieczorową torebkę i wyjęła fotografię. Tristan gorączkowo ją chwycił. Kiedy podniósł wzrok, oczy mu płonęły.

– Wiem, jak znaleźć swastykę!



*Londyn  
Bloomsbury  
Listopad 1941*

Promień słońca rozświetlał salon, lecz umysł Crowleya spowijały ciemności. Siedząca przy dużym stole Moira O'Connor ułożyła przed Aleisterem pięć fotografii. Wszystkie przedstawiały maga w klubie Hellfire rozwalonego na łożu z baldachimem obok zwłok młodej kobiety. Jeszcze nie została okaleczona, jej uroda zdawała się więc uśpiona. Tylko na szyi czerwona rana wskazywała na to, przez co dziewczyna przeszła.

– W dzisiejszych czasach zdjęcia można podrabiać. To żaden dowód – powiedział Crowley.

– Masz rację, ale dziennikarze bardzo się ucieszą, jeśli będą mogli je rozpowszechnić z twoim nazwiskiem na pierwszej stronie. Nie zapominaj, że masz już solidnie ugruntowaną reputację jako zdeprawowany mag, nie muszę ci przypominać licznych artykułów na twój temat opublikowanych przed wojną... Wyobraź sobie tytuły: „Crowley składa młodą kobietę w ofierze Szatanowi i Hitlerowi” albo jeszcze lepiej: „Mag morderca jest agentem SOE”. Nie wiem, czy to by się spodobało twojemu aktualnemu pracodawcy.

Aleister był załamany.

– Znałem w życiu różne suki, ale ty zajmujesz wśród nich pierwsze miejsce! Żeby coś takiego zrobić mnie, człowiekowi, który wyciągnął cię z irlandzkiego rynsztoka!

Wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Nie tym tonem, kretynie! Wykorzystałaś mnie, ledwie dorosłam. Moich rodziców zamordowano, pracowałam jako posługaczka w dworze twoich angielskich przyjaciół. Uwiodłaś mnie obietnicą życia jak marzenie. Facetowi takiemu jak ty łatwo było zbałamucić młodą dziewczynę.

– Niewdzięcznico! Zabrałem cię do Londynu, zrobiłem z ciebie współpracowniczkę. Rozpieszczałem cię. Odkryłem przed tobą świat nieskończonych rozkoszy.

– A pewnie, po drodze oddając mnie swoim zboczonym przyjaciołom. Dzięki tobie dużo się dowiedziałam o mężczyznach. Całe szczęście, że odkryłam czarownictwo i prawdziwą wiedzę, inaczej byłabym jeszcze jedną dziwką w twoim prywatnym

haremie. Ale zostawmy przeszłość, dobrze? – Wskazała jedną z fotografii. Przedstawiała maga z nożem w ręce przystawionym do gardła ofiary. – Tę bardzo lubię.

– Ohyda. Skończmy z tym. Czego właściwie chcesz?

– Negatywy tych zdjęć będą sobie grzecznie leżały u mnie w sejfie, jeżeli dostarczysz mi informacji na temat swojej nowej pracy w SOE.

– I tyle?

– Oczywiście, że nie. To na początek naszego nowego owocnego związku. Związku spod znaku fotografii artystycznej... Zostawiam ci te odbitki do zbiorów osobistych. Jeśli dobrze pamiętam, kolekcjonujesz zdjęcia pornograficzne.

– Nie wstyd ci zdradzać kraj? Wysługiwać się nazistom?

Szkarłatna Czarodziejka wstała i pozbierała swoje rzeczy.

– Anglia to nie mój kraj, a Hitlera, tak jak swoją pierwszą szklaneczkę whisky, mam daleko gdzieś. Robię to, co jest w moim interesie. A tobie radzę, żebyś swojemu szefowi w SOE nie pisał o mnie ani słowa. Inaczej zobaczysz swoją zбочzoną facjatę na pierwszej stronie „Daily Mail”.

Taksówka, do której wsiadła Moira O’Connor, skręciła za róg. Na drugim piętrze Malorley zaciągnął zasłony i opuścił pokój, kierując się do salonu, gdzie siedzieli Crowley i Laure. Francuzka przeglądała zdjęcia. Mag popijał drugą szklaneczkę dżinu. Podniósł znękaną głowę, kiedy komandor wszedł do środka.

– Ta dziwka trzyma mnie jak na katowskim haku... Już po mnie.

– Spokojnie... Dobrze, że powiedział mi pan całą prawdę – rzekł Malorley, nalewając sobie drinka.

– Aresztujecie ją, nie? Dowodów macie więcej, niż trzeba. Negatywy znajdziecie u niej w sejfie.

Człowiek z SOE pokręcił głową i uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie ma mowy.

– Co?

– Spełni pan jej życzenia. A najpierw da jej pan raport na temat Hessa, nie pomijając żadnego szczegółu. Potem dostarczy jej pan wszelkich informacji, jakich zażąda. Osobiście zadbam, żeby ułatwić panu zadanie.

– Nie rozumiem – powiedział mag.

Laure z odrazą na twarzy odsunęła od siebie zdjęcia i wyjaśniła:

– Komandor chce powiedzieć, że chodzi o obrócenie sytuacji na naszą korzyść. O robienie wroga w balona.

– Właśnie. A pan, Crowley, będzie ten balon nadmuchiwał.

Laure położyła dłoń na przedramieniu maga.

– Gratuluję. Został pan oficjalnie zatrudniony jako podwójny agent.



*Werwick w pobliżu Lille*  
*13 października 1918*

– Cztery lata! Cztery lata jestem na froncie i ani draśnięcia! – Sierżant Extelman dumnie wypinał pierś na widok kolegów z okopu. – Patrzcie tylko! Byłem nad Marną, pod Verdun, na Chemin des Dames 15, wszędzie, gdzie było gorąco, i nic. Ani jednej najmarniejszej kulki!

Oparci o glinianą ściankę okopu ludzie bez słowa słuchali podoficera. Wielu pamiętało, że przed ostatnią ofensywą Extelman też podobnie perorował, i wcale im się to nie podobało.

– Dobra, kto ma wieczorną służbę?

Czterej żołnierze wystąpili. W obszarpanych płaszczach, ubłoconych butach, z rozczochranymi brodami, nie mieli nawet broni. Mimo impulsywnego charakteru podoficer jakby tego nie zauważył. Podczas ostatniej ofensywy w niecały kwadrans kompania straciła dwie trzecie stanu osobowego. Ci, którzy ocaleli, w większości ogłuchli i mieli konwulsyjne drgawki, tak straszny był ostrzał artyleryjski. W tej sytuacji lepiej było unikać pytań, w jaki sposób stracili broń. Wysławszy patrole na stanowiska, Extelman zwrócił się do swoich ludzi:

– Zauważyliście, że na wieczór podwoiłem strażę? Co oznacza, że grozi nam nocna wizyta. – Widząc przerażenie na twarzach żołnierzy, sierżant krzyknął: – Nie, nie, nie chodzi o atak Francuzów! Jakies szychy z kwatery głównej mają zrobić inspekcję.

Odpowiedziały mu pomruki. W okopach nikt nie lubił odzianych w paradne mundury i obwieszonych medalami wyższych stopniem oficerów, z których większość nawet nie powąchała ognia.

– Wiem, co myślicie... Dekownicy, którzy pną się po plecach prostych żołnierzy, i do diaska, rację macie! Problem w tym, że nie mogą ich tu witać strażę, które nie mają nawet bagnetu!

– No, broni ci u nas nie brakuje – zauważył jeden z ludzi. – Trza tylko po nią iść.

Podczas ostatniego ataku oddziały niemieckie posunęły się zaledwie o kilkaset metrów, po czym kontrofensywa je zdziętkowała, tak że ziemia usłana była trupami i tysiącami sztuk broni. Istny arsenał pod gołym niebem.

– A co, wyjdiesz z okopu po pukawkę? – zawołał jego sąsiad. – Uprzedzam, jak na mnie padnie...

Extelman momentalnie pojął zagrożenie. Jeszcze jedno jego słowo, a sprawy mogą się pokomplikować i przerodzić w zamieszki.

– Nikt nie pójdzie na no man's land! – obwieścił. – Nikt z mojej kompanii, ręczę słowem.

Jeden ze starych wiarusów odsunął kaszkiet jakby na znak podziękowania. Był wieśniakiem z Wirtembergii. Szczwanym lisem, niewysokim przysadzistym człowiekiem, któremu udało się przetrwać wojnę, bo nigdy się nie wychylał.

– Dobra decyzja, sierżancie. Ale faktem jest, że witanie szarży bez ani jednej pukawki to dla pana problem.

Tym razem sierżant się uniósł.

– To co mam zrobić? Sam przecież nie pójdę!

– Ma się rozumieć – ironicznie zauważył wieśniak. – Chłopcy z kompanii też nie pójdą. Za to...

Extelman nastawił ucha i podszedł bliżej.

– Rano przyszedł goniec pułkowy. Przyniósł rozkazy. Tyle że nie wrócił, bo akurat trwał ostrzał tyłów. Moim zdaniem potężnie się nudzi. Może by mu znaleźć jakieś zajęcie?

– Gdzie on jest?

– W schronie. Rysuje.

Drewniany parapet wystający nad okop wskazywał wejście do schronu. Extelman wszedł w podstemplowany chwiejnymi belkami korytarz, który prowadził do kwadratowego pomieszczenia, gdzie chronili się ludzie podczas ostrzału. W kącie przy lampie zawieszanej na haczyku siedział goniec pułkowy, starannie rysując figurę geometryczną w szkicowniku.

– Baczość!

Żołnierz poderwał się na nogi i zasalutował.

– Kapral Hitler, panie sierżancie. Na rozkaz.

Extelmana zaskoczyła jego chudość. Dosłownie ginął w mundurze. Zabiedzoną twarz niemal zasłaniały wąsy. No, ten długo nie pociągnie, pomyślał sierżant i naraz zmalało w nim poczucie winy, że posyła go na rzeź.

– Kapralu, potrzebuję zaufanego człowieka, a ponieważ widzę, że... – Wzrok Extelmana padł na czarne błyszczące odznaczenie, które zdobiło pierś Hitlera. Jak taka chudzina mogła się dochrapać Krzyża Żelaznego, i to pierwszej klasy? – Kapralu, potrzebuję odzyskać trochę karabinów z no man's land. To trudne zadanie i...

– Zgłaszam się na ochotnika.

Extelman próbował ukryć zaskoczenie.

– No dobrze... każe...

– Kiedy mam iść?

Raz jeszcze sierżant przyjrzał się człowiekowi, którego posyłał na pewną śmierć.

– Skąd jesteście, kapralu?

– Z Wiednia, ale zaciągnąłem się w Monachium.

– Całą wojnę jesteście w wojsku?

– Od pierwszego dnia.

Wariat, pomyślał Extelman. Żeby przyjechać z Austrii do tego piekła...

– Za dwie godziny zrobi się ciemno. Nie ma księżyca. Wypuścimy race oświetlające, żebyście się zorientowali w terenie. Macie pytania?

– Nie – odparł Hitler, biorąc na powrót do ręki szkicownik z rysunkami.

Zaintrygowany Extelman podszedł bliżej. Dwie pierwsze strony szkicownika pokrywały rysunki jednej figury przedstawionej pod różnymi kątami. Pierwotnie musiał to być krzyż, który rysownik przechylił w prawo i każde ramię złamał w połowie. Sierżant wzruszył ramionami. Nieważne, za kilka godzin szkicownika i jego właściciela już nie będzie.

Adolf Hitler nie przyjął hełmu, który mu podano. Przy racach oświetlających każdy błysk na metalu oznaczał śmiertelne zagrożenie. Dwaj żołnierze przystawili drabinę do ściany okopu.

– Linie wroga są dwieście metrów stąd, ale tu w pobliżu nie znajdziecie broni – wyjaśnił sierżant. – W ostatnim ataku Francuzi czekali, aż podejdziemy prawie do ich okopów, i wtedy otworzyli ogień. Inaczej mówiąc...

Hitler kiwnął głową. Zrozumiał. Jeżeli chce znaleźć sprawne karabiny, musi podejść jak najbliżej pozycji wroga. Postawił nogę na pierwszym szczeblu drabiny.

– Kapralu Hitler... – zaczął pompatycznie Extelman.

Nie zdążył dokończyć. Adolf już zeskoczył z umocnienia okopu.

Określenie no man's land ukuli żołnierze angielscy i upowszechniło się na całym froncie na oznaczenie obszaru śmierci położonego między dwiema wrogimi liniami. Po opuszczeniu okopu Hitler postanowił poprobać szczęścia po lewej stronie. Wyszedłszy z leju po pocisku, schylił się nisko i powolutku ruszył naprzód. Ziemia

była zryta głębokimi brzdami, na których mógł się potknąć i przewrócić. Gdyby złamał na przykład nogę w kostce, byłoby już po nim. Nikt by po niego nie przyszedł.

Adolf zawsze się obawiał takiej anonimowej, pozbawionej chwały śmierci. Przystanął, by zaczerpnąć tchu. Jak długo szedł? Wciąż nie widział linii przeciwnika, łatwej do zidentyfikowania po zasiekach z drutu kolczastego, czuł natomiast zapach, którego nie dało się pomylić z żadnym innym.

Zapach śmierci.

Raczej był już niedaleko. Powiewy wiatru przynosiły mu przenikliwe dźwięki. Żołnierze z pierwszej linii mówili mu o nich. Otóż aby uniknąć zaskoczenia nocnym atakiem, Francuzi zawieszali na zasiekach metalowe przedmioty. Szczątki pocisków, poskręcane bagnety – to wszystko służyło do ostrzegania przed intruzami. Uśmiechnął się. Ten wiatr był jego szansą. Musiał bowiem szukać sprawnych karabinów, a tym celu należało sprawdzić każdy zamek. Broń wydawała wtedy charakterystyczny dźwięk, który jednak zginie w chórze podzwaniających na zasiekach metalowych przedmiotów.

Nagle niebo pojaśniało. Nad liniami francuskimi wybuchła raca, oświetlając cały no man's land. Hitler wypatrzył grupę zwłok żołnierzy leżących na plecach, podziurawionych odłamkami pocisków. Zaczął się czołgać w ich kierunku, kryjąc się za wałem błotnistej ziemi. Wybuchła druga raca – pozostało mu do przebycia tylko kilka metrów. Gruchnęła seria z karabinu maszynowego, wściekle przeorała ziemię, po czym nagle ucichła. Adolf akurat namacał karabin. Sprawdził zamek. Sprawny. Wymacał ręką następną sztukę broni i przyciągnął ją za skórzany pasek. Ostatnia raca opadała wolno, wirując w powietrzu. Kiedy dotknęła ziemi, wszystko na powrót okryła ciemność. Pierwszą część zadania Adolf wykonał. Teraz musiał żywy wrócić do okopu.

Zarzucił na plecy dwa skrzyżowane karabiny, aby mieć wolne ręce. Prześladowała go myśl, że teraz wróg wystrzeli race oświetlające. W jednej chwili stałby się widoczny jak na dłoni.

Przypadł nisko do ziemi i posuwał się wzdłuż głębokiej bruzdy w ziemi podziurawionej z każdej strony pociskami z karabinu maszynowego. Gdy dotarł do jej końca, spróbował uspokoić mocno walące serce. Wiatr ucichł, od zasieków już nie było słychać pobrzękiwania. Opadł na czworaki, by iść dalej, wymacując drogę rękami. W zasadzie był już ledwie kilka metrów od własnych okopów. Przy tej odległości od wroga pociski nie mogły go dosięgnąć. Mógłby stanąć i iść normalnie. Ale wtedy by ryzykował, że dosięgnie go strzał z niemieckiej strony. Extelman go uprzedził: bezwzględnie musi pozwolić się zidentyfikować jako swój.

Wtem usłyszał gwizd. Zbyt wysoki jak na pocisk dużego kalibru. Potem następny i zaraz po nim głuchy dźwięk, lecz wybuchu nie było. Rzucił się naprzód.

W okopie na wprost podniosły się krzyki:

– Gazy! Gazy!

Hitler otworzył usta, aby wypowiedzieć hasło, lecz w płuca wdarło mu się powietrze jak z końca świata. Runął na ziemię i stoczył się do okopu. Ktoś złapał go za włosy, przyłożył mu szmatę do ust.

– Do schronu!

Poniesiony falą przerażonych żołnierzy znalazł się w schronie pod ścianą, czuł, jak zdejmowano mu karabiny.

– Światło! Może jest ranny!

Adolf otworzył oczy. Poczuł potworny ból.

– Hitler! Hitler!

Rozpoznał głos Extelmana, ale twarzy nie widział. Przesunął dłoń przed oczami, nic jednak nie zobaczył.

Tylko ciemność.

Krzyknął.

Był ślepy.



*Londyn*

*Downing Street 10*

*Listopad 1941*

– Chcecie śmierci Anglii!

– Nie, panie premierze, Stany Zjednoczone pozostają waszym najwierniejszym sojusznikiem w obliczu nazistowskiego zagrożenia. Od zeszłego miesiąca podwoiły się dostawy broni i...

Winston Churchill walnął pięścią w stół.

– Dość! Panie ambasadorze, na zegarze apokalipsy jest za pięć dwunasta. Słyszał pan raporty obecnych tu generała i admirała. Operacja Barbarossa to sukces totalny, czołgi stoją u bram Moskwy. Stalin nie utrzyma się długo. Jeśli ten komunistyczny skurwysyn upadnie, w ręce Niemców dostanie się gigantyczny arsenał. Kiedy Hitler podbije Rosję, a to kwestia tygodni, nas połknie na raz. Ameryka musi przystąpić do wojny!

Dwaj wysocy rangą oficerowie angielscy obserwowali potyczkę angielskiego premiera z przedstawicielem Stanów Zjednoczonych. Odkąd wygłosili swoje pesymistyczne przewidywania co do zakończenia konfliktu z Rosją, Churchill nie posiadał się ze złości. Z miejsca wezwał ambasadora USA, szacownego Johna Gilberta Winanta, aby usłyszał wnioski z ust samych oficerów. Amerykański dyplomata wyprostował się w fotelu.

– Panie premierze, wie pan dobrze, że ciągle wstawiam się za wami u prezydenta Roosevelta. Nie mam nic wspólnego z moim poprzednikiem.

– A, on... Trudno o większego nieudacznika niż ten drań Joseph Kennedy<sup>16</sup> – gderał Churchill. – Wielbiciel Führera, antysemita, ten pieprzony potomek Irlandczyka postawił nawet szampana po układzie monachijskim.

– Właśnie dlatego prezydent mianował mnie na jego miejsce. Tak jak prezydent jestem żarliwym zwolennikiem przystąpienia mojego państwa do wojny u waszego boku, ale...

– Znam to „ale” – przerwał mu Churchill. – Amerykańskiej opinii publicznej to się nie podoba.

– Właśnie. W Stanach Zjednoczonych nie ma dyktatury, prezydent nie może sam zdecydować o przystąpieniu do wojny z Niemcami.

Churchill podniósł się z fotela i podszedł do milczących generała i admirała.

– I co, panowie stratedzy? Czego by trzeba, aby nasi amerykańscy przyjaciele przestali umywać ręce?

Oficerowie wymienili ostrożne spojrzenia. Pierwszy odezwał się admirał:

– Niemieckie okręty podwodne powinny zaatakować amerykańskie jednostki cywilne.

– Hitler nie jest głupi, nigdy nie podejmie takiego ryzyka – burknął Churchill.

– Jeśli nie on, to może któryś z jego sojuszników z Osi17. Mussoliniego możemy wykluczyć, on nie ma żadnego kontaktu ze Stanami, pozostają więc Japończycy. Marzą o podboju Pacyfiku, który który uważają za swoją morską przestrzeń życiową, tak jak Niemcy Europę Wschodnią. Jestem pewien, że cesarz i jego premier, generał Tōjō, co noc śnią, że zrzucą swoje bombki na amerykańskich wodach Pacyfiku położonych najbliżej Imperium Wschodzącego Słońca.

Amerykański ambasador chrząknął.

– Chyba nie chcą panowie, żeby Japońcy nas zaatakowali? Udam, że nie słyszałem tej wymiany zdań.

Winston Churchill stanął przed ambasadorem i oparł dłonie na podłokietnikach jego fotela.

– John, sprzedałbym duszę diabłu i na dodatek oddałbym mu cnotę swojej córki, gdybym w ten sposób wymusił to na was. Jeśli któregoś ranka po przebudzeniu usłyszę, że te przeklęte żółtki puściły z ogniem takie na przykład Hawaje, rozczęstuję cały zapas cygar wśród współpracowników i urznę się jak nigdy w życiu.

Ambasador zeszywniał i wstał z fotela.

– Śni pan na jawie, panie premierze. Większość Floty Pacyfiku stacjonuje na tych wyspach. Skoncentrowaliśmy tam ponad osiemdziesiąt okrętów, niszczycieli, pancerników, krążowników i podwodnych, nie licząc bazy sił lotniczych marynarki wojennej. Japończycy nigdy nie zaryzykują ataku na największy port wojskowy na Pacyfiku. Nie mają na to środków.

– Jak się ten port nazywa?

– Pearl Harbor.

Przedpokój premiera w całości poświęcono koniom. Obrazy ze scenami myśliwskimi, zawieszane na ścianach akcesoria jeździeckie od uprzęży po ostrogi – wystrój całkowicie kontrastował z wyglądem podziemnego schronu, w którym spotkali się po raz pierwszy. Malorley przyjrzał się dokładnie malowidłu George'a Stubbsa, które przedstawiało konia stojącego dęba przed królem o aroganckiej

minie. Z sąsiedniego pokoju, w którym pracowały dwie sekretarki, dochodziło miarowe stukanie maszyny do pisania. Czekał już dwie godziny. Odkąd zdobyto artefakt z Montségur, regularnie co miesiąc bywał z raportem u premiera, który odbębniał spotkanie w kwadrans. Tym razem Malorley przynosił świeże wieści. Tristan złapał obiecujący trop. W każdej chwili należało się spodziewać, że trzeba będzie wysłać nową grupę w jakieś miejsce w Europie. I oficer SOE potrzebował zielonego światła od człowieka z cygarem.

Otworzyły się drzwi gabinetu Churchilla i wyszli stamtąd dwaj oficerowie oraz człowiek, w którym Malorley rozpoznał ambasadora Stanów Zjednoczonych. Kontynuowali rozmowę, nie zważając na jego obecność. Dyplomata się pożegnał i znikł, a oficerowie zaczęli wkładać płaszcze.

Twarz generała wydała się Malorleyowi znajoma. Potrzebował kilku sekund, aby sobie przypomnieć, że widział go na spotkaniu Kręgu Gordona. Tego wieczoru, kiedy wygłosił wykład na temat okultystycznych wpływów na nazizm.

Generał obrzucił go szybko wzrokiem, po czym nachylił się do kolegi.

– Jesteśmy w sztabie połączonych sił zbrojnych. Muszę się przywitać ze znajomym.

Admirał przyjrzał się Malorleyowi nieufnie.

– A kimże jest ten cywil w sile wieku, który nie nosi munduru? – zapytał ostro.

– SOE, ciii...

Admirał nałożył czapkę, wyrzekając:

– W czasie poprzedniej wojny nie potrzebowaliśmy takich typków, żeby roznosić wroga w pył. Chuliganeria, która nie przestrzega wojennego kodeksu honorowego. Jeszcze jeden znak, że imperium schodzi na psy.

– Mój drogi, czyżbyś uważał, że ten przybłęda mały kapral go przestrzega? To zupełnie inne czasy i imperium słusznie zmienia zasady Wielkiej Gry.

Wojskowi się pożegnali. Malorley słyszał urywki ich rozmowy, lecz przezornie nie włączył się do niej. Odkąd powołano SOE, krążyły najbardziej szalone pogłoski o stosowanych przez nie metodach. Pogłoski często rozpowszechniane przez MI6 i wywiad marynarki wojennej.

Generał podszedł do niego i mocno uściskał mu dłoń.

– Komandorze, gratuluję operacji w Montségur. Zrobił pan wrażenie na bardzo wielu osobach. A może by mi pan powiedział, gdzie teraz jest artefakt?

*Berlin*

*Siedziba Ahnenerbe*

*Listopad 1941*

Kiedy Erika się przebudziła, światło dnia już od dawna sączyło się przez żaluzje. Wyciągnęła rękę w bok, lecz miejsce Tristana było puste. W nocy, gdy wrócili z przyjęcia u Goebbelsa, odmówił wyjaśnień: musiał najpierw zweryfikować swoje przeczucia. Archeolożka nie nalegała. Ona również знаła te chwile podniecenia przed jakimś odkryciem. Skoro Tristan przeczuwał, że wpadł na właściwy trop, w żadnym razie nie należało mu przeszkadzać. Naciągając na siebie kołdrę, szybko przeleciała w myśli wydarzenia poprzedniego wieczoru w Ministerstwie Propagandy. Raz-dwa odsunęła scenki z życia światowego i skupiła się na zapowiedzi Goebbelsa. Dlaczego Führer, który nie cierpi podróży, ma jechać do Wenecji na spotkanie z Mussolinim? Czyżby teraz Hitler przymierzał się do zawładnięcia Morzem Śródziemnym, a następnie Wschodem, aby uderzyć w samo serce angielskiego imperium handlowego? Eriki jednak nie interesowały rozważania geopolityczne. Niepokoiło ją, że ta zapowiedź wyszła z ust Goebbelsa. Wszyscy wiedzieli, że Karzeł jest geniuszem propagandy. I jeżeli on zorganizował spotkanie w Wenecji, był to prawdziwy wyczyn. Cały świat nagle odkryje, że Niemcy pokonały Rosję, Churchill wpadnie w desperację, Amerykanie zaś ostatecznie się upewnią, że nie powinni interweniować.

Naprawdę mistrzowskie posunięcie.

Tyle że zostawiało Himmlera na marginesie. Reichsführer nie był już w pierwszym szeregu. Odtąd Hitler podejmował decyzje bez niego.

Von Essling poczuła, że ściska ją w gardle. Poszukiwanie swastyki musiało bezwzględnie zakończyć się sukcesem. Erika wyskoczyła z łóżka. W interesie Tristana leżało znalezienie czegoś. I to szybko.

Archiwum w Ahnenerbe było jedną z największych sal w instytucie. Przechowywano tam bezustannie rosnącą kolekcję manuskryptów, zwłaszcza średniowiecznych, i rzadkich dokumentów pochodzących z całego świata. Właśnie tu przygotowano misję w Tybecie, gdzie odkryto pierwszą swastykę. Tristan kazał sobie przynieść z magazynu stertę starych papierów i książek w rozpadających się

okładkach. Kiedy Erika weszła, robił notatki na starej mapie, którą oglądał przez szkło powiększające na stopce. Aby mu nie przeszkadzać, wzięła zbiór herbów i zaczęła na chybił trafił przerzucać wyschnięte, zakurzone karty. Pośrodku stołu leżało złożone na pół zdjęcie grobu Amalryka.

– Zauważyłaś, że nie było nazwiska? – zapytał ją Francuz, odkładając ołówek. – Uderzyło mnie to wczoraj, kiedy Goebbels bez przerwy cytował Hitlera.

– I co?

– Kiedy ty załatwiałaś sfotografowanie płyty w kaplicy, ja pogadałem ze starym mnichem w infirmerii. Pasjonowała go nie tylko wizyta Hitlera. Bardzo dużo wiedział o rycerzu pochowanym w kaplicy. A najważniejsze, że znał jego nazwisko. Amalryk nazywał się Mecuplus.

– Brzmi z łacińska, ale poza tym...

– Nie ma takiego nazwiska. – Wskazał stos książek. – Przeszukałem genealogie, herby... Nikt nigdy go nie nosił.

Zaintrygowana von Essling wzięła kartkę i zaczęła notować każdą literę w osobnej kolumnie, M-E-C-U... Tristan ją powstrzymał.

– Też mi to przyszło do głowy.

– Anagram?

– Tak. I dla tego słowa jest tylko jeden: słowo speculum.

– Lustro – przetłumaczyła od razu Erika z łaciny. – Ale to do niczego nie pasuje!

– Prócz jednego. Kiedy patrzysz na siebie w lustrze, twoja prawa strona staje się lewą, a lewa prawą. No i zrobiłem to samo. – Widząc niedowierzającą minę Eriki, Tristan pokazał jej czarno-białą odbitkę płyty nagrobnej. – O, proszę. Podzieliłem zdjęcie pionowo na dwie części, lewą i prawą, potem odrysowałem każdą, a na koniec nałożyłem je na siebie... – Francuz podał jej przerysy na kalce. Erika złożyła je razem. – Ramię do ramienia, noga do nogi, wszystko jest idealnie symetryczne, stopa do stopy...

– Ostrogi się nie nakładają.

Mimo bezsennej nocy spędzonej na poszukiwaniach Tristan się uśmiechnął.

– A teraz popatrz uważnie. Czubki ostróg nałożone na siebie tworzą litery. Najpierw B, potem R i A...

– Mów!

– Całe słowo to BRAGADIN.

Erika zrobiła zawiedzioną minę.

– To nie słowo, tylko nazwa miejsca albo nazwisko. Jak to odnaleźć?

Po raz kolejny Tristan się uśmiechnął.

– Skoro Bragadin to nazwa własna, najprościej chyba poszukać w encyklopedii, prawda?

Przesunął po stole masywną księgę w formacie in folio. Zakładka w kształcie sztyletu wystawała spomiędzy kart woluminu o zakurzonych brzegach.

– Nie mów, że znalazłeś?

– Bragadinowie to bardzo stary ród. Zależnie od pokolenia byli majątynymi kupcami, ambitnymi politykami albo znanymi wojskowymi. Jeden z nich był nawet gubernatorem Krety.

Erika patrzyła na niego z namiętnością w oczach. Chociaż chwilami wątpiła w jego miłość, teraz wiedziała, że się nie pomyliła. Tristan właśnie ją uratował. Nareszcie miała prawdziwy trop, który będzie mogła podsunąć Himmlerowi.

– Sukces pozwolił im zresztą zbudować pałac, w którym żyli przez kilka wieków.

– Gdzie?

Tristan przyciągnął ją do szkła powiększającego ustawionego nad mapą, na której pracował. Przystawiła oko do lupy i zobaczyła prostą ulicę z czarnymi prostokącikami po bokach oznaczającymi budynki. Jeden był zakreślony ołówkiem. Powyżej widniało nazwisko zapisane pochyłym pismem.

Bragadin.

Poderwała głowę.

Miasto, które widziała na planie, miało kształt ryby otoczonej wodą.

Natychmiast je rozpoznała.

Wenecja.

W sali archiwów brzęczało jak w ulu, kiedy Tristan wsunął tam głowę. Zniknął poranny spokój, zastąpił go pośpiech badaczy, którzy przypominali pszczoły szukające pyłków. Jedni przeglądali zawartość regałów zapomnianych od lat, inni nerwowo wertowali rejestry, pozostali naprędce sporządzali notatki, które Erika, niczym wymagająca władczyni, zatwierdzała bądź odrzucała.

– Chcę wiedzieć wszystko o rodzie Bragadinów. Pochodzenie, dzieje, jak doszło do zniknięcia. Wszystko. I wszystko o dzielnicy Castello, gdzie mieści się pałac. Plany, historia, anegdoty... Wszystko.

– Widzę, że nie tracisz czasu – pochwalił Francuz.

– Za dwie godziny mamy spotkanie z Reichsführerem. Chcę być przygotowana. Zwłaszcza że będzie też Heydrich, szef SD18.

– I szef Gestapo... – dodał Marcas. – Skoro będziemy mieli do czynienia z tym osobnikiem, muszę się przejść. Trzeba się przygotować.

Nachylił się, by pocałować Erikę, lecz ona już na powrót pogrążyła się w notatkach.

Mgła i szron dzieliły się okolicą, kiedy Tristan dotarł na plac przed kościołem. Z ostrożności przystanął przed odemgloną wystawą sklepu, w szybie mógł bowiem zobaczyć, co się dzieje za nim. Ulice były puste, to jednak nie wystarczyło, aby się uspokoił. Zamknął oczy, chcąc lepiej wysłyszeć echo pospiesznych kroków lub urywany oddech, lecz wszędzie panowała cisza. I tak zresztą nie mógł dłużej czekać. Zostało mu raptem parę minut do wyjazdu.

Drzwi kościoła otworzyły się bezgłośnie, odsłaniając nawę główną, jeszcze bardziej poszarzałą niż poprzednio. Nawet Chrystus na krzyżu ze zwieszoną głową zdawał się umierać po raz wtóry. Zakrystia była otwarta. Tristan już miał do niej wejść, gdy naraz rozległ się hurgot przewracanych krzeseł. Marcas się cofnął. Przywarł do ściany i przez szparę w uchylonych drzwiach zerknął do środka. Na posadzce leżał ksiądz, który usiłował wstać, czepiając się klęcznika. Marcas rzucił się ku niemu. Oprócz duchownego na ziemi w zakrystii nie było nikogo. Owca

– Kto księdzu to zrobił? – wykrzyknął stłumionym głosem Marcas na widok krwi rozlewającej się po posadzce.

– Ministrant... on mnie zadenuncjował. Przyszło Gestapo. Jeden gestapowiec. Uderzył mnie.

– Wysypał ksiądz?

Twarz duchownego nagle pojaśniała.

– Nie zdążyłem... krwotok... Bóg oszczędził mi bólu. Niechaj mu będą dzięki.

– Gdzie gestapowiec?

– Przeszukuje prezbiterium.

Marcas konwulsyjnie ścisnął w dłoni wiadomość, którą przygotował. Malorley bezwzględnie musi się dowiedzieć, że Francuz wyjeżdża do Wenecji na poszukiwanie artefaktu. I że Hitler z Mussolinim również tam będą. To informacja o kapitalnym znaczeniu dla dalszego przebiegu wojny.

Kapłan chwycił go za rękę.

– Zmieniłem skrzynkę kontaktową. Już nie puszka na ofiary. Idź na cmentarz. Grób rodziny Stifterów. Pod krzyżem z brązu. Ktoś codziennie będzie tam zaglądał, żeby zabierać twoje wiadomości i zostawiać rozkazy z Londynu. Teraz idź. Idź stąd. Szybko.

– Nie mogę księdza tak zostawić!

– Bóg się o mnie zatroszczy. Będę się modlił za ciebie.

Francuz się wyprostował. Rozległa się szeptana modlitwa.

Cmentarz przylegał do kościoła. Musiało być bezpośrednio przejście. W nawie Tristan próbował się zorientować w topografii okolicy. Ściana po lewej, tam trzeba

szukać. Czym prędzej ruszył w tamtą stronę. Pod witrażami stały jedynie posągi świętych oświetlane nielicznymi świeczkami. Drzwi nigdzie nie było.

– Dokąd to?

Głos rozległ się w chwili, gdy Marcas doszedł do Chrystusa na krzyżu. Odwrócił się powoli, jakby nie było czego się bać. Gestapowiec w obcisłej skórzanej kurtce trzymał w rękach żelazną sztabę.

– Widziałeś klechę?

Tristan kiwnął głową.

– No to widziałeś za dużo. – Człowiek Heydricha ruszył w jego stronę, oburącz podnosząc sztabę. – Rozgrzałem się przy klesze i czuję, że na tobie się wyżyję.

– Zabiłbyś człowieka pod Ukrzyżowanym?

– Mam gdzieś twojego Ukrzyżowanego. To tylko brudny Żydek!

Francuz przysunął się do krzyża i nagłym ruchem zrzucił go na ziemię. Chrystus rozbił się na posadzce. Jakiś gwóźdź potoczył się pod krzesła, korona cierniowa podskoczyła na płytach z brzękiem metalu.

– Jeśli myślisz, że powstrzymasz mnie rozbitym Jezusem...

Gestapowiec oburącz podniósł wysoko sztabę, odsłaniając naraz twarz. Na to właśnie czekał Tristan. Złapał zardzewiałą koronę i wbił ją w szyję mordercy księdza.

– Mam nadzieję, że jesteś zaszczepiony na tężec...

Niedowierzającym wzrokiem gestapowiec wpatrywał się w krew tryskającą miarowo z jego szyi. Sięgnął ręką do korony o cierniach już mokrych od krwi.

– Jeśli ją wyjmiesz, umrzesz.

Gestapowiec się zawahał.

– Jeśli jej nie wyjmiesz, też umrzesz. Możesz wybrać, jak zdechniesz.

Gdy Tristan wychodził z kościoła, by udać się na cmentarz, minął poczerńiały obraz, na którym wykrzywiony diabeł prowadził dusze do piekła. Pozdrowił go gestem i porozumiewawczym uśmiechem.

– No, stary, wysyłam ci jednego klienta.



*Londyn*

*Downing Street 10*

*Listopad 1941*

Malorley wzdrygnął się nerwowo. Generał w żadnym razie nie powinien o tym wiedzieć.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Wojskowy mrugnął do niego.

– Ach, te wasze tajemnice... Nieważne. W każdym razie cieszę się, że nasza interwencja u premiera zaowocowała.

– Więc to pan...?

Po wystąpieniu przed członkami Kręgu Gordona, który skupiał najbardziej wpływowych Brytyjczyków, Malorley często się zastanawiał, kto z tych ludzi mu pomógł.

– Nie, to był wysłannik pewnej wybitnej osobistości, która uczestniczyła w tamtym spotkaniu. Dobrze by było zresztą, gdyby ten pański cholerny talizman zmienił bieg spraw. Bardzo ciężko jest w tej chwili.

– Aż tak?

– Owszem. O ile praktycznie wygraliśmy powietrzną bitwę o królestwo, o tyle wszędzie indziej szkopy są strasznie ofensywni. Teraz spuszczają lanie komunistom i jak tak dalej pójdzie, na Boże Narodzenie powieszą Stalina za wąsy. W Syrii Afrikakorps tego cholernika Rommla hasa wesoło, a na Bałkanach wszyscy salutują po faszystowsku. Na Bliskim Wschodzie natomiast nacjonalistyczne ruchy arabskie dostają broń od Abwehry, żeby nas stamtąd wysiudać.

– Ale dobre wieści też przychodzą. Dowiedziałem się, że Amerykanie zwiększają dostawy uzbrojenia.

– Tak, tylko że jedynie zyskujemy na czasie, a ja...

Podszedł do nich osobisty sekretarz Churchilla.

– Panie komandorze, pan premier zaraz pana przyjmie. Uprzedzam, że będzie pan miał tylko dziesięć minut. Zaraz potem pan premier musi się udać do pałacu Buckingham.

– Zostawiam pana z buldogiem – powiedział generał. – Zapraszam do siebie przy okazji. Zjemy kolację, przedstawię panu kilku przyjaciół. Pańskie spojrzenie na nazizm otwarło mi oczy.

– Postaram się, ale nieczęsto bywam w sztabie.

– A kto mówi o sztabie? – Generał podał mu rękę. Tym razem uścisk był inny, szczególnie ustawienie palca wskazującego. – Loża Newtona – szepnął.

– Green Devil.

Malorley się uśmiechnął. Tak jak on, generał był wolnomularzem. Clarckfield klepnął go w ramię i odszedł.

Oficer SOE wszedł do gabinetu premiera. Jego wystrój był skromny, nie miał nic wspólnego z końską galerią eksponowaną w antyszambrze. Flaga, portret króla, mapa działań wojennych. Jedynym rozrywkowym akcentem było płótno z bitwą pod Trafalgarem. Churchill zdawał się w złym humorze. Zanim Malorley zdążył otworzyć usta, przypuścił atak:

– I co, komandorze? Znowu narozrabialiśmy? Czytałem raport naczelnika Tower. Domaga się pańskiej głowy i głowy pana kolegi, osoby o bardzo wątpliwej reputacji, chętnie ją wywiesi na najwyższym murze. Przez was ten łajdak Hess doszczętnie ześwirował i wylądował w psychiatryku. Szef MI Pięć bombarduje mnie żądaniem, żebym kazał pana zrzucić nad Francją bez spadochronu. Pański wydział magii i przepowiedni nie przetrwa zimy, jak tak dalej pójdzie.

– Spróbowaliśmy hipnozy, która źle się skończyła. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Nie tak jak mnie, chociaż z drugiej strony... – Churchill przerwał, by zapalić cygaro grubości kciuka. – Z drugiej strony zdjął mi pan jeden kłopot z głowy. Pańscy koledzy z MI Pięć niczego nie mogli z niego wyciągnąć i już przed pana „interwencją” gość miał ewidentne objawy zaburzeń umysłowych. Choć raz w życiu muszę zgodzić się z Hitlerem: ten człowiek to wariat.

Tona ołowiu spadła Malorleyowi z ramion.

– I jak? – podjął Churchill. – Ten pański artefakt wyekspediowano do naszych przyjaciół po drugiej stronie Atlantyku?

– Tak, na pokładzie Cornwallisa eskortowanego przez dwa okręty podwodne Typhoon. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, artefakt zostanie doręczony za dwa dni w umówionym miejscu.

– Gdyby jego moc sprawiła, że Roosevelt wypowiedziałaby wojnę Hitlerowi, byłbym najszcześniejszym z ludzi.

– Nie wyglądało na to, żeby ambasador Stanów zgadzał się z panem.

– Proszę nie wierzyć pozorom, to uczciwy człowiek, ufam mu. John to prawie członek rodziny, stały kochanek mojej drugiej córki Sary.

Malorley szeroko otworzył oczy, zastanawiając się, czy premier, jak to on, nie robi go w konia. Churchill się skrzywił i zgniótł cygaro w popielniczce w kształcie odwróconego melonika.

– A niech to, kolejna podróbka! Nikt nie jest w stanie załatwić mi prawdziwych cygar Romeo y Julieta... No, jeśli dobrze pamiętam, do zdobycia zostały jeszcze dwie swastyki. Jak panu idzie?

– Mam wieści od naszego agenta w otoczeniu Himmlera. Coś znowu drgnęło. John Dee złapał nowy ślad. Musimy być gotowi na wysłanie oddziału operacyjnego. Za pańską zgodą.

– Ma ją pan. Jestem w takim punkcie, że mógłbym pocałować Stalina w usta, gdyby to miało pomóc. Jak ten agent skontaktował się z panem?

– Może odbierać i wysyłać wiadomości za pośrednictwem siatki ruchu oporu niemieckich katolików.

– Znakomicie. I jeszcze coś: dowiedziałem się, że włączył pan tego starego zboczeńca Crowleya do przesłuchania Hessa. Powinien pan się z nim rozstać.

– Dlaczego? – spytał Malorley zaintrygowany.

– Do licha! Przecież jak pan wie, ten błazen roztrąbił wszędzie, że to on podsunął mi pomysł z V na znak zwycięstwa.

– Nie wiedziałem, że pan go zna.

– Spotkałem go dwa razy w życiu i na Boga, dotąd to pamiętam. Obłeśny łajdak. Niech pan mi nie mówi, że ten zausznik szatana pracuje w pańskiej ekipie.

– Pracuje. I dobrze wiem, jaki jest jego poziom moralny, ale ludzie tacy jak on to niepowszednie okazy. Poza tym przed wojną kilka razy był w Niemczech i we Włoszech, ma tam liczne kontakty w kręgach ezoterycznych, zwłaszcza wśród dygnitarzy reżimu. Może nam się bardzo przydać.

Malorley wolał pominąć milczeniem próbę szantażu ze strony szefowej Hellfire'a i operację przeniknięcia do niemieckiej siatki szpiegowskiej.

Churchill się nadąsał.

– Jak rozbudowane są te kręgi, dobrze wiem! Zarówno w całym kraju, jak i w moim bezpośrednim otoczeniu. Kiedy był pan u niego, nie pokazywał panu swoich kart do tarota?

– Owszem.

– No to proszę sobie wyobrazić, że rysunki do nich wykonała lady Frieda Harris, żona mojego osobistego doradcy Percy'ego Harrisa. Ostrzegłem go, ale Percy'emu mag przypadł do gustu, oprowadził go nawet po parlamencie. Gdyby Crowley nie był taki stary, pomyślałbym, że zrobił z niej swoją kochankę.

– Wyraźnie pan za nim nie przepada...

Premier wstał z fotela, założył ręce za plecy i zaczął chodzić w tę i we w tę przed Malorleyem.

– Niemniej Crowley w służbie Jego Królewskiej Mości to logiczne.

– Nie rozumiem.

Churchill stanął przed Malorleyem.

– Mimo jego skandalicznego prowadzenia się żywię głębokie przekonanie, że od dziesięcioleci Crowleya chroni... – Premier skierował wzrok na portret mężczyzny zawieszony na poczesnym miejscu nad jego biurkiem.

Malorley zastygł.

– Król?

– Nie król, ale jego rodzina. Jerzy Szósty siedział jeszcze w szkolnej ławie, kiedy Crowley miał wolny wstęp do Windsoru.

– Ale dlaczego?

– Tego nigdy się nie dowiedziałem. Może wie o jakimś sekrecie, który ich dotyczy. A niech pan tylko komuś powtórzy, co powiedziałem, a nogi z dupy powyrywam.



*Szpital wojskowy w Pasewalku*  
*11 listopada 1918*

W Pasewalku wiatr zawładnął strychem – gwizdał, świszczął, ryczał zależnie od pory roku. W związku z tym przekształcenie na początku wieku starej posiadłości w szpital dla obłąkanych okazało się głośną porażką. Obłąkani nie znosili tego natrętnego wiatru i zanim wybuchła epidemia morderstw i samobójstw, zakład pospiesznie zamknięto.

Wraz z rozpoczęciem wojny został ponownie otwarty. Dziesiątki tysięcy zagazowanych żołnierzy niemieckich potrzebowało dotlenić płuca i nieustający pomorski wiatr zmienił się w cudowny lek. Co dzień dostarczano tam ładunek rannych. Dwie ciężarówki z podciągniętymi plandekami przywoziły ludzi zgiętych we dwoje, o drżących dłoniach na piersiach, próbujących utrzymać w sobie wąski strumyk życia, które jeszcze w nich kołatało.

– Uwaga, po lewej jest grób. Mógłby się pan potknąć, to świeża mogiła.

Hitlera do rozpaczki doprowadzał ponury głos pielęgniarki, która codziennie wyprowadzała go na spacer. Nie mógł już znieść tego zmęczonego tonu, a przede wszystkim mdłego zapachu jej włosów. Odkąd oślepl, głównie za pośrednictwem zmysłu powonienia utrzymywał kontakt z rzeczywistością, a to, co czuł, wcale nie napawało go radością. Od smrodu uryny wiszącego w sali szpitalnej, gdzie spał, po wstrętny zapach posiłków podawanych naprędce – od wszystkiego dostawał mdłości. A to, co słyszał, wcale nie wpływało na niego lepiej. Ranni, którzy jadąc z frontu zachodniego, przebywali całe Niemcy, opowiadali o kraju zdevastowanym przez nędzę i głód. Hitler nic z tego nie widział. Kiedy stracił wzrok, wrzucono go do wagonu bydłowego i tak w brudzie, smrodzie, a przede wszystkim w ciemności dojechał do szpitala w Pasewalku. Wygłoszono diagnozę: ślepotą całkowitą. Lekarz kazał mu się modlić do Boga, żeby odzyskał wzrok. Hitler nie ufał Bogu, co oznaczało, że już na zawsze pozostanie niewidomy.

– No, wracamy. Proszę uważać, kiedy będzie się pan odwracał.

– Gazety już przyszły? – zapytał Adolf. – Przydałoby się, żeby ktoś mi je przeczytał. Przynajmniej tytuły.

– Gazety? Nie, nie przyszły. I tak zresztą same w nich złe wieści.

– Jakie?

– Niemcy przegrały. Poprosiły o rozejm!

Hitler położył się na wąskiej pryczy, kompulsywnie ugniatając dłońmi pościel. Dotąd znosił wszystko. Głód, biedę, pogardę, wstyd. Ale ten upadek narodowy zupełnie go powalił. Tym razem już się nie podniesie. Bez wojny, która nadała sens jego bezproduktywnemu życiu, bez wojska, które przyjęło go do swojej rodziny, był nikim. Człowiekiem wiecznie przegranym. Ślepym. Ślepym i straconym. Przyciągnął swoją kurtkę na łóżko i wyjął z niej szkicownik. Nie śmiał go otworzyć. Na piersiach czuł obręcz, jakby to on ucieleśniał Niemcy, które tkwiły między ofensywą aliantów na zachodzie i rewolucją komunistyczną na wschodzie.

Z drżeniem Adolf w końcu otworzył szkicownik. Ostatnia kartka miała zagięty róg. Przesunął palcem po papierze, nie musiał jednak wyczuć pod opuszką śladów ołówka, aby wiedzieć, co narysował. Swastykę. Zalały go naraz emocje. Wspomniął siebie w Wiedniu, wspomniął, jak w Bibliotece Narodowej przeglądał numery „Ostary”, później spotkanie z Lanzem i wreszcie intrygującą noc spędzoną w kaplicy w opactwie Heiligenkreuz. Policzył na palcach. To już dziesięć lat. I co zrobił w ciągu tych dziesięciu lat? Nic. Tylko stracił wzrok.

– Wstawaj, wałkoniu!

Bezwzględna ręka zdarła z niego przykrycie, pod którym leżał. Poczul przesiąknięty alkoholem oddech salowego. Rozpoznał go. Wszyscy wiedzieli, że to tchórz, który odciął sobie palec wskazujący – ten, którym naciska się spust karabinu – żeby nie iść na front. Co więcej, szerzył poglądy rewolucyjne. Powiadano, że jest komunistą i ukrywa w sypialni portret Lenina.

– Przyprowaździłem ci towarzystwo. Jeszcze jeden żałosny kretyn jak ty.

Usłyszał oddalające się kroki salowego i zaraz skrzypnięcie pryczy obok.

– Hitler! – rozległ się głos świszczący po zetknięciu z gazami bojowymi. – Zdecydowanie było nam przeznaczone znowu się spotkać.

Adolf osłupiał. Ten głos, nawet zniekształcony przez iperyt... znał go, ale gdzie słyszał? W piekle okopów? W Monachium, gdzie się zaciągnął?

– Szukaj w odleglejszych czasach – podjął ów człowiek, jakby odgadł jego myśli. – Szukaj w Wiedniu, w dzielnicy Margareten. Palilem papierosa.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Adolf. – Ty jesteś...

– Weistort.

- Nie do wiary. Chyba mi się to śni.
- Nic z tego, przyjacielu. Co ci się stało?

W chwili gdy Hitler miał odpowiedzieć, rozległ się głos pielęgniarki:

- Lekarz na pana czeka, zaprowadzę – oznajmiła, podchodząc do łóżka.
- Pogadamy później – obiecał Weistort.

Kobieta wzięła Adolfa za rękę. W pizamie podobnej do całunu szedł niepewnym krokiem. Patrząc za nim, Weistort pomyślał, że przypomina poobijane, rozedrgane Niemcy: długo nie pociągnie.

W korytarzu prowadzącym do gabinetu lekarskiego panował wzmożony ruch, co nawet ślepiec potrafił zauważyć. Ludzie biegali, drzwi trzaskały, z mijanych sal dochodziły okrzyki. Hitlerowi wydało się nawet, że skądś słyszy Międzynarodówkę.

– Niech pan stanie pod ścianą – podpowiedziała mu pielęgniarka wyraźnie wystraszona. – Gotowi pana przewrócić.

W całym korytarzu rozległ się rumor rozbijanego szkła.

- Mój Boże, oni powariowali!
- Co się dzieje? – zawołał Hitler.
- Zawieszenie broni, towarzyszu, zawieszenie broni! Koniec wojny! – ryknął ktoś, przebiegając obok.

W ogrodzie huknął strzał. Hitler wyciągnął prawą rękę. Pielęgniarka zniknęła. Przywarł do ściany i ruszył z powrotem. Wiedział, że w korytarzu nie ma żadnych przeszkód, tylko drzwi. Musiał wrócić do sali. Szybko. Szedł naprzód jak pająk, trzymając się ściany, dłońmi wodząc po boazerii, pięty przesuwał wzdłuż listew przypodłogowych. Dookoła nie ustawała szalona bieganina i pokrzykiwania. Dociągnął troczki spodni, które groziły opadnięciem, i podążył dalej.

– Hitler! – usłyszał naraz głos Weistorta. – Tutaj, wchodź.

Po zapachu Adolf rozpoznał schowek, w którym trzymano przybory do sprzątnięcia. Weistort zamknął drzwi. Hitler usłyszał, że przesuwa szafkę.

– Co robisz?

– Ratuję nam życie. Może się jeszcze uda – odparł Weistort i wyjaśnił: – Walki na froncie ustały dziś o jedenastej rano. Totalna porażka. Nasze oddziały w pośpiechu wycofują się z linii obrony, zostawiają ciężką broń i wszystkie środki transportu. Co oznacza, że Niemcy już nie mają armii, która by ich broniła. Ale najgorsze dopiero przyjdzie. Strajki paraliżują cały kraj. Komunistyczne bojówki opanowują niektóre miasta. Trwa rewolucja. Tutaj też.

– Jak to?

– Widzisz, połowa pielęgniarzy zeszła do piwnic, żeby się upić, druga połowa rozbroiła i uwięziła strażników, wywaliła dyrekcję szpitala i ogłosiła powstanie

komunistyczne. Jeżeli wyjdiesz z tego schowka, radzę głośno mówić do chłopców z sali „towarzyszu”, inaczej możesz ściągnąć na siebie kłopoty.

Oszołomiony Adolf nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie wspominając, że zostałeś odznaczony, a proletariusze nie lubią medali, to niezgodne z ich równościowymi poglądami. Na ich miejscu rozstrzelałbym cię dla przykładu.

– Jak możesz żartować w takiej chwili? Nie boisz się?

Weistort położył mu dłoń na ramieniu. Wyczuł pod nią obojczyk.

– Im głębsze są ciemności, tym jaśniejsze będzie światło.

– Światło... – ironicznie rzekł Adolf. – Zdziwiłbym się bardzo, gdybym je kiedyś jeszcze zobaczył.

Weistort wstał, puścił wodę i przed lusterkiem poprawił grzywkę, która za nisko opadała mu na czoło. Na Hitlerze zrobiło wrażenie jego opanowanie, gdy szpital stał w ogniu i mógł spłynąć krwią.

– Nie znasz ukrytych sił swojego umysłu, bo w nim wszystko się rozgrywa. Tak światło, jak i ciemność.

Hitlerowi wąs zadrżał z zawodu. Jakim sposobem człowiek tak wykształcony jak Weistort może pleść takie dyrdymały?

– W sumie twoje życie jest nie do zniesienia – podjął Weistort. – Nie masz pracy ani przyjaciół, ani przyszłości. Czemu chciałbyś otworzyć oczy na świat, w którym nie ma nadziei?

– Twierdzisz, że jestem ślepy ze strachu, że sam odpowiadam za swoje nieszczęścia, bo jestem słabym nieudacznikiem... – Adolf mówił coraz bardziej podniesionym głosem. Z taką oceną nigdy się nie pogodzi.

– Twierdzę, że nie stoisz ani na wysokości swojego życia, ani na wysokości aktualnej sytuacji. Masz wokół siebie chaos, staw mu czoło.

– Jestem ślepy – jęknął Hitler.

– No to taki zostaniesz.

Weistort otworzył drzwi. Dobiegły ich krzyki przemieszane z dźwiękiem tłuczonego szkła.

– Najwyższy czas, żebyś stawił czoło samemu sobie.

Hitler zbladł, lecz zaraz odpowiedział:

– Uważasz, że nie stać mnie na to?

– Udowodnij, że jest inaczej. Jeśli masz odwagę.

Adolf wahał się przez kilka sekund, po czym wyszedł na korytarz, gdzie tumult narastał. Poczuł, że Weistort go przytrzymuje.

– Masz przy sobie krzyż, który dał ci Lanz?



Hitler potaknął.

– No to niech swastyka będzie z tobą – powiedział Weistort, zamykając drzwi schowka.

Kapral znalazł się sam z chłopcami z sali.

– Dosyć! – Głos Hitlera przebił się nagle przez wrzawę.

– Co to za pajac w piżamie?

– I czemu wyciąga ręce przed siebie?

Adolf poczuł, że podchodzą do niego. Stawał się centrum zainteresowania, które nie zapowiadało się na życzliwe. Już kiedyś w szkole poznał odczucie osaczonego zwierzęcia, kiedy otaczała go zgraja osiłków i wiedział, że nadeszła godzina upokorzenia.

– Ślepy nam rozkazuje!

– Kapral Adolf Hitler, pułk Lista, odznaczony Krzyżem Żelaznym pierwszej klasy.

Przez korytarz przetoczył się ryk śmiechu. Jeden z osiłków złapał Hitlera za kołnierz.

– Posłuchaj, kurdupłu, tu nie ma już kaprali, odznaczeń, nic. Koniec z przywilejami. Dostaniesz wiadro i miotłę i pozmywasz ten gnój w sali. Myśmy się dość tego narobili, teraz twoja kolej.

Hitler tak mocno ścisnął swastykę w dłoni, aż wbiła się w ciało.

– Nie.

– Sam tego chciałeś!

Cios trafił go w twarz. Zdążył tylko poczuć ból pękającego łuku brwiowego, po czym runął na ziemię. Z twarzą zalaną krwią próbował wstać, lecz oberwał kopniaka w podbródek i drugiego w żebra. Wrzasnął, nie rozwarł jednak pięści.

– No, dajcie mu nauczkę!

Cała zgraja szykowała się do lania, gdy naraz z dziedzińca dobiegł strzał, a po nim krzyki.

– Szybko! Więźniowie uciekają!

Korytarz opustoszał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Weistort wyszedł ze schowka i odwrócił ciało rozciągnięte na podłodze. Piżama była poplamiona krwią. Twarz poharatana.

– Nic nie mów. Masz rozbite wargi i na policzku ranę do kości. Będzie piękna blizna.

– Jak twoja...

Weistort z niedowierzaniem patrzył na kolegę, który palcem wskazywał jego szramę.

– Adolf, jakim cudem widzisz moją bliznę?

Hitler rozwarł pięści i podniósł dłonie do twarzy. Swastyka upadła na podłogę.

– Lusterko... daj mi lusterko...

Weistort wpadł do schowka. Jednym uderzeniem rozbił lustro zamocowane na ścianie i ułomek zaniósł czym prędzej Hitlerowi.

Adolf wziął go do ręki.

Jeden rzut oka wystarczył, by zrozumiał.

Widział. Znowu widział.

*Londyn*

*Siedziba SOE*

*Listopad 1941*

Malorley stał przed wielkim planem Wenecji przypiętym do ściany w gabinecie. Znalazł ją w specjalistycznej księgarni w południowym Kensington. Komandor błądził wzrokiem po płątaninie ulic i kanałów ciągnących się w nieskończoność. Znał ten labirynt, przed wojną jakiś czas spędził w tym mieście u włoskiego przyjaciela.

Odkąd dostał od Tristana wiadomość, nie mógł się doczekać, kiedy znów przystąpi do działania. Otrzymał zielone światło od Churchilla, godzinami siedział, opracowując w najdrobniejszych szczegółach operację Doża. Był zmęczony, lecz dwie dobrze przespane noce wystarczą, by na nowo naładował akumulatory.

Do gabinetu bez pukania weszła sekretarka i na biurku położyła kopertę z nagłówkiem admiralicji.

– Ma pan pilnie zadzwonić do gabinetu premiera, jak tylko zapozna się pan z zawartością tej przesyłki.

– Doprawdy? – zdziwił się. – W tej chwili mam inne priorytety...

Z irytacją na twarzy otworzył kopertę i wyjął zapisaną na maszynie kartkę z pieczęcią wywiadu marynarki wojennej oraz dossier opatrzone zdjęciem młodego oficera Royal Navy. W miarę jak czytał, twarz mu czerwieniała. Poczł, że ziemia usuwa mu się spod stóp.

– Bloody hell! To niemożliwe.

Sekretarka nigdy nie widziała go w takim stanie.

– Co się dzieje, panie komandorze?

– Odsuwają mnie od operacji weneckiej! Przejmuje ją wywiad marynarki! O nie, tak się nie będziemy bawić.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer gabinetu Churchilla. Po kilku minutach uzyskał połączenie. Głos buldoga rozległ się w słuchawce, którą komandor przyciskał do ucha z siłą rozpacz.

– Malorley... pewnie się pan wściekł. Rozumiem.

– Panie premierze, pana decyzja jest niesprawiedliwa. Mam wszelkie niezbędne kwalifikacje do tego zadania.

– Wiem, ale nie mogę sobie pozwolić na ryzykowanie życia oficera pańskiej rangi, to zbyt niebezpieczne. Royal Navy oddaje panu jednego z najlepszych swoich ludzi, on pokieruje grupą na miejscu. Pan oczywiście zachowuje dowodzenie operacją Doża w Londynie.

– Jak przypuszczam, nie ufa mi pan z powodu tego, co się stało w Tower z Crowleyem?

– To wszystko, komandorze. Dobrego dnia.

Churchill odłożył słuchawkę. Rozmowa trwała niecałą minutę.

Malorley siedział oszołomiony. Odsuwano go na dwa dni przed rozpoczęciem operacji. Od jego ostatniego spotkania z premierem coś się stało, ale nie wiedział co. Całe szczęście przynajmniej, że oddział nadal składał się z agentów SOE i że należała do niego Laure. Komandor wziął akta przysłane przez wywiad marynarki wojennej – dossier człowieka, który wchodził na jego miejsce. Otworzył je. Zostało mu ledwie pół godziny na przetrwanie urazy i przybranie stosownej miny na zebranie agentów.

Sala była pogrążona w półmroku. Malorley włożył do rzutnika diapozytyw mapy środkowej części Morza Śródziemnego. Laure i trzech inni agenci SOE siedzieli naprzeciwko ekranu.

– Plan lotu jest następujący – zaczął komandor. – Startujecie pojutrze z lotniska Baybridge lockheedem hudsonem, przystosowanym do zrzucania spadochroniarzy. Kierunek: Malta na Morzu Śródziemnym, baza wojskowa położona na północy Valletty.

– Wyspa kawalerów maltańskich – skomentował jeden z agentów. – Zawsze chciałem zobaczyć kościół Santa Maria Assunta, który ma wspaniałą kopułę z...

– Turystykę proszę przełożyć na kiedy indziej. Na Malcie zostanieie przewiezieni do portu, gdzie wsiądziecie na pokład okrętu podwodnego, który odstawi was do Wenecji.

Laure podniosła rękę.

– W drodze na Maltę samolot przeleci nad okupowaną Francją. Co będzie, jeśli nas zestrzelą?

– Każdy dostanie standardowy pakiet ratunkowy, regulaminowy pistolet plus pudełko z trzydziestoma pociskami, żeby odstrzelić tyle samo niemieckich łbów, i po trzysta franków kieszonkowego.

– A jak później wrócimy do Anglii? – zapytał najstarszy agent.

– To nie wchodzi w grę. Nie ma mowy o uprzedzaniu naszej siatki we Francji. Jeśli spadniecie u żabojadów, możecie liczyć na tu obecną Laure, która was doprowadzi do owczarni.

– Czyli w waszym interesie leży, żebym wyszła z tego cało... Ale wyjdźmy od zasady, że Bóg w swej dobroci pomoże nam dotrzeć do Ducego. Jaki jest plan?

– SOE razem z partyzantami włoskimi pół roku temu zmontowało siatkę w Wenecji Euganejskiej. Nie chcę wam dawać fałszywej nadziei, ale to powinno być mniej niebezpieczne niż zrzut nad Francją. Włosi mają zupełnie inny system nadzoru niż Niemcy we Francji.

– To nie tłumaczy, co mamy robić w Wenecji – drążyła Laure.

Malorley się uśmiechnął.

– Dowiedcie się w swoim czasie. A jeśli chodzi o bardziej przyziemne sprawy, wyposażenie i przypomnienie standardowych procedur zrzutu, macie jutro o jedenastej w zbrojowni zebranie z majorem Lanchesterem.

W sali zapalono światło. Cztery członkowie oddziału zmrużyli oczy oślepieni i powoli podnieśli się z miejsc.

– Wyjazd zaplanowano na pojutrze o czternastej z ośrodka. Ciężarówką pojedziecie na lotnisko. Będę z wami, żeby wam przedstawić dowódcę akcji. Zna dobrze Włochy, a Wenecję w szczególności. A teraz radzę wam odpocząć albo się zabawić. Najbliższe dni będą ciężkie.

Laure podeszła do Malorleya, kiedy pozostali opuścili pomieszczenie.

– A jak Crowley?

– Przekazał informacje Irlandce, która wydaje się zadowolona. Według MI Sześć jej kontakt to kluczowy niemiecki szpieg, którego szukali od jakiegoś czasu. Nasi koledzy z kontrwywiadu nie posiadają się ze szczęścia. Razem będziemy pracowali nad wybieraniem informacji, które mu się podsunie za pośrednictwem Crowleya.

– Chciałam powiedzieć, że...

– Tak?

– Przykro mi, że nie lecisz z nami.

– Wierz mi, ja tego bardziej żałuję niż ty.

Malorley wyłączył rzutnik. Laure ciągle przed nim stała.

– Coś jeszcze?

– Czyli znowu zobaczymy Tristana.

– Czekalem na tę uwagę. Myślałem, że jest ci obojętny.

– Powiedzmy, że ciekawa jestem kolejnego spotkania z...

– Lepiej od razu ci powiem – przerwał jej Malorley. – Tristan jest bardzo blisko z tą niemiecką archeolog, która organizowała poszukiwania w Montségur. Chyba ją pamiętasz?

Laure nie zdołała ukryć zdziwienia.

– Z esesmanką? Dziwny wybór kochanki.

Ton jej głosu był ostrzejszy, niżby chciała. Malorley udał, że tego nie spostrzegł.

– Wygląda mi to na coś dużo bardziej skomplikowanego...

Laure, nie czekając na koniec zdania, ruszyła do drzwi.

– Nieważne. Pójdę za twoją radą i zabawię się dzisiaj. A jak właściwie nazywa się dowódca naszego oddziału?

– To młody oficer z wywiadu marynarki wojennej. Niejaki Fleming. Ian Fleming.

*Berlin*

*Prinz-Albrecht-Strasse 8*

*Listopad 1941*

Siedząc na kanapie szarej jak niebo, Erika i Tristan już od wielu długich minut czekali, aż Reichsführer będzie mógł ich przyjąć. Chociaż szef SS słynął z tego, że nie toleruje żadnych spóźnień, tym razem jakby utracił poczucie punktualności. Co rusz sekretarka wybiegała z jego gabinetu, dźwigając naręcza akt. Z tego wszystkiego aż zapomniała zamykać drzwi. O ile Erika, pogrążona w ponownej lekturze swojego raportu, niczego nie słyszała, o tyle Marcas nie tracił ani słowa z rozmowy toczącej się tuż obok.

– Udało mi się wymóc zgodę Hitlera, żeby za ochronę w czasie podróży do Wenecji odpowiadało SS. Musimy pilnie powołać grupę zabezpieczającą.

Francuz rozpoznał zadziwiająco wysoki głos Himmlera.

– Nie udzielił panu żadnych wyjaśnień, dlaczego tak milczy w sprawie swojego spotkania z Mussolinim?

Reinhard Heydrich, odgadł Tristan.

– Znają panowie Führera. Teraz, gdy Moskwa lada chwila padnie, jest w euforii. Goebbels skusił go ideą, że jeśli wzmocni sojusz z Mussolinim, będzie mógł zapanować nad Morzem Śródziemnym.

Tristan usłyszał szelest kartek.

– Ta niespodziewana podróż stwarza zagrożenia nie do oszacowania – przestrzegł Heydrich. – Zarówno dla Anglików, jak i dla Rosjan to nieoczekiwana okazja do zamachu na Führera.

– Na razie o tym nie wiedzą.

– Wiercie mi, że po gromkiej zapowiedzi Goebbelsa to tylko kwestia godzin, najwyżej dni. Nie mówiąc już o tym, że Włosi donośnie obwieszczą to wszem wobec.

Himmler przez chwilę przyswajał tę informację.

– Führer dał nam wolną rękę w zapewnieniu mu bezpieczeństwa. Nie trzeba mówić, że musimy stanąć na wysokości zadania. Co panowie przewidują?

– Stanowczo odradzam przelot samolotem. Za duże ryzyko wypadku albo przejęcia maszyny.

– Pociąg faktycznie wydaje mi się pewniejszy. Będziemy mogli zabezpieczać zarówno przejazd, jak i ochronę osobistą Führera.

– Planuję puścić trzy pociągi. Wyjadą z różnych dworców o różnych porach i każdy pojedzie inną trasą. Pan wsiądzie do jednego, Goebbels do drugiego...

– ...a Führer do trzeciego. Sprytnie pomyślane, Reinhardzie, winszuję. Dzięki temu wszystkie szanse będą po naszej stronie.

– Dziękuję, Herr Reichsführer. Myślę jednak, że możemy jeszcze bardziej zoptymalizować ochronę.

Sekretarka wychodząca z gabinetu po raz kolejny niedbale przymknęła jedno skrzydło drzwi. Tristan jakby dla rozprostowania nóg wstał i podszedł do okna. Znajdował się dokładnie na linii uchylonych drzwi.

– Trzy dni przed wyjazdem Führera zrobimy wyciek na temat organizacji podróży.

– Ależ to niesłychane ryzyko!

Heydrich podjął niewzruszonym głosem:

– Wskażemy, którym pociągiem pojedzie Hitler...

Reichsführer się nie odzywał, z pewnością oniemiał.

– ...ale to będzie pociąg Goebbelsa.

Tristan ledwie zdążył wrócić na kanapę. Chętnie by przekazał do Londynu, czego się dowiedział, lecz byłoby to zbyt niebezpieczne. Już nie mógł się udać do skrzynki kontaktowej na cmentarzu. Wrócił tam nazajutrz po zabójstwie księdza i zostawieniu wiadomości z informacją o wyjeździe do Wenecji. Ku swojej wielkiej uldze ktoś zostawił dla niego odpowiedź od Malorleya. Odtąd Tristan nie miał już poczucia, że przebywa sam pośród stada wilków.

Heydrich przeszedł przez przedpokój, mocno waląc butami w parkiet. Zaraz też sekretarka zaprosiła Erikę i jej towarzysza do Reichsführera.

Gabinet Himmlera cechowała wzorowa skromność. Jedno tylko zdjęcie zdobiło nieskazitelnie białe ściany: widok z lotu ptaka zamku Wewelsburg. Książek również nie było, z wyjątkiem oryginalnego wydania Mein Kampf leżącego na biurku. Tristan był pewien, że to egzemplarz z dedykacją. Chwilowo Marcas stał na baczność za Eriką, która miała ten przywilej, że zajęła miejsce siedzące. Himmler z rękami splecionymi na wysokości ust wpatrywał się w raport, który chwilę wcześniej wręczyła mu archeolożka.

– A więc natrafiła pani na trop?

– Tak jest, Herr Reichsführer.

– Proszę streścić.

Von Essling znała tę metodę szefa: najpierw pytał, a raport czytał później, aby sprawdzić, czy wychwyci rozbieżności. Ot, wrodzony odruch policjanta.



– Jak pan wie, o wysłaniu ekipy do Knossos zdecydował mój poprzednik, pułkownik Weistort, na podstawie wskazówek zawartych w Thule Borealis Kulten. Niestety informacje o lokalizacji przypuszczalnego miejsca ukrycia swastyki były niekompletne. Porównaliśmy więc notatki pierwszego greckiego archeologa, który prowadził wykopaliska na tym stanowisku, z wynikami uzyskanymi na miejscu przez naszych specjalistów.

– Cała nasza ekipa wróciła z Krety? – przerwał jej Reichsführer.

– Tak. I dopilnowałam, żeby wszyscy zostali rozesłani w różne miejsca, gdzie prowadzimy prace wykopaliskowe.

– Dobrze pani zrobiła. Co dalej?

– Udało nam się ustalić i odszukać miejsce, gdzie znajduje się podziemna komora z czasów średniowiecza. Przeszukaliśmy ją. To, co znaleźliśmy, uznaliśmy z początku za grób, ale okazało się, że zawiera tylko miecz.

Na te słowa ożyły oczy Himmlera za okrągłymi okularami. Rycerstwo zawsze go fascynowało, marzyło mu się uczynienie z SS nowego zakonu mnichów-żołnierzy mających podbijać świat.

– Skąd pochodził ten miecz?

– Oddaliśmy go do ekspertyzy profesorowi Waldenbergowi. Pochodzi z terenów Niemiec.

– Wcale mnie to nie dziwi – podchwycił Reichsführer. – Niemcy w średniowieczu byli najlepszymi kowalami w Europie.

– Niestety nie ma na nim żadnego znaku, który pozwoliłby zidentyfikować właściciela.

Od początku rozmowy Marcas obserwował Reichsführera. Człowiek, którego w Europie najbardziej się bano zaraz po Hitlerze, nie wyglądał na tego, kim był. Nie miał magnetycznego wzroku jak jego szef ani ostrych rysów twarzy jak Heydrich, lecz oczy krótkowidza i cienkie podłużne brwi. Naprawdę nie było w nim nic z potężnego mordercy.

Erika podjęła:

– Tristan wpadł na pomysł porównania pewnych informacji. Okazało się, że to strzał w dziesiątkę. Ten trop doprowadził nas do pewnego opactwa w Austrii.

– W Niemczech... Austria należy teraz do Rzeszy – poprawił ją Himmler, zerknąwszy na Francuza.

Von Essling przyjęła uwagę bez mrugnięcia. Podboje terytorialne Hitlera kosztem słabszych sąsiadów nigdy jej nie imponowały. Kontynuowała tym samym tonem:

– Znamy teraz nazwisko rycerza, do którego należał miecz, znamy też jego biografię. Nazywał się Amalryk, odbył podróż do Ziemi Świętej, przebywał

w Knossos, zanim się wycofał do klasztoru, gdzie jest pochowany w kaplicy.

– Co to za opactwo?

– Heiligenkreuz. Leży niedaleko...

– Wiem, gdzie leży. – Himmler wpatrywał się przez chwilę w Krzyż Żelazny na piersi Francuza, po czym zapytał: – Jak pan połączył ten anonimowy miecz z opactwem Heiligenkreuz?

– Wyszedłem od hipotezy, że rycerz, który przedsięwziął poszukiwanie swastyki, mógł też być mnichem, redaktorem Thule Borealis Kulten. Żeby to założenie zweryfikować, należało znaleźć klasztor spełniający trzy kryteria: aktywny w początkach czternastego wieku, położony w południowych Niemczech i jakoś powiązany z mieczem. Profesor Waldenberg nie szukał długo.

Po chwili milczenia Reichsführer zwrócił się do Eriki:

– Byliście tam?

– Tak. I znaleźliśmy grób rycerza. W grobie była zaszyfrowana wiadomość. Kiedy znaleźliśmy klucz, poznaliśmy nazwisko.

O dziwo, Himmler nie zadał ani jednego pytania o to, jak rozwiązano zagadkę. Dał znak archeolożce, aby mówiła dalej.

– Nazwisko brzmi Bragadin. Rodzina znana od średniowiecza. Oni też byli w Ziemi Świętej i na Krecie. Ale mimo poszukiwań nie natrafiliśmy na żadne związki między Bragadinami i Amalrykiem.

– Tyle że to nazwisko – wtrącił Tristan – odnosi się nie tylko do ludzi. Dało również nazwę pałacowi. W Wenecji.

Dla Himmlera przypadek nie istniał. Każdy zbieg okoliczności coś oznaczał: wolę przeznaczenia. Nie mogło być inaczej, w przeciwnym razie jak wytłumaczyć to, że on, maluczki pośród maluczkich, zdołał się wspiąć tak wysoko, na sam szczyt piramidy władzy państwowej? Miał do wykonania świętą misję. I naraz w jego mniemaniu niespodziewane spotkanie Hitlera z Mussolinim nabrało zupełnie innego znaczenia. Goebbels zaofiaruje może Führerowi sukces dyplomatyczny, lecz on, Himmler, da mu zwycięstwo totalne.

– Jedziecie ze mną do Wenecji. Będziemy towarzyszyli Führerowi, który ma się spotkać z Duce. Jak tylko dotrzemy na miejsce, przystąpicie do szukania swastyki. Za wszelką cenę.

W przedpokoju Erika nadal nie posiadała się ze zdziwienia. Nie do wiary, pojedą w oficjalną podróż z Hitlerem! Kiedy szła z Tristanem w stronę schodów, Heydrich wyłonił się ze swego gabinetu.

– Frau von Essling, czy to pani kieruje Ahnenerbe?

– Tak jest, Herr Gruppenführer.

Heydrich, zbrojne ramię partii narodowosocjalistycznej, był dumny z generalskiego stopnia – on, który nigdy nie brał udziału w żadnych walkach.

– Wyślę pani oddział Gestapo, żeby zadbał o bezpieczeństwo siedziby.

– Ale po co?

– Jeden z moich szpiegów został ostatnio zamordowany na terenie przylegającym do parku przy Ahnenerbe. Śledził księdza podejrzanego o szpiegostwo na rzecz Anglików.

Archeolożka zeszywniała.

– Podejrzewa pan kogoś?

– Podejrzewam wszystkich, Frau von Essling, ale niech to pani nie spędza snu z powiek. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Teraz moi ludzie będą nad wami czuwać.

*Londyn*  
*Piccadilly 150*  
*Listopad 1941*

W Ritzu liczna orkiestra tłukła szalone bolero, tancerze miotali się we wszystkich kierunkach. Wojna wydawała się taka odległa. Siedząc na stołku przy barze, Laure popijała drugi dzin z tonikiem. Przyjęła zaproszenie jednej z sekretarek z SOE, z którą nawiązała w miarę przyjazne stosunki. Muzycy harcowali porwani narastającym tempem melodii. Potężniejące dźwięki elektryzowały całą salę, jakby jutro miało być ostatnim dniem. Sala balowa luksusowego hotelu przypominała Galerię Zwierciadlaną pałacu wersalskiego. Styl Ludwika XIV był wszędzie: na ścianach reprezentowała go mnogość lusterek i złocień, pod sufitem żyrandol skrzący się kryształami, nawet pod nogami tańczących błyszczała posadzka wypolerowana jak lustro.

Laure popatrzyła na siebie w jednym ze zwierciadeł i posłała swojemu odbiciu zażenowane spojrzenie. Nie przywykła do wieczorowych sukien. Zwłaszcza jaskrawoczerwonych i z tak dużym dekoltem. Miała ją z wypożyczalni położonej w tej samej dzielnicy, w której mieściła się siedziba SOE. Kosztowało ją to trzy szylingi za wieczór.

Chętnie by poszła na parkiet, lecz w dziedzinie tańca jej kompetencje były bliskie zera. Z uwagą obserwowała angielską przyjaciółkę, która wirowała w ramionach kapitana fregaty. Laure należała do pokolenia naznaczonego rozpalonym do czerwoności żelazem poświęcenia i nieszczęścia. Wojna unicestwiła jej niewinność, jak but rozdeptuje mrówkę... Ją także ogarnęła chęć, aby potańczyć, nie myśląc o jutrze. Rozległa się finalna fanfara instrumentów dętych i muzyka ucichła. Na stołek obok niej opadła zadyszana koleżanka.

– Ależ oni grają! Czemu nie tańczysz? Rusz tyłek, zamiast tkwić przy barze. Ładnych chłopców tu nie brakuje.

Laure się uśmiechnęła. Helen miała słuszość – salę wypełniali młodzi mężczyźni, których żądza życia czyniła na równi czarującymi i niezmordowanymi.

– Nie mów tylko, że nie umiesz tańczyć!

Francuzka bezradnie rozłożyła ręce. Odkąd mieszkała w Anglii, nauczono ją wielu rzeczy, z pewnością jednak nie swinga czy walca.

– Dobry wieczór, czy zechce pani ze mną zatańczyć?

Podniosła wzrok. Stał przed nią wysoki młody blondyn w mundurze kapitana sił powietrznych. Nie wiedziała, co powiedzieć. Przyjaciółka szturchnęła ją łokciem.

– No idź!

– Jestem Francuzką, nie znam tych tańców.

Lotnik obdarzył ją najpiękniejszym uśmiechem.

– Nic nie szkodzi, Anglia wspiera generała de Gaulle’a, może więc udzielać lekcji tańca jego uroczym współobywatelkom. Jestem Bradley Cox. Kapitan Bradley Cox. A pani?

– Matilda. O nazwisku pogadamy później.

Pozwoliła się poprowadzić na parkiet. Położył jej dłoń na ramieniu, drugą w talii i poprowadził ją stanowczo, ale elegancko. Nie było to takie trudne. Łatwiejsze od podkładania bomb czy opanowywania technik walki gołymi rękami. Cox przyspieszył zgodnie z coraz żywszym rytmem. Laure dała się ponieść oszołomiona.

Kiedy muzyka ucichła, poprowadził ją do swojego stolika i zagadnął:

– Co pani porabia w Londynie?

– Nie mogę powiedzieć, to tajemnica.

Przysunął się do niej bliżej. Poczowała jego ambrowy zapach, kiedy szepnął jej do ucha:

– Będę milczał jak grób.

– No dobra. Spędzam noce na cmentarzu, odkopując nieboszczyków. A teraz wyjeżdżam na operację specjalną, żeby odszukać talizman, który ma jakoby pomóc nam wygrać wojnę. Normalka...

Popatrzył na nią oniemiały, po czym wybuchnął śmiechem.

– A tak... francuski humor. Uwielbiam. Poważnie?

– Jestem maszynistką w biurze transportowym.

– A ja pilotem bombowców. Jutro lecę z misją nad Niemcy. Byłbym uszczęśliwiony, mogąc przed startem jeszcze raz się spotkać z najpiękniejszą kobietą na ziemi. Może to będzie mój ostatni wieczór na tym świecie?

Ona również wyjeżdżała z misją, lecz nie mogła mu tego powiedzieć.

– Pewnie opowiada pan to każdej poznanej pannie.

– Niestety nie. Mówię szczerze.

Wychyliła duszkiem drinka i przyjrzała mu się uważnie. Był naprawdę uroczy i dokonał wyczynu niemożliwego: przy nim zapomniała o Tristanie.

Pozwoliła na pierwszy przelotny pocałunek pod koniec trzeciego tańca i odwzajemniła kolejny, znacznie namiętniejszy, w korytarzu prowadzącym do wyjścia. Nie była pijana, po prostu chciała korzystać z życia. Może także po raz ostatni.

Bradley zaproponował pożegnalnego drinka u siebie, a ona się zgodziła. Po prostu. Była wojna.

W chwili gdy chcieli wyjść z Ritza, odźwierny zastąpił im drogę.

– Przykro mi, manifestanci blokują wejście do hotelu na Piccadilly Street. Trzeba poczekać na przybycie policji.

– Czego chcą?

– Zamknięcia hotelu. Mówią, że bogaci powinni znosić takie same wyrzeczenia jak reszta narodu. Zaczęło się, kiedy się dowiedzieli, że albański król Zogu, który z małżonką zajmuje apartament królewski, zamówił trzydzieści słoików kawioru dla swoich gości.

– Damy radę się obronić, a myślę, że mojego munduru nie pomylą ze strojem albańskiego króla.

Odźwierny wzruszył ramionami.

– Jak państwo chcą. Ale nie wychodźcie głównymi drzwiami, otworzę wam boczne.

Wyszędłszy na ulicę, ujrzeli wciąż powiększającą się grupę. Zewsząd rozbrzmiewały złorzeczenia i obelgi.

– Samochód mam na ulicy kawałek dalej. Albo pójdziemy prosto, tyle że przez ten tłum, albo obejdziemy to przez Nelson Street.

– Najkrótszą drogą.

Wznosząc gniewne okrzyki, manifestanci obrzucali fasadę słoikami z farbą. Czerwone, żółte, zielone plamy znaczyły mur na wysokości parteru. Jacyś dwaj napaleni próbowali wyrwać słupek ze znakiem drogowym.

– To się źle skończy!

Rozległo się wycie syren policyjnych i z tłumu dobiegły nienawistne pokrzykiwania. Nagle z końca ulicy doleciał donośny głuchy grzmot. Konna policja przypuszczała szarżę na demonstrantów, którzy w odpowiedzi zaczęli rzucać wyrwanym brukiem i butelkami.

– Nie mamy wyboru, musimy wracać do hotelu.

Trzy minuty później znaleźli się z powrotem w holu. Naraz z ogłuszającym brzękiem posypało się szkło z rozbitej szyby. Odłamki poleciały na wszystkie strony. Na paradny czerwony dywan spadł żelazny znak drogowy. Manifestanci runęli do

hotelu, do holu zaczęli się zbiegać hotelowi ochroniarze z pałkami. W kilka chwil hol prestiżowego luksusowego hotelu przeobraził się w pole bitwy.

Bradley złapał Laure za rękę i pociągnął ją na szerokie schody prowadzące na górę. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Szybko pokonywali kolejne piętra. Francuzkę ogarnął śmiech, tak nierealne wydało się jej to, co robili. Przeskakiwała po cztery stopnie, dziękując za codzienne treningi. Biegący za nią pilot pozostał w tyle. Zatrzymał się na zupełnie pustym trzecim piętrze.

– Matilda! Nie mówiłaś, że jesteś mistrzynią w biegach!

Doszedł do niej, ciężko dysząc. Nie broniła się, kiedy ją objął.

– Szkoda, że nie mamy klucza do któregoś pokoju – szepnął jej na ucho.

– Po co klucz?

Wyswobodziła się z jego objęć i stanęła przed drzwiami jednego z pokoiów. Szybkim ruchem wyjęła z torebki szpilkę do włosów i raz-dwa otworzyła prosty zamek. Nauczono ją radzić sobie z o wiele bardziej skomplikowanymi.

– Jesteś też włamywaczką?

– Może...

Migiem wślizgnęli się do apartamentu. Pilot krzyknął zaskoczony, kiedy rozejrzał się po pogrążonym w półmroku pokoju.

– Ależ to królewska sypialnia!

Nakryte zielonym jedwabiem łóżko niemal niknęło pod stertą satynowych poduszek. Nad nim owalne lustro w ramie powleczonej szczerem złotem odbijało taras górujący nad całym Londynem. Oniemiała Laure patrzyła na zabytki stolicy, przynajmniej na te, których samoloty Göringa nie obróciły w gruzy.

– Tam jest katedra Świętego Pawła, a tam...

Bradley wolno podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Wargami musnął jej szyję. Poczwała, że odlatuje. Wsunął jej rękę pod bluzkę, nie broniła się.

– Chcesz?

– Tak...

Nagle zawyły syreny. Pionowe smugi światła trysnęły z parku, celując w niebo.

– Cholerni faszyci! – mruknął niezadowolony pilot. – Jutro im odpłacę. Po stokroć.

Na niebie pojawiły się ciemne kształty. I zaraz rozległ się głuchy wybuch, a tuż po nim kula ognia wzbijała się po drugiej stronie parku.

– Będą mieli swoją wojnę totalną...

Bradley nie zdążył dokończyć. Laure pociągnęła go i pchnęła na łóżko. Usiadła na nim okrakiem, zrzuciła ramiączka sukni. Dwie jędrne, blade piersi wyskoczyły z białego stanika. Bradley, zachęcony chrapliwym oddechem na swojej szyi,

wyciągnął dłoń, która utonęła w koronkach. Laure odkryła właśnie drogę bez odwrotu – podniosła suknię i opadła na mężczyznę niczym żywa woda w koryto potoku. Powoli przesunęła ręką po jego kroczu i zadowolona z tego, co wyczuła, szepnęła mu na ucho:

– Mamy gdzieś wojnę.



*Monachium**21 kwietnia 1919*

Pierwsza barykada wznosiła się na skrzyżowaniu Maillingerstrasse i Rotkreuzplatzu. Postawiono ją z bruku wyrwanego z jezdni, wybebeszonych szaf, z których czasem wysypywały się ubrania, i z wozu, którego dyszel podnoszono, by otworzyć przejście. Ta radosna twórczość budziłaby śmiech, gdyby na szczycie barykady czarna paszcza karabinu maszynowego nie groziła całej okolicy śmiercią. Pozrywano tabliczki z nazwą ulicy, a zastąpiono je napisami na ścianie na cześć Lenina, z okien zwisały czerwone flagi. Bojownicy, jako znak rozpoznawczy noszący opaski ozdobione sierpem i młotem, rozklejali na zamkniętych okiennicach afisze, na których wielkimi czarnymi literami widniało obwieszczenie, że miasto Monachium jest teraz „czerwoną dyktaturą”. W rogu placu pod pozbawionym głowy posągiem parkowała ciężarówka, z której ochotnicy wyładowywali skrzynki z amunicją, śpiewając Międzynarodówkę.

– Halt!

U wejścia na barykadę pojawili się dwaj uzbrojeni ludzie z palcem na spuście broni.

– Ktoś ty?

– Żołnierz Hitler.

Po zajęciu miasta przez komunistów w listopadzie Adolf szybko zrozumiał, że należy zapomnieć o stopniach wojskowych i odznaczeniach. Nie miał naramienników ani Krzyża Żelaznego na piersi.

– Podejź tu. Zdemobilizowany?

– Nie, do początku miesiąca przydzielony do pilnowania obozu z jeńcami.

Jeden z wartowników nieufnie podszedł.

– Jaka narodowość jeńców?

– Rosjanie.

Bojownik się rozpromienił.

– A, towarzysze!

Hitler nie wyprowadził go z błędu. Tymczasem w obozie wcale nie widział gorliwych zwolenników rewolucji, lecz wygłodzonych półżywych jeńców, którzy wiedzieli, że nigdy nie odzyskają sił, by wrócić do ojczyzny. Takich nieboszczyków z odroczonego wyrokiem.

– A co robisz od początku miesiąca?

– Kazali mi pilnować budynków państwowych.

Były kapral Hitler nie sprecyzował, że ostatni budynek, przy którym trzymał straż, to teraz zgłiszcza po ataku bojowników komunistycznych – spłonęło wszystko.

– A tu czego szukasz?

Adolf nigdy nie znosił pytań zadawanych z karabinem w rękach. Mimo to się nie uniósł. Przeciwnie, przywołał uśmiech na twarz. Odkąd odzyskał wzrok, wiedział, że ma w sobie dosyć siły, aby znieść wszystko.

– Mieszkam w przytułku dla żołnierzy w rogu Rotkreuzplatzu.

– Teraz się mówi: placu Lenina – poprawił go wartownik, otwierając przejście przez barykadę. – Postaraj się zapamiętać.

– Dzięki za radę.

Przytułek dla żołnierzy czekających na demobilizację składał się z kilku pokoików w budynku parokrotnie ostrzelanym podczas rewolucji. Nie było drzwi ani okien, pozostał natomiast stróż, choć każdy się zastanawiał, jak udało mu się przetrwać walki uliczne. Kilka lat wcześniej pracował jako odźwierny w luksusowych monachijskich hotelach, lecz skłonność do świętej flachy sprawiła, że wylądował w zapyziałej stróżówce podupadłego budynku. Żywił z tego powodu głębokie rozgoryczenie, gadatliwą fascynację własną minioną świetnością, a przede wszystkim nieustającą pogardę dla tych wszystkich proletariuszy, którzy teraz rządzą miastem. Z ostrożności jednak zgolił wąs, zbyt militarystyczny, i nosił robotniczy kaszkiet, aby nie rzucać się w oczy. Ale wieczorami, kiedy zostawał sam po zamknięciu stróżówki na cztery spusty, wyjmował portret starego cesarza Wilhelma, stawiał go na stole kuchennym i wypijał szklaneczkę sznapsa za jego zdrowie. Widząc wracającego Hitlera, odryglował drzwi i zawołał:

– Kapralu!

Adolf dał mu znak, by milczał. W budynku pełno było kapusiów, którzy za odrobinę jada wydawali podejrzanych władzom komunistycznym. A każdy był podejrzany.

– Jest do pana list. – Podał mu kopertę opatrzoną kilkoma pieczęciami pocztowymi. Najwyraźniej przesyłka od tygodni wędrowała jego śladem. – Słyszał pan nowinę?

Zaintrygowany niespodziewanym listem Hitler w roztargnieniu pokręcił głową.

– Podobno kilka pułków maszeruje na Monachium. Regularne wojsko. Odbiją miasto. Zdaje się, że już wybuchły walki...

Stróż zacierał ręce. Jutro on będzie denuncjował czerwonych z tego budynku. Adolf, nie odpowiedziawszy, ruszył schodami na górę. List parzył go w ręce. W pokoju zapalił świeczkę i rzucił się na łóżko. W oknach nie było szyb, a na początku wiosny temperatury panowały bardzo niskie. W Monachium więcej ludzi umierało z głodu i chłodu niż od komunistycznych kul. Owinąwszy się w cienki koc, Adolf otworzył kopertę. Drobne ciasne pismo nic mu nie mówiło. Odwrócił kartkę i spojrzał na podpis. Na widok nazwiska drgnął.

Weistort się odezwał.

7 kwietnia 1919

Szpital wojskowy w Pasewalku

Drogi Adolfie,

wciąż jestem w Pasewalku, gdzie sytuacja wróciła do normy. Proletariusze, którzy zaczęli rewolucję od nacjonalizacji piwniczki z winami, nie stawiali oporu żandarmerii wojskowej, gdy przyszła zaprowadzić porządek. Większość teraz siedzi. Wątpię, żeby wymiar sprawiedliwości był dla nich łaskawy. W tej chwili w Niemczech jest dużo egzekucji. Różne rewolucyjne próby na północy i wschodzie kraju już się skończyły, obecnie tak naprawdę tylko w Monachium jeszcze trwa komunistyczny rokosz. Pewnie oglądasz to na własne oczy, słuchasz śpiewanej Międzynarodówki i patrzysz na powiewające czerwone sztandary. Ale po pieśniach padną strzały: zarówno nowy rząd, jak i armia nie mogą tolerować takiego ogniska buntu przeciwników wszelkiej władzy. Na Monachium spadną represje, a czerwona barwa sztandarów stanie się kolorem krwi spływającej ulicami.

A teraz do rzeczy.

Piszę, ponieważ mija dziesięć lat, odkąd w Wiedniu poznaliśmy się dzięki Jörgowi Lanzowi. Idee, które głosił za pośrednictwem pisma „Ostara”, już dawno wyszły poza granice Austrii i znalazły wielu zwolenników w Niemczech, szczególnie w Bawarii. Często zresztą bywałem w Monachium na spotkaniach z czytelnikami „Ostary”. Wielu jest zdania, że ideowy spór zapoczątkowany przez pismo stanowczo powinien się przerodzić w akcję polityczną. Powołano w związku z tym organizację, Stowarzyszenie Thule, którego członkowie stawiają sobie za cel przenikanie do partii politycznych i wywieranie na nie wpływu. Obecnie Thule jest w Monachium główną konspiracyjną siłą, która występuje przeciwko czerwonej dyktaturze. I jeżeli – jak uważam – wojsko opanuje miasto, Thule przejmie w nim władzę. Dlatego wydaje mi się, że powinienes się zbliżyć do tych ludzi. Są przyszłością Niemiec, bronią czystości

rasy aryjskiej i walczą pod znakiem swastyki. Nie będziesz sam: zarówno idee, jak i symbole są takie same jak propagowane przez „Ostarę”.

A w Thule potrzebują kogoś takiego jak Ty. W całych Niemczech są setki tysięcy zdemobilizowanych żołnierzy, pozbawionych nadziei i środków utrzymania. W nich celują komuniści, którzy po nieudanym zamachu stanu będą próbowali wygrać przyszłe wybory. To, czego nie udało im się załatwić zbrojnie, będą chcieli zdobyć za pomocą urn wyborczych. Aby przemówić do tych żołnierzy, którzy całą wojnę przetrwali dzięki dyscyplinie i solidarności okopowej, nie trzeba polityka, lecz kogoś takiego jak oni, kogoś, kto przeżył to samo, zaznał tych samych cierpień. W Monachium możesz stać się jednym z panów sytuacji. Długo stawiałaś sobie pytania o swoje przeznaczenie, teraz możesz wyjść mu naprzeciw.

Mówiłem już o Tobie naszym w Monachium. Czekają na Ciebie. Zwłaszcza jeden. Nazywa się Rudolf Hess. To – tak jak Ty – były żołnierz. Lotnik. On ma Cię wprowadzić do kręgu.

Stowarzyszenie Thule zbiera się w każdy ostatni poniedziałek miesiąca o godzinie 20.00 pod przewodnictwem hrabiego Rudolfa von Sebottendorfa w hotelu Vier Jahreszeiten przy Maximilianstrasse 17.

Na pewno ciągle masz swastykę – pokaż ją przy wejściu, to Twoja przepustka.

Z wyrazami przyjaźni

Weistort

Hitler szybko zgniótł list i przysunął go do świeczki. Kiedy papier płonął, obejrzał dokładnie kopertę. Nie widział śladów otwierania. Trójkątne zamknięcie było gładkie, bez wybrzuszeń. Nie rozklejono go nad parą i nie zalepiono na powrót. Ani wojskowi, którzy przesyłali go dalej, ani listonosze, którzy go dostarczali, nie widzieli wiadomości od Weistorta. Te dokładne oględziny dały mu czas na zastanowienie. O ile nadal darzył Weistorta przyjaźnią i ufał mu, o tyle poglądy głoszone w „Ostarze”, te mitologiczne dyrdymały, rytuały neotemplariuszowskie wydawały mu się przestarzałe. Powrót z okopów otworzył mu oczy. Należało działać, a w pierwszej kolejności pozbyć się zdrajców, którzy dobijają Niemcy. Nie komunistów, bo nimi zajmie się wojsko, lecz wszystkich tych, którzy ojczyźnie wbijali nóż w plecy i przyczynili się do przegrania wojny, a na koniec zgodzili się na upokarzający pokój. Skorumpowani bankierzy, chciwi kupcy, fabrykanci krwiopijcy – oto wewnętrzni wrogowie Niemiec. Nie licząc mieszczan spekulantów, zdegenerowanych arystokratów, pazernych Żydów – całego tego zbrodniczego towarzystwa należało się pozbyć za wszelką cenę.

I dlatego Hitlera wcale nie kusiło spotkanie w wielkim hotelu Vier Jahreszeiten z ludźmi, którzy jego zdaniem byli niedobitkami klasy panującej. Nie po to przeżył

w okopach, żeby teraz pomagać w ratowaniu starego świata, świata możliwych i wysyskiwaczy. Adolf jednak nauczył się pokonywać odrazę i wiedział, że teraz jest wystarczająco silny, by nie służyć innym, lecz ich wykorzystywać. A kto wie, czy ci salonowi konspiratorzy nie będą mogli pomóc jemu? Jedno zwłaszcza nazwisko go intrygowało: von Sebottendorf. I wiedział, kto może mu udzielić informacji na ten temat.

– Herr Hitler? Co się stało?

Zdziwiony stróż przysunął świeczkę do twarzy lokatora, jakby nie mógł go rozpoznać.

– Mówił mi pan, że służył w największych monachijskich hotelach, tak?

– A pewnie. I gdyby nie okoliczności niezależne od mojej woli...

Zniecierpliwiony Hitler przerwał stróżowi:

– Zna pan Vier Jahreszeiten?

– Czy znam...! To najlepszy hotel w Monachium, bywa w nim sam kwiat towarzystwa. Wielki świat, fortuny solidne jak skała, rody, których historia sięga wypraw krzyżowych...

– No właśnie. Zna pan niejakiego von Sebottendorfa?

– Turka? Pan pytasz, czy ja go znam? – wykrzyknął stróż. – Jeździł od naszego hotelu do Vier Jahreszeiten. I zawsze wynajmował cały apartament.

– Dlaczego Turek?

– Podobno długo mieszkał w Turcji, studiował historię religii. W każdym razie nie musiał pracować, pieniędzy miał jak lodu, ale wszystko wydawał na książki. Jego służący nic, tylko ustawiali regały.

– Był na wojnie? – zapytał Hitler.

Stróż popatrzył na niego z politowaniem.

– Tacy jak on nie chodzą na wojnę, Herr Hitler, inni walczą za nich. Ze swoimi kontaktami w Turcji był cenny dla rządu. Przyjmował zresztą mnóstwo oficjalnych wizyt, nie wspominając już o tym... – zniżył głos, a Adolf podszedł bliżej. – Nie wspominając o tym, że jest masonem. I to jakimś wysoko postawionym. Często wynajmował hotelowy salon na różne ceremonie. I możesz mi pan wierzyć: bywało tam towarzystwo, że ho, ho!

Na słowo „mason” Hitler nie zareagował. Miał teraz dość wiedzy politycznej, aby wiedzieć, że bracia, jak na siebie mówili, są niczym sałata – znajdują się w każdym sosie. Interesowała go odpowiedź na inne pytanie.

– A politycznie?

Stróż zeszywniał w postawie niemal na baczność.

– Von Sebottendorf? Czysty! Nacjonalista jak złoto. Prawdziwy Niemiec!

Hitler podszedł do kalendarza przypiętego do drzwi stróżówki. Ostatni poniedziałek miesiąca... Palcem przesuwał po kolejnych dniach: dwudziesty szósty... dwudziesty siódmy... dwudziesty ósmy. Zatrzymał palec. Dwudziestego ósmego. Tego dnia wieczorem uda się na spotkanie Stowarzyszenia Thule.

# CZĘŚĆ TRZECIA

*Aby zrozumieć kwintesencję nazizmu,  
trzeba nienawidzić rozumu..*

Pułkownik Karl Weistort

*Gdzieś nad Morzem Śródziemnym*  
*Listopad 1941*

– Co robisz?

– Zabawkę dla ciebie, skarbie.

Dziewczynka podeszła do ojca, który stał do niej tyłem. Coś majstrował na stole warsztatowym, na strychu rozlegało się stukanie młotka. W powietrzu wisiał zapach wilgotnych drewnianych strużyn i lakieru. Dziewczynka lubiła ten zapach, słodki i kojący.

– Mogę zobaczyć?

– Za ciekawa jesteś, dziecko.

Obeszła przygarbioną wysoką postać i wspięła się na palce.

– Co to? – zapytała niecierpliwie.

– Niespodzianka.

Powiodła wzrokiem po stole. Widziała dziwny przedmiot, drewnianą rzeźbę wielkości fonografu. Ojciec maczał gruby pędzel w puszcze z czerwoną farbą i malował brzegi rzeźby. Żywą czerwienią o rzadkiej konsystencji.

Pędzel zawirował nad rzeźbą, która zaczynała przypominać rozgnieciony pomidor. W powietrze wystrzelił deszcz szkarłatnych kropelek i ochlapał sosnową tablicę, na której wisiały różne narzędzia.

– Tata, uważaj. Wszystko brudzisz.

Ojciec jej nie słuchał, nadal malował przedmiot, nie przejmując się pryskaniem farby, która była już nawet na buzi dziewczynki. Rozzłoszczona pociągnęła go za płócienne spodnie.

– Przestań, pobrudziłeś mnie.

– To nic, już skończyłem.

Ojciec obrócił się do światła i wyciągnął zabawkę do córki. Dziewczynka krzyknęła przerażona. Skórę jej twarzy pokrywała cieniutka poźłobiona warstwa czerwieni, spod której wyłaniały się czarniawe krosty. Jakby ją obdarto ze skóry. Ojciec trzymał w rękach wielką swastykę, z której ściekała lepka krew.

– Popatrz, księżniczko – powiedział ze śmiechem – oto mój prezent. Trzecia swastyka! Swastyka krwi. Serce władzy. Dzięki niej zapanujesz nad światem.



Wystraszona dziewczynka cofała się w głąb pomieszczenia.

– Tata, proszę... Nie chcę...

– Nie możesz odmówić! Inaczej ludzkość zginie.

Laure zerwała się ze snu. Zamrugła kilkakrotnie i zobaczyła nad sobą czerwone oko, które wpatrywało się w nią złowieszczo. Potrzebowała paru sekund, by uświadomić sobie, że to czerwona lampka wbudowana w kadłub lockheeda hudsona. Głuchy warkot silników Pratt & Whitney ocucił ją do reszty i przywrócił do rzeczywistości.

To był tylko zły sen. Ale przeklęta swastyka wyglądała tak realnie!

Kropelki potu perliły jej się na czole, w ustach miała sucho, a wargi tak spierzchnięte, jakby nie piła od kilku dni. Wyprostowała się z trudem, w plecach potężnie ją łupało. Podobnie jak jej koledzy siedziała na służbowym plecaku położonym na żelaznej ławce.

– Królewskie Siły Powietrzne nie dbają o komfort swoich gości. Co świadczy o całkowitym braku dobrych manier. Nie uważasz?

Laure obróciła głowę w prawo i zobaczyła siedzącego obok dowódcę oddziału, który podawał jej posrebrzaną metalową piersiówkę.

– Proszę, to mieszanka mojej roboty: szkocka whisky, portugalskie piwo, hiszpańska cytryna i miód akacjowy, którego pochodzenia nie znam. Kop gwarantowany pod warunkiem, że się nie nadużywa.

– Nie, dziękuję, wolałabym wody.

– Jak chcesz, Matildo.

Kapitan Fleming wyjął manierkę ze swojego plecaka i nalał wody do regulaminowego kubka. Laure nie odrywała od niego wzroku, łapczywie pijąc. Kiedy Malorley przedstawił ją ekipie przed wejściem na pokład samolotu, nie ona jedna się zastanawiała, jaki jest ich nowy szef. Urodziwy mężczyzna, około trzydziestki, szczupłej budowy ciała, o jasnym uwodzicielskim spojrzeniu, włosach dłuższych niż obowiązujące w wojsku, ironicznie wygiętych wargach, nie przypominał w zasadzie twardzieli, z których składały się oddziały do zadań specjalnych w SOE czy w SAS. Zdaniem Laure pasowałby raczej do kręgów towarzyskich angielskiej arystokracji, do stolika w kasynie albo do snobistycznego klubu. Jego nieco afektowany sposób bycia świadczył o starannej edukacji, z pewnością nie takiej, jaką się odbiera w koszarach.

– Zły sen? – zapytał. – Widziałem, jak się rzucałaś.

– Można tak powiedzieć. Daleko jeszcze do Malty?

– Nie, powinniśmy niedługo dolecieć.

Zerknęła przez iluminator. Biały księżyc w pełni wisiał na niebie, rzucając migotliwy blask na rozsrebrzone spienione grzywy morskich fal. Widoki

stosowniejsze do miesiąca miodowego niż do działań wojennych. Zamknęła oczy. Zobaczyła łagodną przystojną twarz swojego kochanka z Ritza. Magiczna noc. Nieprawdopodobna. Nikt ich nie zauważył. Rozstali się rano, obiecując sobie, że jeszcze się spotkają. Zostawił jej swój adres poczty wojskowej. O ile oboje wrócą żywi ze swoich misji... Co było mało prawdopodobne.

Odpędziła twarz Bradleya sprzed oczu i zwróciła się do Fleminga:

– Mogę o coś spytać, kapitanie?

– Próbuj.

– Czemu mianowano cię dowódcą tego zadania?

Uśmiechnął się enigmatycznie.

– Lubię Włochy, a Wenecję szczególnie. Mam stamtąd niesamowite wspomnienia, zwłaszcza karnawału. Ze mną się nie zgubicie w plątaniu kanałów i zaułków. Dodaj dobrą znajomość języka Dantego... – Na złożonych dłoniach oparł podbródek, przechylił głowę w bok i wolno wyrecytował: – Vanno spavalde, nude, disarmate, armate solo dei loro vestitini per espugnare una loro remota Gerusalemme celeste.

– Co to znaczy?

– To fragment wiersza Elia Pagliarianiego. „Idą nagie, rozbrojone, uzbrojone tylko w krótkie sukienki, aby zawładnąć odległą niebiańską Jerozolimą”. To trochę jak ty, nie?

– Nie sędzę. I nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Wątpię, żeby do takiego zadania wyznaczono amatora poezji.

– Masz słusność. I to będzie cała moja odpowiedź. Na razie i...

W kabinie zawyła syrena. Drzwi kokpitu otworzyły się szeroko. Jeden z dwóch pilotów, ubrany w sheepskin flying jacket, grubą kurtkę z baraniej skóry RAF-u, krzyknął donośnie:

– Zaczepić pasy! Atak z powietrza! Włoska eskadra!

Pięcioro członków oddziału zerwało się na nogi. Samolotem trzęsło, jakby za sterami lockheeda siedział pijany lotnik. Pilot z obawą w głosie dodał:

– W dodatku w tylnej wieżyczce nie zamontowali nam karabinu maszynowego!

Laure uczepliła się zwisającego uchwyty i przykleiła twarz do iluminatora. Na zewnątrz księżyc oświetlał prawe skrzydło hudsona.

– Daleko do Valletty? – ryknął Fleming.

– Nie – odpowiedział lotnik. – Ale podwozie jest...

Nie dokończył. Seria pocisków przecięła ściankę kabiny. Głowa pilota rozpadła się jak zgniecione jajko, fragmenty mózgu spryskały Laure i Fleminga. Na lewo od Laure rozległ się krzyk. Jeden z agentów SOE leżał na podłodze, spływając krwią. Chciała rzucić mu się z pomocą, lecz w tej chwili zaterkotała druga seria. Laure usłyszała

jakby zduszony huk, po czym samolot gwałtownie zapikował. Kto się nie trzymał uchwytu, obijał się teraz o sufit maszyny. Plecaki fruwały na wszystkie strony. Tylko solidnie przymocowana skrzynka z bronią i amunicją ani drgnęła.

– Trzymaj się! – krzyknął kapitan.

Francuzka z całych sił ścisnęła uchwyt, grawitacja ściągała ją w stronę ogona samolotu. Ze strachem zobaczyła przez iluminator kulę ognia w miejscu, gdzie zamocowany był silnik na skrzydle.

Okręcając się wokół własnej osi, hudson spadał z bolesnym jękiem metalu.

Uchwyt pękł. Laure poleciała na tył maszyny, jakby niewidzialna ręka złapała ją za nogi w kostkach, i wylądowała na ludzkim ciele przyklejonym do ścianki. Ostatnim widokiem, zanim pogrążyła się w nicości, była posiekana męska twarz. Martwego pilota, którego zakrwawione usta przywarły do jej warg.

*Berlin*

*Siedziba Ahnenerbe*

*Listopad 1941*

Tristan miał zakwaterowanie w bibliotece. O tej porze spowijała ją ciemność, co jeszcze podkreślało jej tajemniczą stronę. Jako dziecko często się zastanawiał, co robią książki pod nieobecność ludzi. Czy grzecznie stoją na regałach, czy też zeskakują z półek i rzucają się w szalony wir tańca? Przed zaśnięciem wyobrażał sobie książki siedzące jedna koło drugiej i czytające siebie nawzajem. Kiedy w ukryciu oddawał się lekturze, nasuwało mu się pytanie, czy przypadkiem książki nie mieszają się ze sobą, nie wymieniają kartkami, aby w końcu stworzyć książkę kolektywną, książkę nad książkami, której nikt nigdy nie przeczyta. Życie się postarało, by zapomniał o tych dziecięcych mrzonkach, zachował jednak sekretną nadzieję, że kiedyś w jakiejś bibliotece on odkryje coś, co nikomu wcześniej nie przyszło do głowy.

Dotarł teraz do działu map. Zbiór należał do jednego z najlepszych w bibliotece. Znajdowały się tam zarówno ciężkie atlasy, jak i plany ręcznie rysowane, gryzmołone w pośpiechu przez poszukiwaczy rozgorączkowanych swoimi odkryciami. Istne eldorado dla specjalisty, pod warunkiem że nie będzie się za bardzo zastanawiał nad proveniencją niektórych egzemplarzy pochodzących wprost z rabunku metodycznie organizowanego przez SS na terenach okupowanych. Mapy były jedną z pasji Himmlera, który w długie wieczory lubił marzyć o oddalonych rozległych przestrzeniach, gdzie miałby duże pole do popisu. Odkąd armia niemiecka najechała na ZSRR, nerwowo przeglądał mapy dawnego imperium rosyjskiego, które pożądliwie jak dziecko dzielił na części, ustawicznie tworząc wciąż nowe wyimaginowane państwa germańskie ciągnące się aż do granic Azji. Tę namiętność dzielił z Hitlerem. Trzeba się wystrzegać ludzi, którzy wierzą, że ich marzenia na papierze są rzeczywistością, pomyślał Tristan.

Francuz wysunął długą szufladę i wyjął z niej plan Wenecji, który rozwinął na sąsiednim stole. Mimo upływu wieków papier – welin – trzeszczał jak pierwszego dnia po wytworzeniu. Tristan zamknął oczy, jakby liczył, że poczuje zapach mokrego atramentu. Kiedy je otworzył, Wenecja jarzyła się wszystkimi światłami.

Serenissime przedstawiono pośrodku laguny w otoczeniu wianuszka wysepek, które przypominały garść żwiru rzuconą do kałuży. Wodząc palcem, poszukał swojego pierwszego punktu orientacyjnego, wyspy San Michele, miejskiego cementarza, miejsca, gdzie trafiał w końcu każdy weneccjanin. Dokładnie naprzeciwko znajdowało się Fondamente Nove, długie kamienne nabrzeże, które ciągnęło się wzdłuż całej dzielnicy Castello. Niewątpliwie tam wylądują z Eriką: wystarczy przejść dwie ulice, aby się znaleźć przy pałacu Bragadinów. Teraz potrzebował dokładniejszego planu, by przestudiować topografię ulic i kanałów. W Wenecji każdy budynek godny miana posiadłości miał dwa wejścia: jedno z lądu, drugie z wody. Ktoś taki jak Tristan, który wiódł bardzo ruchliwe życie, musiał znać tego rodzaju praktyczne szczegóły.

Kiedy wstawał, by zajrzeć do katalogu, zastanowił się, czy w tej chwili w Londynie jakiś agent SOE również nie gromadzi informacji na temat Wenecji. Może nawet w samolocie lecącym gdzieś nad Francją Laure także wodzi palcem po ulicach wiodących do pałacu Bragadinów, może... Nagle pod jednym z okien rozległy się wybuchy.

Mgła stopniowo opadała na park nieskalanym woalem, przez co jeszcze bardziej zaskakiwały czarne sylwetki widoczne pośród drzew i krzewów. Mimo zapadającej nocy w budynku zostało jeszcze kilku badaczy obserwujących teraz z okien poruszenie, które ogarniało ogród. W regularnych odstępach czasu słyhać było wyszczekiwane rozkazy. Chrapliwe agresywne dźwięki, którym odpowiadały złowróbnne wrzaski kruków oburzonych, że zakłóca im się spokój.

Od piętra do piętra krążyły różne pogłoski. A to że ogrodnik zabił swoją żonę i trwają poszukiwania zwłok w parku. A to że ma przyjechać jakiś dygnitarz i zabezpiecza się całą okolicę... Tristan poradził Erice, by nic nie mówiła o obecności ludzi Heydricha. Chwilowo lepiej było, aby badacze i inni pracownicy snuli przypuszczenia. I tak szybko się dowiedzą, że niemal po sąsiedzku zamordowano księdza i policjanta i że Gestapo podejrzewa, iż zabójca należy do Ahnenerbe.

Tristan już zauważył, że siepacze Heydricha, mimo pozornie chaotycznej bieżącej, bardzo się zainteresowali murem ogradzającym posiadłość. Na pewno znaleźli furtkę i zbadali zamek. Czy specjaliści poznają, że niedawno był używany? Francuzowi nie zależało na potwierdzeniu tych przypuszczeń, ryzyko jednak było na tyle duże, że musiał działać stosownie do okoliczności. Odszedł od okna i udał się do sortowni, która mieściła się w dawnym salonie paradnym. Tam przyjmowano i segregowano przesyłki nadchodzące od różnych ekspedycji, które instytut wyprawiał w różne części świata. Erika zachowywała wielką dyskrecję na temat tych zagranicznych misji, w większości rozpoczętych na podstawie decyzji jej poprzednika, pułkownika Weistorta. W kularach szeptało, że Ahnenerbe prowadzi

wykopaliska w Ameryce Południowej i w pobliżu koła podbiegunowego, lecz nie było żadnego potwierdzenia tych pogłosek. Kiedy Tristan wszedł do sortowni, pracownicy mimo późnej pory wciąż jeszcze rozpakowywali drewniane skrzynie i zawartość ostrożnie wykładali na długi stół ze szklanym blatem. Von Essling sprawdzała numer katalogowy każdego eksponatu i jego opis w zeszycie oznakowanym czarnym logotypem Ahnenerbe.

– Przyjechały przedmioty z Krety – stwierdził Tristan, rozpoznając fragment fresku ze skaczącymi delfinami.

Pochłonięta pracą Erika tylko kiwnęła głową. Ją także niepokoiły poszukiwania gestapowców. O ile była pewna, że w zabójstwa w miasteczku nie jest zamieszany żaden z badaczy z Ahnenerbe, o tyle martwiły ją prawdziwe motywacje Heydricha. Trudno było powiedzieć, w czym celuje zaprzędany Himmlerowi szef Gestapo, niewątpliwie jednak przodował w manipulacji. Czy nie doprowadził do upadku ministra wojny generała von Blomberga, ujawniając zaraz po ślubie, że jego nowa żona ma za sobą przeszłość prostytutki? Jego nagłe zainteresowanie Ahnenerbe było podejrzane: należało szybko odsunąć ryzyko, zanim przeobrazi się w zagrożenie.

Marcas zauważył leżący z dala od innych eksponatów złoty klejnot ozdobiony swastyką, znaleziony obok pustego grobu Amalryka. Wydawało się, że błyszczący jeszcze bardziej niż w Knossos, jakby kruszec został dopiero co odlany. Jego powierzchni nie zakłócało żadne wgniecenie, żadna ryska. Można było uznać, że to istotnie nie jest ozdoba, lecz prawdziwy przedmiot kultu.

– Odłożyłaś go? – zapytał Erika.

– Tak. Chcę go podarować Reichsführerowi.

– Nikt nie odmówi przyjęcia swastyki liczącej kilka tysięcy lat.

Tristan przesunął lampkę tak, by światło padało prosto na artefakt. Symbol w złocie był zadziwiająco dobrze wryty. Każdy kąt miał idealny kształt, każdą linię wykreślono z dokładnością do ułamka milimetra.

– Wygląda jak matryca – zasugerował Francuz. – Jakby ten k l e j n o t służył do odlewania miniaturowych swastyk.

– Widać od razu, że nie jesteś archeologiem – odparła Erika. – Popatrz na dziurkę tu, u góry: przewlekano przez nią łańcuszek. To po prostu wisiołek.

Marcas podniósł ręce na znak poddania. Z Eriką nie wolno było wchodzić w spór na jej terenie, dawała się natomiast sprowokować na innym gruncie.

– Powiedz, czy Himmler ma kochankę? Bo ryzykujesz, że uszczęśliwisz jakąś kobietę. Obnoszenie się ze swastyką, która przetrwała wieki... no, coś takiego na pewno by ucieszyło faworytę Reichsführera.

– Jeżeli chcesz posłuchać erotycznych plotek o dygnitarzach Rzeszy, zwróć się do Heydricha. No wiesz, do szefa Gestapo, gościa o profilu ostrym jak siekiera, którego ludzie właśnie się panoszą pod naszymi oknami... – Wymiana zdań zapowiadała się na burzliwą. Von Essling ciągnęła: – Posłuchaj, jutro wieczór wylatujemy z lotniska Tempelhof. Nocny lot, żeby uniknąć angielskich myśliwców. Wylądujemy dyskretnie na brzegu laguny. Później łódka pod eskortą przewiezie nas w pobliże pałacu Bragadinów. Mam nadzieję, że dobrze wykombinowałeś z tą Wenecją, bo tym razem nie możemy się już pomylić.

*Malta*

*Listopad 1941*

– Ocknij się!

– Co?...

Laure zmrużyła oczy, czerwonawe światełka tańczyły na atramentowym niebie. Nad nią falowała twarz o rozmytych rysach. Próbowwała się podnieść, lecz opadła z powrotem.

– Czekaj, zaraz ci pomogę – powiedział męski głos. – Nic nie rób.

Poczuła, że ktoś ją ciągnie do przodu.

Dojmujący ból pulsował jej z tyłu głowy, gdy usiłowała się prostować. Zachwiała się, dwie silne ręce pomogły jej utrzymać równowagę. Przed nią rysowała się twarz kapitana Fleminga, na drugim planie widziała dymiący wrak lockheeda hudsona o połamanych skrzydłach. Oficer wykrzykiwał rozkazy do angielskich żołnierzy, którzy z gaśnicami uwijali się wokół maszyny.

Świat tańczył jej przed oczami, wszystko wydawało się nierealne.

– Gdzie jesteśmy? – wybełkotała niemrawo.

– Na Malcie, lotnisko w Luqa, baza dywizjonu dwieście sześćdziesiątego siódmego i dwieście sześćdziesiątego ósmego Królewskich Sił Powietrznych. Nie wiem, jak drugi pilot to zrobił, ale udało mu się posadzić maszynę na tym cholernym lądowisku.

Powietrze przesycił straszny smród spalonej gumy.

– Zdaje się, że twoja godzina jeszcze nie wybiła – ciągnął kapitan Fleming. – Zarobiłaś za to guza jak się patrzy.

– Co z innymi?

Odsunął się. Przy dżipie z opuszczonym dachem leżały rzędem cztery ciała nakryte czarną plandeką.

– Tylko myśmy przeżyli, nawet drugi pilot dał gardło. Dla naszych kolegów misja już się zakończyła. Przyślą nam zastępców do portu. Jak się czujesz?

– Trochę ogłuszona.

– Mogę poprosić w sztabie, żeby ktoś cię zastąpił.

Odsunęła się od niego i pokręciła głową.



– Będzie dobrze. Tracimy czas.

– Jak chcesz. Poczekaj tu.

Fleming podszedł do człowieka koordynującego działania zastępu strażaków, pogadał z nim chwilę, po czym ruszył z powrotem do Laure, unosząc kciuk.

– W porządku, nasi wybawcy wrzucili nam kłopoty do dżipa – oznajmił, spoglądając na zegarek. – Mamy cztery godziny, za mało na zwiedzanie Valletty, ale wystarczająco dużo, żeby dostać się do portu wojskowego i wziąć porządny przysnec, zanim wejdziemy na pokład okrętu podwodnego, który nas zawiezie do Wenecji. Chodź, dostaliśmy do dyspozycji willysa MB. To korzyści z udziału w priorytetowym zadaniu.

Otworzył po stronie pasażera drzwi dżipa ze składanym dachem, po czym obszedł samochód, by zająć miejsce kierowcy. Ledwie Laure usiadła, Fleming ruszył z piskiem opon. Silnik zawył. Francuzkę wcisnęło w siedzenie.

– Myślałam, że mamy dość czasu.

– Z prędkością jest jak z rozpustą: kto raz spróbował, nie może się bez tego obejść.

Dżip gnał po płycie lotniska, minął rząd spitfire'ów i starych dwupłatowców gloster gladiator, następnie slalomem przejechał między dwoma na poły zburzonymi hangarami. Roilo się tam od żołnierzy, którzy biegali we wszystkie strony nad ogromnym dymiącym kraterem. Dwóch Flaming o mało nie rozjechał, obrzucili go niewybrednymi wyzwiskami. Laure odkaszlnęła.

– Zamierzasz zabić więcej Anglików niż włoskie lotnictwo?

– Przeciwnie, wyostrzam ich zmysły. Powolny żołnierz to martwy żołnierz.

Gwałtownie zahamował przed posterunkiem kontrolnym przy wyjeździe z lotniska. Wyraźnie zmęczony wartownik w rozpiętym mundurze obejrzał ich dokumenty, po czym otworzył barierkę.

– Główna droga jest odcięta, musi pan objechać od południa, a później szosą krajową do portu. Objazd jest oznakowany. Proszę uważać na drodze, zgłoszono płonące ciężarówki.

– Dziękuję, żołnierzu. I poprawcie mundur, reprezentujecie Jego Królewską Mość!

Zanim wartownik odpowiedział, dżipa już nie było.

Laure zmarszczyła brwi.

– Jeśli dobrze zrozumiałam, Malta żyje w stanie permanentnego oblężenia i ciągłych bombardowań, więc może ten biedak przy bramie ma inne priorytety niż dbałość o wygląd.

– Nie zgadzam się. Wygląd to pierwszy przejaw szacunku dla siebie. Właśnie w najtrudniejszych chwilach należy na to zwracać uwagę. Mojego brata i mnie matka

zmuszała do chodzenia w garniturach, kiedy byliśmy złożeni grypą. I powiem ci, że to działało.

Laure wyprostowała się na siedzeniu. Szara zniszczona szosa asfaltowa wiała się pomiędzy rosnącymi po bokach sosnami i drzewami karobowymi, których pnie przypominały kamienne rzeźby.

– Będę wdzięczna, jeśli zdejmiesz nogę z gazu. Nie po to uniknęłam śmierci w samolocie, żeby teraz skończyć na drzewie.

Dżip zwolnił ledwie zauważalnie.

– Silnik amerykański, solidna budowa, trochę krowiasty... Nigdy nie jeździłem tym modelem. Na ich miejscu wstawiłbym sprężarkę Amhersta Villiersa, żeby dodać mocy, ale nie każdy wóz może być bentleyem.

Zza wzgórza rysującego się przed nimi wyłaniały się pomarańczowe światła. Fleming jechał serpentynami z rękami zaciśniętymi na kierownicy.

– Mogę o coś spytać?

– Proszę.

– Wiesz, jaki jest cel naszej misji?

– Tak. Odzyskanie trzeciej magicznej swastyki, która może zmienić bieg wojny. Kiedy powiedział mi o tym mój przełożony, admirał John Godfrey, wydało mi się to strasznie ekscytujące. Godne powieści Johna Buchana<sup>19</sup>.

– Znasz szczegóły tej historii?

– Tak. Twój przełożony sporządził fascynujący raport. Długo studiowałem szczegóły operacji odzyskania artefaktu w Montségur i to, co się działo w Tybecie i w klasztorze Montserrat. Ciekawa postać ten archeolog podwójny agent. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam go w Wenecji.

– Tristan Marcos.

– Dla mnie nazywa się John Dee. Takie przynajmniej nazwisko podał mi Malorley.

Laure odwróciła głowę. Takie nazwisko widziała w aktach Tristana, kiedy zajrzała do nich w biurze sekretarki.

– Ciekawy kryptonim. Taki anglosaski. A Tristan jest Francuzem tak jak ja.

Fleming się uśmiechnął.

– Nie rozumiesz, pozwól, że ci wyjaśnię. John Dee istniał naprawdę, był wielkim brytyjskim szpiegiem, który działał w szesnastym wieku na osobiste polecenie królowej Elżbiety Pierwszej. Był matematykiem, astronomem, ale też astrologiem i pasjonatem nauk okultystycznych. Pod przykrywką swoich licznych talentów bywał na wszystkich europejskich dworach królewskich. Pod koniec życia wymyślił język do porozumiewania się z aniołami i chwalił się, że odkrył kamień filozoficzny. To, że twój szef nadał Tristanowi ten kryptonim, jest całkiem logiczne. Przecież jest

szpiegiem, który specjalizuje się w poszukiwaniu tajemnic ezoterycznych w celach politycznych, prawda?

Dojechali na szczyt wzgórza i nagle Fleming gwałtownie zahamował. Na drodze stał sznur samochodów osobowych i ciężarówek z pracującymi silnikami.

– Oż cholera! – zaklął. – Całe szczęście, że sprawdzili hamulce.

Laure podziękowała niebiosom, że zdążyła się przytrzymać uchwytu.

Oficer zgasił silnik i podsunął jej posrebrzaną papierośnicę. Laure wzięła papierosa i zapaliła jednego Flemingowi.

– Malorley miał dowodzić przy tym zadaniu tak jak w Montségur – powiedziała. – Czemu wywiad marynarki wtyka nos w nasze sprawy? Nie wierzę w ani jedno słowo Churchilla, który tłumaczył, jakoby admiralicja kierowała wszystkimi tajnymi operacjami w rejonie Morza Śródziemnego.

Fleming wydmuchnął kłąb dymu.

– Zgadza się. I podam ci prawdziwy powód: tak się składa, że SOE weszło nam w paradę w kwestii okultyzmu u narodowych socjalistów.

Laure spojrzała na niego zaskoczona. Fleming podjął:

– My pierwsi, wywiad marynarki, otworzyliśmy bramy nawiedzonego zamku nazistów.

*Monachium**28 kwietnia 1919*

Hotel Vier Jahreszeiten, Cztery Pory Roku, mieszczący się przy najbogatszej ulicy Monachium, stanowił zagadkę. Jakim cudem w mieście, w którym panowała dyktatura proletariatu, zdołało przetrwać takie miejsce? Rewolucja jakby się zatrzymała u stóp gmachu. W liberiach z ipsis generalnymi galonami boye hotelowi podbiegali, by otworzyć drzwi luksusowych samochodów, z których wysiadały wystrojone panie i panowie w smokingach. Kolaska zaprzężona w dwa niecierpliwie parskające konie czekała na amatorów przejażdżki jak w najlepszych czasach cesarstwa. Kiedy miasto żyło w rytmie głodu i aresztowań, Vier Jahreszeiten zdawał się wysepką obfitości i bezpieczeństwa.

Przed wejściem stał zdumiony Hitler. To tutaj odbywają się spotkania Stowarzyszenia Thule? W połatanej kurtce i sfatygowanych butach nie śmiał wejść do środka. Nie przeszkadzał mu wzrok innych ludzi – nikt zresztą nie zwracał na niego uwagi – lecz świadomość własnego wyglądu. Jego ubóstwo, przeciętność rzucały się w oczy. Od Wiednia nic się nie zmieniło. Minęło dziesięć lat, a on był ciągle obdartusem. Pewność siebie, której nabył, odkąd odzyskał wzrok w szpitalu w Pasewalku, nagle gdzieś się ulotniła. Ścisnął w dłoni swastykę, którą dał mu Lanz. Ileż upokorzeń będzie musiał jeszcze znieść? Ile jeszcze czasu wstyd będzie mu ścisnął gardło? Czuł się jak rycerz nieznany nikomu, poddawany wciąż nowym próbom i niedostrzegający nawet cienia nadziei. Zły był na siebie zwłaszcza za swoją słabość: czuł, że ponad jego siły jest przejście przez jezdnię, pokonanie schodów, odezwanie się do odźwiernego. Przeżył cztery lata wojny pod ostrzałem, a teraz ogarniało go przerażenie na myśl o wzgardliwych spojrzeniach, jakimi z pewnością obrzucą go hotelowi boye.

– Herr Hitler?

Zaskoczony Adolf się odwrócił. Stał przed nim młody człowiek oparty na lasce. Na szerokie czoło, które zdawało się ciągnąć do samego podbródka, opadała mu zmierzwiona grzywka. Jego twarz miała kształt pospiesznie skreślonego prostokąta, na którym dorysowano za delikatne usta i dziwnie nieruchome oczy. Najbardziej jednak zaskakiwały jego brwi, nastroszone, czarne jak węgiel – przez nie przypominał gнома świeżo wypuszczonego z podziemnych ciemności.

– Wygląda pan dokładnie tak, jak opisał pana nasz przyjaciel Weistort. Jestem Rudolf Hess.

Uspokojony Adolf wyciągnął do niego dłoń.

– Pan jest lotnikiem, prawda?

– Byłem. Ale zostałem zdemobilizowany i... – Popatrzył na ubranie Hitlera. – I tak jak pan szukam litościwej szwaczki, która przywróci jaką taką świetność mojej marynarce.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Adolf wybuchnął śmiechem. Nareszcie taki jak on były żołnierz, który nie boi się żartować z własnej biedy. Wskazał palcem lśniąca fasadę hotelu, z którego dochodziła żywa muzyka taneczna grana przez orkiestrę.

– W tych łachmanach nie ma szans, żeby nas wpuścili.

Tym razem zaśmiał się Hess, acz dyskretnie.

– Myli się pan, przyjacielu. To jak w starych bajkach: w samym sercu ciemnego niebezpiecznego lasu pałac wszelkich obietnic wydaje się niedostępny, chyba że zna się strażnika w bramie.

– A pan go zna?

– Tak. Ma pan talizman? – zapytał Rudolf, odkrywając swastykę zamocowaną pod wyłogiem marynarki.

Hitler pokazał mu swoją, którą ścisnął w dłoni.

– No to drzwi się otworzą.

Ruszyli w stronę wejścia do hotelu. Odźwierny rzucił się, aby ich przegonić.

– Jesteśmy gośćmi hrabiego von Sebottendorfa.

Fagas z wrażenia zgiął się wpół.

– Witamy panów. Pan hrabia czeka w czerwonym salonie.

Okrągłe foyer hotelu nakryte było kopułą z witrażami, przez co wyglądało jak katedra. Złudzenie to szybko prysło, gdy Hitler odkrył, w jakie osobliwe trafił towarzystwo. Ledwie wszedł do salonu, młoda kobieta w wieczorowej sukni z lamy i czółenkach na niebotycznie wysokich obcasach zaproponowała mu kupno kosztowności za „kęs chleba”. Kiedy Adolf konwulsyjnie szarpnął głową, by odrzucić grzywkę spadającą na czoło, wybuchła śmiechem i odbiegła tanecznym krokiem. W drzwiach jacyś mężczyźni o szerokich karkach i twarzach wskazujących na

spożywanie alkoholu wymienili pogniecione koperty, po czym zniknęli jak duchy. Cały salon wydawał się sceną teatralną, na której odgrywano komedię złożoną z tajemnic i zdrad. Adolfowi zrobiło się niedobrze – nienawidził tego szemranego światka – i popatrzył na Hessa. Jak on może znosić taką degenerację? Nie zdążył o to zapytać, rozległy się bowiem dźwięki grane na pianinie w ocienionym rogu salonu. Siwowłosa mężczyzna bębnił na klawiaturze jak maszynistka na maszynie do pisania. Z instrumentu sypały się kakofoniczne dźwięki, w których nie było ani rytmu, ani melodii.

– To jazz – poinformował Rudolf. – Wywodzi się ze Stanów Zjednoczonych.

– Ale kto gra taką kocią muzykę? – zdziwił się Hitler, dla którego muzyką fortepianową były tylko sonaty Beethovena.

– Murzyni.

Obok przeszły dwie krótkowłose młode kobiety, całując się. Na koniec wybuchnęły śmiechem. Jedna wsunęła dłoń do tylnej kieszeni spodni koleżanki. Pierwszy raz w życiu zdumiony Hitler widział kobietę w spodniach.

– Gomora – mruknął zgnębiony.

– Jeśli chodzi o Sodomę, to odbywa się tam – oświecił go Hess, wskazując w wykuszu okna wojskowego w mundurze, który mocno obejmował mężczyznę o umalowanych ustach.

Podeszli do baru, gdzie toczono rozmowy w kilku językach. Dwaj cudzoziemcy w nieskazitelnych garniturach, z cienkim wąsikiem, rozmawiali to po włosku, to po angielsku z człowiekiem ze Wschodu, który ustawicznie ocierał sobie czoło.

– A oto i Babel – dorzucił Rudolf.

– Czemu mnie pan do tego zmusza? Czy to jakaś próba? Żart? Pan się ze mnie natrząsa? – zawołał Hitler, który nerwowo ścisnął swastykę w prawej ręce.

Zanim Hess mu odpowiedział, zbliżył się barman i pozdrowił ich, jakby byli stałymi bywalcami.

– Czy szanownych panów interesują cudzoziemskie trunki? Mamy wszystko, o czym można zamarzyć: francuskie koniaki, szkockie whisky... Większość kilkudziesięcioletnia.

Adolfa aż zatkało. Nigdy nie pił i nie cierpiał ludzi, którzy pili bez umiaru. Złapał swego towarzysza za rękaw.

– Chodźmy stąd! Niech mnie pan natychmiast zaprowadzi tam, gdzie się zbiera Stowarzyszenie Thule.

Rudolf wykonał uspokajający gest.

– Poproszę koniak. Rémy martina.

– Doskonały wybór, szanowny panie. A może usiądą panowie w fotelach przy kominku? Dwaj panowie już tam siedzą. Jestem pewien, że będą zachwyceni panów towarzystwem.

Hess z idącym za nim niechętnie Hitlerem pozdrowił siedzących i sam zajął miejsce.

– Czy mogę zaproponować dobre cygaro? – zagadnął jeden z nieznajomych. – Mimo obostrzeń mamy jeszcze spory zapas. Hawańskie albo dominikańskie, wedle życzenia.

Adolf miał tego dość.

– Nie znoszę dymu tytoniowego. Gdyby panowie mogli się powstrzymać...

– Coś mi się zdaje, że to miejsce niezbyt panu odpowiada.

Hitler utkwiał wzrok w człowieku, który to powiedział. Twarz miał nalaną, policzki obwisłe, potrójny podbródek, powieki opadające. Jeszcze kilka lat i galaretowaty tłuszcz zagarnie wszystko. Bystro patrzyły natomiast jego jasnoszare oczy, które zdawały się pochodzić z jakiegoś odległego kraju.

– Miejsce, gdzie wszystkiego jest pod dostatkiem, gdy lud przymiera głodem – zdenerwował się Adolf. – Miejsce, gdzie najgorsze zepsucie, ohydna rozwiązłość, niegodna prostytutka...

– Same użyteczne rzeczy w czasach kryzysu. Myśli pan, że zwycięża się tylko za pomocą karabinów?

Zdegustowany Hitler obejrzał się na Hessa.

– Obiecał mi pan spotkanie ze Stowarzyszeniem Thule.

– I dotrzymałem słowa.

Oniemiały Hitler skierował wzrok na poprzedniego rozmówcę, który ironicznie skłonił głowę.

– Jestem hrabia Rudolf von Sebottendorf, a oto królestwo Thule.

Nieregularne dźwięki pianina ucichły, zastąpiła je rzewniejsza melodia w wykonaniu zespołu smyczków. Już dobierały się pary i ruszały w tan pośrodku salonu.

– Wydarzenia oglądamy tylko w postaci wiru – wyjaśnił von Sebottendorf. – Wszystko idzie za szybko, posuwa się za daleko. Świat się splątał do cna i już nie podaje nam lustra, w którym moglibyśmy się przejrzeć. Boimy się i narasta w nas agresja.

Mimo początkowego zdziwienia Hitler słuchał uważnie. Słowa pierwszego człowieka w Thule brzmiały dziwnie. Trafnie ubierał w słowa to, co całe stracone pokolenie dogłębnie odczuwało. Społeczeństwo niemieckie nagle się załamało, porwał je potok porażki, spustoszył wybuch rewolucji. I miliony ludzi zostały same

pośród zgliszczy i ruin – ludzi zagubionych, przerażonych, gotowych wybuchnąć gniewem.

– Błędem jest sądzić, że można zatrzymać historię, kiedy jej bieg przyspiesza. Historia ma własne tempo. Przecistawianie się mu niczemu nie służy. Przeciwnie.

Adolf się nie powstrzymał i zapytał:

– Chce pan powiedzieć, że należy iść z prądem? Popaść w dekadencję, zepsucie...

– Ależ nie! Historia jest jak cyklon: jeśli znajdziesz się w jego oku, nic ci nie będzie. Jeśli jesteś w nieruchomym centrum wydarzeń, stajesz się ich osią. – Von Sebottendorf wskazał salon, w którym pary szalały na parkiecie. – Jak pan sądzi, gdzie pan się znalazł? W speluncie, w której resztki arystokracji, zamożni mieszczaństwo, oszuści i kurwy chleją i tańczą do nieprzytomności? Nie, jest pan w królestwie Thule, tam gdzie grzebiemy przeszłość i ożywiamy przyszłość.

Hitlerowi przeszło przez myśl, czy aby nie popełnił błędu. A jeżeli ten hrabia o niemożliwym nazwisku jest w gruncie rzeczy tylko iluzjonistą, fałszerzem ponurych czasów?

– Nie zastanowiło pana, dlaczego w pełni czerwonej rewolucji takie miejsce jeszcze istnieje?

Adolf potaknął mrugnięciem.

– A dlatego, że kiedy przez miasto przechodzi burza, tutaj jest jedyny punkt stały.

Hess dorzucił bez ogródek:

– Tutaj wszystko można sprzedać, wszystko wymienić. I dlatego komuniści nie zamykają hotelu. Wiedzą, że w tym salonie, na pozór przeznaczonym tylko do rozrywki, mieści się prawdziwa monachijska giełda. A oni jej potrzebują.

– Dlaczego?

– No przecież tutaj i nigdzie indziej można przekupić wojskowego szofera, by dostarczył broń, tutaj płaci się dziewczynie, żeby się przespała z wysokim stopniem oficerem i zdobyła informacje...

– To wstrętne! – wykrzyknął Hitler.

Powoli, starannie oddzielając słowa, von Sebottendorf mówił dalej:

– Przekupstwo to kontynuacja polityki prowadzonej innymi metodami. Komuniści sądzą, że z tego korzystają, ale kto powiedział, że udostępniamy im właściwe informacje, że dostarczamy broń, która nie ma wady produkcyjnej?

– Rząd gromadzi oddziały wojska niedaleko miasta – wyjaśnił Hess. – Niedługo przejdzie do ofensywy, ale wojskowi boją się walk ulicznych. Zdobywania barykady po barykadzie, kamienicy po kamienicy. Monachium tego by nie przetrwało, dlatego Stowarzyszenie Thule postanowiło infiltrować to miejsce, aby osłabić rewolucję i przygotować interwencję.



Von Sebottendorf wyjął swastykę, taką samą jak ta, którą mieli Hitler i Hess, i położył ją na stoliku.

– Od samego początku ten symbol fascynuje każdą cywilizację. Pojawia się zarówno w Azji Środkowej, jak i na północy Europy, w religii tybetańskiej i na murach kościołów katolickich. Według etnologów przedstawia drogę słońca. – Hrabia spokojnie obrócił swastykę z prawa w lewo i kontynuował: – Dla naszego przyjaciela Lanza to symbol ludów aryjskich i uczynił z niego znak rozpoznawczy „Ostary”.

– A czym jest dla pana? – zapytał Hitler.

Von Sebottendorf znowu obrócił swastykę, tym razem zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara.

– Liczy się nie znaczenie tego symbolu, ale to, kto go obraca. Liczy się niewidzialny wierzchołek, tajemna oś... i ręka, która ją porusza.

– Stowarzyszenie Thule – szepnął Adolf.

– Dzisiaj tak, ale musimy już myśleć o jutrze. To już nie będzie tylko Monachium, lecz całe Niemcy... – Hrabia zakręcił swastyką, która zaczęła wirować. – I cały świat się jej odda.

Hess już miał zabrać głos, gdy do hrabiego podszedł barman.

– Przepraszam pana, poinformowano nas, że oddziały rządowe weszły na przedmieścia. Pierwsze potyczki są bardzo gwałtowne. W mieście komuniści przeprowadzają masowe aresztowania.

Von Sebottendorf wpatrzył się w swastykę, która ciągle jeszcze wirowała.

– Kto wie, kiedy teraz się zatrzyma? – wyszeptał. I zwracając się do Hessa i Hitlera, dodał: – Panowie, sądzę, że pora, abyście poszli.

Adolf podniósł się pierwszy, lecz zadał jeszcze pytanie, które paliło mu usta:

– Wojsko atakuje, czerwoni odpowiedzą. Co zrobi Stowarzyszenie Thule?

Hrabia ujął jego dłonie.

– Będzie pisało historię. Tym razem krwią.

*Londyn*

*Listopad 1941*

Green Lion był jednym z nielicznych pubów przy wschodniej Kilburn High Road, gdzie późną porą bywalcy mogli jeszcze wypić piwo, nie bojąc się, że po wyjściu z lokalu zostaną obrabowani. Front nie wyglądał zachęcająco, a okna o pożółkłych futrynach osadzonych w zielonkawym cemencie nie bardzo skłaniały do wejścia do środka.

W tym bastionie Irlandczyków w północnej części Londynu bossowie lokalnego światka przestępczego i sympatycy sprawy niepodległościowej mieli swoje zwyczaje i nie tolerowali przemocy. Można tam było spotkać złodziei, bojowników IRA, ludzi świeżo po odsiadce szukających roboty i stęsknionych za ojczystą Eire. Samych Irlandczyków. Żaden policjant, żaden kapuś, żaden detektyw nie odważyłby się wstąpić na pintę piwa w tym szacownym przybytku. Jego szef, sześćdziesięcioletni Irlandczyk czystej krwi, który w sumie spędził dwadzieścia lat w więzieniach Jego Królewskiej Mości, miał oko i migiem wyłapywał intruzów. Nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, wszyscy wołali na niego Old Uncle i żaden klient nie był na tyle głupi, aby się domagać wyjaśnień. Dawno temu w lokalu umieścił go jeden z miejscowych bossów.

Kiedy do baru wszedł gruby łysy facet, szef obrzucił go nieufnym wzrokiem. Przybysz nie wyglądał na Irlandczyka, zniewieściała wykwinтна powierzchowność nie wróżyła nic dobrego. Aleister Crowley omiół salę zdegustowanym spojrzeniem – bywał już w lokalach o wiele bardziej niebezpiecznych. Podeszedł do kontuaru ozdobionego trójkolorową irlandzką flagą, zielono-biało-pomarańczową. Obok nalewaka do piwa na stojaczku zamocowany był obrazek z karykaturą: zielony rozradowany osioł kopiący w tyłek Johna Bulla<sup>20</sup>.

– Uroczą ma pan knajpkę, mój drogi. Pewnie pan z niej dumny?

Old Uncle wzruszył ramionami. Przybysz mówił z bliżej nieokreślonym akcentem, w każdym razie nie miejscowym.

– Tu się pije. Albo się wraca, skąd się przyszło.

– Dobrze się składa, chce mi się pić. Kieliszek najlepszego wina poproszę.

Szynkarz nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jeden z klientów siedzący na stołku przy barze zaśmiał się urągliwie.

– Hej, Uncle, śmieszny gościu z niego, co? Wina... A może szampana?

– Nie podajemy tu wina. Idź pan gdzie indziej. Po wyjściu w lewo i dalej prosto aż do Tamizy. I wsiadaj pan na statek do Francji.

Dokoła gruchnął śmiech. Crowley uśmiechnął się błogo.

– Aha, widzę, że lokal ma ograniczoną ofertę w karcie. Dobra, dość tych żartów. Jestem tu umówiony z Moirą. Przyszła już?

Szynkarz kiwnął głową i wskazał drzwi w głębi sali.

– Uprzejmie dziękuję, przyjacielu – rzekł Crowley. – I poproszę piwo, ale takie, które nie robi dziur w żołądku. Może być kilkenny.

Mag minął salę, nie dbając o odprowadzające go natarczywe spojrzenia, i wszedł do następnego pomieszczenia, długiego i wąskiego, z ciągiem boksów poprzedzielanych przepierzeniami. Bez trudu wypatrzył rudą głowę właścicielki Hellfire'a. Czytała „Guardiana”, sącząc stout beamisha o barwie równie ciemnej jak jej dusza.

– Aleisterze, dwadzieścia minut spóźnienia – powiedziała, podnosząc głowę z nad gazety. – Już myślałam, że cię nie zobaczę.

– Wybacz, nie jestem bywalcem tej części stolicy. Niewiele brakowało, a taksówkarz kazałby mi dokończyć kurs na piechotę.

Wszedł szynkarz i postawił przed magiem duży kufel piwa. Coś powiedział po irlandzku do Moiry. Crowley nie zrozumiał ani słowa.

– Tak, tak, w porządku, mój gość jest miłym Anglikiem.

– Nie ma miłych Anglików, powinnaś to wiedzieć – burknął Old Uncle, obracając się na pięcie. – Wszystkich trzeba by wywieszać.

– No proszę, legendarna irlandzka gościnność – prychnął Aleister.

Moira rozłożyła przed nim gazetę.

– Zobacz, to powinno cię zainteresować. Reportaż o cmentarzu Tower Hamlets. Policja znalazła tam zwłoki jakiejś biedaczki. Szczegóły są okropne, ofiara została okaleczona.

Crowley wziął do ręki gazetę z taką miną, jakby dotykał jadowitego węża. Bez trudu rozpoznał młodą kobietę, z której zwłokami zetknął się w Hellfirze. Artykuł zajmował dwie strony, cytowano wypowiedzi strażników cmentarza. Wyglądało na to, że policja nie ma żadnego punktu zaczepienia, aby ustalić tożsamość ofiary.

– Potworność – mruknął Crowley. – Musiałaś tak ją pokroić?

– Jej dusza jest bezpieczna, jeśli o to ci chodzi. Podobnie jak zdjęcia z tobą w roli głównej. Masz dla mnie informacje?

Z kieszeni płaszcza Crowley wyjął kopertę i położył na stole. Moira chciała ją wziąć, lecz mag przytrzymał ją grubą dłonią.

– Kiedy dostanę negatywy?

– Zabierz rękę.

Niechętnie wykonał polecenie. Moira otworzyła kopertę i uważnie przejrzała plik kartek, po czym utkwiała w nim wzrok.

– Słabo. Lokalizacja ośrodków szkoleniowych SOE, urządzenia nasłuchowe, schemat organizacyjny służby... To wszystko już znamy. Obawiam się, że na nic mi się nie przydasz. Dziennikarze będą zachwyceni, kiedy dostaną ciąg dalszy makabrycznej historii z Tower Hamlets. Będziesz musiał sobie znaleźć piekielnie dobrego adwokata, wiesz?

– Myślisz, że to takie proste? Że mogę wparować do siedziby SOE i brać, co mi się spodoba? Poza tym za szybko to przeleciałaś. Przeczytaj drugą połowę siódmej strony.

Moira ponownie wzięła do ręki plik kartek i zajrzała na wskazaną stronę.

– Operacja Zmierzch 1... Nieudane odzyskanie... Thule Borealis... Przesłuchanie Rudolfa Hessa... Nic nie rozumiem.

– Chodzi o misję zaplanowaną przez mojego przełożonego. Na południu Francji. W zamku Montségur. Operacja się nie powiodła i powinna być przeprowadzona nowa, ale Malorley coś nerwowo chodzi. Ta operacja ma mieć związek z przesłuchaniem Hessa.

– Mówiłeś, że kompletnie zwariował.

– Jeśli nie chcesz moich informacji...

– Stale odnoszę wrażenie, Aleisterze, że coś przede mną ukrywasz.

Do pomieszczenia weszli trzej ludzie w kaszkietach i zajęli pierwszy boks. Właścicielka Hellfire'a zniżyła głos:

– Wyślę to wszystko do Berlina, zobaczymy, co powiedzą. Niedługo odezwę się do ciebie.

Crowley wstał, nie zamoczywszy ust w piwie.

– Ci twoi niemieccy przyjaciele... Wiesz, co wyczyniają w Europie?

Obrzuciła go zimnym wzrokiem.

– Chodzi ci o wojnę z Rosjanami?

– Nie tylko... Robią tam straszne rzeczy. Żydom.

– Jak Anglicy Irlandczykom, kiedy się zbuntowali. Jak Inkwizycja czarownicom...

Nic nowego w temacie okrucieństwa.

– Nie wierzę, to idzie za daleko. Mówi się o eksterminacji całego narodu.

– Nie mam nic przeciwko Żydom i ubolewam nad ich smutnym losem, ale oni mi nie pomogą uwolnić ojczyzny z angielskich łap.

– Goddam, przekłeta Paddy21. Nie będę się nad wami użalał, dostaliście swoją niepodległość. Eire oficjalnie jest nawet neutralna w konflikcie, a Dublin zafundował sobie ambasadę niemiecką.

– Nie taka znowu neutralna... Wielu Irlandczyków ciągle wspiera Anglię, za wielu jak na mój gust, zaciągają się na ochotnika, żeby walczyć razem z twoimi rodakami. No a co z Irlandią Północną? Nasi towarzysze w Belfaście ciągle są pod butem tych bloody Tommies22. Dopóki nasza wyspa się nie zjednoczy, walka będzie trwać.

– Wybieracie sobie ciekawych sojuszników...

– Niemcy zawsze były w obozie zwolenników republikańskiej niepodległej Irlandii. Kajzer finansował nasze powstanie w czasie Wielkiej Wojny, a Führer teraz nas wspiera. To nasz przyjaciel. Proste. A poza tym nie będzie mnie pouczał człowiek, który od dziesięcioleci wzywa diabła i cały jego orszak ohydnych demonów.

Crowley pokręcił głową i skierował się do wyjścia. Już przy drzwiach obejrzał się jeszcze na nią i rzucił:

– W tej wojnie Szatan znalazł kogoś gorszego od siebie. Dużo gorszego.

– Kogo?

– Człowieka.

W tym samym czasie

Berlin

Lotnisko Tempelhof

Silny podmuch wiatru wtargnął do hangaru, w którym mechanicy krzątali się przy maszynie. Aby zmylić angielskie myśliwce, swastyki na skrzydłach i powierzchnie sterowe messerschmitta przemalowano w pośpiechu. To za mało, aby wywieść w pole wytrawnego brytyjskiego pilota, dość jednak, by zejść na najbliższe lotnisko. Oparta o przepierzenie z blachy falistej Erika śledziła wzrokiem precyzyjne ruchy mechaników. Jeden sprawdzał ciśnienie w ogumieniu, drugi tropił ewentualne wycieki z hydrauliki. Jeśli się zastanowić, jak nieprawdopodobnej trzeba liczby elementów, części, które muszą razem działać, by samolot wzbił się w powietrze, człowiek się zastanawia, jak w ogóle może zaufać maszynie i wsiąść na jej pokład. W Ericie odwaga już dawno zastąpiła zaufanie. To pewniejsze uczucie, ponieważ nie zależy od nikogo innego prócz siebie, podczas gdy zaufanie...

– Mogą być kłopoty z pogodą – oznajmił Tristan. – Zwłaszcza kiedy będziemy lecieli nad Alpami.

Erika popatrzyła na niego jasnym spojrzeniem.

– Nie możemy czekać. Bezwzględnie musimy lecieć do Wenecji.

– Pilot na pewno będzie chciał z tobą pogadać.

Długo przypatrywała się kochankowi, szukając w nim choćby cienia strachu bądź zwątpienia, nic jednak nie znalazła. Zrozumiała, że jeśli podejmie decyzję o wylocie, Tristan wsiądzie do samolotu z żartem na ustach za cały komentarz. Tyle że u niego nie będzie to ani odwaga, ani zaufanie, lecz jakieś inne uczucie, którego na razie nie potrafiła nazwać. Uśmiechnęła się.

Musi je poznać. Cokolwiek to jest – zaufanie czy nie. Kochała tego człowieka.

– Powiedz pilotowi, że startujemy. Ja biorę za to odpowiedzialność.

*Malta*

*Listopad 1941*

Utknąwszy w korku, Laure i Fleming wysiedli z dżipa i palili na zewnątrz, podziwiając widok na uschnięte drzewa i zarośla. Rozgwieżdżona noc spowijała okolicę. Zimny wietrzyk chłodził powietrze, zima wkrótce miała zapanować na Morzu Śródziemnym.

– Jesteśmy w oku cyklonu, ale nie na długo... Nie dokończyłeś wyjaśnień. Czemu to służby wywiadowcze angielskiej marynarki wetknęły nos w nazistowskie historie ezoteryczne?

– Zaczęło się rok temu z hakiem, w maju. Tydzień przed ofensywą na Holandię, Belgię i Francję Goebbels, szef nazistowskiej propagandy, kazał wydrukować setki tysięcy ulotek z czterowierszami Nostradamusa<sup>23</sup>. Była w nich mowa o porażce aliantów i triumfie Niemiec. Te przepowiednie po francusku i niderlandzku zrzucono całymi kilogramami, żeby podkopać morale ludności. Zresztą po niemieckim zwycięstwie Goebbels nieraz się chwalił przeprowadzeniem tej operacji.

– Nie mów, że ludzie wierzyli w przepowiednie!

– A wierzyli, wierzyli. Widziano całe sznury uchodźców, którzy uciekali na południe, bo Nostradamus zapewniał, że ta strefa będzie chroniona przed bombardowaniami. I nasze służby nagle poważnie zainteresowały się tą sprawą. Znaczący nie treścią przepowiedni, ale ich wpływem psychicznym. Tak się składa, że wywiad marynarki był pionierem w dziedzinie wojny psychologicznej. W dodatku mój szef, admirał Godfrey, zawsze przejawiał wzmożone zainteresowanie tajnymi stowarzyszeniami, astrologią i okultyzmem. Dlatego zażądał tajnego raportu w tej sprawie, a ja byłem oficerem, który miał go sporządzić.

Laure powstrzymała się przed zapytaniem, czemu właśnie jego wybrano do tego zadania. O to zagadnie później.

– Porównując informacje z kilku różnych źródeł – opowiadał dalej Fleming – ze zdziwieniem odkryłem, że Goebbels zebrał wszystkich niemieckich astrologów, żeby sfabrykowali tę czarną propagandę. Dwaj moi koledzy zapalili się do tego i zbadali siatkę okultystów, którzy kręcili się przy nazistowskich dygnitarzach, takich jak Hess, Himmler czy Rosenberg. I żeby lepiej zrozumieć, co się dzieje w głowie

przeciwników, uderzyliśmy wtedy do niemieckiego astrologa, który uciekł do Anglii, niejakiego Louisa de Wohla. Przemiały człowiek, chociaż moim zdaniem trochę za bardzo egzaltowany. Wszystko się odbywało, jak się domyślasz, w absolutnej tajemnicy. W odróżnieniu od SOE...

– Jak to?

– Kiedy twój szef, ten Malorley, razem z malowniczym Aleisterem Crowleyem przesłuchał Hessa w Tower, zrobiło się niemałe zamieszanie w wysokich sferach. W ten sposób mój szef dowiedział się o powołaniu waszej służby magików w SOE i przy okazji o poszukiwaniu osławionych artefaktów.

Laure, którą zaczynał denerwować chełpliwy ton Fleminga, przerwała mu:

– Ale to ciągle nie tłumaczy, dlaczego tu jesteś!

– To proste. Mój szef udał się do Churchilla i uzmysłowił mu, że pierwsi zajmowaliśmy się tego typu sprawami, a ponieważ premier niczego nie może odmówić admirałowi Godfreyowi, który jest jego starym przyjacielem, znaleziono wyjście kompromisowe i wysłano mnie w teren. A Malorley dalej dowodzi operacją. Krótko mówiąc, wszyscy są zadowoleni.

– Jak przypuszczam, raport złożysz w wywiadzie marynarki?

– Oczywiście...

Francuzka starannie zgmiotła niedopałek papierosa. Całą okolicę pokrywała wysuszona roślinność – jedna iskierka by wystarczyła do wywołania pożaru.

– Podsumuję: admirał pasjonat okultyzmu zatrudnia astrologa, powołuje się tajną służbę, która ma się zająć poszukiwaniem mistycznych artefaktów. Premier wysłał oddział, żeby zdobyć magiczną swastykę... Brytyjczycy nigdy nie przestaną mnie zadziwiać. Jakoś nie widzę, żeby francuski wywiad tracił czas na różnych wróżbitów albo jasnowidzów.

Fleming wydmuchnął duży kłęb dymu, który zaraz się rozszedł w dusznym powietrzu.

– Nie powinnaś podchodzić do tego zbyt racjonalnie. Wszystkie wielkie mity i postacie ezoteryczne urodziły się w twoim kraju. Nostradamus, tragedia katarów, tajemnica templariuszy, spirytyzm, alchemik Nicolas Flamel, historia Graala... Chociaż jeśli chodzi o Graala, sądzę, że wasz poeta Chrétien de Troyes ukradł nam legendę celtycką.

– Gadanie!

– Nie rozumiesz. Ważne jest wiedzieć nie tyle, czy to wszystko istnieje czy nie, ile dlaczego nasi wrogowie w to wierzą. Dzięki temu można uznać, że mają słabość, którą da się wykorzystać, i w ten sposób przewidzieć ich zachowania. A nawet



uprzedzać wydarzenia, kierując się logiką ukrytą przed większością ludzi. Tajemną dynamiką, której nagłe porywy budują to, co nazywamy historią ludzkości.

Rozległ się warkot silników i zaraz potem koncert klaksonów. Przywrócono ruch. Fleming skinął na Laure. Wsiedli do dżipa, który ruszył z rykiem.

– A możesz jaśniej? – zagadnęła Laure.

– Weźmy na przykład inwazję na Związek Sowiecki. Czy nie wydaje ci się dziwne, że Hitler wypowiedział wojnę Stalinowi akurat dwudziestego drugiego czerwca?

– Data jak data...

– I mówi to Francuzka?... Przecież to dokładnie rok co do dnia od podpisania rozejmu przez twój kraj. W wagonie z Compiègne. Dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

– I co z tego?

– Dokładnie rok po absolutnym pokonaniu sił Zachodu Hitler zaczyna inwazję wszech czasów przeciwko wojskom Wschodu! A to nie wszystko. Jest jeszcze Napoleon.

– A co tu robi Napoleon?

– Wasz cesarz też najechał Rosję... dwudziestego drugiego czerwca. Dwudziestego drugiego czerwca tysiąc osiemset dwunastego. Czyli dzień po przesileniu letnim, w najdłuższy dzień roku. Korsykański orzeł również zgromadził największą armię swoich czasów, zupełnie jak Hitler. Przyznasz, że to ciekawe, prawda?

– Zbieg okoliczności.

– Możesz wierzyć albo nie, ale według pewnej pogańskiej tradycji w pierwszy dzień po przesileniu letnim siły solarne zstępują do świata ciemności, żeby go oczyścić. Po wypełnieniu zadania wracają triumfujące na powierzchnię w dniu przesilenia zimowego, dwudziestego pierwszego grudnia. Wczuj się w sposób myślenia nazisty nafaszerowanego wierzeniami nordyckimi, zastąp ciemności komunistami, a będziesz musiała przyznać, że to co najmniej niepokojąca symbolika.

Laure zaczynała rozumieć, dlaczego Fleminga wybrano do tego zadania. Jego także elektryzowały okultystyczne zbieżności i tajemne objawienia.

– Wiedziałaś – podjął Anglik – że Himmler w towarzystwie całego sztabu co roku świętuje obydwie przesilenia na swoim zamku Wewelsburg? Że rozpała tam ognisko widoczne w promieniu paru kilometrów?

– No założmy...

Dżip jechał, zręcznie omijając chaos na drodze. W dali pojawiły się światła Valletty, stolicy wyspy.

– A nie skończyłem jeszcze z Napoleonem i Hitlerem. Führer napada na Rosję sto dwadzieścia dziewięć lat po waszym cesarzu. Ta liczba, sto dwadzieścia dziewięć,

bardzo ciekawie łączy obu tyranów. Bonaparte włożył cesarską koronę w tysiąc osiemset czwartym roku, Hitler został mianowany kanclerzem w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim. Czyli sto dwadzieścia dziewięć lat później. Napoleon pokonał Austrię w tysiąc osiemset dziewiątym, Hitler zaanektował ten kraj w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym. Policz sobie... Wychodzi ta sama liczba.

– Czym się zajmowałeś przed wojną w cywilu? Byłeś ekspertem od zbieżności?

– Nie, ale zawsze fascynowały mnie liczby i jestem bardzo spostrzegawczy.

– A sto dwadzieścia dziewięć coś znaczy?

– Wieczny początek! Jeden z moich przyjaciół, specjalista od numerologii, wyjaśnił mi, że jeśli zsumuje się cyfry w liczbie sto dwadzieścia dziewięć, czyli doda jeden plus dwa plus dziewięć, wychodzi dwanaście. Dwanaście, liczba czasu i odnowy. Dwanaście godzin, które w nieskończoność powtarza się na twoim zegarku, dwanaście miesięcy w roku... Sama widzisz całą symbolikę: Hitler to awatar Napoleona. Wraca po cyklu dwunastu symbolicznych jednostek.

Laure pokręciła głową.

– Tylko Anglik może robić tego rodzaju porównania! Napoleon był wielkim zdobywcą, nie potworem. Nie wymyślił Gestapo i nie był antysemitą.

– No proszę, tylko Francuzka może tak powiedzieć. Zdobywca z milionami martwych Europejczyków na swoim koncie. Zapytaj o zdanie Hiszpanów, Rosjan czy Niemców. Że nie wspomnę o Czarnych, których wprowadził w niewolnictwo. Ale zostawmy przeszłość. Ta metoda może się przydać do przewidywania przyszłych zdarzeń. Opuściłaś Francję, swoją ojczyznę, dołączyłaś do nas. Co byś chciała wiedzieć o przyszłości? Co ci najbardziej leży na sercu?

– Pozbycie się szkopów!

– Zastosuj moją metodę...

– Jak pamiętam, Napoleon definitywnie opuścił Francję i wylądował na Świętej Helenie zaraz po porażce pod Waterloo w tysiąc osiemset piętnastym. Czyli jeśli dodać sto dwadzieścia dziewięć, wychodzi nam... rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty.

– W czterdziestym czwartym roku Niemcy zostaną wyparci ze wszystkich terytoriów francuskich, ale to wcale nie znaczy, że w tym samym roku Adolf zejdzie ze sceny.

– Jeszcze trzy lata... A idź do diabła z tymi swoimi cyferkami!

– Szkoda, bo mógłbym też podać ci zbieżności w obozie rewolucjonistów. Popatrz, Stalin obejmuje władzę w Związku Sowieckim w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim, w cieniu Lenina, i wprowadza terror komunistyczny. A sto dwadzieścia dziewięć lat wcześniej, czyli w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim, we

Francji mamy rok krwawego terroru przeprowadzonego twardą ręką przez Robespierre'a. To nie wszystko, jeszcze coś łączy Stalina i waszego krwawego rewolucjonistę. Urodzili się w odstępie stu dwudziestu lat.

– O, czyli już nie sto dwadzieścia dziewięć. Hura, jesteśmy uratowani!

– Niezupełnie. W numerologii sto dwadzieścia to bliźniacza liczba stu dwudziestu dziewięciu. To dwanaście plus zero, czyli dwanaście. I wyobraź sobie, że w odstępie stu dwudziestu lat urodzili się też... Napoleon i Hitler. Zamyka się koło czasu i historii.

– Ależ ty umiesz spadać na cztery łapy w tych swoich nieprawdopodobnych argumentacjach.

– Uważam, że w naszym postrzeganiu rzeczywistości istnieje ukryta harmonia liczb. Jestem tego pewien. Weź na przykład taki światek wywiadowczy: tu również wszystko opiera się na liczbach. Komunikujemy się za pomocą tajnych szyfrów, żeby pozyskiwać informacje, które często sprowadzają się do ciągów liczb. Współrzędne zaplanowanego bombardowania na naszej ziemi, ilość materiałów wojennych zgromadzonych przez wroga, daty przyszłych działań wojennych, prędkość myśliwca, zdolności produkcyjne fabryki...

Laure nie odrywała wzroku od Fleminga. Wydawał się niezmordowany.

– Niemcy zresztą pierwsi znaleźli się pod wpływem tyranii liczb. Wiesz, do czego to prowadzi? Do egzekucji wroga. Widziałem raporty, od których krew tężała w żyłach. O masowych mordach Żydów popełnianych przez specjalne oddziały, Einsatzgruppen, w miarę przesuwania się frontu wschodniego. W rozkazach mają dokładną liczbę martwych. Nazistowska kostucha posługuje się liczydłem przerażająco sprawnie.

Fleming zwolnił, by wjechać na drogę biegnącą wzdłuż morza.

– Niedługo dojedziemy do portu. Najwyżej za kwadrans, jeśli tylko przekłęci Włosi nas nie zbombardują.

Laure błędziła wzrokiem po rozpościerającym się przed nimi bezmiarze wód Morza Śródziemnego. Uświadomiła sobie, że już niebawem pogrąży się w głębinach tego cudownego morza. Uciekła z Francji na pokładzie okrętu podwodnego i tak samo dotrze tam, gdzie znów spotka wroga.

– Czemu tak cię fascynują liczby? – zapytała, nie odrywając oczu od morza.

– Nie tylko liczby. Właściwie wszystko, co może namieszać w głowach nieprzyjaciół.

*Monachium**7 września 1919*

Hitler zobaczył przez okno ciężarówkę z budą, która parkowała na dziedzińcu koszar. To już piąta, odkąd czekał w biurze kapitana Mayra. I za każdym razem powtarzał się ten sam rytuał: po podniesieniu plandeki uderzeniami kolby spędzano z paki mężczyzn i kobiety, którzy próbowali się osłaniać rękami. Byli to ludzie podejrzewani o działalność komunistyczną – będą metodycznie przesłuchiwani w już przepełnionych podziemiach koszar.

– Dzień dobry, kapralu.

Kapitan Mayr z monoklem na lewym oku wkroczył do biura w idealnie wypastowanych butach do konnej jazdy. Istny archetyp junkera, niemieckiego oficera arystokratycznego pochodzenia, który stwarzał wrażenie, że nie było ani przegranej wojny, ani upadku cesarstwa. Podszedł do okna i zapalił krótkie cygaro. Hitler bardzo się pilnował, by nie okazać wstrętu do dymu tytoniowego. Kapitan Mayr kierował Grukko, wywiadem armii monachijskiej, i nie miał opinii człowieka, który pozwala, aby mu się w czymkolwiek sprzeciwiano.

– Odkąd miasto padło pod koniec kwietnia, codziennie aresztujemy blisko pięćdziesiąt osób. W większości na podstawie donosów. Jak sądzicie, ilu z tych ludzi to ofiary zazdrosnego męża albo zawistnego sąsiada?

– Nie wiem, panie kapitanie.

– Z naszych wstępnych statystyk wynika, że prawie połowa. Ale widzicie, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo niewinni tak bardzo się boją oskarżenia, że sami się przemieniają w denuncjatorów. Jeszcze kilka tygodni i dzięki ich bezwiednej współpracy oczyścimy Monachium z całej komunistycznej zarazy. – Mayr usiadł za biurkiem, otworzył kluczem szufladę i wyjął z niej teczkę przewiązaną czerwoną tasiemką. Złamał pieczęcie z napisem „Poufne”. – Siadajcie, kapralu. Pokażę wam zdjęcia. Przyjrzyjcie się im dobrze.

Na widok pierwszego Hitler odruchowo się cofnął. Przedstawiła mężczyznę leżącego na ziemi w rozdartej koszuli – czyjaś ręka za włosy podnosiła jego głowę jak trofeum na polowaniu. Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, Adolf nachylił się nad fotografią, aby lepiej widzieć. To, co w pierwszej chwili wziął za rozdarcia koszuli, w rzeczywistości było ciemnymi dziurami po pociskach.

– Dannehl Franz rozstrzelany w Luitpold-Gymnasium. Mówi wam coś jego twarz czy nazwisko?

– Nie.

Kolejne zdjęcie wylądowało na stole. Tym razem zupełnie nagie ciało spoczywało na noszach. Twarz była w cieniu, lewa ręka, mlecznobiała, zwisała na wykafelkowaną podłogę. Na pewno kostnicy.

– Deike Walter, również stracony w Luitpold-Gymnasium. Przyjrzyjcie się jego ręce.

Adolf przysunął zdjęcie do oczu, nie zauważył jednak nic szczególnego. Zrobiona w pomieszczeniu fotografia była dość ciemna.

– Odcięto mu palec wskazujący, żeby zabrać sygnet. Nie wiadomo, czy okaleczenie nastąpiło ante czy post mortem. Rozpoznajecie tego człowieka?

– Nie, panie kapitanie. Ale czemu pan mnie o to pyta?

– Ponieważ zetknęliście się z każdą z tych ofiar kilka godzin przed jej śmiercią. A teraz przyjrzyjcie się jeszcze temu zdjęciu.

Tym razem Hitlerowi zmieniła się twarz. Próbował to ukryć, odgarniając gwałtownym ruchem grzywkę z czoła. Kobieta leżała pod murem, na którym widniały ślady po pociskach w kształcie czarnego wyżłobienia. Mordercy zastrzelili ją w sukni wieczorowej. Jeden but na wysokim obcasie potoczył się po ziemi. Adolf ją rozpoznał. Była to ta dama, która proponowała mu kupno kosztowności w czerwonym salonie hotelu Vier Jahreszeiten.

– Heila von Westarp, również zastrzelona w Luitpold-Gymnasium. Miała trzydzieści trzy lata.

Hitler wolał odpowiedzieć, zanim kapitan zadał mu pytanie.

– Faktycznie spotkałem tę panią kiedyś wieczorem w hotelu w centrum Monachium. To było w kwietniu. Przypuszczam, że z ludźmi, których zwłoki widziałem na tych zdjęciach, też musiałem gdzieś się minąć.

– Zgadza się. Należą do grupy siedmiu osób, które komuniści aresztowali w hotelu Vier Jahreszeiten nocą dwudziestego ósmego kwietnia i zastrzelili w następnych godzinach w Luitpold-Gymnasium.

– Czytałem w gazetach, że komuniści zamordowali kilka osób akurat na samym początku interwencji wojskowej, ale nie wiedziałem, że aresztowali tych ludzi w Vier

Jahreszeiten.

– Co robiliście w tym hotelu? – zapytał Mayr. – To raczej nie jest miejsce, w którym bywa prosty kapral. Ani zdemobilizowany lotnik jak wasz przyjaciel Rudolf Hess.

– Zostaliśmy zaproszeni.

– Przez tego człowieka?

Hitler nie musiał oglądać fotografii.

– Tak, przez hrabiego von Sebottendorfa.

– Komuniści faktycznie chcieli go aresztować i... rozstrzelać. Skoro jego nie dopadli, uwięzili i zamordowali siedmioro jego przyjaciół. Symboliczna cyfra, nie sądzicie?

– Nie wiem.

– I z pewnością nie wiecie też, gdzie może przebywać von Sebottendorf?

Oniemiały Adolf miał wrażenie, że na szyi zaciska mu się lodowaty sznur.

– Dziwny z was człowiek, kapralu. I macie dziwnych znajomych. Nie chcecie mi czegoś powiedzieć?

– Nie, panie kapitanie.

– Wstańcie i podejdźcie do okna.

Na dziedzińcu więźniowie po przesłuchaniu czekali na transport. Żołnierze dzielili ich na dwie grupy pod kierunkiem podoficera, który uważnie przyglądał się każdemu więźniowi.

– Wiecie, jak zidentyfikowaliśmy zastrzelonych z grupy Thule? Dzięki spisom, w których ujęto miejsce i datę zatrzymania. Komuniści kochają biurokrację. To błąd. Nie wolno nigdy zostawiać śladów. – Pokazał palcem grupę więźniów, którzy na dziedzińcu wsiadali do ciężarówki. – W Grukko nigdy nie ma żadnych spisów. Nic na piśmie – wyjaśniał Mayr. – Korzystamy ze wsparcia fizjonomistów. W czasie przesłuchań przyglądają się wybranym więźniom i przy uwalnianiu dyskretnie grupują ich razem.

– Nie bardzo rozumiem – ośmielił się przyznać Hitler.

– Ludzie, którzy wsiadają do tej ciężarówki, za niecałą godzinę zostaną rozstrzelani. Ich ciał nikt nigdy nie odnajdzie.

Adolf nerwowo poklepał się po wąsie.

– Wielu z nich to zresztą byli żołnierze. Ich rodziny są gdzieś daleko, nie znamy ich przyjaciół... Są tacy jak wy. Pytam po raz ostatni: kapralu, macie mi coś do powiedzenia na temat wieczoru w Vier Jahreszeiten?

– Nie.

Mayr z kieszeni munduru wyjął swastykę, położył ją na blacie, po czym zakreślił nią nonszalancko.

– Nie musicie zadawać niepotrzebnych pytań. Dość wam wiedzieć, że Jörga Lanza, mnie i von Sebottendorfa łączy niewidzialne, ale wspólne więzy interesów.

Hitler jak sparaliżowany wpatrywał się w swastykę, która znieruchomiała na biurku.

– Należę do Stowarzyszenia Thule od samego początku – podjął Mayr – i gdybyście mi wyjawili treść rozmów w hotelu Vier Jahreszeiten, kazałbym was rozstrzelać. Wiecie, czym dokładnie zajmuje się Grukko, którym kieruję?

– Pilnowaniem i infiltrowaniem ruchów komunistycznych, ich bojowników, przywódców... Tak mi się zdaje.

Na zewnątrz ciężarówka ruszyła.

– I zwalczaniem. Z tym że teraz zadania Grukko nie ograniczają się już tylko do zwalczania wywrotowych ideologii. Mamy również zapobiegać ich rozprzestrzenianiu się w kraju. A żeby to osiągnąć, musimy uprawiać także politykę. Politykę prewencyjną.

Adolf kiwnął głową. Od wiosny na polecenie przełożonych był zobowiązany uświadamiać ideologicznie świeżych rekrutów swojego pułku i przerażeniem go napawało ich niezrozumienie praw rządzących społeczeństwem.

– Potrzebujemy skutecznej akcji propagandowej – ciągnął kapitan. – Musimy nawrócić masy zubożałe przez wojnę i pogięzione przegrana.

Hitler mechanicznie kiwał głową, wsłuchany w warkot ciężarówki wiozącej więźniów na śmierć, której on zdołał uniknąć. Dlaczego nie wyznał, o czym rozmawiał z von Sebottendorfem? Z powodu lojalności, próżności? Nie, przemówił przez niego instynkt. Ten instynkt, który od Wiednia po okopy, od szpitala w Pasewalku po Monachium zdawał się kierować jego krokami.

– Aby pokonać komunizm, trzeba stawić mu czoło na jego gruncie, czyli na gruncie ideałów społecznych, i zaproponować konkurencyjną ideologię – wyjaśniał kapitan Mayr. – Powinniśmy się skupić w pierwszej kolejności na bezrobotnych, byłych żołnierzach, wdowach wojennych i przywrócić im nadzieję, a przede wszystkim godność.

– Za pozwoleniem, panie kapitanie... Czerwoni są o wiele skuteczniejsi od nas w promowaniu swoich idei. Mają struktury partyjne, hierarchię, sprawną logistykę i bojowników, którzy zgłaszają się na ochotnika.

– Nie mamy czasu ani środków, żeby tworzyć struktury od początku. Dlatego musimy zastosować taktykę kukułki, która podrzuca jajka do gniazda innych ptaków. Znacnie partie volkistowskie?

Po zakończeniu wojny w Niemczech powstało mnóstwo partyjek – wszystkie pragnęły podnieść z gruzów kraj, zemścić się na Francji, a przede wszystkim znaleźć kozła ofiarnego odpowiedzialnego za porażkę. W większości tworzyło je kilku egzaltowanych sympatyków skupionych wokół jakiejś jednej idei. Jedni chcieli wskrzeszenia Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, którego początki sięgały średniowiecza, inni odrodzenia zakonu rycerzy teutońskich czy zastąpienia alfabetu łacińskiego wikińskimi runami albo Kościoła katolickiego kultem dawnych germańskich bogów. Ugrupowań tych było tak wiele, że nie potrafiły stworzyć liczącej się skutecznej siły politycznej.

– Naliczyliśmy sześćdziesiąt trzy grupy volkistowskie, ale ta liczba się zmienia. Niektóre padają ofiarą kolejnych kłótni, inne znikają po kilku miesiącach. Niemniej na tej podstawie można wytyczyć pewien kierunek, jeszcze niezbyt widoczny i dość mglisty, ale mający coraz więcej zwolenników. Podnosi się wiatr i powinniśmy sprawić, by ogarnął całe Niemcy.

Hitler się zastanawiał. O ile podzielał większość poglądów volkistowskich, o tyle pogardzał tymi partyjkami, których zwolennicy zbierali się po piwiarniach, gdzie spędzali czas na żłopaniu piwa i wykrzykiwaniu nacjonalistycznych haseł. Nie mieli organizacji, hierarchii, źródeł finansowania, a ich członkowie byli w większości wiecznie pobudzonymi fiksatami. Knajpianymi krzykaczami zdolnymi co najwyżej kupą poturbować wygłodzonego Żyda. Naprawdę nie pojmował, jak Mayr może się interesować takimi wariatami.

– Trzeba te grupy zebrać w jedną, żeby nabrała ciężaru politycznego i zaistniała w świadomości ludzi. I należy to zrobić tutaj, w Monachium, gdzie jest ich najwięcej.

Adolf ośmielił się wygłosić zastrzeżenie:

– Ale wie pan, że te grupy volkistowskie w większości nie mają żadnej kultury ani wizji politycznej...

– Przestańcie rozumować jak student Akademii Sztuk Pięknych, który uważa, że skoro trzyma pędzel, jest kimś lepszym od tych, co mają twarde, pełne odcisków dłonie.

Hitler skrzyżował ręce za plecami, aby ukryć ich niepoohamowane drżenie. Nie cierpiał, kiedy ktoś przywoływał jego młodość.

– Ci ludzie, którymi tak gardzicie, staną się dźwignią, która odwróci bieg historii. Z tym że tę dźwignię trzeba uruchomić.

– Jak?

– Lud to ciało. Ciało, które cierpi, bo nie jest w stanie się wypowiedzieć. Potrzebuje głosu. I my ten głos mu damy.

– Głos?



– Tak. Wasz głos.

Adolf milczał oszołomiony, Mayr więc wyjaśnił:

– Od bardzo dawna was obserwujemy. Lanz wypatrył was w Wiedniu. Już wtedy była w was ta niema frustracja, ślepy gniew, który teraz dręczy całe Niemcy.

– To dlatego Lanz zaciągnął mnie do opactwa Heiligenkreuz? Ale dlaczego zmusił mnie do udziału w tym swoim rytuale?

– Ponieważ nie da się poderwać ludu samym głosem, potrzebny jest także jakiś wyraźny symbol, który zadziała jak magnes. Dlatego Lanz ujawnił przed wami swastykę.

Hitlerowi przeszło przez myśl, ile razy ten symbol pojawił się w jego życiu. W szpitalu w Pasewalku, gdzie wystąpił przeciwko czerwonym rewolucjonistom, w Monachium, kiedy spotkał się z von Sebottendorfem, i po raz kolejny tutaj.

– Ale frustracja, gniew, nawet w połączeniu z potężnym symbolem, nie wystarczą, by poderwać tłumy. Ten, kto chce się stać uosobieniem ludu, musi najpierw przejść przez rozstrzygające próby.

– Wojna... – szepnął Adolf.

– Tak. Okopy są jak tygiel alchemika: albo się w nich umiera, albo się wychodzi oczyszczonym i godnym swego przeznaczenia.

– Albo ślepym.

– Światło zawsze się kryje w głębi ciemności – odparł kapitan. – Odkryliście je?

Hitler się zawahał. Odkąd odzyskał wzrok, narastała w nim pewność, że może dokonać wielkich czynów. Powstrzymywał go jeszcze brak zaufania – nie do siebie, lecz do innych. Lanz z tymi swoimi ceremoniami okultystycznymi, von Sebottendorf z tajemnym stowarzyszeniem, Mayr ze służbą wywiadowczą – wszyscy wzbudzali w nim instynktowną nieufność, głęboki lęk, że jest tylko narzędziem, pozwala sobą manipulować. Jeżeli wojna była tygłem alchemicznym, Adolf wcale się w nim nie oczyścił z paranoi. Wręcz przeciwnie.

Wpatrzył się w Mayra. Ten człowiek potrzebował jego, a nie na odwrót: oto jedyna prawda. W porządku, Adolf w to wejdzie. Ale gdy tylko zrozumie zasady tej gry, nigdy więcej nikt nie będzie mu dyktował, jaka ma być jego przyszłość.

– Co mam zrobić, panie kapitanie?

Oficer położył przed nim plik ulotek.

– Tu macie nazwy różnych partii volkistowskich. Do koloru, do wyboru: Germański Pierścień, Młot Wotana, Srebrna Tarcza... Osobiście doradzałbym jednak Niemiecką Partię Robotników założoną przez Stowarzyszenie Thule.

– Niemiecka Partia Robotników? Niespecjalnie brzmi.

– Owszem. Kiedy ktoś chce się zwracać do proletariuszy, powinien przemawiać ich językiem. Niemiecka Partia Socjalistyczna... Tak by było o wiele lepiej.

– Jeżeli chce się przemówić do milionów bezrobotnych, do kombatantów, których przegrana wojna wpędziła w nędzę i rozpacz, najważniejsze jest słowo „narodowy”.

Mayr podał mu ulotkę.

– No właśnie, wytłumaczycie im to. Zbierają się za pięć dni, dwunastego września, w piwiarni Sterneckerbräu. Czeka was spotkanie z własnym przeznaczeniem.

*Wenecja*

*Grudzień 1941*

Lotnisko wojskowe, na którym wylądowali, leżało nad samą laguną. Obaj piloci uwijali się przy maszynie, która miała natychmiast odlecieć z powrotem do Berlina. Przy pasie startowym oddział Wehrmachtu, wyznaczony do ochrony Tristana i Eriki, czekał na rozkaz wejścia na pokład statku. Francuz mimo ciemności usiłował dojrzeć kanały portowe, które biegły przez lagunę, przestrzeń między lądem a otwartym morzem tworzącą ochronny labirynt wokół Serenissimy.

– W Wenecji będziemy za godzinę – oznajmiła von Essling. – Kazałam uprzedzić człowieka odpowiedzialnego za dziedzictwo narodowe miasta. Będzie czekał na nabrzeżu i poprowadzi nas prosto do pałacu Bragadinów.

– Nie chcesz najpierw zejść do hotelu? – zdziwił się Tristan.

– Hitler jutro przyjeżdża.

Francuz nie potrzebował więcej wyjaśnień. Himmler chciał być tym, który pierwszy zaspokoi pragnienia wodza. Żołnierze w hełmach i butach z cholewami do kolan wsiadali na statek. Erika z trudem skrywała irytację. Od czasu Krety, gdzie trup ścielił się gęsto, była zdania, że w sytuacjach delikatnych obecność żołnierzy tylko pogarsza sprawę.

– Jak tylko wysiądziemy na ląd, odprawię tych nieudaczników.

Tristan nie zareagował. Uważał, że Erika coraz bardziej zamyka się w sobie, jakby się pogrążyła w otchłaniach refleksji, a kiedy się z nich wyłaniała, okazywała zły humor. Oczywiście poddawana była silnej presji, zwykle jednak reagowała arogancją i poczuciem humoru. Marcasa zaalarmowała jej zmiana nastroju. Położył jej dłoń na ramieniu i przyciągnął ją do siebie. Pozwoliła na to, lecz nijak nie odwzajemniła czułości. Twarzą zwrócona była do dziobu statku wpływającego właśnie do szerszego kanału portowego wyznaczonego rzędami pali. Na końcu kanału blade światła migotały obiecująco. Za chwilę Wenecja wyłoni się ze spowitych nocą wód.

Chłodny wiatr owiewał nabrzeże Ospedale. Nad miastem dożów panowała niepodzielnie cisza. Naprzeciwko widać było przysadziste kształty cmentarnej wyspy San Michele, która znikła za zasłoną z mgły. Tramwaj wodny z kamuflażem w barwach Regia Marina dopłynął do przystani na oczach rozbawionej garstki

wenecjan. Oddział Wehrmachtu wypadł z kabiny i bez ceregieli odepchnął Włochów. Żołnierze w kilka chwil utworzyli szpaler honorowy na drewnianym pontonie, który prowadził do nabrzeża.

Teraz ze statku zeszli Tristan i Erika i szybko minęli szpaler. Dwa szczury smyrnęły im między nogami, kryjąc się w zbawczej ciemności zaułka.

– U was, Niemców, najbardziej mi się podoba wasze poczucie romantyzmu i dyskrecja – zauważył Tristan. – Brakuje tylko fanfar. A ja myślałem, że czeka nas romantyczny spacer po mieście, przejażdżka gondolą i...

– Nie mamy czasu. Musimy zrobić wszystko, żeby odnaleźć artefakt przed przyjazdem Führera. O, jest nasz przewodnik.

Niewysoki człowieczek w płaszczu równie czarnym jak jego koszula wymachiwał do nich ręką u wylotu uliczki wiodącej do nabrzeża. Pospieszył w ich kierunku wraz z towarzyszącym mu pomocnikiem, który niósł lampę.

– Jestem Matteo Deonazzo, członek Wielkiej Rady Faszystowskiej odpowiedzialny za weneckie zabytki. Jakiż to zaszczyt, nawet w środku nocy, poznać jedną z najśłynniejszych archeologek Rzeszy! – Schylił się nad jej dłonią jak do pocałunku, mocno uściskał dłoń Tristana. – Pałac Bragadinów jest kilka minut piechotą stąd. Proszę za mną.

Dowódca oddziału Wehrmachtu skinął na swoich ludzi, lecz Erika pokręciła głową.

– Nie trzeba, poruczniku. Zostańcie tutaj, dam znać, jeśli będę was potrzebowała.

– Otrzymałem rozkazy, Fräulein.

– A ja wydaję wam nowe. Idziemy tylko na oględziny, sektor jest chroniony, tu roi się od policjantów.

– Jak pani sobie życzy – odparł porucznik, na którym zrobił wrażenie tupet esesmanki.

Tristan i Erika poszli za swoim przewodnikiem, który zagłębił się w uliczkę otoczoną wysokimi murami z cegły przeżartej przez wilgoć. Francuz nie mógł wyjść z podziwu, że tak szybko znaleźli się w Wenecji. W zaledwie cztery godziny od startu z berlińskiego lotniska Tempelhof. Himmler udostępnił im jeden z najszybszych messerschmittów ze swojej osobistej eskadry. Liczył na nich bardziej niż kiedykolwiek, by odzyskać zaufanie Führera. Spotkanie wodza z Mussolinim, o którym nie został poinformowany, odebrał jako osobistą niełaskę. Teraz musiał zapunktować. Za wszelką cenę. Tristan się zastanawiał, czy alianci mają świadomość, że krąg osób najbliższych Hitlerowi to w istocie gniazdo żmij. Już się zaczęła walka o sukcesję między Göringiem gotowym na wszystko, byle zachować tytuł faworyta Führera, Goebbelsem wykorzystującym żonę jako przynętę i Himmlerem, którego esesmani zatruwali całą Rzeszę.

– Jestem pełen podziwu – oznajmił Deonazzo. – Ledwie państwo wysiedli z samolotu, a proszę, już oboje przystępują do dzieła. I to w środku nocy!

– Służba nie drużba – odparła Erika. – Daleko jeszcze?

– Kilkaset metrów. A nie chcą państwo zwiedzić innych pałaców? W tej dzielnicy pełno jest okazałych budowli o niezwykłej przeszłości. Trzeba by oczywiście obudzić właścicieli, ale...

– Nie, interesuje nas tylko pałac Bragadinów – oświadczyła Erika.

Skręcili w prawo, w szerszą ulicę, która prowadziła do sestiere Castello, jednej z sześciu dzielnic w historycznym centrum miasta. Kiedy posuwali się naprzód, słychać było jedynie tupot ich butów. Ulica była pusta, sklepiki od dawna pozamykane. Z jednego tylko spod niedokładnie zaciągniętej żaluzji sączył się cienki strumyk światła.

– Znów jeden, który naraża się na grzywnę – westchnął Deonazzo. – Tylko jak tu zabronić weneccjanom spotkania się na pogawędki? Zwłaszcza że rozeszła się wieść o przyjeździe waszego wodza. Wiedzą państwo, że dworzec Santa Lucia jest całkowicie zamknięty i mocno strzeżony? Podobno Duce powita Führera na peronie...

Tristan przystanął. Rozpoznał wejście do pałacu. Kamienny portyk zamknięty ciężkimi drzwiami. Na frontonie powinien być rzeźbiony medalion z wystającą kamienną twarzą.

– Jeden z wielu pałaców Bragadinów, którymi szczyli się nasze miasto – rzekł Deonazzo, wskazując budynek. – Ten...

– Darujemy sobie wykład z historii – przerwała mu Erika. – Kto tu mieszka?

– A to właśnie taka osobliwość. Proszę sobie wyobrazić, że pałac należy do Francuzów. Do niejakich de Montrondów. Oczywiście nie ma ich tutaj.

Zaintrygowany Tristan już miał zadać mu pytanie, lecz spostrzegł, że jego towarzysza znowu się niecierpliwi. Historyk, który także obawiał się reakcji archeolożki, pospiesznie wcisnął dzwonek.

– Uprzedziliśmy dozorcę. Właściciele zostawili mu drugi komplet kluczy, więc wszystko już przygotował, pozapalał światła.

Niedobudzony Włoch o szpakowatej brodzie powoli otworzył jedno skrzydło drzwi, niespodziewanie odsłaniając długi ogród. Niepodcinane od lat drzewa sięgały aż do wysokiej fasady, której szczyt ginął w ciemności. Imponująca brama z kutego żelaza zdawała się zagłębiać w niewidoczne trzewia. Dokładnie nad nią okno z kołyszącą się okiennicą oświetlał rząd świec. Tristana ogarnęło wrażenie, że bezpowrotnie zanurza się w przeszłość.

– Oto pałac Bragadinów.

*Adriatyk**Gdzieś na pełnym morzu w pobliżu Wenecji**Grudzień 1941*

Dieslowskie silniki podwodnej jednostki HMS Triumph pracowały na wolnych obrotach. Stalowy potwór unosił się spokojnie na powierzchni sennej czarnej wody. Słysząc było jedynie chlupotanie drobnych fal, które miarowo uderzały o metalową powłokę olbrzyma. Stojąc w otwartym kiosku, Fleming wciągał głębokie hausty słonego powietrza, skoro nie mógł się inhalować swoim ulubionym tytoniem. Na pocieszenie wyobrażał sobie, że oczyszcza płuca umęczone wdychaniem powietrza przesyconego zapachem smarów i ludzkiego potu. Agent ubolewał, że nie może zapalić papierosa, lecz obowiązywał go bezwzględny zakaz emitowania jakiegokolwiek światła. Taki rozkaz wydał kapitan Triumphu, który stał zresztą obok Fleminga, obserwując wybrzeże przez lornetkę.

Dwie godziny przed czasem dotarli w miejsce położone gdzieś na południowy wschód od Wenecji, w odległości około dziesięciu mil morskich od wejścia do laguny. Wachtowy przez większą część nocy mógł płynąć na powierzchni morza, co pozwoliło poruszać się szybciej i naładować akumulatory. Jednostka przebyła Adriatyk bez problemu, raz tylko, na wysokości Brindisi, musiała się zanurzyć, gdy zauważono włoską eskadrę kierującą się prawdopodobnie do Libii.

Fleming zerknął w dół. Laure siedziała na środkowym prześle pokładu razem z trzema nowymi członkami grupy, którzy zastąpili ofiary katastrofy na Malcie. Sami twardziele, żołnierze z elitarnego oddziału SAS, Special Air Service, którzy mieli dołączyć do swojej brygady stacjonującej w Egipcie. Fleming zwięźle wprowadził ich w zadanie, nie ujawniając celu końcowego. Wszyscy – Fleming pierwszy – przebrali się w rybackie ciuchy: szare nieprzemakalne spodnie, grube wełniane golfy i ciemnogrnatowe czapki. Do burty Triumphu przymocowane były trzy łódki, w ostatniej starannie przywiązano sprzęt.

Naraz dowódca zeszywniał i palcem wskazał w kierunku laguny. W ciemnościach zamigotało światło najpierw krótkimi błyskami, potem długimi.

– O jedenastej – poinformował kapitan. Bez problemu odczytał wiadomość przesłaną alfabetem Morse’a i cicho powiedział: – „Doża śpi w swoim pałacu”.

Świetnie! – Odłożył lornetkę i dotknął ramienia marynarza pochylonego nad układem optycznym transmisji. – Umówiony sygnał. Przekażcie: „Jego dzieci wróciły”.

Marynarz wykonał polecenie, z kiosku poszła seria błysków. Dowódca zwrócił się do Fleminga:

– Statek naszych włoskich przyjaciół jest w miejscu spotkania. Przygotujcie się ze swoimi ludźmi, kapitanie, do zejścia z pokładu.

– Proszę nie brać tego do siebie, ale bardzo się cieszę, że schodzę na ląd. Nie wytrzymałbym ani minuty dłużej w tej pańskiej konserwie. Zakaz palenia mocno mi dokopał.

– Niechże pan nie przesadza, to trwało zaledwie dwadzieścia cztery godziny... Wrócimy za cztery dni. Zawsze marzyłem o zwiedzeniu Wenecji z żoną, ale nie zazdroszczę wam, że tam teraz jedzicie z turystyczną wyprawą. Pewnie jest tam więcej policjantów i faszystów niż zakochanych par. Powodzenia.

– Dziękuję, kapitanie. Przywiozę panu pamiątkę dla małżonki.

Fleming szybko zszedł z kiosku, po czym zeskoczył do jednej z łódek, która zakołysała się pod jego ciężarem.

– Nie można dopłynąć okrętem podwodnym do samej Wenecji? – zapytała Laure, której pomógł usadowić się na rufie.

– Pewnie, że można. To najlepszy sposób, żeby wylądować na dnie laguny i zakończyć nasze zadanie na pogaduszkach z rybami. Wenecja to jedna z baz włoskiej marynarki. A kawałek dalej na północ leży Triest, jeden z włoskich portów o największym znaczeniu strategicznym. W tej okolicy roi się od min podwodnych i od uzbrojonych po zęby patrolowców.

Po powierzchni wody poniósł się głuchy pomruk. Z ciemności nagle wyłonił się statek rybacki. Imponujących rozmiarów, nad dziobem sterczała wysoka draga rdzawej barwy, charakterystyczna dla trałowców, które operowały w tej części Adriatyku.

Ludzie w łódkach wyjęli krótkie wiosła i zanurzyli je w lodowatej wodzie. Potrzebowali dobrych dziesięciu minut, aby dopłynąć do burty trałowca. Marynarze pomogli im wejść na pokład. Niewysoki sześćdziesięciolatek z twarzą ocienioną sfatygowanym kaszkietem przywitał się z Flemingiem i obrzucił zdziwionym wzrokiem Laure.

– Witajcie w Wenecji – powiedział z silnym włoskim akcentem. – Nie przedstawiam się, bo nie mam ochoty, żeby mnie znaleźli, jeśli faszyści was dopadną i zmuszą do gadania.

– Ja też nie mam ochoty.

– Ukryjemy was w ładowni. Proszę wybaczyć zapach ryb, signora. – Przyjrzał się dwóm pozostałym agentom i szybkim gestem poprawił im czapki, zsuwając je na bakier. – Trochę lepiej, ale wątpię, żeby obleciało przy prawdziwych rybakach. Tutaj nie nosimy takich spodni ani swetrów. Wasze łachy wyglądają jak świeżo wyjęte z magazynu kostiumów teatralnych.

– Bardzo dobrze włada pan naszym językiem jak... – rzekł Fleming, nie kończąc zdania.

– Jak na prostego weneckiego rybaka? Sanguè di Bacco...24 Ha, ha, ha... Kieruję przedsiębiorstwem przetwórstwa rybnego i eksportu, przed wojną dużo handlowałem z pańskimi rodakami. Chodźmy do kajuty i avanti popolo, jak mówi nasz ukochany Duce.

Laure i Fleming poszli za kapitanem do sterówki. Włoch stanął za sterem i przesunął dźwignię po lewej. Od silnika zawibrowało całe poszycie statku, w kabinie rozszedł się silny zapach paliwa. Trałowcem tak szarpnęło, że Laure i Fleming polecili do tyłu. Marynarz spojrział na nich kpiąco.

– Silnik marki Isotta Fraschini. Na nim można płynąć na koniec świata. Albo prawie.

– Gdzie pan nas wysadzi w Wenecji?

Marynarz pokręcił głową.

– Zmiana planów, moi drodzy. Przez przyjazd Hitlera i Mussoliniego władze portowe podwoiły liczbę patroli. Wszystkie statki są drobiazgowo przeszukiwane, zanim wpłyną do portu. Trzeba zahaczyć o jedną wyspę w lagunie. Nic, tylko kłopoty.

– Splunął i okrasił to przekleństwem po włosku.

– Chyba nie jest zadowolony – szepnęła Laure.

– A mógłby pan wyjaśnić dokładniej? – poprosił Fleming.

– Płyniemy na Poveglię. Wenecjanie wierzą, że to przeklęta wyspa. W średniowieczu było tam leprozorium, potem więzienie, a teraz jest szpital psychiatryczny. Ludzie mówią, że duchy zmarłych już zawsze będą nawiedzać to miejsce.

– Cudnie! A można wiedzieć, co potem?

– Faszyści i karabinierzy nigdy nie zagląдают na Poveglię. Dyrektor szpitala jest sympatykiem naszej sprawy. Sprytnie wymyślił, jak was przemycić do Wenecji.

– Jak?

Kapitan bez cienia ironii wolno powiedział:

– Zabije was.



*Norymberga**30 sierpnia 1933*

Kurtyna chmur rozdarła się nagle i samolot wszedł w morze światła. Göring tłustą dłonią wskazał promienie słoneczne, które rozlewały się jak płynne złoto na skrzydłach junkersa. Hitler na moment nachylił się do iluminatora, po czym zaraz wrócił w kojący cień swojego fotela. Nie lubił światła. Skinął na swojego sekretarza, który czekał z notatnikiem w ręce.

– Zapisać. Dla zwierzchników organizacji młodzieżowych. Ograniczać wystawianie członków Hitlerjugend na słońce, to szkodzi zdrowiu.

Siedzący obok Hess pokiwał głową. Führer jak zwykle miał słuszność. Należało chronić kapitał ludzki nowych Niemiec. Prawdziwy nazista obowiązany był wieść wzorowe życie. Jak Hitler, który pił wyłącznie wodę, nie palił i jadł tylko potrawy wegetariańskie. W przeciwieństwie do tego tłustego wieprza Göringa, któremu brzuch zwisał nad paskiem spodni, a oddech cuchnął dymem tytoniowym.

– Zapisać. Dotyczy dzisiejszego programu. Przewidzieć godzinne oklaski po moim przybyciu do Norymbergi. Chcę widzieć Himmlera.

W kabinie rozległ się niespokojny głos Goebbelsa. Siedząc w ogonie samolotu, pisał mowę końcową, którą Hitler miał wygłosić na zjeździe partii narodowosocjalistycznej. Pierwszym, odkąd w kwietniu Hitlera wybrano na kanclerza.

– Ależ, mein Führer, ma pan spotkanie z lokalnym kierownictwem partii, a potem z burmistrzem...

– Proszę się nie martwić, Josephie, przesuniemy je tylko. Magda już przyjechała do Norymbergi, jak sądzę?

– Tak, organizuje dzień dla pań z naszej partii.

– Josephie, ma pan wyjątkową małżonkę!

Goebbels uśmiechnął się z przymusem. Trzy dni wcześniej w ich berlińskiej rezydencji latały szklanki i talerze. „Wyjątkowej małżonce” wyjątkowo brakowało wyrozumiałości, kiedy jej mąż odwiedzał młode aktorki, namawiając je do udziału w propagandowych filmach ku chwale Rzeszy.

– Zaraz będziemy podchodzić do lądowania w Norymberdze – zapowiedział Göring. – Miasto ukaże się na lewym skrzydle, kazałem pilotowi przelecieć nad nim nisko.

Hitler nie odpowiedział. Zagłębiając się w fotelu spoglądał na stopniowo wyłaniające się miasto. Najpierw przedmieścia, później część średniowieczna z płataniną uliczek i starymi kamienicami. Ogromne nazistowskie chorągwie zakrywały dwie wieże katedralne od dzwonnicy po dziedziniec. Teraz nawet Kościół uznawał supremację nazizmu. Hitler smakował zwycięstwo. W ciągu kilku lat zdołał w całych Niemczech zaprowadzić panowanie swastyki, którą nosił w klapie. Samolot nadal schodził niżej. Na ulicy wysadzonej po bokach drzewami członkowie partii ćwiczyli defiladę. Jutro na wielkiej paradzie będzie ich kilkaset tysięcy, przybędą z całego kraju, by świętować zdobycie władzy. Odtąd losy Niemiec i Adolfa Hitlera były nierozłączne.

Siedzący kilka foteli dalej Hess przyglądał się Führerowi. Kto by pomyślał, że ten nikomu nieznanemu człowiek, którego poznał piętnaście lat wcześniej w Monachium, stanie się uwielbianym panem Rzeszy? Jakby spadła na niego jakaś nieoczekiwana łaska.

– Rudolfie!

– Tak, mein Führer?

Hess podszedł i usiadł obok Hitlera śledzony badawczym wzrokiem Goebbelsa i Göringa.

– Powiedz, Rudolfie, myślisz czasem o przeszłości?

– Właśnie myślałem. O Monachium. Tam spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Na to wspomnienie Hitler nijak nie zareagował. On także pamiętał Monachium, wojnę domową, biedę, a zwłaszcza inne rzeczy. Lecąc nad Norymbergą, gdzie szykowano się na jego przyjęcie, mógł zmierzyć drogę przebytą od trudnych lat w Wiedniu do Kancelarii Rzeszy w Berlinie. Z tej drogi chciał widzieć tylko końcówkę, ogromny plac, który ukazał się właśnie w iluminatorze: Reichsparteitagsgelände, gdzie partia miała celebrować jego zwycięstwo.

– Co się stało ze Stowarzyszeniem Thule? – zapytał Hitler.

– Nie istnieje, członkowie się rozjechali.

– A von Sebottendorf?

– Długo mieszkał w Turcji. Wraca tam. Na stałe.

Hitler poklepał Hessa po dłoni. Doskonale się zrozumieli. Himmler zajmie się resztą. Pod stopami pasażerów rozległo się głuchoe stuknięcie wypuszczanego podwozia.

– Mein Führer... – zaczął Göring.

– Tak, wiem, Hermannie. Dolecieliśmy.

Wzdłuż całej trasy tłumy zgromadziły się za barierkami strzeżonymi przez esesmanów w czarnych mundurach. Hitler wyprostowany w defiladowym mercedesie pozdrawiał gapiów uniesioną ręką, wzbudzając okrzyki zachwytu. Szofer nerwowo co rusz zerkał w prawe lusterko, aby nie przegapić znaku szefa. Jeżeli Hitler po salucie kładł dłoń na pasie, należało zahamować. Szofer nie musiał długo czekać. Matka trzymała w górze dziecko, które w rączce ścisnęło bukiet. Samochód przystanął. Hitler odsunął człowieka ze służb porządkowych i osobiście pokonał kilka metrów dzielących go od tłumu. Jadąca w następnym samochodzie kamera rejestrowała każdą sekundę tej sceny: Hitlera biorącego dziecko na ręce. Hitlera całującego je w policzki. Hitlera ściskającego zapłakaną matkę. Te obrazy obiegają całe Niemcy.

Tłum gęstniał, w miarę jak zbliżali się do centrum miasta. Hitler usiadł, teraz już tylko na każdym zakręcie podnosił rękę w nazistowskim pozdrowieniu. Musiał oszczędzać siły. U jego boku Hess upajał się coraz donośniejszymi okrzykami tłumu.

– Ileż pasji, mein Führer, ileż pasji! Lud jest oczarowany!

Mercedes zatrzymał się przed ratuszem. Po krótkim przywitaniu z miejscowymi oficjelałmi, czekającymi na stojąco od kilku godzin, Hitler wszedł do budynku, który natychmiast zamknięto.

– Himmler jest?

Jeden z esesmanów pospieszył uprzedzić swojego szefa. Zanim Hitler zamknął się w jednym z pokojów, Goebbels jeszcze go zatrzymał.

– Mein Führer, musi pan się pokazać na balkonie. Przyjechali zagraniczni dziennikarze. Powinni koniecznie zobaczyć radość narodu, kiedy pan się pojawi.

Hitler posłusznie dał się poprowadzić do okna. Goebbels był kompulsywnym uwodzicielem i marnym mężem, lecz to on spopularyzował nazwisko Hitlera w całych Niemczech. Propagandę wyniósł do rangi wielkiej sztuki.

Balkon był zalany słońcem. Oślepiiony jego blaskiem Adolf nic nie widział, lecz słyszał swoje nazwisko skandowane przez tłumy ludzi. Zdjął czapkę, uśmiechnął się i pozdrowił zgromadzonych. Nie przeszkadzało mu, że nic nie widzi. Do tego przywykł jeszcze w Pasewalku. I lepiej odczuwał żarliwość ludu, który napełniał go energią zawsze gotową się przelać.

– Proszę się obrócić bardziej w lewo, mein Führer, tam stanęli dziennikarze.

Po zamknięciu okna Hitler przeszedł do salonu, gdzie czekał Himmler pogrążony w lekturze jakichś dokumentów. Na widok Führera szef SS podniósł się z miejsca.

– Proszę nie wstawać, Heinrichu.

Himmler zamknął teczkę z aktami i podsunął ją Hitlerowi.

– Mam pewien pomysł, który chciałbym panu przedstawić. Sam pan wie, jak wrogi jest nam świat uniwersytecki.

Hitler wzruszył ramionami.

– Kastraci wiedzy! Gryzpiórki! Przeżuwacze nicości, których idee pozbawiają męskości niemiecki lud i psują młodzież!

– Dlatego chciałbym stworzyć nowy instytut naukowy, który będzie prowadził badania wyłącznie dla naszej sprawy.

– Co pan wymyślił?

– Chcę ściągnąć wszystkich niezarażonych poglądami marksistowskimi i demokratycznymi. I zlecić im zadanie: będą mieli dowieść przed całym światem wyższości rasy germańskiej.

– A jak miałyby się nazywać ten instytut?

– Ahnenerbe. Dziedzictwo Przodków. Aby potwierdzić naszą wyższość, trzeba odnaleźć i udowodnić naszą linię na przestrzeni wieków, będę więc potrzebował archeologów, etnologów, antropologów...

Führer uniósł dłoń.

– Zgoda, Heinrichu, może pan zacząć zatrudnianie ludzi, pieniądze będą z budżetu SS. A kto by kierował tym instytutem? Macie kogoś?

– Przedstawię panu listę nazwisk i...

– Ja mam kogoś do zaproponowania.

Zdziwienie błysnęło w oczach Himmlera ukrytych za okularami w okrągłych metalowych oprawkach. Hitler nie miał zwyczaju nikogo rekomendować.

– Weistort. Karl Weistort.

Nazwisko nic nie mówiło Himmlerowi. Musi zaraz sprawdzić tego człowieka. Heydrich, którego ostatnio mianował szefem wywiadu SS, zajmie się tym w pierwszej kolejności.

– Nie wątpię, że to znakomity wybór, mein Führer.

Jakby czytając w myślach rozmówcy, Hitler zapytał:

– A proszę mi powiedzieć, czy pańskie służby wywiadowcze mają kontakty w Austrii?

– Oczywiście. Jest tam wielu sympatyków naszej sprawy. Nie wspominając o licznych wysokich urzędnikach, którzy nas informują.

– Chciałbym, żebyście odnaleźli niejakiego Jörga Lanza. Byłego zakonnika.

Od drzwi dobiegło dyskretne pukanie, zaraz potem rozległ się głos Goebbelsa:

– Mein Führer, czekają na pana dziesiątki tysięcy bojowników. Ściągają ze wszystkich stron. Nie jesteśmy w stanie kierować takimi tłumami. Miasto pęka w szwach...

Hitler wstał, Himmler też natychmiast się zerwał.

– Jak tylko go odnajdę, dam znać.

– Niech mi pan nie daje znać. Proszę tak załatwić, żeby wrócił do swojego klasztoru. I żeby nigdy więcej z niego nie wyszedł.

*Wenecja*  
*Wyspa Poveglia*  
*Grudzień 1941*

Trałowiec grzecznie cumował w wąskim sztucznym przesmyku, który pełnił funkcję nabrzeża. W górze wznosiła się wysoka, masywna fasada prostopadłościennego surowego budynku z XVIII wieku. Rozsypujące się ogrodzenie porastał gęsto bluszcz. Za nim widać było iglicę dzwonnicy, która wydawała się jeszcze starsza.

Laure i Fleming zeszli ze statku poprzedzani przez pozostałych trzech członków grupy, którzy dźwigali duże płócienne worki. Zachęceni przez kapitana pomaszerowali kamienną alejką biegnącą wokół budynku.

– Szybciej, lepiej nie zwlekać.

– Myślałem, że jesteśmy w pewnym miejscu.

– Tak, ale nie znam wszystkich pensjonariuszy szpitala – wyjaśnił kapitan, wskazując palcem fasadę.

Laure podniosła wzrok i w oknie na pierwszym piętrze zobaczyła kobietę o długich siwych włosach, która zdawała się unosić w białym kaftanie. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w Laure i rysowała coś na szybie. Oczy miała szeroko otwarte, jakby pozbawiona była powiek. Laure pociągnęła Fleminga za rękaw, by pokazać mu tę osobliwą postać, lecz zanim podniósł wzrok, kobieta zniknęła.

– Zobaczyłaś ducha? – zażartował Fleming.

– Bardzo zabawne! Sądzę, że to była raczej pensjonariuszka tego uroczego zakładu. Co miał na myśli kapitan, kiedy powiedział, że dyrektor tego szpitala chce nas zabić?

– Nie mam pojęcia. Może to jakaś odmiana weneckiego poczucia humoru.

– W średniowieczu, w czasie epidemii dżumy, zbudowano tu lazaret, do którego przyjmowano zarażonych – wyjaśnił kapitan, maszerując żwawym krokiem. – Później ten budynek zaadaptowano na zakład dla chorych psychicznie. Pogrzebano tu blisko sto sześćdziesiąt tysięcy zwłok, wszystkich zabrała plaga. Idziemy po ludzkich prochach.

Nagle nad ich głowami rozległo się przeciągłe wycie. Dochodziło z okna, na którym okiennice były do połowy otwarte.

– Ależ wyczucie! Można by pomyśleć, że ktoś tam morduje ludzi – skomentował to Fleming głosem nie tak pewnym, jak by chciał.

– Na Boga, a cóż to jest? – zapytał jeden z komandosów, którego zaalarmowały wyjaśnienia marynarza.

Kapitan przystanął przed ciężkimi żelaznymi drzwiami i otworzył je z niesamowitym zgrzytem. Kazał im wejść do środka.

– Nie zwracajcie na to uwagi. To wszystko pacjenci doktora Giamballa. Wchodźcie, szybko.

Anglicy wymienili nieufne spojrzenia.

– Nie bardzo mi się to podoba, kapitanie – mruknął jeden z komandosów.

– Dajcie spokój, to tylko zakład dla psychicznie chorych. Nie ma czasu na takie bzdury.

Fleming pierwszy wszedł do środka, za nim Laure, która obrzuciła ironicznym spojrzeniem trzech wahających się żołnierzy.

– Jeśli boicie się wejść, idźcie pomagać rybakom sprzątać ryby. Przynajmniej na coś się przydadacie.

Komandosi coś tam pomamrotali i weszli do ciemnej sieni.

Kilka minut później cała grupa z kapitanem trałowca znalazła się w pomieszczeniu o ścianach pobielonych wapnem, gdzie zmagazynowano sterty jasnych desek. Jedyną ozdobą na ścianie ograniczała się do poczerńiałego malowidła przedstawiającego Matkę Boską o znużonym spojrzeniu. W chwili gdy mieli zrzucić worki na podłogę, zza uchylonych drzwi rozległ się głos:

– Nie, nie stawiajcie, mamy bardzo mało czasu.

Wszedł do nich człowiek w białym kitlu o wyblakłej cerze i podpuchniętych oczach za okrągłymi okularkami. Choć zasapany, mocno uściśnął dłoń kapitana i przywitał się z Flemingiem.

– Jestem doktor Gianni Giamballo, dyrektor Santa Maria di Poveglia. Proszę wybaczyć ten brak gościnności, ale jesteście w strefie tranzytowej.

Kolejny krzyk podsumował przemowę lekarza, który tylko się uśmiechnął, jakby to wszystko było normalne.

– Kogo pan tu leczy? – zapytała Laure.

– Osoby z zaburzeniami psychicznymi... i społecznymi. Faszyzm życzy sobie na ulicach tylko Włochów zdrowych na ciele i umyśle. Osoby antyspołeczne albo nieproduktywne uważa się teraz za chore umysłowo. Władze przysyłają nam tu każdego, kogo społeczeństwo uzna za nienormalnego. Mieliśmy tu nawet przez jakiś czas dawną kochankę Ducego, wyborną kobietę, ale trochę pokręconą.

– Trudno się dziwić... Sypianie z gościem takim jak Mussolini musi być trudnym doświadczeniem, graniczącym z traumą – skomentowała Laure sarkastycznie.

– W każdym razie dziękujemy za pomoc – powiedział Fleming.

– Ależ proszę bardzo. Uważam ten reżim i jego politykę za wyraz autentycznego obłędu. Włochy, ojczyzna sztuki, kultury i piękna, nie zasługują na taki los. Wielu jest takich, którzy ubolewają nad tym, co się tu dzieje. Poznacie niedługo szefa naszej siatki. Człowiek wielkich zalet. To on mnie przekonał, że powinienem dołączyć do ruchu oporu. Proszę za mną.

Zawrócił do drzwi, którymi przyszedł, przybysze pomaszerowali za nim. Minąwszy korytarz, weszli do kaplicy o ścianach równie białych jak w pierwszym pomieszczeniu. Przed ołtarzem stało rzędem pięć trumien na kobyłkach. Lekarz rozłożył ręce.

– Zadbałem o szersze modele, mam nadzieję, że w środku nie będzie wam za ciasno.

Trzej żołnierze z SAS w jednej chwili dobyli steny i wycelowali w lekarza.

– Co to za numery? – warknął jeden. – Nie myśl, że dam się zamknąć w jakiejś pieprzonej trumnie!

Laure i Fleming wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Teraz rozumiem słowa kapitana – szepnęła Laure.

– Opuśćcie broń, chłopcy, zaraz wszystko wyjaśnię – powiedział lekarz. – Nasz zakład nie dostaje żadnych pieniędzy rządowych, a to, co wpłacają rodziny, nie wystarcza na właściwe funkcjonowanie. Dlatego pacjenci, którzy mogą, pracują w naszym warsztacie stolarskim. Wytwarzają tanie trumny. Na które popyt, niestety, nie słabnie. Co jakiś czas cała produkcja płynie statkiem do centrum Wenecji i stamtąd jest rozwożona do zakładów pogrzebowych. I karabinierzy, i Czarne Koszule z powodu przesądu ich nie otwierają, bo pochodzą z Poveglii, przeklętej wyspy.

Laure podeszła do pierwszej trumny i przyjrzała się jej z odrazą.

– Jak miło! Ktoś włożył poduszki do środka!

– Dyskretnie wywiercono też otwory, żebyście mieli czym oddychać na statku, który przewozi ładunek do samej Wenecji – rzekł lekarz. – Trzeba liczyć, że to potrwa godzinę, dwie. Na miejscu poznacie naszego szefa.

– Nie ma mowy, żebym wszedł do czegoś takiego – oświadczył jeden z komandosów, czyniąc znak krzyża. – Zaciągnąłem się, żeby walczyć na wojnie, a nie zgrywać umrzyka.

Pocił się i wyglądał na przerażonego, stał ciągle z palcem na spuście pistoletu maszynowego. Fleming położył mu dłoń na ramieniu.



– Obawiam się, że nie mamy wyboru, żołnierzu.

Wyraźnie zdenerwowany komandos strącił jego rękę. Na jego twarzy malował się strach. Patrzył na trumny, jakby zaraz mieli się w nich pojawić prawdziwi nieboszczycy.

– Odmawiam... Dajcie mi spokój.

Fleming wyjął z kabury czarnego matowego browninga i lufę przystawił komandosowi do czoła. Odbezpieczył pistolet.

– Opuścić broń, żołnierzu. Odmowa wykonania rozkazu przełożonego w czasie wojny to dezercja w obliczu wroga. Mam prawo was zastrzelić, żeby zadanie zostało wykonane. Wasze zwłoki dołączą do trupów zmarłych na dżumę. Wybierajcie: trumna albo zbiorowa mogiła na wyspie.

Komandos nadał spływał potem. Pokręcił głową. Jeden z jego kolegów podszedł do Fleminga.

– Kapitanie, to nie takie proste...

– Wyjaśnijcie.

– Douglas w czasie kampanii francuskiej w okolicach Abbeville spędził całą noc w dole pełnym trupów jego kolegów z brygady. Udało mu się uciec o świcie, ale została mu po tym... klaustrofobia.

– Damn it! – warknął żołnierz. – Możecie mnie zabrać choćby do piekła, ale nie w takiej cholernej skrzynce.

Fleming wzrokiem naradził się z Laure, która wzruszyła ramionami: na fobię nic nie poradzisz.

– Kapitanie – wtrącił włoski lekarz – leczyłem już chorych na to, nie sądzę, żeby ten człowiek symulował. Niech zostanie tutaj, zobaczymy, może da się go przemycić jakoś inaczej.

Niezadowolony Fleming schował pistolet do kabury.

– Znowu jeden człowiek mniej. W końcu uwierzę, że nad tym zadaniem wisi jakaś klątwa.

*Wenecja*  
*Pałac Bragadinów*  
*Grudzień 1941*

Czarna gondola ślizgała się po ciemnym kanale. W środku nie było nikogo, zdawało się, że kieruje nią jakaś niewidzialna siła. Albo manewrował nią duch. W Wenecji wszystko było możliwe. Czemu duchy nie miałyby prawa pływać sobie w gondoli? Siedząc na parapecie kamiennego balkonu, który wisiał nad wodą, Tristan się zastanawiał, czy łódź sama skręci w miejscu rozwidlenia kanałów.

Skierował wzrok na salon. Widział Erikę, która wspięła się na stół. Oglądała szczegóły malowanego sufitu, z którego miejscami odpadała farba. Ozdabiały go putti, aniołki pulchne jak noworodki, a także koszyki owoców egzotycznych. W jednym z rogów pęk porzuconych włóczni opartych o pień drzewa sugerował, że po wojnie nastaje czas rajy na ziemi. Ot, taka wenecka alegoria, alegoria miasta, które bogactwo zawdzięczało zarówno handlowi, jak i zbrojnym podbojom.

Spędzili ponad dwie godziny na oględzinach pałacu w towarzystwie swojego przewodnika Deonazza – bez jakiegokolwiek efektu swoich poszukiwań.

Po tym czasie nikt by ich nie pokonał w znajomości historii budynku. Mieszkał w nim słynny uwodziciel Casanova na zaproszenie właściciela, któremu uratował życie. Awanturnik w celu sfinansowania swoich przyjemności organizował tam seanse magii, stawiał kabałę i wykorzystywał łatwowierność pana domu oraz jego przyjaciół, aby wyciągać od nich znaczne kwoty. Deonazzo podzielił się z nimi wieloma pikantnymi anegdotami, jak chociażby opowieścią o skandalu, który wybuchł w Wenecji, kiedy rozeszła się plotka, że ambasador Francji organizuje tam miłosne schadzki z młodą zakonnica... O ile Tristan z przyjemnością słuchał gawędziarskich popisów ich przewodnika, o tyle Erika kilkakrotnie okazała irytację i niepokój. W historii pałacu Bragadinów nie było niczego, co choćby o krok przybliżyło ją do poszukiwanej swastyki. Tym razem Tristanowi nie udało się powiązać nitek.

Na kanale przy pałacu wybuchły jakieś krzyki. Tristan wyjrzał przez okno i zobaczył dwóch ludzi na pontonie próbujących złapać na lasso gondolę – utknęła na liszajowatym murze budynku, który czasy świetności miał już za sobą. Świeżo

upieczeni kowboje szamotali się z nią jak z żywą istotą, gdy wściekle wierzgała. Tristan się uśmiechnął, było w tej scenie coś surrealistycznego. Pomodlił się w duchu, by gondola się wymknęła i kontynuowała swój romantyczny rejs w labiryncie kanałów Serenissimy.

Dobiegł do niego znajomy tupot kroków na kamiennej posadzce. Erika wsunęła głowę i but w uchylone przeszklone drzwi.

– Tristan, pozwól tutaj.

Z żalem oderwał wzrok od zmagających weneckich kowbojów z gondolą. Archeolożka stała naprzeciwko z rękami na biodrach i lodowatą twarzą.

– Utknęliśmy. Jest tylko jedno wytłumaczenie: pomyliłeś się i przyjechaliśmy tu na darmo.

– Możliwe.

– Dziwię się, że tak spokojnie to przyjmujesz.

Tristan podszedł do niej, objął ją w tali i pocałował.

– A może choć raz byśmy zobaczyli dobrą stronę okoliczności? Jesteśmy w Wenecji, a to mimo wszystko bardziej romantyczne miejsce niż opactwo Heiligenkreuz. Moglibyśmy nawet skorzystać z okazji i pozwolić sobie na odrobinę... wytchnienia.

Wsunął jej rękę pod bluzkę, sięgając do zagłębienia między lędźwiami.

– Nie... W tej chwili nie tych talentów potrzebuję.

Objął ją mocniej.

– Na piętrze wypatrzyłem miękkie łóżko, schody są zaraz za tymi drzwiami...

– Jak możesz teraz o tym myśleć? – powiedziała, niemniej przytknęła oczy, jakby jej się podobał ten uścisk. Zaraz jednak odepchnęła Tristana. – Czasu mało, musimy wracać do roboty. Nawet jeżeli nic nie znajdziemy, chcę mieć coś nowego, co będę mogła podrzucić Himmlerowi, gdy przyjedzie z Führerem. Zaczniemy od początku, zaraz...

Tristan pokręcił głową.

– Nie, wystarczy. Ja mam dość. – Wydawał się poirytowany, mówił głośno. – Od dawna harujemy i harujemy, jestem wykończony. Ledwie wróciliśmy do Berlina, a już jesteśmy tutaj bez chwili wypoczynku. Nie jestem Niemcem, nie potrafię pracować jak maszyna. Myślisz, że wyszczekasz rozkazy i tajemnica zaraz się rozwiąże jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

Odsunęła się od kochanka zaskoczona jego reakcją. Do salonu wszedł Deonazzo zaalarmowany podniesionymi głosami.

– Wszystko w porządku, signora von Essling?

Tristan ujął Włocha pod rękę i stanowczo poprowadził do drzwi.

– Signora i ja potrzebujemy na gwałt intymności. Proszę wybaczyć...

Wypchnął go z salonu i zatrzasnął za nim drzwi.

– Tracisz zimną krew, Tristanie.

– Nie, jestem po prostu zmęczony. Muszę przespać całą noc, odreagować i nacieszyć się Wenecją. Nie mogę dwadzieścia cztery godziny na dobę rozwiązywać zagadek.

Archeolożka wpatrywała się w niego bez słowa. Marcas ciągnął zdesperowanym głosem:

– A między nami mówiąc, gwizdź na twojego Führera, Reichsführera i wszystkich koleżków, których śmieszne tytuły kończą się na „führer”. A te przekłete swastyki możecie sobie wetknąć tam, gdzie słońce nie zagłada! W sumie chyba nawet by mi pasowało, żebyście nie znaleźli tego cholernego artefaktu. I żeby Wielka Rzesza rozsypała się wreszcie jak domek z kart.

Francuz rzucił się na kanapę i z wyzywającą miną skrzyżował ręce. Erika obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Wiesz, że takie gadanie może cię zaprowadzić przed pluton egzekucyjny?

– Me ne frego!

– Słucham?

– To dewiza waszych włoskich przyjaciół faszystów. „Mam to gdzieś”. Choćbyście mieli mnie rozwalić w tym mieście. Mówi się przecież: „Zobaczyć Wenecję i umrzeć”, nie?

Usiadła obok niego i pogładziła go po policzku.

– W twoim dobrze pojętym interesie zapomnę, co powiedziałaś. Masz słuszość, może przeceniłam nasze siły. Ja też potrzebuję odpoczynku. Zanim jednak pójdziemy do hotelu... – Pocałowała go w usta, po czym nagle usiadła mu na kolanach okrakiem. – Jesteś bardzo uwodzicielski, kiedy się złościsz – wyszeptała.

– Może jednak byśmy poszli na piętro?

Popchnęła go na oparcie kanapy.

– Nie bądź taki banalny... Komu potrzebne łóżko?

*Wenecja**Grudzień 1941*

Plac Świętego Marka był pusty, jeśli nie liczyć gołębi, które ciasnymi stadkami latały wokół dzwonnicy. Hitler wyjątkowo, wbrew swoim obyczajom, wstał wcześniej, by w towarzystwie Himmlera zwiedzić Pałac Dożów. Włoska policja, wzmocniona dwoma oddziałami SS, zablokowała wszystkie drogi dostępu do placu, a laguny pilnie strzegły jednostki marynarki. Od dziesięcioleci najświetniejszy plac świata nie był taki pusty. Panowała taka cisza, że słycać było chlupotanie morza w krytej alejce, którą szedł Hitler z szefem SS.

– Podobno Mussolini nie lubi Wenecji – zauważył Hitler. – Nic dziwnego, to wieśniak z Romanii, nie jest w stanie docenić całego tego piękna.

– Oczywiście, mein Führer – przytaknął Himmler.

– Zresztą Wenecja i Włochy to dwa światy. Co może mieć wspólnego neapolitańczyk mieszaniec i wenecjanie, którzy budowali na wodzie to marmurowe miasto?

– Nic. Jestem zresztą pewien, że Wenecję stworzyli ludzie wywodzący się od Germanów – powiedział szef SS. – Zaraz po powrocie każę to udowodnić naszym najlepszym badaczom z Ahnenerbe.

Hitler przystanął przed wejściem do Pałacu Dożów i palcem wyrysował kształt arkady.

– O proszę, czysty gotyk! A wie pan, jak długo Wenecja była pod władzą austriacką? Prawie wiek! Zastanawiam się, czy nie powinienem zażądać od Mussoliniego zwrotu całego regionu Wenecja.

Himmler, choć przywykł maskować swoje reakcje, na moment wpadł w panikę. Już sobie wyobraził minę Ducego, gdy usłyszy żądania terytorialne Hitlera. „Ropuch”, jak go nazywał Hitler, gotów jeszcze wpaść w szewską pasję.

– Zamierza pan omawiać kwestie terytorialne z Mussolinim, mein Führer?

Hitler zatrzymał się pośrodku dziedzińca wewnętrznego, aby z podziwem obejrzeć misterną koronkę elewacji.

– Wiem, czego pan się obawia, ale proszę się nie martwić, z Duceem chcę rozmawiać o zupełnie czym innym. To nie tylko propagandowa podróż, jak myśli

Goebbels. Skoro niedługo skończymy z Rosjanami, pora popatrzeć w innym kierunku. Południowym.

Z natury nieufny Himmler zdumiał się mocno.

– Już jesteśmy w Grecji, na Bałkanach, a nasze wojska pod dowództwem generała Rommla walczą w Libii, pomagając Włochom. Jak pan wie, ja zawsze byłem przeciwny interwencji po drugiej stronie Morza Śródziemnego.

– Ach, Heinrichu... już niedługo wszystko pan zrozumie.

Weszli na monumentalne schody, które prowadziły na piętro. Hitler nawet nie podniósł wzroku na sufit bogato zdobiony rzeźbionymi kasetonami. Nie znosił przesady w architekturze.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby w dekorowaniu tej budowli Żydzi maczali palce. Tyle ostentacji, tyle bufonady! Chodźmy, coś panu pokażę.

Himmlerowi serce zabiło mocniej. Zawsze się wzruszał, gdy Hitler, człowiek, na którym ciążyła taka odpowiedzialność, dopuszczał go do takiej komitywy. Odnosił wtedy wrażenie, że wstępuje do sanktuarium, w jakieś głębinie, gdzie Hitler naprawdę jest sobą.

– Kiedy siedziałem w więzieniu<sup>25</sup>, całymi nocami pożerałem książki o Wenecji, wyobrażałem sobie to miasto, ten pałac. Gdyby pan wiedział, ile razy w myślach chodziłem po nim!

– Oddał pan życie Rzeszy, jest pan święty w naszej ojczyźnie!

W głosie Himmlera była szczerłość. Między wstąpieniem Hitlera do partii narodowosocjalistycznej a objęciem władzy upłynęło piętnaście lat. Piętnaście lat prowadzonej z samozaparciem walki, epoka, kiedy poświęcał się bez reszty. I siedząc w więzieniu, pisząc Mein Kampf, z celi reorganizując partię, znajdował jeszcze czas i siły, by dogłębnie studiować historię Wenecji.

– Niech pan spojrzy!

Führer otworzył drzwi, za którymi znajdowało się pomieszczenie jakby zapomniane przez zwiedzających. W powietrzu unosił się zimny zapach wosku. Heinrich odciągnął zasłony na oknach. Zdumiał się tym, co widniało na ścianach: spodziewał się ujrzeć portrety starych pomarszczonych dożów albo różnych wyobrażeń Matki Boskiej z Dzieciątkiem, zobaczył natomiast świat w pigułce.

– Jesteśmy w Sali Map – oznajmił Hitler. – Niech pan zapomni o rzeźbionych amorkach i malowanych sufitach, o paradnych salonach i złocie, którym epatuje się zwiedzających, żeby ich olśnić, oślepić... Tutaj jest pan w samym sercu tajemnic Wenecji. Tutaj dojrzewają jej ambicje i zapadają decyzje polityczne.

Na ścianach rozpościerał się cały świat. Himmler widział wybrzeże Adriatyku usiane terenami należącymi do Serenissimy, dalej Kretę i jej niezdobyte warownie,

następnie tajemniczą Afrykę, z której wyłaniały się gęste karawany objuczone złotem i kością słoniową... Hitler wskazał palcem Europę.

– Proszę spojrzeć, cośmy już zdobyli. Nawet Wenecja w czasach świetności i największej potęgi nigdy nie osiągnęła tak wiele! Ale my się nie zatrzymamy!

Szef SS przyglądał się Morzu Śródziemnemu. Całe północne wybrzeże należało do Rzeszy lub do jej sojuszników, Hiszpanii i Włoch. Naraz wydało mu się, że zrozumiał prawdziwy cel Hitlera. A jeżeli Führer wysłał do Libii korpus ekspedycyjny nie po to, aby wsparł sojusznicze wojska Mussoliniego, lecz aby zawładnąć Bliskim Wschodem i stamtąd rozbić brytyjskie imperium kolonialne? Aż po same Indie?

– Jest pan wizjonerem, mein Führer!

– Teraz pan rozumie, dlaczego potrzebuję Mussoliniego? Ma wojska na miejscu, ale nie są dość liczne.

– Według naszych wojskowych – ośmielił się zauważyć Himmler – ci żołnierze nie są zbyt skuteczni w walce...

– To Włosi, nie potrafią się bić, odkąd upadło cesarstwo rzymskie. Potrzebujemy ich natomiast, żeby zajęli się intendenturą: transportem, zaopatrzeniem... Na pustyni to kwestia życia i śmierci. – Hitler wskazał Egipt. – Najpierw trzeba zająć Egipt. Później wszystko padnie jak kostki domina. Palestyna, Syria, Liban... potem jeszcze Irak i Arabia, z którymi dostaną nam się gigantyczne złoża ropy... Przebudzę potęgę i marzenia świata arabskiego... Wyzwolę subkontynent indyjski...

Na ścianie narysowane było jedynie wybrzeże indyjskie. Wiedza i ambicje Wenecjan miały pewne granice. W odróżnieniu od Führera.

– Wiosną przyszłego roku wyślę nowe wojska do Rosji i ruszymy na Kaukaz. Tam też wszystkie narody uciskane przez Rosję powstaną wraz z naszym nadejściem. Miliony ludzi będą nam zawdzięczały wolność. Przynajmniej ci, których uznamy za godnych, aby nam służyli.

Choć Himmler nigdy nie pił, teraz czuł się jak pijany. Nazistowskie Niemcy wykreślą nową mapę świata. Mapę, która nie zakończy się ani na Kaukazie, ani na Indiach... Napoleon zatrzymał się nad Jordanem, Aleksander przed Indusem, Hitler natomiast zajdzie dużo dalej.

Aż do wybrzeża Pacyfiku.

– Mein Führer... – zaczął Himmler ze wzruszeniem w głosie. – Nie będzie lepszej chwili, żeby podarować panu to.

Zaskoczony Hitler wziął do ręki pudełeczko, które podał mu Reichsführer, i otworzył.

– Ahnenerbe znalazło ją na Knossos. To z pewnością jedna z najstarszych swastyk w Europie. Wyrzyto ją w złocie ponad dwa tysiące lat temu.

Führer wyjął artefakt z etui i obejrzał go w milczeniu. Palce miał krótkie i grube, lecz manipulował nimi zadziwiająco delikatnie.

– Jestem pewien, że rzemieślnik, który wyrył ten symbol, był Germanem. Czystość linii wyciętych w kruszcu jest idealna...

Himmler wskazał złotą swastykę, którą Hitler nosił wpiętą w butonierkę marynarki.

– Wielkość taka, że można by włożyć pańską swastykę.

Hitler instynktownie położył dłoń na swoim talizmanie. Nigdy się z nim nie rozstawał.

– Dziękuję, Heinrichu, to wyjątkowy podarunek. Bardziej wyjątkowy, niż pan myśli.

Wzrok utkwiał w jednej z map, na której widniało całe wybrzeże atlantyckie, od Bretanii po Skałę Gibraltarską. Ocean zdawał się ginąć w nieskończoności.

– O Ameryce wtedy nie wiedziano – zauważył Himmler. – A teraz to wschodzące mocarstwo. Kiedyś będziemy musieli stawić mu czoło.

Hitler znowu dotknął swojego talizmanu.

– Może mi pan wierzyć, że dopóki ja będę tu, gdzie jestem, Ameryka nigdy nie wypowie nam wojny.



*Wenecja*

*Siedziba delegacji Wielkiej Rady Faszystowskiej*

*Grudzień 1941*

– Przyjaciele, zanim wypijemy kawę przyjaźni na zakończenie tej kolacji kombatantów Serenissimy, proponuję jeszcze jeden toast na cześć człowieka, którego wszyscy podziwiamy!

– Duce, niech żyje! – jednogłośnie zakrzyknęli biesiadnicy, panowie w nieskazitelnie białych galowych strojach i ich małżonki w sukniach wieczorowych.

Wszyscy wstali, unosząc kieliszki.

Człowiek, który zaproponował toast, miał posrebrzone skronie, orli nos i ostre spojrzenie. Ze szczupłej twarzy i wyniosłej sylwetki bił naturalny autorytet. Miał wygląd kondotiera<sup>26</sup> z dawnych czasów. Przystawił kieliszek do ust, z zadowoleniem obrzucił wzrokiem stół i duszkiem wychylił wino barbaresco. Hrabia Galeazzo di Stella również miał na sobie oficjalny strój dygnitarza, na wyłogu marynarki przyszytą połączoną odznakę kombatanką, którą uzupełniał rząd medali z kolorowymi wstążeczkami pochodzących z okresu Wielkiej Wojny. Wszystkie otrzymał za zasługi bojowe, w tym prestiżowy Order Sabaudzki. Żaden z panów przy stole nie miał tylu odznaczeń wojskowych, w większości mogli się poszczycić jedynie honorowymi medalami partii faszystowskiej albo z operacji etiopskiej. Hrabia, potomek jednego z najstarszych weneckich rodów, odstawił kieliszek na stół.

– Dziękuję wszystkim, nasz najwyższy wódz potrzebuje waszej energii i niewzruszonej lojalności. Proponuję teraz przejście do salonu na kieliszek znakomitej grappy, aby wzmocnić w sobie faszystowski zapach.

Wybuchy śmiechu podkreślały jego słowa, podczas gdy między biesiadnikami krążyli służący, sprzątając powoli ze stołu. Oficer marynarki o wypukłym czole i przylizanych po bokach czarnych włosach podszedł do pana domu.

– Drogi hrabio, nie wiem, gdzie się pan zaopatruje, ale kolacja była wspaniała. Wołowiny flambé nie powstydzilby się na swoim stole sam Duce.

– Dziękuję, książę. Zostaje pan z nami czy wyrusza na kolejną operację ze swoimi dzielnymi pływakami z Decima MAS<sup>27</sup>?

Człowiek w mundurze komendanta Regia Marine, ksiązę Borghese, pokręcił głową i położył palec na ustach.

– Tajemnica wojskowa.

– Tak myślałem.

– Nie, żartuję. Miałem wyruszyć na operację, ale zaproszono mnie na jutrzejszą oficjalną kolację wydawaną na cześć Führera i Ducego. Pan będzie na niej?

– Oczywiście. Nie pojmuję jednak, dlaczego otacza się ją taką tajemnicą. Nie będzie oficjalnych przemówień ani zwiedzania z przewodnikiem... Zupełnie co innego niż szczyt w trzydziestym czwartym roku.

Oficer marynarki konspiracyjnym wzrokiem zerknął na prawo i na lewo, po czym przysunął się do gospodarza.

– Mogę mówić szczerze?

– Ależ bardzo proszę.

– Co pan sądzi o tej niespodziewanej wizycie Hitlera?

– To wielki zaszczyt – odparł hrabia z emfazą.

– Naturalnie, ja jednak miałem na myśli powód tego spotkania.

Hrabia Di Stella podsunął cygaretki swojemu rozmówcy, który grzecznie odmówił.

– Z pewnością potrzebują porozmawiać twarzą w twarz o postępach wojennych na froncie wschodnim. Podbój Rosji powiódł się w stu procentach, Moskwa jednak dotąd nie padła i wojska Osi będą musiały stawić czoło zimie. Posłaliśmy tam przecież korpus ekspedycyjny w sile dwustu tysięcy ludzi jako wsparcie dla Niemców. Nie zazdrozczę naszym, kiedy nastaną syberyjskie mrozy.

– Kampania rosyjska... tak właśnie myślałem, ale zastanawiam się, czy jeszcze o coś nie chodzi.

– O czym pan myśli? – zapytał arystokrata, zapalając cygaretkę.

– Afryka Północna... Rommel nie jest w stanie utrzymać pozycji, oblężenie Tobruku się nie udało i nasze wojska pod dowództwem generała Bastica wycofują się do Libii. Malta ciągle stawia nam opór. To mi się nie podoba.

– E, nie... to tylko chwilowa zła passa. Jesteśmy silniejsi od wrogów.

– Owszem, ale po raz pierwszy ponosimy takie straty. A przypominam, że wybrzeże libijskie leży bliżej Rzymu niż brzegi Wołgi.

Hrabia uniósł brwi.

– Proszę nie siał defetyzmu. Nie może robić tego pan, Czarny Ksiązę, Junio Valerio Borghese, dumny dowódca elitarnych oddziałów Decima MAS.

Oficer marynarki wyczuł szczyptę ironii w głosie rozmówcy, lecz nie zareagował na zaczepkę.

– Nie chodzi o defetyzm, ale o strategię. Morze Śródziemne to mare nostrum Włoch, nasza przestrzeń życiowa, tak jak równiny Europy Wschodniej są przestrzenią życiową dla Niemiec. Nasz główny obszar wpływów. Jeżeli Anglia będzie się mieszała bardziej, niż rozsądek pozwala, trzeba będzie wzmocnić naszą obecność. Inaczej grozi nam utrata Libii i Tunezji, tak jak w tym roku przepędzono nas z Etiopii.

Przerwał im służący, który podszedł i szepnął coś na ucho panu domu. Hrabia kiwnął głową, po czym z irytacją odprawił go gestem. Oficer kontynuował swój wywód:

– Mussolini musi negocjować z Führerem wzmocnienie Afrika Korps w Libii, to niezbędne do wznowienia ofensywy na Egipt, który jest w rękach Anglików.

Hrabia wydmuchnął długi kłęb dymu i utkwiał wzrok w oczach rozmówcy.

– Pan raczy żartować, Borghese! – burknął. – Już prosiliśmy Niemców o pomoc po nieudanej inwazji na Grecję. A Hitler musi koncentrować wszystkie siły, by zgnieść czerwonych! Nie ma mowy, żebyśmy mieli się upokorzyć powtórnie.

– To nie kwestia ego. Jeżeli Amerykanie przystąpią do wojny po stronie Anglików, nie trzeba być prorokiem, aby się domyślić, że zaatakują Afrykę Północną. I to będzie początek końca...

Hrabia Di Stella stanowczym ruchem położył dłoń na ramieniu oficera.

– Koniec dyskusji. Naszą osławioną armię stać na najwaleczniejsze czyny i wykona swój obowiązek zarówno w Afryce, jak i w Rosji. Nie chcę już słyszeć ani jednego defetystycznego słowa pod swoim dachem. To niegodne oficera o takim prestiżu jak pan. Proszę się wziąć w garść!

Borghese poczerwieniał i wypiął pierś.

– Pan raczy przyjąć przeprosiny, hrabio.

– Faszysta nigdy nie przeprosza. Faszysta zna tylko dwa słowa: słuchać i działać!

– Tak jest.

Człowiek o posrebrzonych skroniach uśmiechnął się miło.

– I bardzo dobrze. Postaram się czym prędzej zapomnieć o pana wynurzeniach. Może by pan skosztował tej znakomitej grappy, pijąc za zdrowie naszego ukochanego Ducego?

– Z przyjemnością. Będzie mi pan towarzyszył?

– Najpierw muszę załatwić jedną pilną sprawę. Na razie.

Oficer marynarki skłonił głowę i udał się do sąsiedniego pomieszczenia. Hrabia odprowadził go wzrokiem. Poczekał, aż gość zniknie mu z pola widzenia, po czym obrócił się na pięcie i skierował ku drzwiom w głębi salonu. Stojący przy nich służa oddał mu pokłon i otworzył drzwi.

– Jeśli ktoś będzie mnie szukał, wracam za dziesięć minut.

– Tak jest, panie hrabio.

Arystokrata zszedł szybko po stopniach do sali o zawilgoconych murach. Przed rzędem czterech trumien stało tam ośmiu ludzi w czarnych koszulach. Wyprężyli się na widok hrabiego.

– Gdzie były?

– W kapitanacie, w ustalonym magazynie.

– Otworzyć.

Członkowie angielskiej grupy po kolei wychodzili z trumien, zaskoczeni niepokojącą obecnością ludzi, którzy wypuszczali ich na światło. Fleming i Laure wyłonili się ostatni. Bez słowa z podniesionymi rękami dołączyli do reszty grupy.

Hrabia Di Stella w milczeniu przyglądał im się przez kilka chwil. Jego wzrok był przenikliwy, władczy, właściwy człowiekowi, który przywykł, że wykonuje się jego polecenia. Odezwał się ostrym tonem:

– Wiem, że jesteście Anglikami przysłanymi do Wenecji z konkretnym zadaniem. Nie wiem jednak, o co dokładnie chodzi. Dlatego słucham. Macie mi na ten temat wszystko powiedzieć.

Nikt z Anglików nie otworzył ust. Laure czuła, jak puls jej przyspiesza: musieli ich zdradzić rybacy albo lekarz z wyspy. Przesunęła językiem po zębie trzonowym, w którym ukryta była kapsułka z trucizną. Wystarczy, że bardzo mocno zagryzie, a w niecałą minutę będzie po wszystkim.

Hrabia wyrwał karabin jednemu ze swoich ludzi i wcisnął lufę w brzuch Fleminga.

– Według moich informacji dowodzisz grupą.

– Naprawdę nie rozumiem, o co wam chodzi. Jesteśmy Amerykanami, turystami, zwiedzamy Włochy. Nie mam pojęcia, jak znaleźliśmy się w tych trumnach. To pewnie taki wenecki obyczaj witania przyjezdnych.

Hrabia milczał przez kilka chwil, po czym wybuchnął śmiechem.

– Zwiedzacie Włochy z pistoletami maszynowymi Sten? Takie poczucie humoru mają tylko Anglicy... Opuśćcie ręce. Jestem hrabia Di Stella. Przepraszam za tę komedię, ale niedawno mieliśmy próbę infiltracji przez ludzi Heydricha. Próbowali udawać angielskich agentów.

– Wyszło tak prawdziwie, że szkoda słów – odetchnął Fleming.

Laure z ulgą rozluźniła szczęki. Oddaliła się perspektywa śmierci w strasznych konwulsjach. Na razie.

– Czegoś jednak nie rozumiem. Dlaczego nosi pan paradny strój dygnitarza reżimu?

– Ponieważ jestem szefem FOA, Faszystowskiej Organizacji Arystokratycznej. Akurat wydaję oficjalną kolację dla najwyższych czynników faszystowskich w mieście. Wszyscy są na górze, nad nami, w palarni. Nie sądzicie, że ostatnim miejscem, gdzie by szukano angielskich agentów, byłoby właśnie to, gdzie jesteśmy?

*Londyn*

*Dzielnica Holborn*

*Grudzień 1941*

– Do diabła! Co pan masz zamiast mózgu? Sieczkę?

– Przykro mi... Naprawdę.

Malorley przyparł Crowleya do ściany i złapał go za kołnierz płaszcza, jakby chciał udusić.

– Jesteś pan największy świr, jakiego ziemia nosiła. Po Hitlerze. Następnym razem palcem nie kiwnę, gnij pan w pierdłu. – Człowiek z SOE powściągał gniew, póki nie skręcili za róg ulicy, przy której mieścił się komisariat w Holborn, i nie zniknęli z oczu gliniarza trzymającego tam wartę. – Swoim kretyńskim postępowaniem narażasz pan wszystkie moje działania.

– To boli... Nie... nie mogę oddychać – poskarżył się płacząco purpurowy na twarzy grubas.

– Może jeszcze bardziej boleć. Zdziwiłby się pan, czego w SOE uczymy się o cierpieniu.

Malorley puścił maga, który oklapł jak przekłuty balon. Zza rogu wyjechał amilcar i zatrzymał się przy nich. Kierowca wysiadł, by otworzyć im drzwi.

– Do środka! – rozkazał Malorley ostro.

Ledwie wsiedli, samochód ruszył z piskiem opon. Komandor wyjął plik zapisanych na maszynie kartek, które cisnął magowi w twarz.

– Napaść na prostytutkę, narkotyki, składanie zwierząt w ofierze, ekshibicjonizm na drodze publicznej, znieważenie policjanta. A najgorsze, że miałeś pan czelność ogłosić, że należysz do SOE.

– Zaraz wszystko wytłumaczę – skamlał Crowley. – Poprosiłem jedną... profesjonalistkę, żeby wzięła udział w magicznym rytuale. Źle odmierzyłem dawkę wywaru na bazie grzybków halucynogennych i dziewczyna bardzo źle zareagowała. Interweniowała policja powiadomiona przez sąsiadów, którzy usłyszeli jej wrzaski. A z koguta potrzebowałem tylko troszkę jego krwi, nigdy bym go nie zabił. Kiedy przyszła policja, byłem goły. Ale to obowiązkowe, żeby doszło do przepływu energii.

– Magia! Na Boga, co ci strzeliło do łba?

– Pan nie rozumie, to jest jak narkotyki. Jeśli nie skomunikuję się z duchami, nie będę miał sił. Magia trzyma mnie przy życiu.

– Bzdura!

Crowley się wyprostował i otarł twarz haftowaną chusteczką. Rzucił Malorleyowi wyzywające spojrzenie.

– Czyżby? A wiara, że magiczne swastyki mogą zmienić bieg wojny, to nie jest bzdura?

Oficer SOE nie odpowiedział. Przez chwilę siedział w milczeniu. Mruczenie potężnego silnika amilcara wprawiało w drżenie kabinę. Na zewnątrz niepostrzeżenie zmieniał się styl mijanych budynków. Okazałe wiktoriańskie gmachy ustępowały miejsca kamienicom surowszym, bardziej funkcjonalnym. Bogactwo się oddalało.

Malorley odwrócił się do maga.

– Pana szczęście, że udało mi się wydobyć protokół z opisem pańskich wyczynów. To zaleta przynależności do służb specjalnych: zawsze można liczyć na współpracę policji.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Spojrzenie Malorley nadal miał zimne.

– Jeszcze jeden taki wybryk, a osobiście zajmę się panem. Definitywnie. Zrozumiano?

– Tak...

Samochód gnał Eversholt Street w kierunku północnego Londynu. Wszędzie widniały nieusunięte ślady zeszłorocznych bombardowań. Wybebeszone budynki sąsiadowały z porzuconymi sklepami, których witryny zabito brudnymi deskami.

– Świetnie. Teraz podrzucę pana do przyjaciółki w Hellfirze. Przekaze jej pan te dokumenty – powiedział Malorley, podając mu szarą kopertę opatrzoną pieczęcią SOE.

– O co chodzi?

– Znamy nazwiska trzech sabotażystów, którzy pracują dla Niemców. Działają w Coventry, Manchesterze i Cardiff. To wszystko Anglicy, kiedyś Czarne Koszule Mosleya. Od miesięcy MI Pięć ich pilnuje.

– Nie rozumiem. Czemu ich nie aresztujecie?

– To agenci niskiej rangi. Jeśli zwiną manatki, będziemy wiedzieli, że Berlin poważnie bierze informacje od pańskiej przyjaciółki, tej Szkarłatnej Czarodziejki. I będziemy mogli karmić Niemców sfabrykowanymi informacjami.

Wenecja

Pałac rodu Di Stellów

Członkowie grupy kończyli wystawny posiłek, na który zaprosił ich gospodarz. Caponata na ciepło na bazie bakłażanów, pomidorów i cebuli, mięciutkie żeberka wołowe po florentyńsku, z serów pecorino romano i valtellina casera, a na zakończenie pyszne panforte z marcepanem i miodem... Hrabia Di Stella zaprzęął do pracy swojego osobistego kucharza, aby ugościć Anglików. Zaczekali, aż rozejdą się goście przyjęcia, po czym udali się do małej jadalni.

– Od początku wojny nie jadłem takich smakołyków – oświadczył zadowolony Fleming. – Odtąd na ochotnika biorę każde zadanie we Włoszech.

– Kierowanie stowarzyszeniem faszystowskiej weneckiej szlachty niesie z sobą pewne przywileje w kwestii zaopatrzenia – odparł hrabia, który orlim wzrokiem obserwował gości.

Laure grzecznie podziękowała za wino i otarła usta haftowaną serwetką.

– Jak to jest, że pan, szef organizacji faszystowskiej, pomaga Anglikom, wrogom swojego kraju?

Arystokrata usiadł w końcu stołu i podniósł kieliszek do światła żyrandola, aby ocenić barwę wina.

– Muszę panią rozczarować: nie uważam się za zdrajcę ojczyzny. W dwudziestym drugim roku szedłem na Rzym z Mussolinim<sup>28</sup>. Szczerze wierzyłem, że faszyzm to jedyna droga, by postawić kraj na nogi i walczyć z czerwonymi. Później wybuchła wojna w Etiopii, straciłem Bartolomea, mojego pierworodnego syna. Miał trzydzieści dwa lata. Następnie doszło do inwazji na Grecję, gdzie straciłem drugiego syna, dwudziestoosmioletniego Livia. Przez szaleństwo Ducego nie mam żadnych potomków. Ród Di Stellów wygaśnie.

– Przykro mi – rzekła Laure. – Ja...

– Niepotrzebnie – przerwał jej hrabia. – Ponoszę częściową odpowiedzialność za śmierć synów, bo pomagałem temu szaleńcowi zdobyć władzę. A to nie wszystko. Straciłem też swojego wiernego sekretarza i przyjaciela, Samuela, Żyda, którego rodzina od trzech pokoleń żyła w Wenecji. Uciekł w trzydziestym ósmym z powodu praw antysemickich. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że on również był faszystą.

– Żyd mógł być faszystą? – zainteresował się Fleming.

– Oczywiście. Mussolini, dopóki nie wszedł w sojusz z Hitlerem, nie miał nic przeciwko Żydom, było ich sporo w jego otoczeniu. Ale ten niemiecki diavolo, którego siła opiera się na kłamstwie, namieszał mu w głowie: wyższość niby-rasy aryjskiej, żydowski spisek, gloryfikacja germańskiej krwi... A lud kocha kłamstwa, zwłaszcza te, które łechtają jego próżność. Narodowy socjalizm karmi się obszarami ignorancji. Obszarami, na które Hitler bez przerwy wylewa mierzwę swojej



nienawiści. Muszą państwo jednak wiedzieć, że naprawdę wielu Włochów wstydy się za to, co się dzieje w naszym kraju.

– Jak został pan przywódcą tej siatki ruchu oporu?

Hrabia duszkiem wychylił wino.

– Przed wojną miałem wielu przyjaciół Anglików, w tym Malorleya, który dzisiaj kieruje SOE. Nie zapominajcie, że w czasie Wielkiej Wojny należeliśmy do tego samego obozu. Poza tym dla arystokracji od bardzo dawna nie ma granic. A jeśli chodzi o moich ludzi... cóż, pewnie się zdziwicie, ale niektórzy to byli socjaliści i komuniści.

Fleming pokiwał głową.

– Ja się nie dziwię, to częste w ruchach oporu w Europie. W końcu jesteśmy teraz sojusznikiem Związku Sowieckiego. Dobra, a jak pan widzi ciąg dalszy naszych działań?

– Ktoś z was ma się jutro spotkać z agentem, który przeniknął w niemieckie szeregi. Malorley dał mi znać, że ten człowiek będzie punktualnie o szesnastej na górze dzwonnicy przy placu Świętego Marka. Znam tylko jego kryptonim: John Dee. Mam wam przekazać hasło i odzew.

Laure zastygła. Fleming zauważył jej wzburzenie i zabrał głos:

– Pójdzie nasza koleżanka, już go kiedyś spotkała. Potem zobaczymy, jak będzie wyglądał ciąg dalszy.

– Dzięki temu człowiekowi macie odzyskać jakiś ważny przedmiot, prawda? – zapytał hrabia.

– Zgadza się.

– Mam nadzieję, że skórka warta wyprawki, bo dużo ryzykujemy.

Londyn

Klub Hellfire

Moira O'Connor leżała naga wprost na kamieniu z zamkniętymi oczami i rozłożonymi rękami i nogami, dłonie i czoło miała pomalowane na czerwono. Krwistą czerwienią. Jej głowa i końce członków dotykały wierzchołków gwiazdy pięcioramiennej wyrysowanej na ziemi. Przy każdym wierzchołku klęczała kobieta w grubej wełnianej sukni z kapturem okrywającym głowę. Ta, która kazała się nazywać Szkarłatną Czarodziejką, otworzyła nagle oczy i wygłosiła inkantację pochodzącą z zamierzchłych czasów:

– Diolco to dea Herecura genatan nemi ac diaras ac carantian dumni. Esi inter dumnei ac diara ac nemei<sup>29</sup>.

Rytuał się zakończył. Zebrane tu osoby przez dwie godziny, jak w każdy wieczór pełni księżyca, przyzywały wielką Boginię Matkę. Drzewny zapach kadzidła unoszący

się w sklepionej piwnicy częściowo maskował odór wilgoci ściekającej po murach poprzężeranych przez pleśń.

Moira wolno się podniosła, to samo zrobiły pozostałe adeptki. Jedna podała jej zmoczony ręcznik, by starła krew z rąk. Druga owinęła ją jedwabną szatą czarną jak noc. Moira trwała w stanie absolutnej błogości. Rytuał ją oczyszczał i dodawał jej miękkiej głębokiej energii. W chwili gdy miała uściskać celebrantki, ktoś zapukał do drzwi. Moira zmarszczyła brwi. Nikt z Hellfire'u nie miał prawa jej przeszkadzać podczas rytuału czerwonego księżyca. Pod groźbą pouczającej kary. Zdenerwowana otworzyła drzwi. Człowiek do wszystkiego zatrudniony w dworku, Szkot o twarzy poznaczonej bliznami syfilitycznymi, pokłonił się przed nią.

– Pani, wybaczyć, że przeszkadzam. Aleister Crowley chce się z tobą widzieć, mówi, że to pilne.

Wenecja

Pałac rodu Di Stellów

Kapitan Fleming wydmuchnął kłęb dymu wyśmienitego kubańskiego cygara, którym poczęstował go hrabia, i kontynuował opowieść:

– I tak właśnie niewiarygodna misja w Portugalii zakończyła się pamiętną partią bakarata w kasynie w Estorilu. Dałem się oskubać niemieckim graczom. Ponieważ jednak istnieje Pan Bóg prostaczków, w zamian poznałem uwodzicielską hrabinę pochodzenia włosko-bułgarskiego, niejaką Vesper Di Alexandra. Spędziliśmy bardzo namiętną noc...

Hrabia się uśmiechnął. Ten Fleming miał niezaprzeczalnie dar snucia opowieści o swoich przygodach, nawet jeżeli przypuszczalnie ubarwiał je nieco.

– Ja też siadałem czasem przy stoliku w Estorilu – rzekł arystokrata – ale jeszcze przed wojną. Wtedy to było miejsce bardzo dystyngowane, spotykała się tam cała śmietanka towarzyska. Mówiono mi, że teraz to gniazdo szpiegów. Ginie tradycja w narodzie.

Od dobrego kwadransa gwarzyli sobie we dwóch w gabinecie, rozkoszując się grappą z Abruzji. Fleming chciał pogadać z nim sam na sam. Pozostali członkowie grupy poszli się położyć w jednym z budynków przylegających do pałacu. Laure z zaskoczeniem stwierdziła, że przypadł jej w udziale pokój wyposażony w wannę, z której nie omieszkała skorzystać.

Hrabia wstał i podszedł do ściany ozdobionej płótnem, które przedstawiało mężczyznę w renesansowej zbroi, o wyniosłym spojrzeniu i z dłonią na rękojeści miecza. Dumny rycerz miał taki sam orli profil jak on.

– Drogi kapitanie, przedstawiam panu Sigismonda Di Stellę, jednego z moich przodków. Za młodu bawił się w kondotiera, ustatkował się, kiedy spotkał przyszlą

żonę, piękność wywodzącą się z weneckiej szlachty. Jego dewiza brzmiała: Non decipimur specie. Co się tłumaczy: „Nie zważaj na pozory”.

– I co?

Di Stella wrócił do Fleminga i położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie powiedział mi pan wszystkiego o zadaniu. Ani przez chwilę nie wierzyłem, że istnieje przedmiot na tyle ważny, by zorganizować akcję o takim rozmachu. Myle się?

– Nie, to słuszne spostrzeżenie. Czekałem, aż zostaniemy sami, żeby o tym porozmawiać.

– Słucham.

– W pewnym sensie to podwójne zadanie. Pierwsza jego część polega na odzyskaniu pewnego przedmiotu, o którym nic nie powiem, bo pomyślałby pan, że zwariowałem.

– A druga część, jak mi nie mam, jest bardziej przyziemna?

Fleming wstał i skrzyżował ręce. Wzrok mu stwardniał. Zgniół niedopałek cygara w popielniczce i poważnie rzekł:

– Zakończyć tę wojnę. Zabić Hitlera i Mussoliniego.

# CZĘŚĆ CZWARTA

*Diabłu bym oddał ciało,  
ale sam jestem bies!.*

Goethe, Faust, przeł. Emil Zegadłowicz

*Wenecja*  
*Plac Świętego Marka*  
*Grudzień 1941*

Skończyła się wizyta Hitlera w Pałacu Dożów, na plac Świętego Marka wrócił normalny ruch. Laure zwolniła kroku na wysokości kawiarni Florian. Mimo wilgotnego chłodu taras był wypełniony klientami, lecz szczególnego rodzaju. Przy dziesięciu stolikach siedzieli niemieccy oficerowie i podoficerowie w szarozielonych mundurach. Wszyscy uśmiechali się błogo i zdawali się z niewysłowioną przyjemnością słuchać Nad pięknym modrym Dunajem w wykonaniu kawiarnianej orkiestry. Laure poczuła na plecach zimny dreszcz – ostatni raz widziała te mundury we Francji, swojej ojczyźnie. Ludzie w takich samych mundurach, bez konkretnej twarzy, zabili jej ojca.

Weszła pod arkadę, aby obejrzeć ich dokładnie.

Wróg. Znowu miała przed sobą wroga. Umysł zalała jej fala czystej nienawiści niczym strumień lawy spływający po zboczach wulkanu i spopielający wszystko na swojej drodze.

Och, jak bardzo chciała mieć przy sobie stena i przejechać po nich serią! Jak bardzo chciała, by strugi krwi spłynęły ze stolików i zalały cały plac. Jak chciała zobaczyć ich poranione twarze, brzuchy podziurawione kulami, części ciała porozrzucone na wszystkie strony. A przede wszystkim chciała usłyszeć ich okrzyki bólu, tak donośne, że zagłuszyłyby trąbki i skrzypce orkiestry. I kiedy ostatni z tych żołdaków wyzionąłby plugawego ducha, usiadłaby na krześle, nogi w butach pochłapanych jeszcze ciepłą krwią założyłaby jedną na drugą i wychyliłaby kieliszek chianti za pamięć swego wreszcie pomszczonego ojca.

Ktoś położył dłoń na jej ramieniu i rozległ się nieprzyjemnie gardłowy głos:

– Scusi, signora.

Na kark spłynęła jej lodowata fala. Słowa były włoskie, lecz akcent z północy. Z Niemiec. Serce jej skoczyło w piersi, jakby chciało się wyrwać. Instynktownie zacisnęła palce na malutkim browningu, którego miała w kieszeni prochowca. Potem obróciła się wolno.

Stał przed nią oficer SS. Wydawał się wielki, przewyższał ją o dobre dwadzieścia centymetrów.

Wytropili ją.

Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Gdzie popełniła błąd? Jak się zdradziła? Nie powinna była przystawać, by gapić się na żołnierzy w kawiarni.

Esesman uśmiechnął się do niej, jakby byli dwojgiem umówionych na spotkanie przyjaciół. Wyjął plan miasta i wskazał palcem plac Świętego Marka.

– Dov'è il palazzo di Doge?

Laure co prawda przed misją nauczyła się kilku podstawowych zdań po włosku, lecz teraz nic jej nie przychodziło na myśl. Była sparaliżowana.

– Dov'è?

Wciągnęła głęboko powietrze i odpowiedziała głosem, który miał być spokojny. A słowa okrasiała najmiłszym uśmiechem.

– Nie wiem, jestem Francuzką.

Niemiec popatrzył na nią zaciekawiony.

– Mówi pan w moim języku? – dodała.

– Trochę... Stacjonowałem w Paryżu. Co pani tu robi?

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Jestem córką ambasadora rządu Vichy. Zwiedzam miasto.

Skłamała instynktownie. Jeden z instruktorów SOE często mawiał, że pomysłowość jest dla kłamstwa tym, czym soki dla drzewa.

W chwili gdy esesman miał jej odpowiedzieć, na drugim końcu placu zabrzmiał gwizdek. Niemiec westchnął.

– Szkoda, muszę wracać do grupy. Gdzie się pani zatrzymała? Może się później spotkamy?

– Przykro mi, nie wypada pytać dobrze wychowanej młodej kobiety o takie rzeczy. Do miłego zobaczenia.

Przyspieszyła kroku pod natarczym wzrokiem esesmana. Serce waliło jej w piersi jak młot, gdy się oddalała. Przeszła do końca placu, nie obejrzawszy się ani razu.

Kiedy dotarła do dzwonnicy, podziwiała przez chwilę słynną wieżę z czerwonej cegły, którą szczyciła się Wenecja. Przy wejściu podała strażnikowi banknot dwudziestolirowy i ruszyła na górę po legendarnych schodach. Wysoka na prawie sto metrów dzwonnica Świętego Marka już niejednemu turyście dała niezłego łupnia. Laure wspinała się dobre dziesięć minut. Na górę dotarła z twarzą w ogniu. Było tam kilkoro turystów – dwie włoskie rodziny, niemiecki żołnierz i ksiądz w towarzystwie

dwóch zakonnic. Ani śladu tego, którego szukała, ale balkon biegł dookoła dzwonnicy. Podeszła do parapetu. Widok na plac zapierał dech w piersiach.

Wenecja przypominała las. Kamienny las, z którego wynurzały się wysokie sylwetki dzwonnicy strojnych w marmury, błyszczące dachy pałaców odbijających się w nieruchomej wodzie kanałów i nieskończony labirynt uliczek pokręconych jak życie.

I nagle go zobaczyła.

Tristana.

Stał. Naprzeciw niej. Oparty o kamienny słupek, z papierosem w kąciu ust. Ubrany w ciemny garnitur, z twarzą częściowo ukrytą w cieniu miękkiego filcowego kapelusza. Obserwował ją, gdy podchodziła.

– Wenecja jest dużo chłodniejsza niż Rzym o tej porze roku – wyszeptał.

– Ale nie tak chłodna jak Turyn...

– A to niespodzianka. Droga Laure d'Estillac. A więc Malorley wciągnął panią do tego swojego cyrku? Gdzie się podział komandor? Nie przyszedł z panią?

– Został w Londynie. Musiał. Żałuje pan?

– Ani trochę, dzięki temu widzę panią. Jak pamiętam, nasze ostatnie spotkanie było dość burzliwe. Zdaje się, że nie polubiła mnie pani.

– Trudno polubić Francuza, który wysługuje się szkopom najgorszego pokroju. Gratuluję odegrania złożonej roli, panie Marcas. A może powinnam powiedzieć: panie Dee? Już się pogubiłam z tymi kryptonimami.

Tristan mimowolnie zmarszczył brwi.

– Zna pani moje nazwisko?

– Tak. Tristan to prawdziwe imię?

– Któż to wie?

Niemiecki żołnierz, który fotografował plac, zbliżył się do nich. Marcas wziął ją pod rękę i odciągnął dalej.

– Ilu macie ludzi?

– Jest nas czworo razem z dowódcą plus ludzie hrabiego Di Stelli. W sumie będzie ze dwanaście osób.

– Dwanaście... Co za ironia! W tym mieście roi się od faszystów i nazistów na każdym kroku! A za kilka godzin Mussolini i Hitler, dwaj najwięksi zbrodniarze w Europie, przyjadą tu, każdy ze swoją sforą! I my mamy stawić im czoło z dwunastoma ludźmi? Chyba mi rozum odebrało, że dałem się wciągnąć w tę grę.

– Ale to gra warta świeczki, nie? I świetnie panu poszło w Montségur.

– A właśnie, gdzie artefakt?

– W pewnym miejscu... Bardzo daleko.

– I dobrze.

Laure, zdenerwowana trywialną reakcją Marcasa, zauważyła:

– Mimo wszystko nie odnoszę wrażenia, żeby to cokolwiek zmieniło w tej wojnie.

– Niemcy najechali na Rosję, tak? W ten sposób otworzyli drugi front, któremu Anglicy zawdzięczają opatrnościową przerwę w walkach. – Ścisnął rękę Laure. – Nie mam czasu na żarty. Są siły, które panią przerastają. Wszystkich nas przerastają. Ludzie oddawali życie, żeby ten artefakt nie wpadł w ręce nazistów. Na przykład pani ojciec. On wierzył w jego moc.

Wyrwała mu rękę. Spotkanie ewidentnie nie przebiegało tak, jak liczyła.

– Dziękuję, nie musi mi pan tego przypominać. Zapłaciłam krwią, żeby się o tym przekonać.

Głos Tristana złagodniał jak w obliczu nadciągającego zagrożenia.

– Przykro mi, ale nasze zadanie nie może czekać. Proszę więc uważnie słuchać: wiem, gdzie jest trzeci artefakt. I wiem, jak go odzyskać. Tyle że nie mamy żadnej szansy na przeżycie.

Patrzyła na niego oniemiała. A on patrzył na miasto. Przesiedział wiele godzin nad mapami, szukając miejsca, w którym z Eriką na pewno nie odkryją niczego. Pałac Bragadinów. Freski od podłogi po sam sufit we wszystkich pomieszczeniach. Było na co tracić cenny czas, szukać, wierzyć i mieć nadzieję. Ale to wszystko on wymyślił. Kiedy tylko Goebbels wyjawiał, że Hitler wybiera się do Wenecji, Marcas nie miał wyboru. Dlatego stworzył tę fałszywą ścieżkę, która doprowadziła wszystkich tutaj.

– To gdzie w końcu jest ten artefakt? – zapytała Laure.

Tristan się uśmiechnął.

Swastyka kiedyś rzeczywiście była na Krecie i mnich-rycerz Amalryk bardzo dobrze skonstruował swoją zagadkę. Ktoś jednak znalazł artefakt przed nimi. Ktoś, kto zmienił oblicze świata. Ktoś, z kim jednego zimowego wieczoru Tristan rozmawiał w pewnym klasztorze. Lanz, człowiek, który stworzył Hitlera.

– Tam, gdzie nikt nigdy nie będzie go szukał. W klapie kurtki Führera.



*Wenecja*  
*Wyspa Lido*  
*Pałac Kina*  
*Grudzień 1941*

Finalne takty Tannhäusera gruchnęły strumieniami dźwięków instrumentów dętych i smyczkowych. Dyrygent po raz ostatni zakręcił batutą w powietrzu, na czole perlił mu się pot, ręce drżały.

Burza oklasków odbiła się echem od betonowych ścian sali recepcyjnej Pałacu Kina. Budowlę, w której odbywała się Mostra 30 oraz wydarzenia światowe i artystyczne, wzniesiono rok przed wybuchem wojny, nadając jej oblicze takie jak całym nowym Włochom, mianowicie monolitycznego modernizmu, męskiego, zwycięskiego i bez ozdóbek – w przeciwieństwie do szacownych pałaców postawionych w epoce dożów, kamiennych strażników przeszłości zbyt wyrafinowanej i uznanej za dekadencją przez faszystów.

Tym razem owacje nie były przeznaczone dla gwiazdy kina. Wszystkie oczy kierowały się na siedzących w pierwszym rzędzie dwóch dyktatorów. Mussolini wstał pierwszy i przyłączył się do braw widowni. Nawet w tych okolicznościach prezentował się w swojej ulubionej pozie: napięta twarz, uniesiony podbródek, władcze spojrzenie. Na znak zadowolenia Duce kiwał łysą głową, lśniąca i gładka jak kula bilardowa. Jakby osobiście dyrygował. Po nim wstał również Hitler. Odmieniony, o błyszczących oczach. Wagner zawsze wzbudzał w nim radość, w każdych okolicznościach.

Najpotężniejszy w Europie człowiek i jego włoski odpowiednik, który wierzył, że prezentuje ten sam poziom, odwrócili się przodem do widowni i uścisnęli sobie ręce. Jak zwykle Duce przesadzał w wylewności, demonstrował uśmiech nieco za gorący, aby mógł być szczery. Wódz III Rzeszy nie miał mu jednak tego za złe. Spędzili dwie godziny na rozmowie i Włoch, jak się okazało, był nadzwyczaj chętny do zaspokojenia żądań Führera. Zwiększenie włoskiego kontyngentu w Rosji? Proszę bardzo. Wzmocnienie wsparcia dla Afrika Korps w Libii? Proszę bardzo. Wpłynięcie na Piusa XII, żeby uspokoił garstkę opornych biskupów niemieckich? Proszę bardzo. Mussolini naprawdę nie miał wyboru. Hitler uratował go przed upokorzeniem po

nieudanej próbie inwazji na Grecję. Faszystowskie wojska odparte przez potomków Spartan i Ateńczyków z ulgą przyjęły wsparcie ponad pół miliona żołnierzy niemieckich, dobrego tysiąca czołgów i setek samolotów. Bitwa o Grecję zakończyła się zwycięstwem Hitlera i moralną porażką Mussoliniego. Bilans sił definitywnie wypadł na niekorzyść włoskiego dyktatora.

Siedzący w czwartym rządzie Tristan i Erika również bili brawo. Szefowa Ahnenerbe nachyliła się i szepnęła Francuzowi na ucho:

- Nie wiem, czemu odnoszę wrażenie, że twoim oklaskom brakuje szczerości.
- Wcale nie, koncert bardzo mi się podobał. Co do reszty...
- Tak myślałam. Odzyskałeś zmysł dedukcji w czasie spaceru po mieście?
- Tak... Bardzo dobrze mi zrobił.

Popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

– Ogromnie się cieszę. Zadziwiająca jest moc Wenecji. A może byśmy zrezygnowali z reszty atrakcji towarzyskich i wrócili do poszukiwań w pałacu Bragadinów?

Tristan pokręcił głową.

– Nie tak zaraz. Choć raz mam niezwykłą okazję otrzeć się o twojego Führera, więc chcę z niej skorzystać.

Na scenę wyszedł Goebbels i energicznie ścisnął dłoń dyrygentowi. Szef niemieckiej propagandy promieniał zadowoleniem i rozkoszował się swoim triumfem. Króciutka wizyta Hitlera w Wenecji była nadzwyczaj udana. Goebbels wziął mikrofon, który podał mu jeden z muzyków. Widownia ucichła.

– Jak to miło znaleźć się w świątyni sztuki filmowej, gdzie odbywa się osławiona Mostra, na której nagrodzono Olimpiadę naszej drogiej Leni Riefenstahl – zaczął z szerokim uśmiechem. Następnie zwrócił się do obu dyktatorów: – Mein Führer, Herr Duce... Wiem, że nie życzą sobie panowie oficjalnych przemów. Chciałem tylko podziękować, że poświęcili panowie swój cenny czas, by wziąć udział w tym skromnym wieczorze zorganizowanym na waszą cześć. Wiemy, jak ciężko panowie pracują, aby wieść nas ku zwycięstwu. Życzę znakomitych sukcesów siłom Osi i... zapraszam do bufetu w sąsiedniej sali.

Rozległy się znowu gromkie oklaski. Karzeł nieufnie zerknął na Himmlera siedzącego na uboczu. Wiedział, że Reichsführer długo rozmawiał z Hitlerem, i był wściekły z tego powodu. Tego wieczoru jednak Himmler trzymał się z boku, a całe światło skupiał on, minister propagandy.

Publiczność szerokim strumieniem popłynęła do pomieszczenia obok. Do Goebbelsa podszedł hrabia Di Stella.

– Dziękuję za hołd, panie ministrze. Dręczy mnie jedno pytanie: dlaczego zaprosił pan orkiestrę filharmoniczną z Wiednia, a nie z Berlina?

– Führer urodził się w Austrii i odkrył Wagnera w tym cudownym mieście. Poza tym ta orkiestra jest bliska jego sercu: ze stu dwudziestu trzech muzyków sześćdziesięciu ma legitymację partii narodowosocjalistycznej. To rekord i wielka duma dla kultury aryjskiej. Muzyka jest bajecznym narzędziem, które pozwala prowadzić masy.

– Doprawdy?

– Oczywiście. Czy pan wie, że staram się teraz upowszechnić w całej Europie nową częstotliwość dla diapazonów<sup>31</sup> stosowanych w muzyce klasycznej? Z czterystu trzydziestu dwóch herców przeszliśmy na czterysta czterdzieści, niemiecki strój.

– A to dlaczego?

– Prace Ahnenerbe, naszego instytutu badawczego, wykazały, że ta częstotliwość sprzyja karności. Muzyka przenika do najdalszych fałd mózgu i wpływa na jego aktywność.

Hrabia kiwnął głową, by ukryć sceptycyzm.

– Nie wiedziałem... A właściwie czemu nie zaprosił pan Furtwänglera, ulubionego dyrygenta Führera?

Przez twarz Goebbelsa przemknął cień.

– Jak to się u nas mówi: nie obracaj sztyletu w gardle bolszewika. Maestro w ostatniej chwili odwołał przyjazd, oficjalnie z powodu przeziębienia. Ale ani sekundy nie wierzyłem w to wytłumaczenie. Mam wątpliwości co do jego przywiązania do partii. Jestem przekonany, że nie chciał się pokazać w towarzystwie Ducego i Führera.

– Ale w zeszłym roku dał nadzwyczajny koncert w obecności Führera.

– Tak, tyle że doszły mnie słuchy, iż cichaczem interweniował w sprawie muzyków żydowskich. Och, sprytny jest, ale ja go dopadnę. Zamierzam w przyszłym roku zorganizować koncert z okazji urodzin Führera. Zamówię sobie Furtwänglera z dużym wyprzedzeniem, tak że nie będzie mógł się wyłgać. I nie ma mowy, żeby zachorował, mój osobisty lekarz tego dopilnuje. A jeśli odmówi, czeka go obóz!

Obok nich przeszedł kelner z tacą zastawioną kieliszkami z szampanem. Goebbels wziął jeden, hrabia natomiast obserwował obecnych, którzy zmiierzali w stronę bufetu.

– W każdym razie winszuję, że wybrał pan Wenecję, a nie Rzym czy Mediolan – rzekł Di Stella. – Cała faszystowska śmietanka towarzyska miasta czuje się zaszczycona.

Podszedł do nich oficer SS. Wysoki, szczupły, o dziwnie powłóczyście spojrzaniu. Emanowała z niego trochę za bardzo ostentacyjna pewność siebie, jakby tu rządził.

– O, Heydrich, wierny ogar Himmlera – odezwał się do niego Goebbels. – Podobał się koncert?

Szef Gestapo górował o dobrą głowę nad rozmówcą. Obrzucił go lodowatym wzrokiem. W ustach Karła określenie „ogar” należało rozumieć raczej jako „pies” w najgorszym znaczeniu.

– Czysta przyjemność, z wyjątkiem sekcji smyczków, której moim zdaniem brakuje subtelności.

– Zapomniałem, że jest pan wprawdzie gorliwym policjantem, ale w wolnym czasie grywał pan na skrzypcach. Pan pozwoli, oto hrabia Di Stella, który pomógł mi zorganizować dzisiejszy wieczór.

– Już się znamy – rzekł arystokrata.

Esesman skłonił się lekko.

– Doktorze Goebbels, być może umknęło panu, że zajmuję się ochroną tej podróży Führera. Sprawdzałem z panem hrabią listę gości i personelu. Potem dobrą godzinę kontrolowaliśmy najbliższą okolicę pałacu.

– Ależ mnie nudzi ta rozmowa – rzucił Goebbels, ostentacyjnie ziewając. – Zdecydowanie wolę gawędzić na temat kultury niż czynności policji. Proszę wybaczyć, panie hrabio, muszę się przywitać ze znajomą.

Szef propagandy zostawił ich i pospieszył w kierunku Eriki, która gawędziła z Tristanem.

– Fraulein von Essling, ratunku! – wyszeptał, schylając się do jej dłoni.

– O co chodzi, drogi doktorze?

Goebbels pogardliwie zerknął na Heydricha.

– O tego ponurego typu. Jak tylko gdzieś się pojawia, odnosi się wrażenie, że zaraz wszystkich aresztuje. Himmler dobrze go wybrał.

Erika przedstawiła mu Tristana:

– Jestem pewna, że będzie pan wolał pogawędzić z moim francuskim kolegą, Tristanem Marcasem. To pierwszorzędny archeolog.

– Lubię Francuzów, chociaż jak na mój gust, są zbyt dużymi mieszańcami. Ale przynajmniej nie jest pan Żydem, Herr Marcas?

Tristan uściśnął dłoń szefa propagandy, powstrzymując uśmiech. Karzeł o czarnych jak węgiel wypomadowanych włosach nie wyglądał na wcielenie aryjskiego ideału.

– Nie sądzę, głowy jednak nigdy dać nie można. Trochę się w tym gubię.

– To znaczy?

– Zdarzają się Niemcy, czystej krwi Aryjczycy, niskiego wzrostu i ciemnowłosi, bywają też Żydzi o pszenicznych włosach i atletycznie zbudowani jak greccy herosi. I jak tu się połapać? Mając umysł ścisły, wolę archeologię od biologii rasowej.

Erika posłała mu ponure spojrzenie. Goebbels wyprostował się na obcasikach jak zaatakowany kogut.

– Jak przypuszczam, to próbka francuskiego humoru?

– Ależ skąd – skłamał Tristan. – Darzę wielkim podziwem waszego Führera. Zdumieniem napawa mnie, ile zdołał. Jak wspomnę te miliony Niemców, zubożałych i upokorzonych po klęsce z tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, wszystkich tych biedaków w łachmanach, bez pracy, tych obszarpańców doprowadzonych do rozpacz, rozgoryczonych i...

– Dziękujemy, Tristanie, zrozumieliśmy – przerwała mu zirytowana Erika. – Do czego zmierzasz?

– Do osiągnięcia, jakim jest przekształcenie hord nędzarzy w zdyscyplinowanych zwycięzców odzianych w buty z cholewami i hełmy. Proszę zauważyć, że nie użyłem słowa „posłusznych”. Istny cud! Podobnego wyczynu dokonał Duce, którego naród zamienił oliwę z oliwek na olej rycynowy<sup>32</sup>. We Francji nie mieliśmy takiego szczęścia i pewnie dlatego zebraliśmy cięgi. Całe szczęście, że nasz czcigodny marszałek otworzył drogę do współpracy. Może uda nam się zrobić to samo co wam. Na pewno nie tak doskonale, przyznaję...

Goebbels pokiwał głową. Nie wyglądało na to, żeby wychwycił ironię rozmówcy.

– Oto słowa miłe mojemu sercu, drogi panie Marcas. Pozwolę sobie jednak poczynić pewną uwagę. Otóż waszemu Pétainowi brakuje czegoś fundamentalnego: boskości!

– Zaintrygował mnie pan.

– Ależ proszę otworzyć oczy! Hitler i Mussolini to już nie ludzie, to bogowie. Boją się ich i oddają im cześć miliony mężczyzn i kobiet. Ich moc nie zna granic. Narzucają swoją wolę całym narodom. Nazizm i faszyzm to awatary starych kultów pogańskich. To bogowie nowych czasów. Kobiety mdleją, kiedy Führer albo Duce spojrzy im w oczy. A ja czynnie uczestniczyłem w tej deifikacji. Czy propaganda nie jest odmianą wielkiego kapłaństwa adoracji mas?

– A ja myślałem, że wasza siła zasadza się na czołgach i messerschmittach...

– Błąd! Osiągnięcia przemysłowe to nie wszystko – oświadczył podniecony Goebbels. – Wy, Francuzi, za bardzo wierzycie w rozum. Straciliście mistykę związaną z wodzem, kiedy ścięliście króla Ludwika Szesnastego. Duch oświecenia zepsuł wasz lud, przecinając więź cielesną i duchową z najwyższym wodzem. To coś

więcej niż kult jednostki, to uwielbienie, cześć. Uwielbienie, które skłania narody do poświęcania życia dla swojego boga.

Nagle w drugim końcu sali rozległ się brzęk rozbijanego szkła, donośne głosy. I krzyk.

To był głos Hitlera.

*Wenecja*  
*Wyspa Lido*  
*Pałac Kina*  
*Grudzień 1941*

Kelnerka stała jak sparaliżowana. Jej taca leżała na marmurowej posadzce pokrytej odłamkami szkła. Adolf Hitler patrzył jak zahipnotyzowany na szkarłatną plamę z wina na wyłogu marynarki, w końcu jednak ze ściągniętą twarzą podniósł wzrok, gotów zmiażdżyć cały świat.

Po okrzyku wodza Rzeszy zastygły wszystkie spojrzenia, ucichły rozmowy. Na rozkaz Heydricha zaraz zjawili się dwaj esesmani i złapali dziewczynę pod rękę, jakby próbowała przeprowadzić zamach na życie Führera.

Ciszę przerwał Mussolini, obrzucając gradem wyzwisk przerażoną dziewczynę. Mamrotała przeprosiny, lecz głos tak jej drżał, że słowa były ledwie zrozumiałe.

Hrabia Di Stella wkroczył do akcji.

– Bardzo przepraszam za niezdarność tej głupiej dziewczuchy – powiedział. – To siostra mojej kucharki.

Mussolini wypiął pierś.

– Choćby była pańską córką, niczego by to nie zmieniło! Taki wstyd! Każę ją rozstrzelać.

Di Stella podszedł do Ducego.

– Bardzo proszę, to jeszcze dziecko. Nie zrobiła tego umyślnie. – Zwrócił się następnie do Hitlera i odezwał się po niemiecku: – Mein Führer, odwołuję się do pańskiej łaskawości. Wiem, że lubi pan nasz lud.

Twarz Hitlera rozluźniła się niepostrzeżenie, szepnął coś do swojego tłumacza, który kiwnął głową i rzekł:

– Herr Führer mówi, że nic nie szkodzi. Chce, żeby ktoś przyniósł mu z apartamentu drugą marynarkę, bo w tej nie może zostać na kolacji. Mówi, że byłoby śmiesznie, a przede wszystkim wielka szkoda, gdyby kazał rozstrzelać taką piękną Włoszkę, by uczcić swój przyjazd do Wenecji.

Na tak nieoczekiwaną pobłażliwość Hitlera rozległy się oklaski zgromadzonych.

– Natychmiast poślę swoich ludzi – zapowiedział Mussolini. – Całe szczęście, że pan hrabia przezornie kazał ulokować pana w Excelsiorze, dwa kroki stąd.

Do hrabiego podszedł Heydrich z bladym uśmiechem na kanciastej twarzy.

– Chciałbym przesłuchać tę młodą osobę, jeśli pan pozwoli.

– A po co? Dziewczyna okazała się tylko niezdarna – odparł arystokrata.

– Stosuję standardową procedurę bezpieczeństwa, nic specjalnie... nieprzyjemnego.

Ostatnie słowo wymówił tak, że Di Stellę zmroziło.

Tristan i Erika podeszli bliżej, lecz trzymali się z tyłu. Marcas szepnął Niemce na ucho:

– Ten twój Führer jest niższy, niż sądziłem. Do SS by go nie przyjęli...

– Ale wolę ma wielką – odparła Erika.

– Nie wątpię. Jeśli pozwolisz, udam się na stronę. Dołączę do ciebie w bufecie.

Obrócił się na pięcie, wyszedł z sali recepcyjnej i pomaszerował prosto w umówione miejsce, gdzie miała czekać Laure: do komórki położonej na pierwszym poziomie podziemia, tuż przy kuchniach. Czekąca tam na niego oparta o skrzynię, która pełniła funkcję kosza na śmiecie. Miała na sobie niebieski fartuch, jaki nosiła pałacowa obsługa.

– Zupełnie do pani nie pasuje. Wolałem panią w tamtej twarzowej sukience – powiedział z uśmiechem czającym się w kąciku ust. – Otoczenie też jest dużo mniej romantyczne od dzwonnicy na placu Świętego Marka.

– Wolę nietwarzowy fartuch od pańskiej esesmanki.

– Nie ma pani poczucia humoru... Dobra, mamy mało czasu, ale powinno wystarczyć. Hitler za jakiś kwadrans będzie się przebierał. Hrabia Di Stella załatwił mi klucz do pokoju, do którego pójdzie. W tym czasie ma zrobić jakąś dywersję.

Laure wzięła go pod rękę.

– Mamy zmianę planów.

– Co?

– Fleming i jego ludzie podkładają właśnie ładunki wybuchowe na drugiej kondygnacji podziemi. Mają zabić Hitlera i Mussoliniego. Takie są rozkazy.

– Co? Przecież to szaleństwo!

– Dopiero co się dowiedziałam. Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego Churchill powierzył to zadanie marynarce...

Tristan chwycił ją za ramiona.

– Proszę mnie zaprowadzić do swojego szefa! Natychmiast!

– To boli! – poskarżyła się. Puścił ją. – To zaraz obok. Chodźmy.



Poszli w dół schodami służbowymi, później minęli magazyn wypełniony kartonami z plakatami filmowymi. Na ziemi leżały gwiazdy kina pokryte kurzem: Marlene Dietrich, Gary Cooper, Elisa Cegani, Vittorio De Sica, Greta Garbo... Wszyscy przed wojną przyjechali do Wenecji na pokazy swoich filmów. Tristan przeszedł po plakacie Żyda Süssa, niemieckiego antysemickiego filmu wyprodukowanego z rozkazu Goebbelsa, pokazanego na otwarciu Festiwalu Filmowego w Wenecji w roku 1940.

– Szybciej, nikt nie może zauważyć, że mnie nie ma.

Znów szli schodami, aż dotarli do ogromnego podpiwniczenia, tak niskiego, że nie dało się tam stanąć w pozycji wyprostowanej. W głębi, jakieś sto metrów od nich, członkowie grupy krzętały się przy filarze wspierającym.

Jeden z nich precyzyjnie podłączał zegar do stosu lasek dynamitu ułożonych pod ścianą. Kiedy skończył, wstał, ocierając czoło.

– No, ostatni ładunek założony. Jest ich tyle, że zostaną tylko pył i kości. Można by tym wysadzić lotniskowiec. Kapitanie, może pan nastawić zegar główny? Inne ładunki wybuchną pod wpływem ciepła po pierwszej eksplozji.

– Jeszcze nie – rzekł Fleming. – Chcę mieć pewność, że Hitler jest na górze. Poczekamy, aż się przebierze i wróci na salę. On ma piekielne szczęście, nigdy nie ma go tam, gdzie podłożono bombę.

– Dużo było na niego zamachów? – zapytał jeden z komandosów.

– O tak. I żaden się nie powiódł z powodu zmiany planów Hitlera w ostatniej chwili. Ostatni przeprowadzono w piwiarni w Monachium w trzydziestym dziewiątym. Zamachowiec tak nastawił zegar, żeby ładunek wybuchł w czasie przemówienia. Niespodziewanie Hitler skrócił swoje wystąpienie, by wcześniej wrócić do Berlina. Opuścił salę trzynaście minut przed wybuchem. Marne trzynaście minut i bieg historii by się zmienił. Nie chcę, żeby i nas to spotkało.

Tristan i Laure wyłonili się przed nimi. Spocony Francuz przypominał diabła, który wyskoczył z pudełka.

– Kurwa, co wyście znowu wymyślili?

– Spokojnie, przyjacielu – odparł Fleming. – Rozkaz premiera. Likwidujemy tych drani. Na twoje zadanie to nie ma żadnego wpływu. Zabierzesz tylko swoją błyskotkę, ale obawiam się, że nie będziesz miał dużo czasu.

– Nie rozumiesz! – syknął Tristan, łapiąc Fleminga za poły bluzy. – Jeżeli to draństwo wybuchnie, zanim zdobędę artefakt, wszystko pójdzie na marne. Od lat nad tym pracuję! Hrabia Di Stella i ta dziewczyna, która wylała wino na Hitlera, ryzykowali życie, żeby ta operacja się powiodła! To się dla ciebie nie liczy?

– Radzę mnie puścić. Wyeliminowanie Adolfa i Benita jest ważniejsze od twoich poszukiwań... archeologicznych. A hrabia wie, jaki jest cel mojego zadania. Wyjdzie z przyjęcia na czas.

– Myślisz, że Niemcy i Włosi przemienią się w pokorne owieczki. Jeżeli Hitler zginie, kto inny zajmie jego miejsce. Göring albo i Himmler. Chcesz esesmanów w Berlinie? A my nie będziemy mieli nawet swastyki, żeby przechylić szalę na naszą stronę.

Fleming dobył z kabury broń i przystawił ją Tristanowi do czoła.

– Drogi Johnie Dee, Tristanie Marcasio czy jak tam cię jeszcze zwa... radzę ci wrócić na górę. Tracisz tylko czas. Cenny czas.

– Nie zdajesz sobie sprawy, o co idzie ta gra, Fleming. Jesteś amatorem!

Anglik odciągnął bezpiecznik pistoletu.

– Wykonać! Albo palnę ci prosto w oko!

Mierzyli się wzrokiem. Laure podeszła do nich, położyła dłoń na lufie browninga i opuściła ją.

– Dostyc! Możecie się dogadać i zgrać wszystko w czasie. Tristan, ile czasu potrzebujesz?

– Nie wiem. To zależy, kiedy przyniosą świeże ubranie. Pół godziny...

Laure zwróciła się do Fleminga:

– Tyle możesz mu dać. I tak Hitler, dopóki się nie przebierze, nie wróci do sali recepcyjnej.

– Okej. Masz pół godziny – zgodził się Fleming. – Jak tylko się dowiem, że cele są w sali, ustawiam zegar na dziesięć minut. Później radźcie sobie, żeby dołączyć do nas na statku, który nas stąd wywiezie. Będzie zacumowany przy pomoście na Lido, na wprost stanowiska ratowniczego.

Tristan raz jeszcze obrzucił go wyzywającym wzrokiem, po czym obrócił się na pięcie.

Laure pobiegła za nim.

– Na pewno o wszystkim wiedziałaś, kiedy spotkaliśmy się na dzwonnicy – powiedział Francuz, przyspieszając kroku.

– Bardzo się zdziwiłam, kiedy Fleming mi o tym powiedział. Malorley na pewno o tym nie wie. To wyjaśnia, dlaczego dowódcą grupy mianowano tego gościa z Royal Navy.

– Świetnie kłamiesz. Widać, że przykładałaś się do nauki na kursie SOE.

Wypadli z podziemi i wbiegli na schody.

– Nigdy nikomu nie ufasz?

– Nie. I dlatego jeszcze żyję. Powinnaś robić tak samo.

*Wenecja*

*Wyspa Lido*

*Pałac Kina*

*Grudzień 1941*

Tristan po rozstaniu z Laure wszedł do sali recepcyjnej, gdzie kelnerzy krążyli wokół bufetów zastawionych po brzegi wiktuałami. Najwyraźniej nikt nie pomyślał, by uprzedzić Włochów, że Hitler jest wegetarianinem, zauważył Marcos. Mimo rosnącego napięcia wciąż jeszcze był w stanie obserwować, analizować i... ironizować. To była jego siła, dzięki temu nie poddawał się presji wydarzeń. Dekoracje błyszcząły, wyróżniając się rozmiarami i nieodmiennie złym gustem: na wszystkich ścianach wisiały na przemian proporce ze swastyką i z włoskimi różgami liktorskimi, nie licząc dwóch oświetlonych pochodniami gigantycznych portretów obu dyktatorów. Bardzo zły wystrój kina. Kilka kroków dalej spostrzegł Erikę rozmawiającą z Goebbelsem i skręcił w bok, aby ich uniknąć. Niemniej pochwyciła jego spojrzenie i twarz jej stwardniała. Zostawienie jej samej z Karłem świadczyło o okrutnym braku galanterii. Ponieważ Goebbels oglądał różne koktajle, hrabia dał dyskretny znak Francuzowi, by do niego podszedł.

– Gdzie się pan podziewał? – zapytał Di Stella z napięciem w głosie. – Właśnie przynieśli ubranie. Hitler lada chwila pójdzie się przebrać. A Heydrich przesłuchuje kelnerkę. Jeśli ją przyciśnie za mocno, możemy mieć kłopoty...

– Przykro mi, ale właśnie się dowiedziałem, że Fleming chce wysadzić w powietrze połowę Lido.

– Wiem i nic nie mogę zrobić. Pan musi się spiąć, żeby wcześniej zdobyć artefakt. Gotowy?

– Od lat.

Hrabia popatrzył na niego zdziwiony. Znał swoje motywacje do walki z dyktaturą, co jednak kierowało Tristanem? Tak czy owak, czasu nie mieli za wiele.

– Proszę posłuchać: skorzysta pan z klucza, który panu dałem, wejdzie do pokoju na pierwszym piętrze i tam zaczeka. Ja zrobię jakąś dywersję na drugim piętrze, żeby ordynans wyszedł z pokoju Hitlera. Chwilę przedtem... – Di Stella ściszył głos, jakby

się bał własnych słów. – Wejdzie pan wewnętrznymi schodami i tam znajdzie pan lwa...

Tristan i hrabia rozeszli się, kiedy do sali recepcyjnej wszedł Fleming. Ubrany w nieskazitelny mundur kapitana Wehrmachtu, z monoklem w oku, wyglądał na najprawdziwszego Niemca. Na piersi zwisał mu Krzyż Żelazny I klasy. Regulaminowo strzelił obcasami przed oficerami wyższymi szarżą i skierował się do baru. Popijając szampana, zobaczył, jak hrabia Di Stella wychodzi, a zaraz za nim John Dee. Tajny agent Royal Navy wolał ten kryptonim od imienia Tristan, które za bardzo mu przypominało Oscara Wilde'a. Pisarz wyklęty obdarzył swojego bohatera Doriana Graya tym pseudonimem, gdy posyłał go pomiędzy londyńskie niziny społeczne, toteż Flemingowi jakoś nie pasowało do Francuza. Podobnie nie potrafił pojąć, dlaczego Dee podejmuje takie szalone ryzyko, by dopaść tego cholernego artefaktu. Jak w ogóle można wierzyć w takie bzdury? Kiedy admirał wezwał go do siebie, by wyjaśnić, na czym ma polegać jego zadanie, Fleming nie posiadał się ze zdziwienia. Przeprowadzenie operacji specjalnej w samym sercu faszystowskich Włoch, by zdobyć błyskotkę rzekomo magiczną... no naprawdę czyste szaleństwo! Szybko jednak zrozumiał, że to tylko pretekst. Malorley i jego ludzie dali się wpuścić w maliny. Premier osobiście podpisał rozkaz wyeliminowania swoich przeciwników.

Fleming wolno omiótł wzrokiem salę recepcyjną. Szybko wypatrzył osławioną Erikę. Laure kilkakrotnie mu ją opisywała. Lodowata blond piękność. Archeolożka z ożywieniem rozmawiała z Goebbelsem. Ministrowi propagandy można było zaufać – zawsze wyławiał najpiękniejsze kobiety na przyjęciu. Tyle że w tym wypadku nie miał szans, widać to było jasno jak na dłoni. Fleming uśmiechnął się w duchu: myśl, że Karzeł Führera wkrótce zazna dojmującego upokorzenia, odrobinę zmniejszyła w nim napięcie, które ciągle rosło. Zerknął na zegarek. Minął kwadrans, odkąd grupa opuściła pałacowe podziemia. Laure i reszta towarzystwa na pewno już weszli na pokład motorówki zacumowanej po drugiej stronie budynku. Gotowi pomknąć na wyspę Poveglia, by jak najszybciej dotrzeć do okrętu podwodnego, który zawiezie ich na Malte. A on, Fleming, Ian Fleming, wróci do Anglii w glorii chwały: oficer, który pozbawił życia Hitlera i Mussoliniego! Tajny agent Jego Królewskiej Mości załatwił wolnemu światu wygranę wojny!

Fleming wrzał z niecierpliwości. Kiedy tylko przeklęty Führer zjawi się w sali, on zejdzie do podziemi i uzbroi ładunki. I zmieni się cała historia świata. W jednej chwili.

Wewnętrzne podniecenie stawało się nie do zniesienia. Bardziej niż przy partii bakarata. Dla rozluźnienia postanowił wypić jeszcze jedną lampkę szampana. Alkohol zawsze miał na niego dobroczynny wpływ.

Odwróciwszy się, stanął twarzą w twarz z Reinhardem Heydrichem. Rozpoznał go od razu. Ten człowiek, prawa ręka Himmlera, miał w archiwach wywiadu Royal Navy grube dossier. Przy odrobinie szczęścia on również zamieni się w pył w towarzystwie swojego wodza. Esesman zmierzył go od stóp do głów, zatrzymując wzrok na odznaczeniu, jakby uważał, że krzyż jest zbyt błyszczący.

Flemingowi serce szybciej zabiło. Skłonił się z szacunkiem.

– Proszę wybaczyć, Herr Obergruppenführer.

– Nic się nie stało, kapitanie...?

– Drax. Hugo Drax. Z Trzeciej Dywizji Piechoty – odparł Fleming nieskazitelną niemczyzną, dziękując w duchu matce, która w jego młodych latach posyłała go na wakacje do ojczyzny Goethego.

– Daleko pan jest od swojej jednostki, kapitanie. W tej chwili operuje na Ukrainie, jeśli się nie mylę. Poluje na rosyjskich partyzantów na wschód od Kijowa, zgadza się?

Nie tracąc pewności siebie, Fleming odpowiedział:

– Od siedmiu miesięcy służę w Berlinie, Herr Obergruppenführer.

– Został pan więc oddelegowany do sztabu jako oficer łącznikowy?

– I dlatego należę do eskorty feldmarszałka Keitla.

Heydrich zmrużył oczy. Z bliska jego twarz miała w sobie coś gadziego. Lodowatym głosem rzekł:

– Doprawdy? Nie przypominam sobie pańskiego nazwiska na liście gości. A pamięć mam znakomitą.

*Wenecja*

*Wyspa Lido*

*Pałac Kina*

*Grudzień 1941*

Tristan bez problemu wszedł do luksusowego pokoju, którego balkon wychodził na plażę Lido. Na cześć Führera władze kazały ją iluminować. Na nic – Hitler uznawał tylko góry. W pokoju nie było żadnych śladów zamieszkania, z wyjątkiem czarnej koronkowej nocnej koszulki zostawionej na kanapie. Tristan się uśmiechnął. Apartament przeznaczony jakoby dla wykwintnych gości służył wyłącznie kochance dyrektora pałacu. Mogła tu przebywać w całkowitej dyskrecji: apartament jej kochanka mieścił się piętro wyżej, a obydwie łączyły wewnętrzne prywatne schody.

Francuz szedł wolno po stopniach, starając się czynić jak najmniej hałasu. Znalazszy się przed drzwiami, spojrzał na zegarek. Hrabia za chwilę odciągnie ordynansa. Faktycznie na podeście był lew. Na plakacie festiwalu z 1940 roku. Na ciemnogramatowym tle skrzydlaty lew z placu Świętego Marka rozwierał szeroko dziób na szczycie kolumny. Było to z pewnością takie męskie przesłanie, które dyrektor pałacu kierował do kobiet wkraczających do jego leża.

Tristan przytknął ucho do drewnianych drzwi. Dobiegał zza nich charakterystyczny cichy szum prysznica. Nagle serce zabiło mu szybciej. Rozległy się głosy. Suche. Brutalne. Dwa różne głosy, lecz jeden z nich rozpoznał. Głos wodza Niemiec. Francuz zdał sobie sprawę, że zwykłe dębowe drzwi oddzielają go od najbardziej złowieszczonego człowieka, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia. Od człowieka, który całą Europę pogrążył w morzu krwi. Od wcielenia zła.

Marcas poczuł, że ręce mu drżą.

Nie teraz...

Głupie to było, wiedział, lecz paraliżowała go obecność Hitlera. On, który tyle przeżył, który zaznał więzienia, głodu, tortur w Hiszpanii, który wyszedł cało z najgorszych opresji i przez cały czas toczył śmiertelnie niebezpieczną grę, teraz czuł się onieśmielony jak dzieciuch przy władczym dorosłym. W takim stanie haniebnej słabości nie mógł kontynuować zadania.

Śmieszny jesteś, powiedział sobie. Weź się w garść.

Próbował uspokoić oddech, schylił się, by zajrzeć przez dziurkę od klucza.

W polu widzenia zobaczył nie tyrana, lecz jasnowłosego esesmana, który starannie szcztokował brunatną kurtkę. Tristan się skrzywił. Oczywiście ordynansem Hitlera musiał być członek najwyższej kasty nazistów. Było jednak coś śmiesznego w widoku członka Czarnego Zakonu wykonującego tak banalną czynność. Tristan się zastanowił, czy ten człowiek to służący, któremu z urzędu przydzielono esesmański mundur, by zachować pozory, czy też jakiś przydupas Himmlera spod znaku trupiej czaszki przyuczony do prasowania i pastowania butów.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi apartamentu. Ordynans odłożył kurtkę na kanapę i zniknął Tristanowi z oczu.

Francuz zastygł. Na wprost widział poplamioną kurtkę. A na jej wyłogu pradawną swastykę.

Tym razem serce ruszyło mu dzikim galopem.

Trzeci artefakt miał niemal w zasięgu ręki. Swastykę, którą Lanz, szalony mnich, podarował trzydzieści lat wcześniej Hitlerowi. Siłą sprawczą wszelkiej władzy.

I on, Tristan Marcas, mógł zmienić bieg wydarzeń. Wreszcie pozbawić dyktatora źródła potęgi i definitywnie odwrócić stosunek sił na korzyść wolnego świata.

Dwie swastyki w obozie Dobra przeciwko jednej w rękach sił Ciemności.

Znowu przystawił ucho do drzwi i bez trudu rozpoznał melodyjny głos hrabiego Di Stelli. Nie rozróżniał słów, lecz po minucie wszystko ucichło i drzwi się zamknęły.

Teraz albo nigdy.

Tristan wsunął klucz do zamka i delikatnie przekręcił gałkę. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Nadal słyhać było szum prysznic, Hitler kąpał się w łazience. Jego pory, tak jak zwykłego zjadacza chleba, też wydzielały pot, zatykały się produktami przemiany materii, wypełniały wydzielinami. Dyktator również produkował nieczystości, tyle że mydło nigdy nie zmyje brudu, który ustawicznie sączył się z jego umysłu.

Francuz czujnie zmierzał w stronę kanapy. Ordynans mógł wrócić w każdej chwili. I wtedy mogło się wydarzyć najgorsze: alarm, krzyki, wyszczekiwane rozkazy, esesmani rzucający się na niego i powalający go na ziemię. Tristan odgonił te myśli i stanął przed kanapą.

Uspokój się, nakazał sobie.

Wziął poplamioną kurtkę i jednym ruchem odciął nitki mocujące skórzany jęczyczek, na którym była zamocowana złota swastyka. Położył ją na lewej dłoni i podniósł do światła.

Nareszcie!

Wydawała się zupełnie niegroźna. Nie miała nic wspólnego z innymi artefaktami, o wiele większymi, odnalezionymi w Montségur i w Tybecie. Jak tu uwierzyć, że taki drobiazg dał Hitlerowi taką władzę? I pomyśleć, że Himmler patrzył na tę swastykę od lat, ilekroć przebywał w towarzystwie swego bożyszczka.

Tristan tak poruszył nią pod żyrandolem, by zamigotała. Zdawała się absorbować światło. Nagle przestała się wydawać jakąś tam swastyką. Emanowało z niej jakby osobliwe pulsowanie.

Głowa mu zapłonęła.

Kto tę swastykę i trzy pozostałe stworzył przed tysiącami lat? Jak jej się udaje gromadzić tak potężną moc? I dlaczego?

Czuł, że w dłoń pali go niewidzialne światło. Może swastyka wybrała jego, Tristana, by zmienić losy świata?

W chwili gdy opuścił dłoń, szum prysznicza ustał. Rozległ się chrapliwy głos:

– Karl, przygotuj ubranie.

Tristan odwrócił się do drzwi łazienki.

Potwór znajdował się tak blisko, tuż za nimi. Nagi, bezbronny.

A gdyby...

Francuz wsunął prawą dłoń pod marynarkę i zacisnął palce na kolbie lugera. Mógł załatwić dwie sprawy za jednym zamachem. Niepotrzebne będą bomby i krwawa jatka z wieloma ofiarami. Wystarczy, że wejdzie do łazienki i stanie na wprost celu. Przez kilka długich sekund będzie się rozkoszował jego wzrokiem najpierw zdziwionym, potem przerażonym, gdy Hitler spojrzy w czarne oko lufy lugera. Będzie się rozkoszował jego strachem. Przerażony Führer... do czego można go porównać? Czy będzie błagał o litość? Rzuci mu się do stóp i będzie błagał o zmiłowanie?... Nieważne... Opróżni cały magazynek, włada wszystkie pociski między te jasne oczy. W imieniu rzesz niewinnych zamordowanych na jego rozkaz. Osiem pocisków, które poszatkują mu mózg, porozrywają ciało, pokruszą kości. Jego twarz stanie się ohydną miazgą, ciało nagim trupem leżącym pod prysznicem. Upokarzająca śmierć.

Tristan odwiódł bezpiecznik. Pokusa była zbyt silna. Przejdzie do historii jako człowiek, który zabił potwora. Jako zbawca ludzkości.

Wystarczy otworzyć drzwi łazienki. I strzelić.

A równocześnie pozbawić się jakiegokolwiek możliwości ucieczki z artefaktem.

Na pierwszy huk strzału trzymający wartę esesman i ordynans wpadną do apartamentu. Będzie mógł ich zastrzelić, lecz bez gwarancji, że on również nie zostanie trafiony. Ale zaraz nadciągną inni, dziesiątki żołnierzy uzbrojonych po zęby, którzy nie popuszczą, będą go tropić do upadłego.



Nigdy nie uda mu się przekazać swastyki w ręce Laure lub Fleminga. Co gorsza, następca tyrana ją przejmie i wtedy wszystko trzeba będzie zaczynać od początku.

Był w strasznej rozterce.

Rozum nakazywał mu zastrzelić potwora. Efekt był murowany. Hitler zniknąłby z powierzchni ziemi.

Równocześnie jednak jakiś wewnętrzny głosik podszeptował mu coś przeciwnego. Artefakt był najważniejszy. Ważniejszy od śmierci tyrana.

Rozum kierował jego prawą dłoń, tą, w której trzymał pistolet.

Intuicja rządziła lewą, w której ścisnął swastykę.

Musiał dokonać życiowego wyboru.

Zabić Hitlera lub zabrać artefakt.

*Wenecja  
Wyspa Lido  
Pałac Kina  
Grudzień 1941*

– Pan ma czelność podważać słowo oficera. Jestem kapitanem Wehrmachtu odznaczonym Krzyżem Żelaznym na froncie rosyjskim. O panu tego nie można powiedzieć!

Stojąc przed szefem Gestapo, Fleming nie tracił rezonu. Przeciwnie, znakomicie odgrywał rolę niemieckiego oficera, dumnego i wyniosłego, dla którego esesmani byli pospolitymi ulicznymi agitatorami, parweniuszami historii. Nawet monokl, którego nigdy w życiu nie nosił, ani mu drgnął w oku. Mimo to niewielkie były szanse, że zrobi wrażenie na Heydrichu, ale tym sposobem uwiarygodniał odgrywaną postać. Hołdował tezie, że kiedy się blefuje, nie można się zawahać przed pójściem na całość. I nie wolno pozwolić, by pojawiły się rysy na masce. To kwestia panowania nad sobą. Na szczęście przez granie całymi nocami w bakarata po kasynach wyrobił sobie nerwy jak ze stali. Acz tym razem stawką było jego życie.

Nikt wokół nie zauważył ich starcia. Uwaga wszystkich skupiała się na Goebbelsie, który przedstawiał Mussoliniemu swoją żonę Magdę. Wyglądało na to, że blond walkiria o marmurowym uśmiechu wywarła wielkie wrażenie na Duce.

– Nie tym tonem, kapitanie – szepnął Heydrich. – Takie dziecinne zachowanie i odmowa współpracy donikąd pana nie doprowadzą. Proszę po prostu iść za mną. – Heydrich odkrył karty: otworzył kaburę i położył dłoń na kolbie lugera. – Jeżeli to błąd organizacyjny, złożę panu pokorne przeprosiny. Gdyby pan wiedział, jak ja lubię się mylić... Odnoszę jednak przemożne wrażenie, że zawsze mam słuszość.

O ile twarz Fleminga nie odzwierciedlała żadnych uczuć, o tyle umysł miał rozgorączkowany jak zawsze, gdy musiał zagrać najmocniejszą kartą. Mógł oczywiście sięgnąć po swojego walthera zamocowanego na prawej kostce u nogi, lecz Heydrich by strzelił, zanim on zdążyłby chwycić za broń. I wiedział, gdzie utkwiliby kula: w brzuchu, aby można go później przesłuchać. Anglik szybko obrzucił wzrokiem salę.

– Wszystkie wyjścia są strzeżone, proszę nie marnować mojego czasu – podjął esesman, kładąc mu dłoń na ramieniu i popychając go w stronę drzwi między dwoma naturalnej wielkości portretami dyktatorów.

Fleming zmrużył oczy. Przeciwnik dysponował mocniejszymi kartami. On jednak miał jedną atutową: mógł odepchnąć Heydricha i rzucić się do ucieczki, lecz szanse na wyjście z tego cało oceniał na bliskie zero. Jedyne, co mu pozostało, to wykonywać posłusznie polecenia, by zyskać na czasie. W nadziei, że być może hrabia albo Tristan wrócą do gry.

Albo i nie. I to będzie koniec rozgrywki. Fleming przejechał językiem po zębie, w którym umieszczono kapsułkę z cyjankiem.

– Proszę prowadzić, Herr Obergruppenführer.

W korytarzu dwaj esesmani eskortowali Fleminga i Heydricha na oczach gwiazd kina, Clarka Gable'a, Katharine Hepburn czy Vivian Leigh, których podobizny zdobiły ściany. Aby zachować spokój, Fleming odganiał od siebie myśl, że teraz stawką jest jego życie. Dziwił się, że Włosi nie pozdejmowali portretów hollywoodzkich aktorów. Naziści nie znosili kina amerykańskiego, chociaż opowiadano, że Hitler przepada za krótkometrażówkami Chaplina, które regularnie kazał sobie ściągać.

Korytarz nie miał końca. Chef Gestapo nie dobył pistoletu, Anglik jednak niewątpliwie był jego więźniem. Dla Fleminga ten korytarz był jak droga na śmierć.

– Dokąd idziemy? – zapytał.

– Odwiedzimy uroczą, niezgrabną kelnerkę. Moi ludzie właśnie ją przesłuchują.

Fleminga zmroziło. Nagle w drugim końcu korytarza rozległ się tupot. Podbiegł do nich zadyszany podoficer.

– Herr Obergruppenführer, szybko!

Heydrich zesztyniał.

– Muszę kogoś przesłuchać, wracajcie na posterunek.

– W podziemiach znaleziono bombę! Życie Führera jest zagrożone!

Heydrich w jednej chwili obezwładnił Fleminga i wrzasnął do eskorty:

– Zabrać go do dziewczyny. I przesłuchać. Natychmiast. Do skutku.

Dwa piętra wyżej, w gnieździe zła, Tristan również się przymierzał, by rzucić kości.

W chwili gdy miał podjąć ostateczną decyzję, drzwi wejściowe lekko się uchylły. Na podłogę padł cień postaci. Wracał ordynans.

Zza drzwi dobiegły słowa po włosku:

– We Włoszech usprawiedliwienie się stawiamy sobie za punkt honoru.

– Na pewno chętnie z panem porozmawia, kiedy zejdzie na dół – odpowiedział ordynans.

Tristan odbezpieczył pistolet. Było za późno, aby zabić dyktatora. Los rozstrzygnął za niego. Odłożył kurtkę dokładnie tam, gdzie wcześniej leżała, artefakt wsunął do własnej kieszeni. Zamykał za sobą drzwi łączące apartament z pomieszczeniami piętro niżej dokładnie w chwili, gdy esesman wracał do pokoju. Di Stella przytrzymał Niemca za rękę.

– Proszę mu powiedzieć, że należę do jego największych wielbicieli.

– Nie omieszkam, panie hrabio. Na razie.

Esesman zamknął drzwi przed nosem Di Stelli. Znowu rozległ się głos Hitlera:

– Co się dzieje, Karl?

– Nic, mein Führer. Hrabia Di Stella koniecznie chciał złożyć panu uszanowanie. Ech, ci Włosi... jak się któryś przyssie, lepi się jak makaron!

– Daj spokój, Karl, to sojusznicy.

– Przepraszam, mein Führer.

– Podaj mi ubranie.

Tristanowi serce waliło w piersi. Szybko zszedł po schodach dwupoziomowego apartamentu. Ile czasu minie, zanim Hitler spostrzeże, że jego cenny talizman zniknął? Ale pora nie była stosowna na zadawanie sobie pytań. Żwawo przeszedł przez pokój. Korytarz był pusty. Pospieszył do schodów prowadzących na parter. Strach ustąpił miejsca podnieceniu. Miał artefakt!

Teraz pozostało mu tylko oddać swastykę Flemingowi albo Laure i jakby nigdy nic wrócić do Eriki. Nikt nie mógł go podejrzewać. Koronkowa robota. Raz jeszcze uśmiechnęło się do niego szczęście. Jeśli sprzyjający układ gwiazd potrwa troszkę dłużej, nie tylko swastyka trafi w ręce Anglików, ale dodatkowo Fleming odpali swoje bomby i pośle Hitlera i Mussoliniego do piekła.

W głowie mu buzowało. Wszystko to, o co dotąd walczył, osiągało właśnie punkt krytyczny. Z woli przeznaczenia mógł z pierwszego rzędu obserwować wiekopomne wydarzenie.

Ten zamach przejdzie do historii. Do historii obydwu obozów. Podczas pobytu w Berlinie Tristan wyraźnie widział, jaką historyczną czią Niemcy darzą Führera. Nawet osoby mądre i rozsądne, o wysokim poziomie inteligencji jak Erika, uległy złowieszczemu czarowi swastyki. Ojczyzna Goethego oddała się duszą i ciałem temu szaleńcowi. Tak jak Włochy swojemu Ducemu.

Śmierć dwóch dyktatorów sprowokuje wybuch radości w Anglii, Rosji i w krajach okupowanych. Oraz falę zaskoczenia i gniewu w Niemczech i we Włoszech.

Ta noc na zawsze wryje się w ludzką pamięć.

Dla jednych jako noc dobra.

Dla innych jako noc zła.

W chwili gdy dochodził do parteru, w dole schodów pojawiła się kobieca postać. Natychmiast zwolnił.

Erika.

– Można wiedzieć, skąd idziesz?

Po ostatnich stopniach Tristan zszedł wolniej.

– Zgubiłem się. Powiedziano mi, że toalety są na piętrze, ale ich nie znalazłem.

Archeolożka podeszła do niego. Jej głos był dziwnie spokojny.

– I przypuszczam, że przemożna konieczność pójścia za potrzebą zmusiła cię do zbiegania po schodach? No chyba że sam diabeł cię pogonił...

– Może.

Młoda Niemka spojrzała mu prosto w oczy.

– Przestań mnie okłamywać.

*Wenecja*  
*Wyspa Lido*  
*Pałac Kina*  
*Grudzień 1941*

Kapitan Fleming podniósł głowę, z dolnej wargi spływała mu strużka krwi. Przywiązano go do krzesła, stracił rachubę, ile uderzeń w twarz zaliczył. Ból wzbierał jak niepohamowany przypływ, najgorszy jednak do zniesienia był krzyk kobiety, która wiała się na podłodze z rękami przyciśniętymi do twarzy. Ona również krwawiła, straciła dużo krwi. Zwłaszcza z prawego oczodołu. Gałka oczna kelnerki leżała na stole obok kordzika o płaskim ciemnym ostrzu, standardowego elementu wyposażenia oddziałów SS z wypisaną dewizą: *Meine Ehre heisst Treue*, mój honor nazywa się wierność.

Fleming znał tę technikę. Podczas szkolenia polscy instruktorzy szczegółowo mu opowiadali o kreatywności gestapowców w dziedzinie przesłuchań. Między innymi o wyłuszczeniu gałki ocznej. Wszystko się zgadzało z tym, czego się nauczył, łącznie z obecnością torturowanej innej ofiary, najlepiej kobiety albo dziecka, by wpłynąć na jego odporność psychiczną.

– Jak się nazywasz? Jakie masz zadanie? – zapytał jeden z trzech esesmanów z rękami założonymi na piersi.

Prezentował neutralny wyraz twarzy, niemal uprzejmy, jakby przeprowadzał rozmowę z kandydatem na posadę.

– Hugo Drax. Kapitan Hugo Drax. Jestem...

Nim skończył zdanie, ciężka pięść trafiła go w skroń. Fleming omal nie poleciał na bok, lecz jeden z oprawców zablokował krzesło.

– Na żadnej liście nie ma kapitana Draxa. Przez ciebie marnujemy czas. Dziewczyna już się przyznała, że zapłacono jej, by przewróciła tacę na Führera. Spróbujemy czegoś innego, żeby ci rozwiązać język. – Esesman wziął kordzik i przysunął go do twarzy Fleminga. – Jeśli nie spodoba mi się następna odpowiedź, wydłubię ci oko. Jak tej dziewczynie. A później drugie. Następnie zajmiemy się inną częścią twojego ciała, o wiele bardziej intymną.

Fleming zrozumiał, że gra dobiegła końca. Nie miał już żadnego wyjścia. Będą go masakrowali, póki nie uzyskają tego, czego chcą.

„Nikt nie wytrzyma tortur, w końcu każdy zaczyna mówić, to tylko kwestia czasu”, powtarzali Polacy w czasie treningów nakierowanych na przesłuchania. Fleming, który zebrał od nich regulaminowe cięgi, był pewien, że przesadzają. Teraz już wiedział, że nie.

Jeden z oprawców przytrzymał mu głowę. Czubek kordzika wolno nacisnął brzeg dolnej powieki.

– Dobra! Będę mówił! – powiedział Fleming. – Ale zostawcie dziewczynę, ona nie ma z tym żadnego związku.

– Zostawimy ją.

Jeden z esesmanów dobył lugera i z bliska strzelił kelnerce w głowę. Jej ciało wygięło się w łuk i zaraz opadło bezwładnie, rozszedł się smród. Na ścianie wylądowały drobiny mózgu.

– Twoje życzenie zostało spełnione. Nikt więcej jej nie tknie. Słuchamy.

Flemingowi zrobiło się niedobrze. Pora zakończyć tę partię. Odejść definitywnie od zielonego stolika. Nie zgarniając nawet wygranej. Nigdy nie będzie człowiekiem, który zabił Hitlera. Umrze samotnie nędzną śmiercią i nikt nigdy nie wspomni jego nazwiska.

Już miał rozgryźć kapsułkę z cyjankiem, gdy drzwi się otworzyły i stanęła w nich sprzątaczką ze szczotką i wiadrem. Mimo bólu Fleming omal nie zaśmiał się urągliwie. Zdecydowanie los się z niego naigrawał. Scena z tragicznej robiła się śmieszna. Przyjdzie mu kopnąć w kalendarz przed jakąś biedaczką, która będzie musiała zmyć jego wymiociny post mortem.

Jeden z esesmanów obejrzał się i warknął:

– Wynocha!

– Przepraszam... – powiedziała Laure, stawiając wiadro na podłodze i dobywając browninga, który bluzgnął śmiercią.

Niemiec za Flemingiem padł pierwszy z głową roztrzaskaną serią pocisków. Rozstawione nogi, kolana lekko ugięte, ręce wyciągnięte przed siebie, dłonie na wysokości oczu, twarz beznamiętna – pozycja strzelecka Laure zasłużyłaby na najwyższą notę podczas szkolenia. O jej skuteczności świadczyły zresztą dwa kolejne ciała. Postąpiła naprzód i kulą w kręgosłup unieruchomiła ostatniego esesmana, który wił się jak wąż na ziemi. Następnie oswobodziła Fleminga z więzów.

– Zdaje się, że wpakowałeś się w niezłe tarapaty, kapitanie. I jak się czujesz uratowany przez sprzątaczkę?

– Nie wykonałaś rozkazu. Miałaś czekać na kutrze.

Laure pomogła mu stanąć na nogi.

– A jakiegoś „dziękuję” nie będzie? Zostałam, by mieć pewność, że jesteś bezpieczny... i że Tristanowi nic nie grozi. Poza tym nic się nie zmieniło. Reszta grupy czeka na nas, żeby wejść na pokład.

– Muszę odpalić bomby – rzekł Fleming, zabierając lugera jednemu z martwych esesmanów.

– Nie da rady – zgasiła go Laure. – Przed chwilą zablokowali dostęp do podziemi. Gdzie Tristan?

Wyszli na korytarz. Fleming się wahał, w którym kierunku pójść.

– Nie wiem. Chyba zdobył ten wasz cholerny artefakt, ale on też wpadnie. Heydricha pilnie wezwali. Dlatego, że odkryli bomby.

– Trzeba go znaleźć, to...

– Nie ma czasu. Musimy lecieć na miejsce spotkania i modlić się, żeby Tristan do nas dołączył.

Puścili się biegiem.

– Laure, naprawdę mnie zaskakujesz. To, co tam zrobiłaś... nie myślałem, że...

Francuzka wściekła, że nie może odnaleźć Tristana, warknęła:

– Że kobieta może walczyć jak facet i zabijać przeciwników? Cóż, jeśli wyjdiesz z tego cało, będziesz przynajmniej wiedział coś nowego o kobietach.

Tristan i Erika stali w dole schodów twarzą do siebie. Oboje wiedzieli, że z kochanków stali się wrogami.

– Pozwól mi przejść – powiedział Tristan.

– Nie. Wzywam wartowników.

– Wiesz, że skazujesz mnie na śmierć?

– Wiem, że pałac Bragadinów był fałszywym tropem. Chciałeś przyjechać do Wenecji, ale co innego chodziło ci po głowie.

– Masz bujną wyobraźnię, Eriko.

– Dość! Mów szczerze. Udawałeś, że mnie kochasz, by osiągnąć swój cel, tak?

Jego spojrzenie złagodniało. Przez kilka chwil patrzył na nią, po czym przysunął się bliżej. Nadeszła pora, aby zdjąć maskę. W końcu musiało do tego dojść.

– Od początku pracuję dla Anglików. A teraz mnie przepuść.

– Nigdy – oświadczyła. – Grałeś przede mną komedię, wykorzystałeś mnie. Wydymałeś mnie w każdym znaczeniu słowa.

Chwycił ją za rękę.

Wyrwała je gwałtownie.

– Ja nie jestem taka jak ty, zdrajco! Służę swojemu krajowi.



– Nie, służysz potworowi. I dobrze o tym wiesz. Ty i twoi rodacy wynieśliście do władzy najohydniejsze stworzenie, jakie chodziło po ziemi. Swastyka nie może wpaść w ręce tego szaleńca i jego współpracowników. Nie trzymaj z nimi.

– Złożyłam przysięgę na wierność. Ty czegoś takiego nie jesteś w stanie zrozumieć.

– W takim razie wejrzyj w swoje serce. Naprawdę chcesz, żeby cały świat stoczył się w nazistowskie okropieństwa?

– Nawet jeżeli nie podobają mi się pewne działania, Niemcy to moja jedyna ojczyzna.

– A gdybym ja był twoją ojczyzną, twoją przyszłością? Możesz zmienić bieg historii, Eriko, zakończyć tę wojnę! Wystarczy, że przekażę artefakt przeciwnemu obozowi.

Podnieciła się nagle.

– Znalazłeś go?

– Tak. Jest w mojej kieszeni.

Erika była zaskoczona.

– Kłamiesz! Jak zawsze! Artefakty z Tybetu i z Montségur miały inne wymiary!

Tristan pokręcił głową i podstawił jej złotą swastykę przed oczy.

– To model miniaturowy, ale moc ma taką jak tamte. Hitler nosił ją na kurtce. Od dawna.

– Ale jak...

– Pamiętasz starego mnicha, którego odwiedziłem w opactwie Heiligenkreuz? Nazywał się Lanz. To on odnalazł artefakt i podarował go Hitlerowi w czasach, kiedy był jeszcze nikim. Resztę zna cały świat.

– Niemożliwe!

– I dlatego bezwzględnie musiałem znaleźć okazję, żeby się zbliżyć do Führera. Kiedy Goebbels zapowiedział, że Hitler jedzie do Wenecji, wymyśliłem stosowny pretekst: pałac Bragadinów. Teraz wiesz wszystko. – Wziął ją delikatnie za ramiona. – Chodź ze mną, mogę załatwić, że w ciągu kilku godzin wywiozą nas z Wenecji. Nie bądź dłużej współniczką w potwornościach.

Na policzku archeolożki zaperliła się łza. Jedna jedyna.

– Nie mogę zdradzić.

– Dokonujesz złego wyboru, Eriko.

Chętnie by ją uściskał, lecz było za późno. Odsunął się i rozejrzał dokoła, jakby szukał drogi ucieczki.

– Nigdy nie odejdziesz z artefaktem.

Obejrzał się. Erika mierzyła do niego z pistoletu.

Wenecja  
 Wyspa Lido  
 Pałac Kina  
 Grudzień 1941

Kochankowie stali naprzeciw siebie.

– Nie zmuszaj mnie, żebym strzeliła. Dasz mi artefakt, a ja ci pozwolę odejść do angielskich przyjaciół.

Tristan pokręcił głową.

– Nie po to ryzykowałem życie, żeby swastyka wpadła w ręce twoich mocodawców.

Odbezpieczyła lugera, w jej oczach czał się nieodparty smutek.

– W takim razie nie mam wyboru...

Naraz w końcu korytarza rozległy się krzyki:

– Bomba! Bomba!

Na korytarz wysypał się tłum mężczyzn i kobiet w wieczorowych strojach. Erika popełniła błąd – odwróciła głowę w tamtym kierunku. W tej chwili Tristan złapał ją za rękę, pistolet wylądował na ziemi. Rozwścieczona Erika rzuciła się na Francuza z pazurami, on zrobił unik i powalił ją. Kiedy upadała, uderzyła głową o mur.

Pojawiła się grupa służących, którzy siłą torowali sobie drogę. Tristan przywarł do Eriki, aby ją osłonić własnym ciałem. Przy okazji obmacał jej tył głowy – nie znalazł śladu krwi. Archeolożka była ogłuszona, lecz nie straciła przytomności.

– Wybacz mi, Eriko. Nie chcę twojej krzywdy.

– Nie odchodź... błagam – wyszeptała urywanym głosem.

Wyprostował się i przytrzymał przebiegającą obok służącą.

– Co się dzieje?

– Zostaw! Kazali się ewakuować, w podziemiach są bomby.

Tristan ją puścił. Fleming pewnie uruchomił mechanizmy zegarowe. Musi uciekać i dołączyć do nich w miejscu spotkania.

Tłum go ukryje. U jego stóp Erika próbowała wstać, lecz uciekający zepchnęli ją z powrotem pod ścianę. Umrze zdeptana albo rozerwana w wybuchu.

Nie mógł jej zostawić.

– Chwyć się mnie.

Podniósł lugera i zarzucił sobie jej rękę na ramiona, głowa Eriki opadła mu na szyję.

– Zostań ze mną... kochany...

Dowlekli się do wyjścia wraz ze skotłowaną gromadą uciekających. Erika trzymała się Tristana jak rozbitek tratwy podczas sztormu.

Spanikowany tłum wyważył drzwi Pałacu Kina. Ludzie wybiegli na plac, który górował nad plażą Lido. Rząd reflektorów oświetlał teren aż do samego morza, ukazując grupę mężczyzn i kobietę krzyczących rozpaczliwie.

– Znajdźcie Führera, szybko!

Tristan obejrzał się w prawo i dostrzegł Goebbelsa i Magdę otoczonych esesmanami, którzy odpychali innych, aby ich ochronić.

– Führer... gdzie Führer? Muszę być przy nim!

Podniecony Karzeł miotał się w miejscu jak oszalały. Mając tego dość, jeden z oficerów złapał go za rękę.

– Jest cały i zdrowy razem z Ducem. Później pan do niego pójdzie. Najpierw muszę pana ewakuować.

– Nie! Chcę go natychmiast zobaczyć!

Francuz oddalił się od nich i posadził Erikę na ławce. Nie chciała go puścić.

– Proszę... – wyszeptała.

Zamknął jej usta delikatnym pocałunkiem.

– Żegnaj.

Wyprostował się i rozejrzał. Gdzie się podziała grupa? Gdzie ten cholerny pomost przy stanowisku ratownika? Tam się mieli spotkać!

Dwa silniki kutra pracowały na wolnych obrotach. W środku przycupnęli trzej komandosi, aby nie zwracać na siebie uwagi. Tylko Laure i Fleming stali na pomoście wraz z hrabią Di Stellą, który przez lornetkę obserwował ewakuację Pałacu Kina.

– Istny chaos! Podziałał alarm, który podniósł Giuseppe. Mam nadzieję, że to pozwoli waszemu agentowi dołączyć do nas. Ale niech się pospieszy!

Stojący obok niego z zakrwawioną twarzą Fleming nie posiadał się ze złości.

– Pan się dopuścił sabotażu! Nie zdążyłem uruchomić zapalników.

– Kiedy statek poszedł na dno, wszyscy wiedzą, jak można było go uratować. Porzekadło weneckie. I tak nie dotarłby pan do podziemi.

– A jeżeli kelnerka wyjawiała na torturach pańskie nazwisko?

– Bez obawy, człowiek, który ją zwerbował, posługiwał się pseudonimem. Muszę koniecznie wrócić do oficjeli, inaczej moja nieobecność wzbudzi podejrzenia. – Wskazał kuter. – Szyper wywiezie was z laguny. Nie ma mowy, żeby zahaczyć o Poveglię. I tak zresztą okręt powinien już być na miejscu spotkania. – Skłonił się

przed Laure. – Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze się spotkamy, by świętować zakończenie wojny. Będzie pani moim gościem specjalnym. – Zwrócił się do Fleminga: – Proszę przekazać swoim przełożonym, że ani król Wiktor Emanuel, ani Wielka Rada Faszystowska nie będą wiecznie popierać Mussoliniego. Włosi nie chcą tej wojny.

– Przekażę, panie hrabio. Powodzenia.

Patrzyli za nim, kiedy odchodził z rękami w kieszeniach, jakby się przechadzał. Z istic arystokratyczną swobodą.

– Co za człowiek! Chciałbym mieć jego odwagę – powiedział Fleming.

Szyper wystawił głowę ze sterówki.

– Musimy odbijać. Dostałem wiadomość przez radio, że wyprowadzają wszystkie patrolowce. Mają zablokować każdy wylot z laguny.

– Nie ma mowy, czekamy na Tristana – odparła Laure, która wpatrywała się w ciżbę ludzi zgromadzonych na plaży.

Szyper zaklął, po czym sucho oświadczył:

– A to siedźcie sobie tutaj, jak wam pasuje iść w tango z esesmanami. Ja odpływam za trzy minuty, nie czekam ani chwili dłużej.

Tristan schodził po drewnianych stopniach, które wężykiem prowadziły na sam skraj morza, oświetlonych jak w biały dzień. Ludzie cisnęli się niczym na jakimś widowisku, wpatrzeni w fasadę monolitycznego budynku, spodziewając się, że w każdej chwili wyleci w powietrze.

Francuz nie biegł, bał się bowiem, że zwróci na siebie uwagę. Uzbrojone Czarne Koszule i karabinierzy rozproszyli się po całej plaży. Obszedł rząd kabin kąpielowych pomalowanych na jasnoniebiesko i w odległości co najwyżej stu metrów dostrzegł stanowisko ratownika. Instynktownie ścisnął w dłoni swastykę Hitlera.

Szczęście się do niego uśmiechało. Po prawej ukazał się pomost, kuter stał w umówionym miejscu, Marcas widział jakichś ludzi. Wydało mu się, że jedną z tych osób jest Laure, lecz pewności nie miał.

W chwili, gdy postawił nogę na piasku, z placu przed Pałacem Kina dobiegł kobiecy krzyk:

– Zatrzymać go!

Tristan podniósł głowę i zobaczył Erikę, która oskarżycielskim gestem wskazywała jego.

– Tego tam! Człowieka w szarym garniturze!

Tristan udał, że nie słyszy, ludzie obrzucali go zdziwionymi spojrzeniami, ale nikt nie próbował zatrzymać Francuza. Serce mocno mu biło, zbliżał się do pomostu,

kuter był tam, na jego końcu, z włączonymi światłami. W chwili, gdy dzieliło go od niego ledwie kilka metrów, drogę zastąpili mu dwaj ludzie z Czarnych Koszul.

– Halt!

Tristan przystanął.

– O co chodzi? Widzicie, że jestem członkiem delegacji niemieckiej.

– A czemu tamta kobieta każe pana zatrzymać? – spytał jeden z faszystów o wychudzonej twarzy, wskazując Erikę.

– Ach, to bzdura – skłamał Marcas. – Pokłóciliśmy się. Wiecie, jak to jest... kobiety... Uważa, że miałem skok w bok.

Niższy wybuchnął śmiechem, chudszy nadal patrzył nieufnie.

– Mnie tam romanse nie obchodzą. Dokumenty proszę.

*Wenecja*

*Plaża na wyspie Lido*

*Grudzień 1941*

Tristan wyjął z marynarki brązowy skórzany portfel. Włosi uważnie oglądali potrójnie składany dokument po niemiecku, ozdobiony zdjęciem Marcasa i opatrzony logotypem SS, lecz jakoś nie kwapili się go wypuścić.

– Zatrzymać go! Zatrzymać! To szpieg!

Tristan się obejrzał – Erika, krzycząc, z trudem schodziła po stopniach. Musiał działać. Szybko. Wyszarpnął z kieszeni lugera i wymierzył do mężczyzn.

– Na ziemię. Ale już!

Zaskoczeni faszyci cofnęli się, lecz nie wykonali polecenia.

– Mówię po raz ostatni: na ziemię!

Niższy padł na piasek, ale jego towarzysz nieopatrznie uniósł rękę do boku. Tristan był szybszy – wpakował mu z bliska dwie kule w pierś. Faszysta szeroko otworzył zdziwione oczy i runął na twarz. Jego kolegę Marcasa potraktował kolbą broni.

– To zdrajca! Nie pozwólcie mu uciec!

Erika była coraz bliżej.

Przeskoczył przez dwóch wartowników i pobiegł w stronę kutra. Jeszcze tylko dwadzieścia metrów i będzie uratowany. W oddali po lewej snop światła reflektora omiatał plażę, zmierzając ku miejscu, gdzie cumował kuter.

Tristanowi jeszcze mocniej zadudniło w skroniach: zobaczył marynarzy, którzy zdejmowali cumy.

Z tyłu dobiegły go strzały, lecz nawet się nie obejrzał. Liczyła się każda sekunda.

W sterówce kutra szyper zauważył dużą żółtą plamę światła reflektora, która przesuwiała się w ich kierunku. W panice krzyknął:

– Wypatrzą nas! Na pokład! Szybko!

Poszycie zawibrowało, kadłub się zakołysał – silnikom dodawano mocy.

– Nie! – krzyknęła Laure, która teraz widziała twarz Marcasa. – Zdąży!

Fleming złapał ją w pasie, by nie wyskoczyła na plażę.

– To koniec, odbijamy. Nie zdąży.

Wyrywała się wściekle, jeden z komandosów rzucił się Flemingowi z pomocą. We dwóch przewrócili ją na pokład. Silniki ryknęły, kuter tyłem odbił od pomostu w chwili, gdy Tristan znalazł się na jego wysokości.

Marcas zobaczył twarz Laure. Waliła pięściami w szybę.

Wszystko przepadło. Pozostała tylko jedna opcja.

Artefakt nie mógł wpaść w ręce nazistów. Tristan wziął do ręki złotą swastykę, przez chwilę się jej przyglądał, po czym rzucił ją w ciemność.

Jak najdalej.

Swastyka zakreśliła w powietrzu łuk i wpadła w czarne wody laguny.

Kuter ze zgaszonymi światłami rozpląnął się w ciemnościach.

O dziwo, Tristan poczuł wewnętrzny spokój.

Tutaj kończyło się jego zadanie.

Życie również.

Operacja się nie powiodła, Niemcy go schwytają, wezmą na tortury. Erika będzie świadczyła przeciwko niemu. Beznamiętnie.

Ale nie miał jej tego za złe. Tak to już jest. Owładnęło nim dziwne uczucie, że jego los się dokonał. Inni będą teraz szukali ostatniego artefaktu.

Powietrze było ciepłe, w uszach miło szumiała fala przyboju uderzająca o słupy pomostu, gwiazdy migotały na niebie.

Chwila była dobra, aby odejść.

Przystawił lufę lugera pod brodą. Powiedziano mu kiedyś, że to miejsce pozwala osiągnąć lepszy efekt niż strzał w skroń.

Zamknął oczy.

Opuszczał świat ciemności, aby wstąpić w światło.

W chwili, gdy już miał nacisnąć spust, rozległ się za nim męski głos:

– Cóż za brak gustu! Samobójstwo popełnia się na placu Świętego Marka, nie na Lido.

Tristan się odwrócił. Przed nim stał człowiek w nieskazitelnie białym mundurze, paradnym stroju faszystowskich dygnitarzy. Z uśmiechem na ustach i papierosem zwisającym w ich kąciku.

– Pozwoliłem sobie posprzątać troszkę po panu – dodał hrabia Di Stella.

– To znaczy?

– Chłopak, którego pan ogłuszył, pożegnał się z tym światem, a pańska niemiecka przyjaciółka będzie potrzebowała pilnie pomocy medycznej, jeśli nie chce do niego dołączyć.

Tristan opuścił broń. Serce mu się ścisnęło.

– Erika...

– Liczę, że nie ma mi pan tego za złe. Kula w łeb, ale niestety byłem za daleko. Uchodzę za znakomitego strzelca, wie pan jednak, jak to jest: doskonałość nie jest z tego świata. Papierosa?

Francuz odłożył broń na pomost. Raz jeszcze los sobie z niego zakpił.

Czuł się jak liść, który spada z drzewa, po czym ulatuje niesiony wiatrem. Hrabiemu błyszcząły oczy.

– Wybór jest prosty. Albo pana ukrywam i przemycam poza granice Włoch, albo decyduje się pan zostać ze swoimi niemieckimi przyjaciółmi. Powiem, że widziałem, jak Anglicy strzelili do strażników i do pańskiej przyjaciółki. Nikt nie poda w wątpliwość słów człowieka mojej rangi.

Tristan zastanawiał się gorączkowo. Jeżeli Erika umrze, nie pozostanie żaden świadek i będzie mógł kontynuować poszukiwania, może nawet uda mu się zdobyć czwartą swastykę. Jeżeli Erika przeżyje i wyzna, co wie, będzie po nim.

Wybór był niełatwy z powodu zbyt dużej niepewności co do przebiegu zdarzeń. Miał zdecydowanie większe szanse na pozostanie przy życiu, przyjmując pierwszą propozycję. Tylko wariat albo głupiec wybrałby drugie wyjście.

Hrabia zauważył wahanie w oczach Tristana.

– Lubi pan Verdiego, panie Marcas czy jak tam się pan nazywa?

– Tak, bardziej niż Wagnera...

– Skomponował znaną operę Moc przeznaczenia. Dla mnie ludzie dzielą się na dwie kategorie: na tych, którym narzuca się przeznaczenie, i na tych, którzy je sobie wykuwają. Do której grupy pan należy?

W chwili gdy Tristan miał odpowiedzieć, padło na nich oślepiające światło. Marcas zmrużył oczy, jasny snop z reflektora obejmował pomost i morze wokół niego. Krzyki i ujadania coraz bardziej się przybliżały. Tristan zaciągnął się mocno papierosem i dźwięcznym głosem odparł:

– Do drugiej. Może wrócimy do gości tego fantastycznego przyjęcia? – Na powrót wchodził do gry. – A po drodze chętnie zerknę, jak celnie pan strzela – dodał.

Zeszli z pomostu na brzeg, gdzie roіło się od uzbrojonych ludzi. Francuz czuł się bezpieczny z hrabią, nikt nie śmiał ich zaczepić. Na faszystowskiej ziemi respekt dla munduru stał się drugą naturą każdego. Wracali tą samą drogą, którą przybiegł Tristan, obeszlili zgromadzenie przy dwóch martwych Czarnych Koszulach i skierowali się tam, gdzie leżała Erika.

W miarę jak się zbliżali, Tristan czuł, że zaczyna się chwiać w swoim postanowieniu.

Rozum się domagał, by Erika zmarła, serce błagało, aby przeżyła.



Dochodzili do grupki stojącej nad leżakiem. Spoczywało na nim ciało kobiety. Tristan rozpoznał jasne włosy Eriki. Jakiś esesman oglądał jej twarz.

Tristan i hrabia podeszli do nich. Jeden z obecnych tam ludzi odwrócił się, gdy byli blisko. Heydrich.

– Dobrze pan trafił – oznajmił szef Gestapo. – Erika von Essling chyba natknęła się na wrogi oddział. Widział pan napastników?

– Nie, byłem z hrabią. Mój Boże, co tu się stało?

Heydrich zastawił mu przejście dłonią w skórzanej rękawiczce.

– Ciekawe... widziano pana z nią w pałacu. Wyglądała na nieprzytomną.

– Uciekający ją poturbowali – wyjaśnił Tristan. – Posadziłem ją na ławce i pobiegłem po lekarza.

– Potwierdzam – wtrącił hrabia Di Stella. – Ten pan poprosił mnie o pomoc, więc zaprowadziłem go na stanowisko ratownika. Niestety, nic nie wskóraliśmy. Jak się miewają Führer i Duce?

– Są cali i zdrowi. Zamachowcy nie zdążyli odpalić ładunków. Szukam sprawców tego ohydneho ataku.

– Mam nadzieję, że powiesi ich pan na hakach rzeźniczych – powiedział hrabia. – O mało nie doszło do katastrofy.

– Los do niej nie dopuścił – zauważył Heydrich. – Jak zawsze, gdy chodzi o Führera.

Tristan spróbował obejść esesmana.

– Proszę mnie przepuścić, chcę ją zobaczyć.

Tym razem Heydrich się usunął.

– No tak, pan jest z nią szczególnie związany...

Tristan z walącym sercem przykląkł przy Erice. Plama krwi tworzyła jakby aureolę wokół jej głowy.

Z tyłu dobiegł go głos szefa gestapo:

– Proszę się nie martwić, jest nieprzytomna, ale żyje. Wyjdzie z tego. Dla was, tak jak dla Führera, to szczęśliwy dzień.

*Londyn*

*Pałac Buckingham*

*Grudzień 1941*

Sługa pchnął drzwi królewskiej sali audiencyjnej i wpuścił premiera. Nawet dla stałego bywalca pokroju Churchilla ta sala, gdzie tylu polityków doświadczyło kulminacji swojej kariery, miała wyjątkowy klimat. Poza tym było to jedyne w Anglii miejsce, gdzie z zasady miał zakaz palenia – obecność władcy zobowiązuje – lecz korzystał z dyspensy udzielonej osobiście przez króla. Należy przy tym zaznaczyć, że sam monarcha był namiętnym palaczem.

Churchill nigdy nie miał nabożeństwa do rodziny królewskiej, wiedział jednak, że „royalsi” są nieodłącznie związani z historią Anglii. A decyzja króla Jerzego, że mimo intensywnych bombardowań nie opuści pałacu, scaliła lud brytyjski wokół tronu.

Premier wszedł do środka i skłonił się przed królem, który czekał na niego, stojąc przed zalanym światłem wysokim oknem wychodzącym na Green Park. Na Churchillu zawsze robił wrażenie gabinet, w którym władca pracował. Znajdowały się tam wszelkie akcesoria niezbędne do królewskiej korespondencji, od wieków niezmiennie te same: pieczęć i pałeczki czerwonego laku, a jedynym ustępstwem na rzecz nowoczesności była złota zapalniczka do topienia wosku.

– Jak zwykle witam serdecznie, panie premierze – powiedział Jerzy VI, wyciągając do niego silną dłoń.

Szczupły, o bladej twarzy i wyniosłej postawie, król miał na sobie czarny mundur admirała marynarki. Prywatnie wolał ten strój, elegantszy od munduru sił lądowych, który nosił, gdy sprawował obowiązki publicznie. Jako dowódca Sił Zbrojnych Zjednoczonego Królestwa – co było tytułem bardziej honorowym niż operacyjnym – poczuwał się w czas wojny do noszenia munduru codziennie.

– Proszę spocząć.

– Z wielką przyjemnością, Wasza Królewska Mość. Od jakiegoś czasu lewe kolano płata mi figle. Podejrzewam, że pozostaje na żołdzie Hitlera.

Jerzy VI się uśmiechnął. Coraz bardziej doceniał poczucie humoru premiera. Ich stosunki osobiste mocno się zresztą zmieniły od jego nominacji 10 maja 1940 roku,

w dniu błyskawicznej ofensywy niemieckiej na kontynencie. Wszem wobec było wiadomo, że król nie chciał Churchilla na tym stanowisku. Uważał, że to człowiek zbyt kapryśny, zbyt nieprzewidywalny, zbyt wojowniczy. Co gorsza, buldog był ongiś żarliwym zwolennikiem jego brata Edwarda VIII, którego krótkie panowanie zakończyła wymuszona abdykacja<sup>33</sup>. Ale oto stał się cud: Churchill swoim zapałem i energią porwał Anglików. Nawet władca znalazł się pod urokiem krewkiego premiera. W ciągu półtora roku wykuli niezniszczalny sojusz, karmiony wzajemnym głębokim szacunkiem. Premier co tydzień wysyłał monarsze pełny raport ze swoich działań, później omawiali go przy dwudziestoletniej whisky single malt.

– Pańskie zdrowie, premierze.

– Długiego życia Waszej Królewskiej Mości – wzniósł toast Churchill.

Król znowu się uśmiechnął, otwierając złotą papierośnicę ozdobioną królewskim herbem. Wyjął papierosa z białym filtrem otoczonym koroną. To był już dwudziesty tego dnia. Jerzy VI palił jak smok, odkąd wreszcie przed czterema laty udało mu się zapanować nad jąkaniem.

– Nie częstuję pana, drogi Winstonie.

– Cygara są o wiele zdrowsze – odparł premier, zapalając romea y julietę.

Churchill jednym haustem wychylił whisky. Drugą tego dnia. Zaśmiał się z zadowoleniem.

– Nie skrywa pan przyjemności – zauważył król, który wrócił pod okno i wyglądał na park.

– Mam z czego się cieszyć: ofensywa wąsatego zwolniła pod Moskwą. Radio Berlin codziennie zapowiada upadek miasta, ale Niemcy utknęli. Niewiele brakuje, a Hitler ubzdura sobie, że padł ofiarą spisku żydowsko-masońskiego we własnych szeregach...

Wpadający przez okno promień słońca oświetlał twarz króla. Jerzy skrzyżował ramiona. Jego głos spowaźniał.

– À propos spisku... Przejrzałem pański cotygodniowy raport i mam kilka uwag do operacji Doża w Wenecji.

– Spodziewałem się tego.

– Wiedział pan, że jestem niechętny fizycznemu wyeliminowaniu Hitlera i Mussoliniego, nawet jeśli Niemcy chcieli uprowadzić mnie i moją rodzinę<sup>34</sup>.

– Biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność za porażkę tej operacji, ale musiałem spróbować.

Król pokręcił głową, wydmuchując kłęb białego dymu.

– To było niebezpieczne zagranie, że chciał pan zrobić przykrywkę z podwójnego zabójstwa dla tego zadania, którego celem miało być odzyskanie trzeciej swastyki.

Efekt: Hitler i Mussolini żyją, a swastyka przepadła na zawsze na dnie laguny...

Churchill siedział niewzruszony. Spodziewał się niezadowolenia króla, nie przejmował się tym jednak nadmiernie. W Zjednoczonym Królestwie władca mógł prywatnie wyrazić premierowi swoje zdanie, lecz nie miał żadnego wpływu na bieg spraw w kraju. A więc również na wojnę. Monarchia parlamentarna sprowadzała króla do roli autorytetu moralnego. Niemniej Churchill chuchał na stosunki z Jerzym VI, którego popularność i prestiż wśród narodu sięgały szczytu.

Buldog przybrał zatem pojednawczy ton:

– Wasza Królewska Mość, czy mogę mówić szczerze?

– Mam nadzieję, że tak pan będzie mówił. Cała siła naszych relacji bierze się właśnie z obopólnej szczeroci.

Churchill położył płasko dłonie na stole.

– I z wzajemnego zaufania... W początkach roku Wasza Wysokość interweniował osobiście, żebym udzielił pomocy komandorowi Malorleyowi w poszukiwaniu tych artefaktów. Podzieliłem się wtedy swoim sceptycyzmem, ale prośbę spełniłem. Malorley zorganizował pierwszą operację w Montségur, przywiózł ten... przedmiot, a później zgodziłem się, żeby powołał w SOE własny wydział poszukiwawczy. Dotrzymałem zobowiązania.

– I jestem panu za to wdzięczny. Zauważył pan, że odzyskanie drugiego artefaktu zbiegło się w czasie z niemiecką inwazją na Rosję? Wysoka stawka, ale dzięki otwarciu drugiego frontu na Wschodzie my mamy lżej w walce ze złem.

– Proszę wybaczyć, Wasza Królewska Mość, ale dla mnie to zwykły zbieg okoliczności.

Król stał nieruchomy jak posąg.

– Władca nie wierzy w zbiegi okoliczności, Winstonie.

Churchill przygryzał koniuszek cygara.

– Jestem racjonalny do szpiku kości! Wasza Królewska Mość nigdy mi nie wmówi, że Hitler zdecydował się zaatakować Rosję pod wpływem Bożego działania.

– Ja też jestem człowiekiem oświeconym, co nie przeszkadza mi wierzyć w Boga i w Jego niezbadane wyroki. Istnieją siły, których zrozumienie nas przerasta.

– Wasza Królewska Mość, proszę zrozumieć, że prowadząc wojnę, nie mogę sobie pozwolić na takie rozumowanie. Niemniej...

– Niemniej?

– Jestem pragmatykiem, jeżeli więc odnalezienie tych rzekomo magicznych artefaktów może odegrać jakąś rolę dla wyniku tej wojny, opowiadam się za tym, by wszelkie szanse mieć po naszej stronie.

Jerzy VI z szerokim uśmiechem na twarzy usiadł przed premierem.

– Całe szczęście, Winstonie. Pozostaje jeszcze jedna swastyka do odzyskania. Proszę, by zapewnił pan komandorowi Malorleyowi wszystkie potrzebne środki do kontynuowania poszukiwań. Wiem skądinąd, że do jego ekipy należy teraz Aleister Crowley. Proszę tego człowieka mieć na oku. Jest bardzo niebezpieczny.

– Dlaczego?

Król nie odpowiedział. Churchill poczuł, jak wzbiera w nim irytacja. Nie lubił, gdy ukrywano przed nim informacje.

– Milczenie Waszej Królewskiej Mości biorę za odpowiedź, ale nurtuje mnie jedno pytanie.

– Wciąż to samo, jak przypuszczam?

– Tak. Dlaczego Wasza Królewska Mość tak mocno wierzy w moc tych przedmiotów?

Król pomasaował sobie nasadę nosa. Churchill od dawna wiedział, że to u władcy oznaka wahania.

– Przykro mi, Winstonie. Nie mogę odpowiedzieć. Przynajmniej nie teraz.

– Nalegam. Naprawdę potrzebuję więcej elementów, by wzmocnić swoją akceptację dla tego... poszukiwania.

Król zdawał się zastanawiać. Twarz miał po ojcu marmurową. Sfinksa. W końcu jednak odpowiedział:

– Ma pan słuszność. Na pewno wydaje się to panu dziwne. Dlatego coś panu zdradzę. Mój ojciec Jerzy Piąty znał legendę o czterech swastykach. Znał ją też jego ojciec i wszyscy nasi przodkowie, którzy zasiadali na tronie. Tak jest we wszystkich królewskich rodach na kontynencie.

– Nie wiem, co powiedzieć. Wasza Królewska Mość, to takie... zaskakujące!

– Te artefakty są poszukiwane nie od dziś i nie od wczoraj. Początki giną w mroku dziejów, w czasach, kiedy monarchie dopiero powstawały na Zachodzie. I dynastie, które o tym zapomniały, nie przetrwały... Chwilowo to wszystko, co mogę powiedzieć. – Król się podniósł, co oznaczało, że rozmowa dobiegła końca. – Nie zatrzymuję pana dłużej, z pewnością ma pan dużo pracy.

Churchill także wstał z miejsca, skłonił się z szacunkiem i uścisnął dłoń, którą wyciągnął do niego władca. W głębi ducha poczuł się uspokojony jego wyjaśnieniem, choćby i niewiarygodnym. Najważniejsze, że nie była to osobista obsesja. Tego obawiał się najbardziej, w rodzinie królewskiej bowiem zdarzały się już przypadki szaleństwa.

Kiedy wychodził z sali, rozległ się jeszcze głos Jerzego VI:

– Wiem, że mi pan nie wierzy, ale zobaczy pan, że utrata swastyki przez Hitlera doprowadzi do jakiegoś znaczącego wydarzenia. W najbliższym czasie...

Churchill znieruchomiał.

– Dlatego coś panu poradzę – ciągnął król. – Proszę znaleźć czwartą swastykę. To jedyny sposób, by uniknąć apokalipsy.

*Londyn*

*Siedziba wydziału S*

*Listopad 1941*

Neobarokowa fasada budynku wychodziła na Tamizę. Na ostatnim, szóstym piętrze stojący w oknie Malorley wodził wzrokiem po rzece, która niosła błotnistą wodę. Żaden londyńczyk godzien tego miana nie odważyłby się zamoczyć w niej choćby palca w obawie przed złapaniem jakiejś paskudnej choroby. Skutki bombardowań podczas bitwy o Anglię: jedna trzecia urządzeń kanalizacyjnych i odpływowych uległa zniszczeniu. Służby oczyszczania miasta musiały zbudować nowe kolektory, z których do Tamizy wylewały się setki metrów sześciennych ścieków.

Komandor zamknął okno i wrócił do biurka. Zaledwie dwa dni wcześniej przeniósł się do nowych pomieszczeń i nie mógł znieść panującego tam zapachu stęchlizny – z tego powodu ciągle wietrzył pokój. Z polecenia premiera jego wydział przeniesiono do tego anonimowego budynku. Żadna tabliczka przy wejściu ani na piętrze nie informowała, że tutaj mieści się wydział S, nieprawa przybudówka SOE.

S jak swastyka.

Poszukiwanie zyskało rangę priorytetu.

Wydział zajmował całe ostatnie piętro, chociaż trzy czwarte biur świeciło jeszcze pustkami. Protektor SOE zapowiedział Malorleyowi, że otrzyma wsparcie, w tych okolicznościach specjalistów nauk okultystycznych, którzy wcześniej pracowali dla wywiadu marynarki wojennej. Odtąd wydział S miał być niewidzialną repliką Ahnenerbe.

Na telefonie zamrugało czerwone światełko. Komandor podniósł słuchawkę i usłyszał cierpki głos swojej sekretarki:

– Przyszli kapitan Fleming i panna d'Estillac.

– Niech wejdą.

Zamyślony rozsiadł się w fotelu. Właśnie wrócili z wyprawy, Fleming zdążył mu już podesłać kopię raportu, który przekazał swojemu zwierzchnikowi w admiralicji. Czytając sprawozdanie napisane zadziwiająco dobrze jak na dokument tego rodzaju, wyczuwało się rozgoryczenie autora. Dla niego liczyło się tylko, że zamach się nie powiodł, a utrata artefaktu schodziła na daleki plan.

Malorley nie podzielał jego pesymizmu, najważniejsze, że swastyka nie wpadła w ręce Niemców. Fleminga jednak hipotetyczna moc artefaktu najwyraźniej obchodziła tyle co zeszłoroczny śnieg.

Drzwi otworzyły się na oścież, wpuszczając dwoje tajnych agentów. Malorley wstał z fotela na powitanie. Laure miała udręczoną minę, a Fleming twarz opuchniętą jak bokser po przegranym meczu.

– Cieszę się, że widzę was całych i zdrowych.

– Dziękujemy, komandorze – odparł Fleming. – Ma pan pytania do mojego raportu?

Malorley postukał palcem w brązową teczkę leżącą na biurku.

– Nie, chciałem was tylko zobaczyć. Oczywiście żałuję, że nie wszystko potoczyło się tak, jak zakładano. I dla was, i... dla nas.

Fleming udał, że nie chwyta aluzji do podwójnej misji, i odpowiedział bezbarwnym głosem:

– Jako odpowiedzialny za operację w terenie proszę, żeby odznaczono medalem wojskowym agentkę Laure, czyli Matildę tu obecną. Wykazała się wyjątkową brawurą. I oczywiście Tristana Marcasa.

– Poprę tę sugestię i bez wątpienia zostanie przyjęta – obiecał komandor i zwracając się do Francuzki, dodał: – Mimo że, niestety, nie będzie mogła go pani nosić, póki wojna się nie skończy. Ot, niedogodność, która wynika z przynależności do SOE.

Laure najpierw długim zimnym spojrzeniem obrzuciła Fleminga, po czym skierowała wzrok na przełożonego.

– Gwiżdżę na wasze świecełka. Przez nas Marcas wpadł. On nie potrzebuje medalu, tylko naszej pomocy, żeby się wydostać z łap nazistów, o ile jeszcze żyje.

Twarz Fleminga stwardniała.

– Ponoszę odpowiedzialność za swoją decyzję. Nie mogliśmy go uratować, mimo że to bardzo cenny agent. Nie mogłem narazić reszty oddziału.

Malorley miał świadomość napięcia panującego między dwojgiem agentów. Ewidentnie ich stosunki się popsęły. W duchu tego pożałował, lecz niczemu to nie zaszkodzi. Operacja się zakończyła, Fleming wraca do wywiadu marynarki, a Laure nadal będzie pracowała w wydziale S.

– Laure, zgadzam się z kapitanem Flemingiem: dokonał właściwego wyboru w tych okolicznościach. A Tristana spróbujemy uratować. – Malorley wyjął inną teczkę, tym razem koloru jasnożółtego, i położył ją na brązowej. – Wszystko jest tutaj. Nie powinienem niczego wam mówić, ale za kilka godzin zaczniemy kolejną operację.



Na teczce widniały tylko cyfry: 007.

– Byłbym szczęśliwy, gdyby ten człowiek zdołał się z tego wykaraskać – odparł Fleming zaintrygowany. – Czemu taki numer?

– Tak to pana interesuje?

– Lubię świat liczb. To taki mój konik... Są sekretnym językiem wszechświata. I proszę się w tym nie dopatrywać żadnego mistycyzmu.

– Kapitan trochę mi wytłumaczył numerologię – wtrąciła się Laure. – Wynika z niej, że Francja zostanie wyzwolona w czterdziestym czwartym roku. Ale podejrzewam, że chciał mi zrobić przyjemność.

– Więc co z tym zero zero siedem?

– W zeszłym tygodniu administracja zażądała, żebyśmy każdemu aktywnemu agentowi przypisali liczbę. Wybrałem tę na cześć Johna Dee, kryptonimu Marcasa.

– Nie rozumiem.

Malorley się podniósł i podszedł do biblioteki, która zajmowała całą jedną ścianę. Około stu rzadkich książek, inkunabułów, starannie ustawiono na długich półkach. Wziął książkę w zniszczonej czerwonej okładce i przyniósł do biurka.

Otworzył ją pod koniec. Na lewej stronie grawiura przedstawiała starszego mężczyznę z cienką bródką. Na prawej tekst w języku angielskim z czasów elżbietańskich zajmował całą stronę, jedynymi przerywnikami były wizerunki symboli astrologicznych.

– To dzieło prawdziwego Johna Dee, Pięć ksiąg tajemnic. Jest tu jego portret. Ten matematyk, astrolog i alchemik był, jak wiecie, szpiegiem działającym na rzecz królowej Elżbiety. – Malorley wskazał palcem dolną część portretu. – Popatrzcie tu, poniżej szyi. To znamię Johna Dee.



– Zwykle tajne raporty dla królowej – ciągnął komandor – podpisywał kodem zero zero siedem. Podwójne zero symbolizuje oczy królowej. Czyli: tylko dla jej oczu. A siedem to szczęśliwa cyfra Johna, symbolizuje wszechobejmujące zrozumienie. Dee poszukiwał świętych swastyk tak jak Tristan Marcas. Dlatego użyłem jego nazwiska i kodu.

Fleming uśmiechnął się blado.

– Zero zero siedem... Nie wiem czemu, ale brzmi dobrze.

Malorley zamknął księgę.

– Zabawne, że skupiacie się na takim szczególe, a przecież właśnie wam zdradziłem, że Dee już w szesnastym wieku interesował się artefaktami.

– Proszę nie mieć mi za złe, ale nie wierzę w ani jedno słowo tej pańskiej legendy. Hitler stracił świecidełko i od tej pory nie wydarzyło się nic korzystnego dla Anglii.

– Powiedziano mi, że lubicie hazard. Założymy się o skrzynkę mojej najlepszej whisky? Jeżeli legenda mówi prawdę, niedługo stanie się coś bardzo ważnego. Korzystnego dla nas.

– Z przyjemnością – zgodził się Fleming. – A teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym się odmeldować. Za godzinę mam spotkanie w admiralicji, nie chciałbym się na nie spóźnić.

– Jesteście wolni, kapitanie.

Fleming skłonił się przed Laure.

– Mam nadzieję, że kiedyś wybaczysz mi Wenecję, ale to był jedyny możliwy wybór.

– Skoro tak mówisz...

Agent wyszedł z pokoju, zostawiając Malorleya samego z Laure.

– Ciekawa postać z tego Fleminga – rzekł komandor. – Jego raport bardzo przyjemnie się czyta. On ma naprawdę pióro lekkie jak pisarz.

– Niech mu się szczęści, ale niech idzie do diabła i tam sprzedaje swoje książki – odparła Laure. – Powiedziałeś, że wymyśliłeś, jak uratować Tristana.

– Tak, nie chciałem mówić o tym przy Flemingu. Lubię rozdzielać sprawy... Będę potrzebował do tego agenta z wydziału S.

Podniósł słuchawkę telefonu.

– Crowley? Niech pan przyjdzie do mnie. – Po czym zwrócił się do Laure: – Nie próżnowałem, kiedy cię nie było. Pamiętasz Moirę O'Connor, właścicielkę klubu Hellfire?

– Oczywiście, to ta straszna ruda z cementarza.

– Udało nam się ją przekonać, że Crowley jest podwójnym agentem, który może jej dostarczać informacje dla jej szefów z Berlina. I...

Przerwał, rozległo się bowiem pukanie do drzwi. Otworzyły się szeroko i stanął w nich mag. Laure nie dała po sobie poznać zaskoczenia: to już nie był ekscentryk, którego spotkała przed wyjazdem do Wenecji. Crowley ubrany był w klasyczny garnitur z szarej wełny, czerwony krawat i kamizelkę o wytwornej fakturze. Z fajką w zębach, starannie zaczesanymi włosami, statecznym spojrzeniem mógłby uchodzić za czcigodnego członka klubu Malorleya. Wydawało się nawet, że stracił kilka kilogramów.

– Droga Laure, jak miło widzieć panią całą i zdrową.

Z galanterią ucałował jej dłoń i zasiadł w fotelu, który chwilę wcześniej zajmował Fleming.

– Właśnie mówiłem Laure o informacjach, które przekaże pan Moirze O'Connor – powiedział Malorley, wyjmując z teczki 007 zapisaną kartkę z nagłówkiem SOE.

– Czy po ostatniej wiadomości, którą przekazałem Moirze, był jakiś odzew? – zapytał Crowley, nabijając fajkę.

– Tak, sabotażyści na niemieckim żołdzie z dnia na dzień się zwinęli. Co oznacza, że połknęli haczyk. A tu nowa wiadomość wysłana rzekomo do naszych agentów w Niemczech. Dzięki niej Szkarłatna Czarodziejka będzie mogła nieświadomie uratować naszego człowieka. Czytajcie.

Laure i Crowley nachylili się nad kartką:

„Operacja Swastyka 3 zakończona porażką. Podjąć działania, by wycofać naszą agentkę Erikę von Essling. Wyeliminować Francuza”.

Po raz pierwszy, odkąd Laure weszła do tego biura, na jej ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Jeżeli poważnie to potraktują, Tristan może będzie miał szansę... Ale nie chciałabym być na miejscu tej kobiety. Zdajecie sobie sprawę, że zostanie wydana Gestapo? Będą ją torturowali do samej śmierci.

Szef wydziału S skrzyżował ręce na biurku. Twarz mu stwardniała.

– Przykro mi, ale jeżeli to pomoże Tristanowi wrócić do gry i kontynuować poszukiwania, nie mam skrupułów. Osobiście rozpalę palenisko w piekle, jeśli dzięki temu wygramy wojnę. Każda strona ma jeden artefakt, ostatni któregoś zapewni przewagę. I wolę, żebyśmy to byli my, obóz Dobra.

Crowley postukał fajką w popielniczkę stojącą na biurku.

– Cóż za liryczne uniesienie, doprawdy! Dobro, zło, wolność... – W słowach maga pobrzmiwała ironia. – Wierzy pan więc, że te artefakty dodają mocy temu, kto je ma?

– Teraz tak. I nie tylko ja tak myślę.

Crowley bez ostrzeżenia walnął pięścią w stół. Laure spojrzała na niego zdziwiona. Jego nalana twarz nagle stwardniała.

– W czerwcu odzyskaliście artefakt z Montségur i zaraz Hitler napadł na Rosję. Otwarty nowy front, niespodziewana szansa! Anglia wreszcie trochę odetchnie! Nazistowski wilk odwrócił się od nas, by wbić kły w czerwonego niedźwiedzia. Ale za jaką cenę? Setki tysięcy poległych żołnierzy i bezprecedensowe masakry ludności cywilnej.

Malorley nie odpowiedział. Po raz pierwszy widział Crowleya tak wzburzonego.

– A teraz ta wiadomość... Posyła pan na okrutną śmierć niewinną osobę. Och, oczywiście to tylko Niemka, wróg, jakie to ma znaczenie w rzeźni pod gołym niebem, którą stała się Europa? Pańska swastykowa obsesja zniszczyła w panu całe człowieczeństwo.

– Mag, który żyje w obsesji seksualnej, udziela mi lekcji moralności... Koniec świata – rzekł na to komandor.

– Taki pan pewny, że jest po stronie Dobra, aż zapomniał pan zadać sobie fundamentalne pytanie.

– Mianowicie? Proszę mnie oświecić.

Crowley długo wpatrywał się w Malorleya. Oczy mu błyszczały, spojrzenie było niemal hipnotyczne. Nagle jego głos zadudnił w gabinecie:

– A jeśli artefakty są instrumentami Zła?

# EPILOG

*Południowy Pacyfik*

*7 grudnia 1941*

Starszy szeregowy Joseph Lockard ziewnął. Oczy go piekły od wpatrywania się w ten przeklęty ekran radaru. Zerknął na zegar na ścianie: trzy po siódmej rano. Jeszcze tylko pół godziny do zakończenia służby. Później kierunek baza i zasłużony odpoczynek. Wyjrzał przez okno. Niesamowite słońce zalewało blaskiem cypel Opana Point. To był jedyny plus nocnej służby: obserwowanie pierwszych chwil świtu.

Przeciągnął się i odruchowo znów popatrzył na ekran.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jego górnej części pokazało się sześć świecących zielonych punkcików. Starszy szeregowy Lockard bez wahania podniósł słuchawkę telefonu, by zadzwonić do przełożonego. Standardowa procedura bezpieczeństwa. Oficer odezwał się zaspanym głosem:

- Co jest?
- Panie poruczniku, mam echo na ekranie.
- To nie są zakłócenia jak ostatnim razem?
- Nie, raczej nie.
- Okej, już idę.

Trzy minuty później porucznik Kermit A. Tyler w szortach i białej koszulce amerykańskiej marynarki wszedł do pomieszczenia z radarem. Spojrzał na ekran, drapiąc się po brodzie.

– Nic takiego. Eskadra bombowców B Siedemnaście lecąca z San Diego. Wczoraj wieczorem dostałem o nich notatkę. Mają tu zatankować i lecą dalej, na Filipiny.

Na ekranie liczba świetlistych punktów rosła miarowo.

– Dziwne, panie poruczniku... Dużo ich jak na zwykłą eskadrę. Czy to nie są japońskie samoloty?

– Żołnierzu, potrzebujecie snu. Japonia leży dziewięć tysięcy kilometrów od tej bazy. Nikt tam nie upadł na głowę, żeby nas zaatakować. Wątpię też, żeby przysłali aż tutaj swoje lotniskowce.

– Nie ostrzegamy bazy? – zapytał z niepokojem radarzysta.

– Nie ma mowy, żeby wszczynać alarm z powodu takiej bzdury. Ostatnio sam admirał mnie obtańcował. Wracam do łóżka, obudźcie mnie, jak skończycie służbę.

Porucznik Tyler trafi do historii jako najbardziej niekonsekwentny oficer amerykańskiej marynarki. W chwili, gdy kładł się do łóżka, największa flota wojenna Kraju Wschodzącego Słońca płynęła w odległości trzystu siedemdziesięciu kilometrów od Opana Point. Sześć lotniskowców, dwa pancerniki, trzy krążowniki, dziewięć niszczycieli – tyle okrętów pokonało niepostrzeżenie tysiące kilometrów, aby runąć na wyspę na Hawajach. Z pływających olbrzymów wystartowało ponad trzysta samolotów, bombowców i myśliwców gotowych zasypać cele deszczem ognia i stali.

Dwadzieścia siedem minut po wykryciu przez radar pierwszy japoński samolot przeleciał nisko nad północnym brzegiem wyspy. Był to zwiadowczy myśliwiec Zero, który nie spotkał na swej drodze żadnej maszyny przeciwnika. I nic dziwnego – nie wszczęto przecież alarmu.

Pilot przesłał umówioną wiadomość wiceadmirałowi Chuichiemu Nagumo.

„Pearl Harbor śpi”.

Dziesięć minut później rozpętało się piekło na rajskiej wyspie będącej bazą amerykańskiej Floty Pacyfiku. Japończycy, którzy równie szybko odlecieli, jak przylecieli, przekształcili Pearl Harbor w stos ruin.

Stany Zjednoczone zostały znokautowane.

Trzeba było poczekać do następnego dnia, do 8 grudnia 1941 roku, aby amerykański Kongres przyjął propozycję przystąpienia do wojny, którą zgłosił prezydent Franklin Roosevelt. Przebudził się amerykański kolos, Anglia i Rosja już nie były same.

Podobno w dniu ataku na Pearl Harbor brytyjski premier Winston Churchill uściskał współpracowników i otworzył butelkę najlepszej whisky. W swoich pamiętnikach napisał: „Żaden Amerykanin nie będzie miał mi za złe, gdy wyznam, że poczułem ogromną radość, widząc Stany Zjednoczone u naszego boku”.

Tym sposobem konflikt ogarnął cały świat.

Niemcy i Włochy stanęły po stronie Japonii i także wypowiedziały wojnę Ameryce. Państwa Osi przeciwko aliantom. Kości zostały rzucone, dwie potężne armie miały się zetrzeć w walce na śmierć i życie o kontrolę nad światem. Chociaż wynik konfliktu zależał od zasobności wojsk w stal i mięso armatnie, w obydwu obozach niektórzy wiedzieli, że równolegle toczy się też inna wojna.

Tajemna wojna, w której każda ze stron miała jeden święty artefakt. Po równo.

Pierwszy znajdował się w niezdobytym zamku Wewelsburg. Drugi spoczywał już bezpiecznie w Stanach Zjednoczonych.

Trzeci co prawda zniknął na zawsze w głębi laguny weneckiej, lecz pozostawał jeszcze czwarty.

Ostatni.

Ten, który zadecyduje o losach wojny.

# PODZIĘKOWANIA

Dla całej ekipy wydawnictwa Jean-Claude Lattès, która wspierała ten projekt od samego początku, oraz dla wszystkich przedstawicieli Hachette, którym nasze książki wiele zawdzięczają.



## Odróżnić prawdę od fałszu

W tego rodzaju thrillerach dobrze jest oddzielić światło od ciemności. Zrobiliśmy to już w pierwszym tomie cyklu Czarne Słońce – w Triumfie ciemności – dodając uszczegółowiające aneksy i stosowną bibliografię.

Czy naziści prowadzili wykopaliska archeologiczne na Krecie?

Tak. Niedługo po inwazji niemieckich spadochroniarzy na Kretę i zajęciu wyspy wszczęto na dużą skalę poszukiwania na kilku stanowiskach równocześnie. Rezultaty poszukiwań – w sumie jedenastu – opublikowano w Niemczech w roku 1951. Ponieważ stanowisko w Knossos spopularyzował angielski archeolog Arthur J. Evans, który szeroko się rozpisywał w prasie na temat swoich odkryć, naziści pragnęli udowodnić, jak znakomita jest ich archeologia, a zwłaszcza pokazać jej wyższość.

Czy ktoś taki jak Erika von Essling naprawdę istniał?

Tak. Inspirowaliśmy się postacią Eriki Trautmann, ale zmieniliśmy jej nazwisko. Ta młoda kobieta, której rodzina była blisko z Göringiem, została archeologką z zamiłowania. Zafascynowana jednym z badaczy z Ahnenerbe, podjęła pracę w jego zespole i jeździła z nim na wykopaliska – od prehistorycznych grot w Europie po irańskie pustynie. Niezwykła postać i zarazem dwuznaczna. Zrekonstruowaliśmy jej biografię i zamieściliśmy ją w aneksie do kieszonkowego wydania Triumfu ciemności.

Czy 007 to był kryptonim szpiega Johna Dee?

Tak. Wszystkie podane informacje są prawdziwe, rysunek 007 przedstawiony w książce jest autentyczny. John Dee faktycznie był szpiegiem na usługach królowej Elżbiety I. Kusząca jest hipoteza, że Ian Fleming (który doskonale znał dzieje Johna Dee) zapożyczył jego kryptonim dla Jamesa Bonda, lecz nie została udowodniona w stu procentach.

Czy Aleister Crowley to realna postać?

Tak. Uchodził za ostatniego maga XX wieku. Rozwiązłość, magia, okultyzm, ekscentryczność, podróże... wszystko to jest autentyczne, z wyjątkiem jego udziałów w klubie Hellfire, który jednak istniał, tyle że w XVIII wieku.

Czy SOE zwerbowało Aleistera Crowleya?

Nie. Te służby nigdy nie werbowały magów ani astrologów. Premier Winston Churchill nie popierał powołania specjalnego wydziału. Crowley natomiast sam zaproponował swoje usługi tajnym służbom, kiedy w czasie pierwszej wojny

światowej podejrzewano go, że pracuje dla Niemców. Za to wywiad marynarki wojennej, dla którego pracował Fleming, nawiązał współpracę z astrologiem Louistem de Wohlem, aby postawił horoskopy niemieckim admirałom. Szef tej służby, admirał John Godfrey, okazał się bardzo zainteresowany naukami zwanymi okultystycznymi.

Czy żona doradcy Churchilla była krewniaczką Crowleya?

Tak. Anegdota o malowidłach na kartach tarota jest prawdziwa. Doradca premiera, niejaki Harris, zorganizował nawet Crowleyowi zwiedzanie parlamentu.

Czy szczegóły z życia Hitlera przed jego dojściem do władzy są autentyczne?

Tak i nie. O ile przebieg zdarzeń jest zgodny z prawdą, o tyle ich znaczenie i wymowa to swobodna interpretacja autorów. Aby zapoznać się z prawdziwym życiem Hitlera, należy sięgnąć do którejś z jego biografii (wskazówki znajdują się w *Triumfie ciemności*), szczególnie do pracy Iana Kershawa. Choć w młodości Hitler pasjonował się religiami nordyckimi i pewnymi niesztampowymi teoriami okultystycznymi, które propagowali ludzie pokroju Lanza, odwracał się od nich, w miarę jak piął się coraz wyżej. Nie nosił magicznej swastyki. Utrzymywał za to kontakty z ezoteryczno-politycznym Stowarzyszeniem Thule, które wspierało jego karierę w Niemieckiej Partii Robotników, prekursorce Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP).

Czy Ahnenerbe interesowało się wyłącznie archeologią?

Nie. Instytut zorganizował kilka wypraw archeologicznych połączonych z wykopaliskami w różnych miejscach świata (zob. *Triumf ciemności*), ale zatrudniał również licznych naukowców z wielu innych dyscyplin, a wyniki ich badań publikowano w czasopiśmie naukowych. Wydziały wyspecjalizowane w okultyzmie i ezoteryce należały do mniejszości, lecz uważano je za strategiczne. Ahnenerbe prowadziło także potworne badania medyczne w obozach koncentracyjnych. Wróćmy do tego w następnym tomie.

Czy Himmler pasjonował się magią i ezoteryką?

Tak. Odpowiedzialny za Holokaust, technokrata śmierci, namiętnie interesował się naukami okultystycznymi i wierzył w reinkarnację. Miał największą kolekcję książek na ten temat: trzynaście tysięcy dzieł zrabowanych w całej Europie. Jeśli chodzi o zamek Wewelsburg, to faktycznie odbywały się w nim pogańskie ceremonie SS, nauczano tam również dziwnych paradoksalnych teorii, jak na przykład tej, że Ziemia jest pusta w środku. Więcej informacji można znaleźć w aneksach do *Triumfu ciemności*.

Czy nazizm był ruchem wywodzącym się z ezoteryki?

Nie. Przede wszystkim był rasistowską partią polityczną dążącą do objęcia rządów totalitarnych. Trudno to inaczej określić, patrząc na jej program ekonomiczny, militarny, represyjny i ludobójczy. Dojście do władzy Hitlera dokonało się w sposób demokratyczny i było owocem okoliczności politycznych i gospodarczych. Natomiast główne elementy jego doktryny – wyższość rasy aryjskiej, wyeliminowanie Żydów i najsłabszych członków społeczeństwa, powołanie zakonu wojskowego w postaci SS – można odnaleźć w poglądach „myślicieli” rozmiłowanych w ezoteryce, działających długo przed pojawieniem się Hitlera. Nazizm, ideologiczny potwór, co prawda nie wywodził się z ezoteryki, karmił się natomiast chorą mistyką. I ten właśnie wątek rozwijamy w niniejszej trylogii. Przypomnijmy na wszelki wypadek, że narodowy socjalizm doprowadził do eksterminacji sześciu milionów Żydów, ale również Romów, jeńców wojennych, wolnomularzy, przeciwników reżimu nazistowskiego, komunistów, katolików, inwalidów, homoseksualistów... Lista potworności, których się dopuszczono, nie ma końca... Nie wspominając o wojnie światowej, która pochłonęła sześćdziesiąt milionów ofiar.

Czy Jörg Lanz istniał naprawdę?

Tak. Założyciel pisma „Ostara”, były zakonnik, należał do najbardziej wpływowych „myślicieli” mistyczo-germańskiego rasizmu. Był członkiem zakonu neotemplariuszy. Hitler prawdopodobnie go poznał i miał w swojej bibliotece liczne numery „Ostary”.

Czy pułkownik Karl Weistort istniał naprawdę?

Nie. Inspirowaliśmy się postacią niejakiego Karla Marii Williguta, Brigadeführera SS, który miał przez długi czas wpływ na Himmlera. O tym fanatycznym naziście, zdeklarowanym ezoteryku, wiadomo powszechnie, że kilka lat spędził w zakładzie dla psychicznie chorych. Należał do Ahnenerbe, to on wybrał zamek Wewelsburg na mistyczne centrum członków SS. Jeden z jego pseudonimów pisarskich brzmiał: Karl Maria Weisthor.

- 1 Stuka, sztukas – skrót od Sturzkampfflugzeug, zbitki trzech słów: Sturz (upadek), Kampf (walka) i Flugzeug (samolot).
- 2 Strażnicy pełniący ochotniczo służbę w ARP, obronie cywilnej.
- 3 Przeł. Roman Kołoniecki (przyp. tłum.).
- 4 MI5 – brytyjska służba bezpieczeństwa wewnętrznego. MI6 – brytyjska służba specjalna powołana do prowadzenia wywiadu zagranicznego.
- 5 Trójkąt z wpisanym w niego okiem. Symboliczne przedstawienie Boga w kościołach lub Wielkiego Architekta u wolnomularzy.
- 6 Celtycka królowa, która w I w. n.e. zbuntowała się przeciwko rzymskiej okupacji Wielkiej Brytanii.
- 7 RSHA – Reichssicherheitshauptamt, Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, centrala państwowej policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa.
- 8 Oswald Mosley odzyskał wolność w listopadzie 1943 r.
- 9 Niemiecki wywiad i kontrwywiad.
- 10 W kwietniu 1916 r. bojownicy o niepodległość Irlandii próbowali przejąć władzę w Dublinie. Brytyjska armia wzięła krwawy odwet. Anglia oskarżyła wtedy cesarskie Niemcy o wspieranie Irlandczyków.
- 11 Regionalny szef partii narodowosocjalistycznej.
- 12 W 1947 r. kwakrzy – chrześcijański odłam religijny – otrzymają Pokojową Nagrodę Nobla za pomoc, której udzielali Żydom w czasie drugiej wojny światowej i bezpośrednio po jej zakończeniu.
- 13 Rezydencja Hitlera w Alpach Bawarskich.
- 14 Zawód, który w młodości wykonywał późniejszy szef SS.
- 15 Aleja i szosa we Francji, długości ok. 30 km, prowadząca z Malmaison do Craonne, zbudowana w XVIII w. za panowania Ludwika XV. Miejsce wielu bitew, w tym również w czasie pierwszej wojny światowej (przyp. tłum.).
- 16 Ojciec Johna F. Kennedy'ego, który w 1961 r. został 35. prezydentem USA.
- 17 Trójstronny sojusz Niemiec, Włoch i Japonii.
- 18 Służby wywiadowcze SS.
- 19 Jeden z mistrzów anglosaskiego thrillera, bardzo popularny przed wojną.
- 20 John Bull to w Anglii ikona, taka jak Wuj Sam w Stanach Zjednoczonych albo Marianna we Francji.
- 21 Pochodzące od imienia Patrick pejoratywne określenie, którym Anglicy nazywają Irlandczyków.
- 22 Określenie angielskich żołnierzy.
- 23 Autentyczne.
- 24 Na Bachusa – przekleństwo weneckie.

- 25 Po nieudanym zamachu stanu w Monachium w 1923 r. Hitler trafił do więzienia wraz z Hessem. Skazany na pięć lat, przesiedział tylko dziewięć miesięcy.
- 26 Najemnik, często szlacheckiego pochodzenia, który oddawał swoich ludzi do dyspozycji włoskiego miasta.
- 27 X Flotylla MAS (Decima MAS) – elitarna jednostka włoskiej marynarki wojennej. Zasłynęła z oddziałów płetwonurków bojowych wyposażonych w pojazdy podwodne, a także w inne specjalne środki ataku.
- 28 Mussolini przejął władzę w październiku 1922 r. w wyniku tzw. marszu Czarnych Koszul na Rzym.
- 29 Po celtycku: „Dziękuję, o bogini ukochana, bogini pór roku, córo niebios i ziemi, małżonko świata podziemnego. Jesteś między światem podziemnym, ziemią i niebem”.
- 30 Międzynarodowy Przegląd Sztuki Filmowej, zwany Festiwalem Weneckim, zainicjowany przez władze faszystowskie.
- 31 Autentyczne.
- 32 Włoscy faszyci poili rycyną przeciwników.
- 33 Król Edward VIII abdykował w 1936 r. tuż przed koronacją, chciał bowiem poślubić nisko urodzoną rozwiedzioną Amerykankę Wallis Simpson. Podejrzewano go również o sympatyzowanie z reżimem faszystowskim. Na tronie zasiadł wtedy jego brat Albert jako Jerzy VI.
- 34 W 1940 r. Hitler planował zrzuć na spadochronach oddziału na pałac Buckingham w celu porwania rodziny królewskiej. Wdrożono wtedy system ochrony, by w razie ataku wyprowadzić władcę w bezpieczne miejsce.